



ANNA KAŃTOCH

WIAARA

ZŁO NADEJDZIE ZE WSCHODU...



Anna Kańtoch

Wiara



Wołowiec 2017

Prolog

niedziela, 6 lipca 1986 roku

Ksiądz Jerzy Marczewski mocniej ścisnął kierownicę, gdy rower podskoczył na wiejskich wertepach. Po obu stronach wąskiej ścieżki rosły wybujałe chwasty, szeleszczące cicho w podmuchach tak lekkich, że nie dawały wytchnienia od gorąca. Była dziewiąta rano, ale upał już narastał – w południe osiągnie trzydzieści stopni i nie zelżeje aż do wieczora, kiedy to pewnie przyjdzie burza. Ksiądz Jerzy sięgnął do czoła, by wytrzeć je z potu, i zaraz z powrotem złapał kierownicę. Rower wjechał w kałużę pozostałą po wczorajszym deszczu, błotnista woda trysnęła na boki. Ksiądz z sapnięciem nacisnął pedały. Nie przepadał za wysiłkiem fizycznym nawet jako dziecko, a co dopiero teraz, kiedy zbliżał się do czterdziestki. Myślał o kupnie samochodu, ale to niewiele by mu dało. W parafii istniało mnóstwo miejsc, do których dotrzeć mógł jedynie pieszo albo właśnie na rowerze. Jednym z nich było leżące na stoku Kamionki gospodarstwo Jadwigi Ciołek, od której wracał. Ciołkowa chwaliła się, że ma dziewięćdziesiąt sześć lat. Umierała od trzech, przerzucana między szpitalami niczym poczerniała ze starości piłeczka pingpongowa. Wreszcie powiedziała „dość” i oznajmiła, że zostaje w domu, aby tam czekać na śmierć. Ta jednak z jakiegoś powodu ociągała się i Jadwiga już trzeci raz w tym roku wzywała księdza. Marczewski nie miał do niej pretensji. Podejrzewał, że staruszka czuje się zwyczajnie samotna – wnuczka przy gospodarstwie miała pełne ręce roboty, inne wnuki puciekwały do miasta, prawnuki ledwo babcię znały. Nie został nikt z pokolenia, z którym dorastała, nikt, kto pamiętałby czasy jej dzieciństwa. Była niczym rozbitek z przeszłości, wyrzucony na brzeg świata, którego nie rozumie i który nie rozumie jego. Jej spowiedzi najczęściej przekształcały się w zawile i pozbawione pointy opowieści o dawno minionych czasach: o potoku, w którym kąpała się jako nastolatka – zawsze w długiej koszuli, żeby było „przyzwoicie”; o rosnącej przy domu gruszy; o grzesznych dziewczynkach, które godzinami musiały modlić się w kościele; czy o jeżdżącym kolaską przystojnym dziedzicu.

Ksiądz Jerzy słuchał, cierpliwie podążając za błędzącym umysłem staruszki. Lubił ją w jakiś czuły, melancholijny sposób i cieszył się za każdym razem, kiedy wezwanie do umierającej okazywało się fałszywym alarmem. Nawet jeśli oznaczało to dla niego jazdę w upale, a potem jeszcze męczące pchanie roweru pod górkę. Nawet jeśli pośladki bolały go później od wytrząsania na wiejskich

wybojach, a przesiąknięta potem sutanna nadawała się tylko do prania.

Przed sobą widział już nasyp kolejowy, po lewej stronie na tle jaskrawobłękitnego nieba rysowały się zbocza, pocięte szachownicą zielonych i złotych pól. Po prawej gór nie było widać – zasłaniał je ciągnący się za zaroślami kompleks betonowych budynków. Ich cień sięgał aż do ścieżki, kładąc się chłodnym mrokiem na wybijanej zieleni chwastów. Ksiądz drgnął lekko, kiedy weń wjechał, i przeżegnał się odruchowo, po czym natychmiast zacisnął usta, zirytowany na samego siebie. Zachowywał się jak przesądna wiejska baba, która pluje pod wiatr, żeby odczytać urok.

Gdy wyjechał z cienia, zwolnił, a potem całkiem się zatrzymał i zeskoczył z roweru. W wiszącej na kierownicy skórzanej torbie zagrzechotały butelki ze świętymi olejami. Odpoczywał, łapiąc oddech i ocierając pot. Czekąco go teraz wepchnięcie roweru na nasyp, sprowadzenie go z drugiej strony, a później dziesięć minut jazdy na plebanię. Uwinie się akurat, żeby odmówić spóźniony poranny brewiarz i dopracować dzisiejsze kazanie.

Stałby tak jeszcze chwilę, ale odległy gwizd nadjeżdżającego pociągu zmobilizował go do wysiłku. Sapiąc niczym parowóz, zaczął pchać rower pod górkę. Ścieżka była w tym miejscu mocno zarośnięta, gałęzie jeżyn czepiały się sutanny, a roje bzyczących owadów krążyły nad mokrą od potu twarzą księdza. Odganiał je niecierpliwymi gestami, nasłuchując jednocześnie kolejnych gwizdów. Przyszło mu do głowy, żeby stanąć i poczekać, ale składy osobowe na tej trasie były długie, a on nie chciał tracić czasu. Zresztą powinien bez problemu zdążyć, pociąg był jeszcze daleko – ksiądz Jerzy widział dopiero kłęby czarnego dymu bijące w niebo nad kompleksem betonowych budynków.

Od szczytu nasypu dzieliły go trzy, może cztery kroki, kiedy zobaczył rękę.

Z początku myślał, że to kawałek papieru, jakiś śmieć wyrzucony z wagonu. Ale nie – to była ręka, drobna kobieca dłoń. Marczewski miał ją na wysokości oczu i był pewien, że jeśli wespnie się wyżej, zobaczy leżące na torach całe ciało. Czas zatrzymał się, powietrze wokół zgęstniało, więżąc księdza w pułapce jakiegoś absurdałnego koszmaru. Ostrożnie położył rower na kolczastych gałęziach jeżyn i zrobił jeszcze trzy kroki w przód.

Była tam, tak jak się spodziewał. Duża, pulchna dziewczyna, ubrana w spódnickę do kolan i bluzkę z wypchanymi ramionami. Materiał kiedyś był różowy, ale teraz pierwotna barwa została jedynie na bufiastych rękawkach i przy kołnierzyku, cała reszta miała czerwono-brązowy kolor zaschniętej krwi. W rajstopach na lewej łydce poszło oczko, jeden but tkwił grzecznie na stopie, drugi zsunął się lekko, ukazując bladą piętę. Dziewczyna miała szeroko otwarte ciemne oczy i ksiądz Jerzy nie musiał nawet pochylać się nad nią, żeby stwierdzić, że nie żyje. Za plecami słyszał cykanie świerszczy, z oddali dobiegał dźwięk pracującej piły tarczowej, a także porykiwanie krowy. Te zwykłe odgłosy

wiejskiego letniego dnia kontrastowały z widokiem, jaki miał przed sobą. Jakby znalazł się na granicy dwóch światów: jednego, który dobrze znał, i drugiego, który był dla niego zupełnie nowy i obcy. Wciąż miał wrażenie, że to tylko dziwaczne złudzenie, że wystarczy mrugnąć albo odwrócić się plecami, żeby zwłoki znikły. Jestem w szoku, pomyślał z zaskakującą trzeźwością umysłu, ale niewiele to pomogło. -Cenne sekundy rozciągały się w nieskończoność w złocistym lipcowym upale, a każdy ruch wymagał nieproporcjonalnie dużego wysiłku, jakby duchowny był muchą próbującą przepłynąć słoik miodu. Oprzytomniał, słysząc kolejny gwizd: tory wibrowały już od ciężaru nadjeżdżającego pociągu. Dopiero wtedy uniósł ręce i zaczął rozpaczliwie machać. Sto dwadzieścia ton metalu pędziło na niego w jaskrawych rozbłyskach słońca odbijającego się w szybie lokomotywy. Powietrze przeszył przeraźliwy zgrzyt, gdy maszynista zauważył go i zaczął hamować. Potwór zwalniał – zbyt późno, za wolno. Księdzu przemknęło przez myśl, czy nie spróbować ściągnąć ciała z torów, ale dziewczyna była chyba zbyt ciężka, żeby ją podnieść. Zresztą i tak nie zdążyłby tego zrobić. Powinien uskoczyć na bok, ale coś, może wpojone w seminarium przekonanie, że należy zachowywać powagę w obliczu majestatu śmierci, zatrzymało go w miejscu. Stał więc z zamkniętymi oczami, aż czoło parowozu niemal dotknęło jego piersi. Chwilę potem, gdy z okien zaczęli wyglądać zaciekawieni podróżni, poczuł, że natychmiast musi usiąść, bo inaczej zemdleje.

Część I: Dziewczyna na torach

sobota, 12 lipca

Pociąg z łoskotem przetoczył się przez most, a potem zaczął wspinać się pod górę. Kapitan Andrzej Witczak od czasu do czasu wyglądał na zewnątrz, chłodząc rozgrzaną twarz. Siedzenie ze sztucznej skóry było tak gorące, że nie dało się go dotknąć gołą ręką, a woda, którą zabrał na podróż, z zimnej zmieniła się już w obrzydliwie ciepłą. Mimo to Witczak cieszył się, że ma choć otwarte okno. Wcześniej musiał jechać przy zamkniętym, bo w jego przedziale – podobnie zresztą jak i we wszystkich sąsiednich – brakowało korbki do opuszczania szyby. Dopiero na maleńkiej leśnej stacji wsiadł z rodzicami mniej więcej dwunastoletni chłopiec, który z plecaka wyjął własną korbkę, niewątpliwie ukradzioną jakiś czas temu z innego piętusa. Witczak jako przedstawiciel władzy powinien stanowczo potępić taką egoistyczną i antyobywatelską postawę, zamiast tego jednak pożyczył korbkę, założył ją na wystający ze ściany bolec i otworzył okno.

Pociąg szerokim łukiem minął zalew i usadowione nad nim kwadratowe budynki, po czym przyspieszył. Witczak wiedział, że za chwilę przejadą dokładnie przez miejsce, w którym znaleziono zwłoki. Ta myśl nie wywołała w nim żadnych emocji, może oprócz chwilowej refleksji nad niespodziankami, jakie niesło życie. Prawdopodobnie spora część jego towarzyszy podróży nie zdawała sobie sprawy z tego, co mijają. Jechali na wakacje, cieszyć się słońcem i wodą, jak najdalsi od myśli o wykrwawiającej się na torach dziewczynie.

Wrócił do przerwanej lektury, ignorując kobietę, która rozsiadła się naprzeciwko. Współpasażerka była gruba, pot lepił jej do czoła krótko ścięte włosy, a pod pachami rozlewał się w ciemne plamy. Miała ze sobą cztery wypchane siatki, z których bezustannie coś wyjmowała: a to kanapkę, to znów brązową torebkę z landrynkami czy kawałek suszonej kiełbasy.

Stację Rokitnica rozpoznał od razu, bo – dokładnie tak, jak poinformowano go w Bielsku – była największa na tej trasie, z dwoma peronami i dużym, białym otynkowanym budynkiem dworca. Witczak zaczął zbierać się do wyjścia. Zdjął z półki walizkę, po czym schował do niej książkę. Tęga kobieta zerknęła na tytuł, ale nawet jeśli się zdziwiła, to nie dała po sobie tego poznać, kapitan pożegnał ją więc z odrobiną sympatii.

Pociąg odjechał. Witczak przystanął na peronie, paląc papierosa i odprowadzając wzrokiem parę z dwójką dzieci. Młodsza dziewczynka domagała się lodów, starsza pytała, czy w tym roku babcia też pozwoli jej pojeździć na

koniku. Przez moment kapitan poczuł ukłucie w sercu – żalu? nostalgii za dzieciństwem? – a potem rzucił na ziemię niedopałek papierosa i przydepnął go. Skoro nikt nie zamierzał po niego wyjść, musiał radzić sobie sam.

W budynku stacji panował przyjemny chłód. Na środku poczekalni wznosił się olbrzymi kaflowy piec, teraz oczywiście zimny, a w okienku kasy tkwiła znudzona kobieta, która popijała kawę zalewającą. Podszedł bliżej.

– Kapitan Witczak z komendy wojewódzkiej – przedstawił się. – Jak dojdę do posterunku?

Kobieta podskoczyła nerwowo i wytrzeszczyła oczy.

– Wyjdzie pan i od razu w prawo skręci, a potem ciągle wzdłuż drogi.

– Daleko to?

– No, ze dwadzieścia minut pan pójdzie.

Zaklął w myślach. Rokitnica była duża nie tylko pod względem liczby mieszkańców, lecz także terenu, jaki zajmowała. Spore centrum z kościołem, pocztą, szkołą i kilkoma sklepami, a potem rząd domów ciągnących się w obie strony wzdłuż głównej drogi i jeszcze kilkadziesiąt gospodarstw oraz przysiółków rozrzuconych chaotycznie po okolicznych zboczach. Witczak wiedział o tym, podobnie jak zdawał sobie sprawę z tego, że stacja kolejowa położona jest na najdalszym skraju wsi, jednak nie był przygotowany na dwudziestominutowy marsz w takim skwarze.

– Autobus tu nie jeździ? – zapytał bez większych nadziei.

– Trzy razy dziennie tylko. – Kasjerka bardzo starała się być pomocna. – Z Żywca jedzie. Najbliższy będzie za dwie godziny.

– Taksówka?

Spojrzała na niego, jakby zapytał, gdzie może wynająć latający talerz z Marsa. Zniechęcony kapitan odwrócił się i już miał odejść, kiedy kobieta wychyliła się z okienka.

– Mamy powozy, jeśli pan chce.

– Powozy? – Witczak wyobraził sobie kapiącą od złota karetę z filmu *Markiza Angelika*, który oglądał niedawno z żoną.

– No, takie dla turystów. Jak w Zakopanem. – W głosie kasjerki zabrzmiała wyraźna duma, że mają coś wspólnego z zimową stolicą Polski.

– Powozy, aha.

Podniósł walizkę i wyszedł na zewnątrz. Upał natychmiast uderzył go w twarz i na moment odebrał oddech. Chwilę trwało, zanim kapitan z powrotem przyzwyczaił oczy do jaskrawego światła. Po drugiej stronie drogi stała dwukółka zaprzężona w konia, który oganiał się niecierpliwie od much. Powozik nie wyglądał imponująco, ale Witczak nie miał wyboru. Podszedł do niego, czując, jak gorący asfalt zapada się pod podeszwami jego butów, i z sapnięciem ulgi wdrapał się na siedzisko. Grzało podobnie jak siedzenia w pociągu, a na domiar złego przez

dziury w materiale wylaziły gdzieś klęby końskiego włosa.

– Podrzuci mnie pan na posterunek?

Woźnicy zabłyszły oczy.

– Pon w sprawie tyj baby, co jom na torak zaciukali?

– W tej sprawie. Wie pan coś może o tym?

– Nye, jo nic nye wyem. To jakosik miastowo panicka była. Panie, łodpuść jij ta grzechy...

– Dużo tu macie takich przyjezdnych?

– No, walnie bydzie. Ze śwagrym ik na pociong wozymy, jo mom swój wóz, a łon swój. Nale byłoby wiencyj miastowyk, kieby tego diabelstwa stawiać nye zacynli.

– Ma pan na myśli elektrownię?

– Ano, elektrownie.

Witczak czekał cierpliwie: na wzmiankę o Czarnobylu, niebezpieczeństwach, które niesie ze sobą energetyka jądrowa – o ile chłop w ogóle takie słowa znał – a także o tuszującym katastrofę rządzie. Jednak woźnica najwyraźniej zrobił się nagle ostrożny, bo od tej pory na wszystkie pytania odpowiadał tylko półsłówkami. W narastającym skwarze mijali kolejne domy, murowane i drewniane, potem przejechali opodal niewielkiego sklepiku i poczty. Zatrzymali się obok kościoła. Wieś wydawała się opustoszała, mieszkańcy najpewniej siedzieli w domach, chroniąc się przed upałem, albo pracowali przy gospodarstwach, letnicy za to odpoczywali nad jeziorem. Witczak rozejrzał się. Na drzwiach kościoła zauważył wypisany kredą, na wpół zatarty napis: ...PRZYJDZIE ZE WSCHODU. ...MSZĘ. Kapitan przyglądał mu się przez chwilę, potem zeskoczył z wozu, zabierając walizkę, zapłacił i wszedł do wskazanego przez woźnicę niewielkiego budynku, przed którym stał zakurzony polonez.

* * *

– Myśleliśmy, że pan kapitan przyjedzie samochodem – usprawiedliwił się niezbyt gorliwie starszy sierżant Stefan Waškowiak. Był to wysoki, kościsty czterdziestokilkulatek o końskiej szczęce i flegmatycznych ruchach. Witczak nie potrafił powiedzieć, czy funkcjonariusz istotnie nie dostał jego telegramu, czy może kłamie, a nieodebranie go z dworca było drobną dywersją i wyrazem niechęci, jaką większość prowincjonalnych milicjantów żywiła do wtrącających się w ich sprawy „ludzi z miasta”. A może zwyczajnie ktoś tu uznał, że to będzie świetny dowcip.

– Nie prowadzę – odpowiedział Witczak, co zostało powitane jak zawsze: przemykającym przez twarz rozmówcy zdumieniem, które zaraz pokrywała mina nieszczerzego zrozumienia.

– Jasiek, skocz po piwo dla pana kapitana. Gorąc jest, trzeba się czegoś zimnego napić.

– Dziękuję, nie piję. Wystarczy mi woda albo oranżada.

Tym razem zdziwienie było wyraźniejsze, trwało też dłużej. Waškowiak opanował się i skinął w stronę barczystego blondyna o dziecięcej twarzy, który wyszedł i wrócił po chwili z butelką oranżady.

– P...pan się napije – powiedział, jękając się lekko. – D...dobra i zimna.

Waškowiak zachichotał.

– To jego pierwszy trup i chłopak strasznie się przejmuje – wyjaśnił, przedstawiając przy okazji blondyna jako kaprała Jana Synowca. – A tam – ruchem głowy wskazał dziewczynę siedzącą nieruchomo pod ścianą maleńkiego pokoiku – to starsza szeregowka Hanka Gierasówna. Ona nie od nas jest, tylko z Żywca. Jak chodziliśmy ludzi przepytować, przysłali ją i jeszcze jednego chłopaka, żeby szybciej poszło. On pojechał, a Hance widać się spodobało, bo została.

– Urlop wzięłam i teraz u ciotki tutaj mieszkam. Pomogę, jeśli pan kapitan nie ma nic przeciwko.

– Dziękuję. I możecie darować sobie tego „kapitana”.

Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia kilka lat i była wyjątkowo brzydka: chuda jak wykrzyknik, z wąską, podłużną twarzą i zębami dziwnie stłoczonymi w ustach. Wygląda, jakby ktoś położył ją na boku, a potem próbował sprasować, pomyślał Witczak. Ona również sprawiała wrażenie zdenerwowanej, ale w inny sposób – nie jękała się jak Jasiek, tylko siedziała napięta niczym struna, w gorliwym oczekiwaniu.

– Chcę przejrzeć wszystkie materiały, które do tej pory zebraliście – oznajmił Witczak Waškowiakowi. – I będę potrzebował samochodu, a do tego kogoś, kto umie go prowadzić.

– Jasne. – Starszy sierżant dla odmiany wyglądał na całkowicie wyluzowanego. – Teraz to pana śledztwo. Mamy poloneza, stary jest, ale ciągle na chodzie. No i na tutejszych wertepach całkiem nieźle się sprawdza. Jasiek może z panem jeździć...

– Wolałbym dziewczynę, o ile ma prawo jazdy.

Oczy Hanki rozbłyły, twarz lekko poróżowiała.

– Nie ma sprawy. – Usta Waškowiaka rozciągnęły się w porozumiewawczym uśmiechu. Mało brakowało, a starszy sierżant by do Witczaka mrugnął. – Hanka, zawieź pana kapitana do Stokrotki. Zje pan dobry obiad i odpocznie po podróży.

* * *

Dom Wczasowy Stokrotka mieścił się w przedwojennym pałacyku otoczonym parkiem. Budynek był odrapany, a park wyraźnie zaniedbany, całość

miała jednak dla Witczaka pewien dziki urok. Wrażenie psuła tylko grupa dziesięcio–jedenastoletnich dzieciaków goniących się z wrzaskiem między drzewami.

– Kolonie pracownicze z katowickiej huty – wyjaśniła Hanka. – Ale niech się pan nie martwi, oni przez większość dnia i tak są albo w górach, albo nad rzeką.

Jakby na potwierdzenie jej słów z pałacyku wyszła młoda kobieta, która energicznie zaklaskała w dłonie, ustawiła dzieci w pary, a potem wymaszerowała z nimi przez bramę.

– Wiedzą o trupie? – zapytał kapitan.

– Dzieciaki mam nadzieję, że nie. Ale wychowawcy chyba tak.

I niewiele ich to obchodzi, dopowiedział w myślach milicjant. Kobieta była przyjezdna, wszyscy więc pewnie zakładali, że zabił ją też turysta, ktoś z zewnątrz, kto dawno już wyjechał z Rokitnicy. A co, jeśli nie? Jeśli morderca wciąż tu był?

Witczak rozlokował się w pokoju, skromnie umeblowanym, ale całkiem wygodnym, po czym zszedł do nijakiej stołówki na obiad, bo akurat była pora wydawania posiłków. Hanka wykręciła się, mówiąc, że już jadła, przyjęła jednak z wdzięcznością szklankę kompotu truskawkowego. Kapitan dostał schabowego na pół talerza, górę polanych tłuszczem ziemniaków oraz malutką miseczkę z mizerią, czyli kilkoma plasterkami ogórka pływającymi smętnie w nieprzyprawionej śmietanie. Jedzenie, z wyjątkiem mizerii, było smaczne. Jeśli chodzi o mięso, nie ma to jak wieś, pomyślał Witczak, nabijając na widelec kawałek kotleta.

– No dalej, zapytaj mnie – powiedział, kiedy już przełknął.

– O co mam zapytać?

– Dlaczego wybrałem ciebie zamiast kaprała Synowca. Nie masz nic przeciwko, żebym mówił ci po imieniu, prawda? – Nie czekając na pozwolenie, kontynuował: – Waškowiak myśli, że chcę cię zaciągnąć do łóżka, wiesz o tym?

Zaczerwieniła się – wiedziała, oczywiście, że tak.

– Dlaczego wybrał pan mnie? – zapytała posłusznie.

– Ponieważ zamordowana była kobietą, a ja chcę wysłuchać teorii innej kobiety na temat tego morderstwa.

– Problem w tym, że nic nie wiemy. – Dziewczyna dopiła kompot, po czym zaczęła bawić się szklanką. – Ofiara nie miała przy sobie dokumentów...

– Nie chodzi mi o jej nazwisko, ale o to, kim była. Jaka była.

– Widział pan zdjęcia – bąknęła Hanka.

– Widziałem, tak samo jak ty. Do kostnicy też cię zabrali?

Niepewnie skinęła głową.

– To mów, czego się dowiedziałaś na temat ofiary.

– Była młoda, między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. Zdrowa, bez nałogów. – Starsza szeregowka zawahała się i kiedy Witczak był już pewien, że nie powie mu nic poza tym, co można by wyczytać z raportu patologa, podjęła: – Jej

bielizna i rajstopy były tanie, z gatunku takich, które można dostać w każdym domu towarowym. Podobnie bluzka. Spódnica poszerzana, widocznie dziewczyna jakiś czas temu utyla. Buty stare, z wymienionymi flekami.

– Co z tego wynika?

– Nie miała dużo pieniędzy, ale starała się dobrze wyglądać. Nosiała kolczyki i pierścionek, niedawno była u fryzjera. Paznokcie opiłowane i pociągnięte bezbarwnym lakierem, wypastowane buty, lekki makijaż – wymieniała. – Robiła, co mogła.

– Chciała się podobać? Szła na randkę?

Hanka znowu się zawahała.

– Nie wydaje mi się. Nie była ubrana jak na spotkanie z chłopakiem. Za mało seksownie, rozumie pan. – Zaczerwieniła się lekko. – Wyglądała, jakby wybierała się do cioci na imieniny.

– Pochodziła ze wsi czy z miasta?

– Moim zdaniem raczej z miasta. Nie dlatego, że dziewczyny ze wsi nie potrafią się ładnie ubrać – zastrzegła szybko. – Ale ona chyba nigdy nie pracowała fizycznie. Miała takie miękkie, białe dłonie... Może była urzędniczką albo kimś w tym rodzaju. Mogła nawet jeszcze studiować, jeśli bliżej było jej do tych dwudziestu pięciu lat.

– Co urzędniczka ubrana jak na imieniny cioci robiła na nasypie kolejowym?

– Tego właśnie nie rozumiem. Nie miała butów do chodzenia po wiejskich drogach. I te rajstopy...

– Co z nimi?

– Patolog twierdzi, że zginęła jakieś pół godziny przed tym, jak ksiądz ją znalazł, czyli koło ósmej trzydzieści. Wtedy było już ciepło, a miało być jeszcze cieplej. Jest lipiec, wakacje. Jaka kobieta wkłada rajstopy i całe buty, żeby przedzierać się w upale przez jakieś wertepy? Czemu nie poszła w sandałach i krótkich spodenkach?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

Dziewczyna obracała w palcach szklankę po kompocie, jakby spodziewała się znaleźć odpowiedź wśród leżących na dnie sflaczałych truskawek. Witczak wyjął paczkę klubowych i zapalił.

– Przychodzi mi do głowy tylko to, że chciała, żeby traktować ją poważnie – odpowiedziała Hanka. – Jeśli rzeczywiście pracowała w urzędzie, mogła iść do któregoś z gospodarstw w jakiejś oficjalnej sprawie i wtedy taki strój miałby sens. Ale co urzędniczka z miasta mogłaby chcieć od kogoś z tutejszych? Poza tym była niedziela, dzień wolny. No i nikt jej nie rozpoznał. Pokazywaliśmy zdjęcie we wszystkich okolicznych domach i nic.

– Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. – W głosie kapitana zabrzmiała lekka ironia. – Nie wydaje ci się to dziwne? Dziewczyna zginęła na

trzymetrowym nasypie kolejowym, w miejscu, które jest doskonale widoczne z dużej odległości. A jednak nikt nie zauważył ani jej, ani napastnika.

– Było wcześniej, niedziela – bąknęła milicjantka. – Poza tym wystarczająco blisko jest tylko jedno gospodarstwo, Chojniaków. Z innych nie byłoby nic widać.

– Nie wciskaj mi kitu, o ósmej na wsi nikt już nie śpi, nawet w niedzielę. A tego Chojniaka nawet porządnie nie przycisnęliście.

Tym razem rumieniec był głębszy, a zaciśnięte na szklance chude palce zbieleły wyraźnie.

– Dobra, zostawmy to na razie – zlitował się Witczak. – Jedziemy dalej. Tak ubrana kobieta prawie na pewno miała przy sobie torebkę. Co się z nią stało? Zabrał ją morderca?

– Chyba tak.

– Mord rabunkowy?

– Nie, bo wtedy wzięłyby też złote kolczyki i pierścionek. Pewnie chciał nam utrudnić identyfikację.

– A to znaczy?

– Morderca wiedział, że nikt tej dziewczyny tu nie zna, że jeśli zabierze dokumenty, będziemy mieć problem z ustaleniem jej tożsamości. Chciał zyskać na czasie.

Kapitan skinął głową. Starsza szeregową była całkiem inteligentna.

– Zabił z premedytacją czy bez?

– Chyba bez. Nikt o zdrowych zmysłach nie planowałby zabójstwa w miejscu, które widać z takiej odległości.

– A więc jak to wszystko twoim zdaniem wyglądało?

Zastanawiała się przez chwilę, marszcząc brwi.

– Może dziewczyna umówiła się z kimś? Niekoniecznie miejscowym, to mógł być ktoś z letników. I nie na randkę, raczej na poważną rozmowę. Dlatego tak się ubrała: chciała wyglądać serio. Miała pusty żołądek, co może świadczyć o tym, że była zbyt zdenerwowana, żeby zjeść śniadanie. Może z jakiegoś powodu bała się tej rozmowy? I słusznie, bo w pewnym momencie coś poszło nie tak, facet się wkurzył i wyciągnął nóż.

– Nosił go przy sobie?

– Niektórzy mężczyźni chodzą z nożami, zwłaszcza na urlopach. Może to typ harcerza, wie pan, z tych, co lubią mieszkać w namiocie i dłubać w drewnie. Albo zabrał nóż na wszelki wypadek, nie planował zabić, tylko postraszyć. Ale to nadal nie ma sensu. Jeśli chcieli dyskretnie porozmawiać, czemu umówili się w miejscu, gdzie każdy mógł ich zobaczyć?

– A jeśli nie zależało im na dyskrecji, równie dobrze mogli umówić się w kawiarni albo na ławce przed kościołem – dokończył Witczak.

– Może ten nasyp to był kompromis? On chciał się spotkać w jakimś

odludnym miejscu, ona się bała, więc na wszelki wypadek wybrała takie, gdzie byliby widoczni?

– Może. Albo po prostu nie mamy wystarczających danych. Zostawmy to na razie i zastanówmy się, czy ofiara знаła mordercę.

Tym razem Hanka myślała znacznie krócej.

– Chyba tak. Wie pan, ona nawet się nie broniła. Nie było śladów szarpaniny, pod paznokciami nie miała obcego naskórka. Pięć ciosów nożem w brzuch i klatkę piersiową, a dziewczyna nawet faceta nie zadrapała. Musiał ją kompletnie zaskoczyć.

– Kompletnie zaskoczenie trochę kłóci się z teorią, że bała się tej rozmowy.

Starsza szeregowca z ociąganiem skinęła głową.

– Co jeszcze o niej wiemy?

Czekał na kolejny rumieniec i nie zawiódł się.

– Była dziewicą – wymruczała.

– W jej wieku to dość nietypowe, nie sądzisz?

– Może była religijna i nie chciała iść do łóżka przed ślubem.

– Czekala na tego jedyne go? A on okazał się mordercą?

– Czemu nie?

– Jasne, czemu nie. Takie historie się zdarzają. Mamy więc dziewicę, która jednocześnie boi się mordercy i pozwala mu się kompletnie zaskoczyć. Która umawia się w zupełnie idiotycznym miejscu i idzie na spotkanie odstawiona jak stróż w Boże Ciało, choć wie, że na wiejskich wertepach może połamać sobie obcas, a przy trzydziestu stopniach w rajstopach będzie jej gorąco jak diabli. A facet co prawda zabójstwa nie planuje, ale przychodzi z nożem, a po wszystkim jest na tyle przytomny, żeby zabrać ofierze torebkę, bo wie, że to spowolni śledztwo.

Hanka poruszyła się niespokojnie.

– Chce pan powiedzieć, że wszystkie nasze teorie są bez sensu?

– Chcę powiedzieć, że na razie jesteśmy w sytuacji kogoś, kto próbuje ułożyć układankę z połowy klocków. Poza tym to nie nasze teorie, tylko twoje. Zaczekaj.

Wstał i ruszył w stronę baru, który od stołówki dzieliło przewężenie sali. Część barowa miała już jakiś konkretniejszy wystrój, stoliki były tu zwyczajnie drewniane, bez przykrywającej je kraciastej ceraty, góralskie ciupagi zdobiły ściany, a nad barem wisiała spłowiała mapa górskich szlaków. Witczak miał okazję przyjrzeć się jej, kiedy czekał w kolejce za długowłosym brodatym mężczyzną w dżinsach. Dwóch podobnie zarośniętych typów siedziało przy jednym ze stolików. Na widok kapitana odruchowo zniżyli głosy i konferowali teraz szeptem, rzucając od czasu niespokojne spojrzenia w stronę funkcjonariusza.

Witczak kupił dwie cole i wrócił do stołówki.

– Ja stawiam – powiedział.

Dziewczyna wciąż wyglądała na urażoną, ale umiała się opanować, co uznał za zaletę. Byłaby niezłym materiałem na śledczego, gdyby tylko przestała być tak upiornie sztywna i grzeczna.

– Kim są ci hippisi przy barze? – zapytał.

– Ruch Pokój i Wolność.

– Przyjechali z powodu elektrowni?

Skinęła głową. Na cołę najwyraźniej nie miała ochoty, ale zabrakło jej odwagi, żeby otwarcie odmówić, dlatego upiła łyk i odsunęła butelkę.

– Wiosną, no wie pan, po Czarnobylu, wszystko stanęło i wyglądało na to, że jednak nie będą jej budować. A teraz znowu chodzą plotki, że prace niedługo ruszą. Ludziom to się nie podoba.

– Miejscowi bardzo się buntują?

– Trochę – przyznała ostrożnie. – Ale nie robią nic nielegalnego, tylko piszą petycje.

Boją się, pomyślał Witczak. Milicja nie pieściła się z demonstrantami i mało który chłop miał odwagę ryzykować otwarty protest. Ale Pokój i Wolność to inna para kaloszy, oni niejedną pałą już dostali i w niejednej celi siedzieli. Po nich można się było spodziewać wszystkiego.

Kapitan zapalił następnego papierosa.

– Dobra, wróćmy do naszej dziewczyny. Skąd się wzięła?

– Skąd się wzięła? – powtórzyła Hanka niepewnie.

– Przecież nie spadła z nieba. Musiała jakoś się dostać na ten nasyp. Przyjechała pociągiem, a może autobusem? Przyszła pieszo? Jeśli tak, to skąd?

Starsza szeregowka zastanowiła się.

– Mogła nocować gdzieś w okolicy, ale problem w tym, że nie wiemy gdzie. Na pewno nie tutaj ani nie w schronisku, bo wszędzie pytaliśmy. Ale...

– Ale? – ponaglił ją milicjant.

– Niektórzy chłopcy wynajmują pokoje letnikom na lewo – powiedziała z lekkim ociąganiem. – Jeśli tak było, to teraz nikt się do tego nie przyzna. Poza tym mogła spać w namiocie...

– Taka elegancka kobitka?

– Może na co dzień chodziła zwyczajnie, w dzinsach, a eleganckie ciuchy miała gdzieś w osobnej torbie i przebrała się, kiedy szła na spotkanie z mordercą?

– Niech będzie – zgodził się Witczak. – A jeśli nie spała tutaj, to skąd się wzięła?

– Pierwszy poranny pociąg przyjeżdża o dziewiątej pięć...

– To ten, który omal nie rozjechał ciała?

– Ten sam. Autobus z Żywca za to jest w Rokitnicy już o ósmej. Czyli jeśli nie spędziła nocy u kogoś w domu albo siedząc w lesie, to przyjechała autobusem.

Tyle że...

– Niech zgadnę: kierowca jej nie pamięta, nikt dziewczyny nie widział.

Skinęła głową, wyraźnie zakłopotana.

– Pytaliśmy też na dworcu, na wszelki wypadek, gdyby jednak przyjechała wcześniej. I nic.

– Zupełnie jakby jednak spadła z nieba, co?

Hanka milczała, wpatrując się w butelkę, z której upiła może trzy łyki. Kapitan swoją zdążył już opróżnić.

– Jest jeszcze jedna możliwość – odezwała się po chwili. – Mogła przyjechać z kimś samochodem, a potem szła przez las i łąkę obok domu Chojniaków aż do nasypu. Niedaleko by miała, jakieś półtora kilometra.

– Półtora kilometra to sporo dla kogoś, kto idzie na wysokich obcasach i martwi się, czy krzaczory nie porwą mu rajstop – zwrócił jej uwagę. – Mniejsza z tym. Chcę teraz zobaczyć miejsce zbrodni, potem porozmawiam z księdzem.

– Już go przesłuchiwaaliśmy – zaprotestowała niepewnie.

– Nie chcę go przesłuchiwać, tylko poprosić, żeby nam pomógł – Witczak wyjaśnił jej swój plan. Pomysłowość kapitana niewątpliwie zrobiła na Hance wrażenie, ale błysk w oczach dziewczyny szybko zgasł.

– Ksiądz się nie zgodzi – mruknęła zniechęcona.

– Bo milicja i Kościół się nie kochają? Ale przecież wielebnemu powinno zależeć na zidentyfikowaniu ofiary, choćby po to, żeby rodzina mogła ją po chrześcijańsku pochować.

Skinęła głową, nadal nie do końca przekonana.

Witczak wstał.

– Zaraz wracam.

W pokoju zmienił koszulę na świeżą, wysikał się, a potem, stojąc przed lustrem, potarł szczecinę na policzkach. Powinien się ogolić, uznał jednak, że równie dobrze może zrobić to jutro. Wykrzywił się do własnego odbicia. Był bardzo przeciętnym mężczyzną, w średnim wieku, średniego wzrostu i średniej tuszy. Twarz też miał nijaką: może odrobinę zbyt okrągłą, z oczami nieokreślonego koloru i cienkimi blond włosami, które ostatnio niepokojąco często znajdował na poduszce. Czasem martwił go ten brak wyrazistości – gdyby mógł wybierać, chciałby wyglądać jak znani aktorzy z czasów jego młodości: Charlton Heston czy Rock Hudson. W gruncie rzeczy jednak przeciętna powierzchowność miała pewne zalety, ot, choćby takie, że dzięki niej łatwiej było wtopić się w tło. Poza tym nijakość kojarzyła się z dobroduszością i brakiem zagrożenia, a to również bywało przydatne w jego zawodzie.

* * *

Staął na nasypie i rozejrzył się. Na podkładach kolejowych widniała

wyblakła czerwona plama – krwi musiało być dużo, cała kałuża, a to oznaczało, że dziewczyna zginęła właśnie tutaj. Witczak wyjął z kieszeni chustkę i przetarł spocony kark. Po jednej stronie, prażąc się w słońcu, rosły rdestowce, pokrzywy i inne chwasty, podchodzące aż pod mury elektrowni. Dzika, wybujała zieleń przecinała wąską ścieżka – właśnie tędy nadszedł ksiądz. Po drugiej stronie nasypu rozciągał się las, a przed nim łąka, na której pasła się samotna krowa, dalej stał otoczony płotem murowany dom. Było to jedyne gospodarstwo w promieniu kilku kilometrów.

– Do kogo należy ta ziemia? – zapytał.

– To tutaj – Hanka machnęła w stronę zarośniętego pola – to własność elektrowni. A łąka jest Chojniaków.

– Ktoś tu jeszcze bywa?

– W jakim sensie? – Dziewczyna zmarszczyła brwi.

– Jakimkolwiek – zirytował się. – Pary spotykające się w lesie na małe bara-bara, dzieci zbierające grzyby...

– Letnicy teraz niczego nie zbierają, wie pan, przez te wszystkie ostrzeżenia w radiu i telewizji...

Wiem, pomyślał Witczak. Znowu Czarnobyl.

– A miejscowi? – zapytał głośno.

– Miejscowych ciężko jest przekonać – przyznała Hanka. – Ale tak czy inaczej, ludzie raczej tu nie przychodzą. Za daleko i trudno dotrzeć.

Witczak skinął głową, myśląc o samochodzie zostawionym na zwirowej wiejskiej drodze i o marszu przez las, a potem przez podmokłą łąkę. Istotnie, trudno tu dotrzeć. Może więc wybór miejsca zbrodni nie był aż tak absurdalny?

Nie, jednak był, uznał kapitan. Bo nawet jeśli ludzie rzadko się tu zapuszczali, zabójca nie mógł mieć pewności, czy ktoś przypadkowy nie zjawi się akurat w chwili morderstwa. Wystarczyłoby przecież, żeby ksiądz jechał tą ścieżką pół godziny wcześniej. Dlaczego, u licha, facet nie schował się w lesie? Samo zejście trzy metry w dół nasypu zapewniłoby mu osłonę przynajmniej z jednej strony.

Kapitan przeszedł kawałek wzdłuż torów. Pomiedzy zaroślami po prawej błysnęło słońce odbite w kawałku metalu. Witczak osłonił oczy. Pod nasypem stał krzyż, ozdobiony wieńcem świeżych kwiatów. Klnąc na czym świat stoi, kapitan zsunął się po zboczku, naciągnął rękaw koszuli na dłoń i ostrożnie rozgarnął pokrzywy. Z początku myślał, że krzyż ustawiono tu po morderstwie, ale nie – porzeczony metal zdecydowanie wyglądał na stary. A pod wieńcem świeżych kwiatów był drugi, uschnięty. Witczak zawołał Hankę.

– Co to za krzyż? – zapytał, kiedy dziewczyna przedarła się do niego przez zarośla.

– Nie wiem – odparła spłoszona. – Ja nie jestem stąd. Jako dzieciak

spędzałam wakacje u ciotki i znam sporo ludzi z Rokitnicy, ale o krzyżu nikt mi nie mówił. Pewnie jakiś wypadek na kolei albo coś w tym rodzaju.

– A te kwiaty?

– Może ktoś chciał upamiętnić tę dziewczynę?

– Ofiarę morderstwa? Świetnie. A te? – Uniósł świeże kwiaty i pokazał uschnięte, brązowe i tak skurczone, że nie dało się nawet rozpoznać gatunku. – Jak długo twoim zdaniem musiałyby tu wisieć, żeby tak wyglądać?

– Nie wiem... – Hanka odpowiadała coraz bardziej niepewnie.

– Kilka dni? Dłużej?

– Dłużej – uznała. – Może ze dwa tygodnie.

– Czyli ktoś powiesił na tym krzyżu kwiaty na tydzień przed morderstwem.

Nie wydaje ci się to dziwne?

– Niespecjalnie – powiedziała, ale kapitan i tak jej nie słuchał.

Puścił wieniec i wdrapał się z powrotem na nasyp. Dziewczyna poszła w jego ślady. Znaleźli się na górze akurat w samą porę, żeby zobaczyć człowieka w gumiakach idącego przez łąkę. Witczak przyjrzał mu się uważnie, rejestrując ciemne włosy, blisko osadzone oczy i haczykowaty nos. Mimo gumiaków, upačkanych czymś workowatych spodni i brudnej koszuli mężczyzna był przystojny w jakiś niepokojący sposób, który musiał podobać się kobietom.

– Franciszek Chojniak? – kapitan zapytał swoją towarzyszkę.

– Tak.

– Mieszka tu z rodziną?

– Z żoną, dzieci nie mają. Ewa miała wypadek i teraz jest sparaliżowana.

Chojniak odwiązał krowę od kołka, poklepał ją po boku, a potem zaczął prowadzić w stronę domu. Na Hankę i Witczaka nawet nie spojrział.

– Chcę go widzieć jutro na komisariacie – powiedział kapitan. – Wyślijcie mu wezwanie.

– Jak wyślemy pocztą, to dojdzie za trzy dni.

– No to zawiadomcie go w inny sposób. – Witczak znowu zaczął się irytować.

Dziewczyna wahała się może pół sekundy, a potem zbiegła w dół nasypu, krzycząc: „Franek, czekaj!”.

Kapitan zamknął z rozpaczą oczy.

* * *

Przed kościołem zatrzymali się pół godziny później. Upał już zelżał, w koronach drzew szeleścił lekki wiatr. Witczak wysiadł, Hanka chciała zrobić to samo, ale ją powstrzymał.

– Nie będę cię na razie potrzebował. Możesz jechać.

Dziewczyna ruszyła, rzucając mu pełne żalu spojrzenie, a kapitan skierował

się w stronę plebanii. Chciał porozmawiać z księdzem sam na sam. Jak mężczyzna z mężczyzną, pomyślał nie bez ironii, bo nie był pewien, czy facet ubrany w kiecę zasługuje na to miano.

W dodatku tak wyglądający facet, dodał w myślach, kiedy dziesięć minut później, masując obolałą kostkę, siedział w fotelu naprzeciwko proboszcza. Kapitan miał dziś szczęście do spotykanych przystojnych mężczyzn. Najpierw Chojniak, a teraz ksiądz Jerzy Marczewski, długorzęsy i niebieskooki, ładny jakąś delikatną, prawie kobiecą urodą, która przywodziła na myśl młodego Alaina Delona. Pełnego poczucia winy Alaina Delona.

– Przepraszam, powinienem coś zrobić z tą gałęzią. – Ksiądz mówił ciepłym barytonem człowieka, który pracuje głosem i nauczył się odpowiednio go modulować. – Jakiś tydzień temu mieliśmy tu burzę, która oberwała z drzewa konar i teraz wszyscy się o niego potykają.

– Nieważne. – Witczak poruszył ostrożnie stopą. Wciąż bolała, ale chyba nic poważnego się nie stało. – Muszę z ojcem porozmawiać.

– Byłem już przesłuchiwany i obawiam się, że nie mam nic nowego do dodania. Znalazłem tę dziewczynę, kiedy już nie żyła, i zatrzymałem pociąg. Nie widziałem nikogo wcześniej.

– Wiem. Nie przyszedłem tu, żeby pytać, jak ojciec znalazł zwłoki. Mam inną prośbę. – Witczak pochylił się w fotelu i wyłuszczył ją spokojnie.

Ksiądz drgnął lekko, a mięśnie wokół jego ust napięły się, ale była to jedyna oznaka zdenerwowania.

– Nie jestem pewien, czy mogę się na to zgodzić. Zdjęcie martwej dziewczyny w kościele to nie jest coś, co ludzie mogliby łatwo zaakceptować.

Kapitan powstrzymał się od repliki, że zwłoki na krzyżu jakoś nikomu nie przeszkadzają, i zamiast tego oznajmił:

– Niech ojciec pomyśli o tej nieszczęsnej dziewczynie i o rodzinie, która gdzieś tam na nią czeka, z każdym dniem martwiąc się coraz bardziej. No i oczywiście na złapaniu mordercy też powinno ojcu zależeć. Zależy, prawda?

– Oczywiście, że tak.

– Świetnie, bo już się bałem, że trzeba będzie ojca uznać za podejrzanego. Zdarza się czasem, że morderca zgłasza się na milicję jako człowiek, który znalazł ciało. To całkiem sprytny ruch. Na przykład gdybyśmy odkryli na dziewczynie jakieś ślady księdza, łatwo byłoby wytłumaczyć je tym, że przecież pochylił się ojciec nad zwłokami, może nawet ich dotykał.

– Nie zabiłem tej dziewczyny – odpowiedział wolno duchowny. Sprawiał wrażenie kogoś, kto aż do przesady panuje nad tonem głosu i stara się pilnować każdego gestu. – Kiedy przyjechałem, już nie żyła.

– Wierzę ojcu, ale mimo wszystko wolałbym, żeby ksiądz spełnił moją prośbę. Wtedy wierzyłbym bardziej.

Ksiądz Jerzy westchnął.

– Zastanowię się. Nie mogę obiecać niczego więcej.

– Doskonale. Mam nadzieję, że się dogadamy.

Duchowny chyba się spodziewał, że kapitan wstanie i wyjdzie, ten jednak rozparł się tylko wygodniej w fotelu.

– Teraz możemy porozmawiać bez stresu. Po pierwsze, widziałem na drzwiach kościoła napis o czymś, co ma nadejść ze wschodu, i o mszy. O co chodzi?

Proboszcz zakłopotał się.

– O elektrownię. Ludzie wierzą, że ściągnie na nas nieszczęście. Wie pan, Czarnobyl to był pierwszy znak, a teraz na nas ma przyjść zagłada. Chcieli, żebym odprawił mszę, ale to tylko zabobony, więc odmówiłem. Taki lokalny folklor. – Uśmiechnął się przepraszająco, jakby przyznawał, że jego parafianie wciąż wierzą w sikające do mleka krasnoludki.

– A ten krzyż przy miejscu, w którym doszło do morderstwa, to też lokalny folklor? Wie ojciec, kto go postawił?

Marczewski zmarszczył brwi.

– Krzyż? A tak, faktycznie. Latem, jak wszystko jest zarośnięte, ze ścieżki go nie widać. Nie mam pojęcia, kto mógł-by go postawić. Był już tam, kiedy zostałem proboszczem.

– Czyli kiedy?

– Zaraz, niech policzę... Wiosną osiemdziesiątego drugiego.

Witczak wyjął z kieszeni paczkę papierosów. Nie zapalił, tylko zaczął się nią bawić, przekładając między palcami.

– Nie za wcześnie ojciec dostał własną parafię?

– Skończyłem trzydzieści pięć lat, nie byłem już taki młody. A ta parafia miała opinię pechowej.

– Dlaczego?

Ksiądz zawahał się, w końcu jednak odpowiedział:

– Poprzedni proboszcz został odwołany w dość nietypowych okolicznościach. Ten przed nim powiesił się na plebanii, a jeszcze wcześniejszy utonął w jeziorze.

– Po pijaku?

Duchowny krótko skinął głową.

– Cztery lata to szmat czasu. – Kapitan wrócił do wcześniejszego tematu. – Wystarczająco dużo, żeby dobrze poznać swoich parafian. Pewnie wie ojciec o nich wszystko. Kto z kim sypia, kto przestawił płot pół metra na miedzę sąsiada i kto komu obił gębę na ostatnim weselu.

– Sugeruje pan, że ja wiem, kto zabił tę dziewczynę? – Głos księdza nawet nie drgnął, ale mimo to Witczakowi wydało się, że słyszy w nim napięcie.

- A wie ojciec?
- Nie mam pojęcia. Poza tym czemu zakłada pan, że to był ktoś stąd?
- Ja niczego nie zakładam, tylko pytam. – Wyjął wreszcie papierosa, rozejrzał się za popielniczką, a kiedy nie znalazł niczego, co by się nadało, schował go z powrotem. – Gdyby to był film, morderca przyszedłby się wypowiadać, a ojciec po krótkiej walce z sumieniem opowiedziałby mi wszystko. Wtedy sprawa byłaby prosta, co?
- To nie jest film.
- Niestety. – Witczak wstał. – Pewnie się jeszcze zobaczymy. Z Bogiem.
- Z Bogiem – odparł kapłan, który tym razem nie zdołał się opanować i wyglądał na zdziwionego.

* * *

Ksiądz proboszcz odprowadził Witczaka wzrokiem, patrząc przez okno. Z Bogiem? Czy naprawdę milicjant pożegnał go słowami „z Bogiem?”. A wcześniej nazywał ojcem? Duchowny przypomniał sobie przesłuchanie na posterunku – starszy sierżant Waškowiak mówił do niego „obywatelu”, podkreślając to słowo aż do przesady, a ten młody, Jan Synowiec, niezręcznie i z wyraźnym poczuciem winy podlizywał się szefowi, żartując głupio z wkłęcającej się w pedały roweru sukienki.

Ksiądz Jerzy nie miał pojęcia, co myśleć o kapitanie. Funkcjonariusz niewątpliwie próbował mu grozić, ale robił to bez większego przekonania, trochę jakby z przyzwyczajenia. Jakby wiedział, że i tak nie zdoła mu niczego udowodnić. A on miał czyste sumienie – nie znał tej dziewczyny i nawet nie dotknął zwłok. Zastanowił się, czy mimo to milicja mogłaby go zrobić w morderstwo. Uznał, że tak, ale w tym przypadku byłaby to chyba skórka niewarta wyprawki.

- Poszedł sobie? – Pawliczkowa wsunęła głowę do gabinetu proboszcza.
- Poszedł.
- Dobrze. – Gospodyni z satysfakcją skinęła głową. – To podam księdzu obiad.

Pawliczkowa miała czterdzieści parę lat, regularne rysy i całkiem zgrabną figurę, na co dzień jednak robiła wszystko, żeby wyglądać jak najgorzej: nosiła bezkształtne, workowate suknie, a włosy i czoło chowała pod wyjątkowo nietwarzową chustką, zawiązaną pod brodą jak u staruszki. Ksiądz Jerzy podejrzewał, że próbowała w ten sposób uniknąć plotek o urodziwym proboszczu i jego nie tak jeszcze starej gospodyni, która jakiś czas temu zostawiła w mieście bijającego ją męża. Nie mógł jej mieć za złe takiego zachowania, aczkolwiek czasem wolałby, żeby nie była aż tak oschła. Kilka razy próbował nawiązać z nią bliższy kontakt, na przykład zapraszając na partyjkę warcabów, ale Pawliczkowa zawsze wymawiała się jakimiś bliżej niesprecyzowanymi „obowiązkami

domowymi”, choć wszyscy we wsi wiedzieli, że wieczory spędza sama przed telewizorem.

Teraz też zaproponował, bez większej nadziei na sukces, żeby gospodyni zjadła z nim obiad.

– Będzie mi bardzo miło – przekonywał. – Nie lubię sam przy stole siedzieć.

Zazwyczaj jadał z wikarym, ale Bartek rano zabrał suchy prowiant i wyszedł z grupą ministrantów na wycieczkę w góry.

Pawliczkowa energicznie potrząsnęła głową.

– Już jadłam – powiedziała, co prawdopodobnie oznaczało, że w czasie gotowania spróbowała zupy i skubnęła parę listków sałaty.

Proboszcz dał więc spokój i zabrał się do rosołu. Był idealny, nie za tłusty, z lanymi kluskami i pływającą na wierzchu posiekaną natką pietruszki. Pawliczkowa bardzo dobrze gotowała, świetnie sprzątała i nigdy nie mówiła niczego o sobie. Ksiądz Jerzy w gruncie rzeczy jej nie znał, tak samo jak nie znał swoich parafian.

„To szmat czasu”, powiedział kapitan.

Czy zdziwiłby się, gdyby Marczewski przyznał, że przez te wszystkie lata nie udało mu się zbliżyć do mieszkańców Rokitnicy? Nadal był kimś z zewnątrz, szanowanym, owszem, ale obcym. Nawet o młodym wikarym wiedział niewiele więcej ponad to, że chłopak wychował się w którejś z okolicznych wiosek, świetnie grał na gitarze i od czasu do czasu lubił pokopać z ministrantami piłkę. Może proboszcz po prostu za mało się starał. Zawsze wolał trzymać się z boku, nie naciskać, nie włączyć z butami w cudze życie, jeśli ktoś sobie tego nie życzył. Jako spowiednik miał opinię bardzo łagodnego, bo nigdy nie wypytywał, nie drażył, co właściwie spowiadający się ma na myśli, kiedy mówi: „Robiłem to, no wie ksiądz, co”. Czasem wydawało mu się to zaletą, a czasem wręcz przeciwnie, wadą, pewnego rodzaju tchórzostwem, ucieczką od problemu.

Zjadł ostatnią łyżkę rosołu. Pawliczkowa zabrała talerz i podsunęła drugi, z udkiem kurczaka pływającym w aromatycznym sosie i ziemniakami. Sobotnie obiady po postnych piątkowych zawsze były smaczne i obfite, prawie jak niedzielne.

Czy dlatego właśnie, z powodu tego tchórzostwa, dostał tak wcześnie swoją własną parafię? To pytanie dręczyło go od dawna i teraz, przypomniane przez Witczaka, zaatakowało z nową siłą. Owszem, Rokitnica miała opinię pechowej, ale mimo to była łakomym kąskiem: nie żadna dziura na końcu świata, gdzie jedyną rozrywką jest picie pędzonego nielegalnie bimbrowa, tylko duża, letniskowa wieś. W lipcu i sierpniu na msze przychodziło tu tyle ludzi, że część musiała stać przed kościołem, a na tacy co niedziela lądowało ponad tysiąc złotych.

Dlaczego taka parafia dostała się właśnie jemu? Nie był przecież pierwszym wikarym w kolejce do probostwa. Ani nawet drugim czy trzecim.

Jedyna odpowiedź, jaka przychodziła mu do głowy, była jednocześnie odpowiedzią bardzo niepokojącą.

W seminarium należał do najbardziej chwalonych studentów: pilny, pogodny i spokojny. Może nawet odrobinę zbyt spokojny. Ksiądz powinien być towarzyski; mruków i introwertyków szybko się pozbywano. Jerzy Marczewski od dzieciństwa miał zdolność wtapiania się w tło, był konformistą przybierającym ochronne barwy po to, by grupa nie wyczuła w nim obcego. A przełożeni obserwowali go uważnie. Na zajęciach, podczas posiłków i w kościele przyłapywał ich, jak na niego patrzą. Przez sześć lat spędzonych w seminarium nigdy nie czuł się pewnie, zawsze miał wrażenie, że niezależnie od dobrych wyników w nauce w każdej chwili może zostać wyrzucony. W gruncie rzeczy zdziwił się, gdy jednak udało mu się dotrzeć do święceń. A potem zdziwił się jeszcze bardziej, kiedy jako jeden z młodszych księży otrzymał od biskupa własną parafię.

Bo być może to, co w normalnej sytuacji byłoby wadą, w Rokitnicy stawało się zaletą. Kościół nie potrzebował tu charyzmatycznego, dociekliwego księdza. Potrzebował kogoś, kto nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

Proboszcz odsunął talerz. Nagle zupełnie stracił apetyt.

* * *

Kapitan Witczak wrócił do swojego pokoju w domu wczasowym i przez resztę popołudnia, a potem wieczoru – z niewielką przerwą na kolację – przeglądał dostarczone mu materiały. Zaczął od opisu znalezionych zwłok, tak drobiazgowego, że w raporcie wymieniono nawet „granatową plamkę wielkości dwóch milimetrów na spodnicy, pochodzącą prawdopodobnie od atramentu”. Ktoś – Witczak podejrzewał, że Hanka – naprawdę się postarał. Potem kapitan przeszedł do protokołów przesłuchań. I tu nie miał się do czego przyczepić. Rokitniccy milicjanci wezwali techników z Żywca, sfotografowali twarz dziewczyny i pobrali odciski palców, a sprawę zgłosili do komendy wojewódzkiej. Przesłuchali, kogo trzeba, pilnie notując wszystkie „nie wiem”, „nie znam jej” oraz „nie widziałem”. Kiedy śledztwo nie ruszyło z miejsca, Waškowiak oficjalnie poprosił Bielsko o pomoc. Wszystko odbyło się zgodnie z procedurami i wyglądało czysto. Mimo to Witczak nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że coś tu nie gra. Za dobrze znał takich prowincjonalnych gliniarzy. Większość z nich marzyła o tym, żeby wykazać się przy jakimś poważniejszym przestępstwie. To byli uparci ludzie, którzy twierdzili, że sami sobie poradzą, nawet jeśli wszystko waliło im się na głowy. Prośba o pomoc po zaledwie kilku dniach wyglądała... Dziwnie? Niepokojąco? Witczak nie potrafił znaleźć właściwego słowa, tak samo jak nie potrafił rozgryźć Waškowiaka. Czy jego spokój był spokojem starego milicyjnego wygi, czy może kogoś, komu w gruncie rzeczy jest wszystko jedno? Starszy sierżant nie był jeszcze stary, ale miał już w sobie rys zniechęcenia

charakterystyczny dla funkcjonariuszy, których niewiele dzieli od emerytury i którzy chcą tylko przeżyć te kilka ostatnich lat we względnym spokoju. Może dlatego tak szybko i bezproblemowo przekazał śledztwo wyżej. Nie miał wcale ochoty szukać mordercy nieznaney dziewczyny, w zupełności wystarczały mu aresztowania miejscowych złodziei rowerów i drewna na opał. A może przyczyna była zupełnie inna. Starszy sierżant wiedział albo przynajmniej podejrzewał, że ofiara wcale nie była obca, że ktoś ze wsi doskonale ją znał. Dlatego wezwał człowieka z zewnątrz – żeby ten odkrył coś, czego miejscowy glina nie miał odwagi ujawnić.

Witczak włożył papiery z powrotem do teczki, zostawiając jedynie zdjęcie zamordowanej, którego użył jako zakładki do książki. Zszedł z nią na dół, zamówił colę i usiadł na tarasie przed barem. Było już prawie zupełnie ciemno, wielkie miękkie ćmy obijały się o klosze lamp, a w trawie cykały świerszcze. Z piętra przez otwarte okna dobiegały głosy zaganianych do łóżek dzieci, ktoś się śmiał, w łazience szumiała woda. Potem stopniowo wszystko ucichło. Kapitan liczył, że będzie sam, bo hippisi naj-wyraźniej gdzieś wybyli – może planować blokadę dróg albo coś w tym rodzaju – chwilę później jednak na tarasie pojawiła się szczupła kobieta, w której rozpoznał kolonijną wychowawczynię. Podeszła do niego energicznym krokiem.

– Pan jest z milicji? – zapytała. – Przyjechał pan w sprawie tej dziewczyny znalezionej na torach?

Przytaknął, składając książkę, którą trzymał na kolanach. Kobieta zerknęła na tytuł i drgnęła, wyraźnie zdziwiona.

– Chciałabym wiedzieć, czy dzieciom może grozić jakieś niebezpieczeństwo – wyrecytowała prawie jak wyuczoną kwestię. Było w niej coś, co nieodparcie kojarzyło się z harcerką, Witczak łatwo mógł ją sobie wyobrazić w szarym mundurze, salutującą służbiście do rogatywki.

– Nic jak na razie na to nie wskazuje – odparł. – Ale na wszelki wypadek dobrze by było, gdyby w najbliższym czasie nie wychodziły nigdzie same.

– Myśli pan, że morderca może być stąd? To nie jakiś turysta?

– Nawet jeśli turysta, nie jest powiedziane, że już tu nie przebywa – odparł ostrożnie. Chyba wszyscy w Rokitnicy mieli nadzieję, że zabójcą okaże się ktoś z zewnątrz: przyjechał, zabił, wyjechał, jest trup, ale nie ma większego problemu. – Mówiła pani coś dzieciom o tej dziewczynie? – zmienił temat.

– Tylko tyle, że znaleziono zwłoki na torach. Nie kłamałam, raczej zasugerowałam, że to mógł być wypadek kolejowy. Dzieci raczej rzadko kontaktują się z miejscowymi, więc mam nadzieję, że nikt nie powie im prawdy.

– W porządku. – Kapitan zastanowił się, czy dzieci aby już tej prawdy dawno nie znają. Małoletni bywali sprytniejsi, niż się wydawało większości dorosłych.

Wychowawczyni zawahała się, jej wzrok jeszcze raz pobiegł do tytułu książki, którą milicjant trzymał na kolanach.

– Czyta pan *Nowe przygody Pana Samochodzika*? – zapytała niepewnie.

– Czytam.

Czekała najwyraźniej na jakieś wyjaśnienie, a kiedy niczego takiego nie usłyszała, pożegnała się krótko i odeszła. Witczak wrócił do lektury, ale jego wzrok tylko prześlizgiwał się po perypetiach dzielnego muzealnika, ledwo rejestrując treść. Kapitan myślał o znalezionej na torach dziewczynie. Kim była? Jaka była? Dwadzieścia lat pracy w milicji nauczyło go, że w większości przypadków przyczyna zbrodni tkwi w równej mierze w zabójcy, co w ofierze. Żony ginęły, bo były niewierne, mężowie, bo znęcali się nad żonami, a staruszki, ponieważ trzymały w domu pieniądze i nieostrożnie otwierały drzwi nieznanym. Coś w charakterze albo przeszłości tej dziewczyny sprawiło, że właśnie ją morderca spotkał na torach i zabił. Była ufna, z gatunku tych, które mężczyzna może wyprowadzić na bezdroża, czy nie? Inteligentna czy głupia, waleczna czy tchórzliwa? Wszystko to miało znaczenie, a on nie wiedział nic.

Podniósł do oczu zdjęcie. O zmarłych mówi się czasem „wygląda, jakby spał” i rzadko jest to prawda, ale tym razem była. Milicyjny fotograf zamknął ofierze oczy, dzięki czemu miała spokojną twarz, jakby odeszła bez bólu we śnie. Poza tym wyglądała zaskakująco zwyczajnie: ani specjalnie ładna, ani brzydka, z pulchnymi policzkami i świeżo zrobioną trwałą. Na pierwszy rzut oka nikt nie wzięby jej za dziewczynę, której powab skłoniłby mężczyznę do zabójstwa z namiętności, ale Witczak wiedział, że pozory często mylą.

Czy morderca był wściekły? Pięć ciosów mogłoby o tym świadczyć, jednak kapitan wolał niczego nie zakładać. Ciosy były mało precyzyjne, ale nie chaotyczne – tak mógłby zabić ktoś, kto doskonale wie, co chce zrobić, nie wie tylko za bardzo, jak się do tego zabrać. Morderca niedoświadczony, ale zdecydowany. Na ubraniu ofiary brakowało śladów szarpaniny – albo zabójca faktycznie dziewczynę zupełnie zaskoczył, albo wcześniej zastraszył ją tak, że nie bronila się, nawet kiedy wyjął nóż.

Kapitan schował zdjęcie do książki i podszedł do otaczającej taras bariery. W parku umilkły już świerszcze i teraz panowała cisza, przzerwana po chwili szelestem krzaków, przez które przedzierało się jakieś zwierzę. Para błyszczących ślepi spojrzała na kapitana, a potem zniknęła w zaroślach. Powietrze było przesycone żywicznym zapachem sosen, chłodne i ostre. Witczak wsłuchał się w ciszę – gdzieś niedaleko musiał płynąć strumyk, bo do uszu kapitana dobiegało cichutkie szemranie wody. Zacisnął dłonie na barierce i zamknął oczy. Stał tak przez kilka minut, zanurzony w mrok. Zszedł w głąb siebie, tam gdzie nie było martwej dziewczyny ani śledztwa. Tylko ciemność i pustka. Potem wynurzył się na powierzchnię, westchnął i wrócił do pokoju, żeby położyć się spać.

* * *

Ksiądz Bartłomiej Zięba wrócił z wycieczki ubłocony, ale szczęśliwy.

– Poszliśmy na Wielką Raczę i tam złapał nas deszcz – mówił, podczas gdy proboszcz szykował mu posiłek. Wikary wcześniej trochę protestował, ale ksiądz Jerzy usadził go za stołem i zabrał się do odgrzewania obiadu. – Na szczęście potem się przejaśniło i ze szczytu mieliśmy niesamowity widok. Szkoda, że ksiądz proboszcza z nami nie było. Jak schodziliśmy, z lasu wyszedł jeleni...

Ksiądz Jerzy zaparzył herbatę i posłodził ją jedną łyżeczką cukru, tak jak wikary lubił. Robienie prostych rzeczy dla drugiej osoby sprawiało proboszczowi przyjemność. Zresztą dla Bartka łatwo było być miłym, bo chłopak, uśmiechnięty, życzliwy i kochający góry, budził odruchową sympatię. W dodatku młody ksiądz świetnie dogadywał się z młodzieżą, a głoszona przez niego wiara nie była posępną religią śmierci i wyrzeczenia, tylko radosnym doświadczeniem braterstwa.

Jednak miał też wadę, dlatego proboszcz wahał się chwilę, zanim powiedział mu o wizycie kapitana.

Oczy chłopaka natychmiast rozbłysły, widelec zawisł nad odgrzanyimi ziemniakami.

– O! Mówił coś o tej dziewczynie? Została zgwałcona?

– Nic na to nie wskazuje – odparł Marczewski odrobinę zbyt sztywno.

– Ale przecież mogła zostać – upierał się młody ksiądz. – To, że nie podarł na niej ubrania, jeszcze o niczym nie świadczy. Może zmusił ją, żeby się rozebrała, a potem ubrała, i dopiero później zabił?

Ta seksualna obsesja wikarego krępowała i męczyła proboszcza. Dawno już zdążył pożałować, że tydzień temu po znalezieniu dziewczyny dał mu się namówić na opis stanu jej odzieży.

– Jak myślisz, zgodzić się? – skierował rozmowę na inne tory.

Wikary grzebał przez chwilę w talerzu. Sprawa nie była prosta, obaj o tym wiedzieli. Milicjanci za kontakty z Kościołem, nawet tak niewinne jak ochrzczenie dziecka, mogli mieć kłopoty, ale problemy miewali również księża, na których padł choć cień podejrzenia, że współpracują z władzą. Ksiądz Jerzy przypomniał sobie, jak dawno temu, jeszcze podczas studiów, próbował go zwerbować pewien agent SB. Młody Marczewski odmówił, bo agent nie miał nawet porządnego haka, ale zawsze dręczyła go wątpliwość: co gdyby tamten przyszedł lepiej przygotowany? Gdyby wiedział o rzeczach, o których Jerzy nigdy nikomu nie odważył się powiedzieć?

– Ja bym się zgodził. – Jak większość dwudziestokilkulatków, wikary szybko rozstrzygał dylematy. – Nie zrobimy przecież nic złego. A ta dziewczyna zasługuje na sprawiedliwość.

Proboszcz wolno skinął głową. Przez całe życie chował się za zasłonami

konformizmu i moralnego relatywizmu. Może pora podjąć wreszcie jakąś mniej bezpieczną decyzję i ponieść jej konsekwencje.

Z jakiegoś powodu pomyślał o krzyżu stojącym w pobliżu nasypu. Nie o dziewczynie, tylko o krzyżu. Latem, kiedy przesłaniały go zarośla, rzadko o nim pamiętał, ale jesienią i zimą krzyż był doskonale widoczny nad pustym polem. Ksiądz Jerzy przypomniał sobie, jak w lutym wracał od Jadwigi Ciołkowej i zobaczył płonące pod krzyżem znicze. Zatrzymał się wtedy, przeżegnał i przez jakiś czas wpatrywał w rozświetlające zimową ciemność ogniki. Było ich pięć, może sześć. Rozmawiał potem z Pawliczkową, ale ona zaprzeczyła, by cokolwiek o krzyżu wiedziała. I choć już wtedy miał wrażenie, że gospodyni kłamie, swoim zwyczajem nie dopytywał ani nie próbował naciskać.

Do diabła z tym, pomyślał zupełnie nie po chrześcijańsku, zrobię to. Nie dlatego, że facet mi groził, ale dlatego, że Bartek ma rację: dziewczyna zasługuje na sprawiedliwość.

niedziela, 13 lipca

Na mszę o jedenastej przyszedł tłum ludzi. Szczęśliwcy zdążyli zająć miejsca w drewnianych ławkach, mniej szczęśliwi podpierali ściany, a spóźnialszy stali na zewnątrz w słońcu. Dzięki dobremu nagłośnieniu nawet ci ostatni słyszeli każde słowo księdza, dlatego kapitan Witczak nie kłopotał się pchaniem do środka. Stał tuż obok trójpokoleniowej rodziny i zajął się obserwowaniem dwójki najmłodszych dzieci, które upojone wolnością biegały po kościelnym dziedzińcu. W przeciwieństwie do wielu swoich kolegów z pracy, Witczak był szczerze niewierzący, ale – również w przeciwieństwie do nich – nigdy nie udawał, że nie wie, jak zachować się podczas mszy. Żegnał się we właściwych momentach, odmawiał modlitwy, a kiedy padło polecenie: „Przekażcie sobie znak pokoju”, uścisnął dłoń ojca uroczych maluchów. Nie klękał tylko; stojący na zewnątrz na mocy niepisanego, całkiem rozsądnego prawa z klękania byli zwolnieni, choć co bardziej gorliwi w czasie podniesienia usiłowali kucać na jednej nodze tak, żeby nie pobrudzić sobie kolan. Przez większość czasu kapitan błędził myślami gdzieś daleko, jedynie kazania wysłuchał uważnie. Ksiądz proboszcz, co trzeba mu było przyznać, zrećźnie unikał wątków politycznych i skupił się na niebezpieczeństwach, jakie czyhają na dzieci w czasie wakacji. Witczak przymknął oczy. Było gorąco, dobrze, że zrezygnował z założenia marynarki. Niektóre kobiety – prawdopodobnie letniczki – ubrały się w przewiewne sukienki i sandały założone na boscie stopy, ale większość pocila się w rajstopach, eleganckich spódnicach do kolan i bluzkach z błyszczących sztucznych materiałów. Serce Witczaka zabiło mocniej, gdy przyglądał się stojącej niedaleko dziewczynie. Jakim cudem wcześniej nie wpadł na tak proste rozwiązanie?

Komunia dobiegła końca, dzieci były coraz bardziej marudne, w kościele dało się słyszeć lekkie poruszenie – to ci bardziej niecierpliwi pomału przesuwali się w stronę wyjścia.

W ogłoszeniach parafialnych ksiądz Jerzy przypominał, czyja teraz kolej na sprzątanie kościoła, i wymienił msze za ostatnio zmarłych parafian. Witczak już zaczynał się niecierpliwić, kiedy proboszcz wreszcie przeszedł do tego, na co kapitan od początku czekał.

– Jak być może część z was wie, w Rokitnicy doszło ostatnio do tragicznego zdarzenia. Młoda dziewczyna została znaleziona martwa na torach kolejowych. Jak dotąd nie udało się ustalić jej tożsamości, dlatego wszystkich, którzy znali ją albo widzieli przed śmiercią, proszę o kontakt z miejscowym posterunkiem. W gablocie przy wyjściu jest zdjęcie. A teraz odmówmy za duszę zmarłej *Wieczne odpoczywanie...*

Witczak nie słuchał dalej, tylko wycofał się dyskretnie w stronę ulicy, korzystając z tego, że nikt nie zwracał na niego uwagi.

* * *

Spotkali się w barze Pod Sosną przy dużym drewnianym stole, który stał we wnęce oddzielonej od głównej sali zasłonką z koralików. Bar był pusty; ludzie, którzy po mszy chcieli się napić piwa, wchodzili, kupowali spieniony kufel i natychmiast wychodzili na zewnątrz, a jeśli ktoś, skuszony cieniem, zamierzał zostać, barman szybko przekonywał go do zmiany decyzji. W ten sposób Witczak oraz pozostali milicjanci zapewnili sobie minimum dyskrecji. Kapitan nadal nie był przekonany, czy to najlepszy pomysł, jednak alternatywę stanowiła duszna klitka na posterunku, w której z trudem mieściły się trzy osoby, nie mówiąc już o czterech.

Witczak zaczął od krótkiego zreferowania tego, co już wiedzą, a potem zapytał o krzyż.

– Z...zawsze tam stał. – Kapral Synowiec zająknął się tylko raz. – Odkąd pamiętam.

– Stoi tam od jakichś piętnastu, może dwudziestu lat – sprecyzował Waškowiak, odrywając się na moment od swojego kufła. – Jak byłem dzieciakiem, to jeszcze go nie było.

– Do kogo należała wtedy ta ziemia?

– Chyba do państwa. Tam zawsze był ugór, nic oprócz chwastów nie chciało rosnąć. To ma jakieś znaczenie?

– Nie wiem jeszcze. – Gdyby nie kwiaty na krzyżu, Witczak uznałby, że nie, ale było w tych wieńcach coś, co go niepokoiło. Jeden zwiędły, zawieszony przed morderstwem, i drugi świeży, który ktoś przyniósł już po śmierci dziewczyny. Kapitan nie wierzył w takie zbiegi okoliczności. – Sprawdźcie to – powiedział. –

Chcę wiedzieć, kto postawił ten krzyż i dlaczego. I sprawdźcie też tego księdza, Marczewskiego.

– Myśli p...pan, że on mógł mieć coś wspólnego z m...morderstwem? – W głosie kaprała zabrzmiało naiwne zdziwienie. Najwyraźniej Synowiec w głębi duszy pozostał prostym wiejskim chłopakiem, dla którego proboszcz był autorytetem przez duże A.

– Zastanów się. – Kaprał był starszy od Hanki o dobrych kilka lat, ale wyglądał tak młodo, że do niego kapitan również postanowił zwracać się per „ty”. Zawsze zresztą wyznawał zasadę, że jak ktoś nie protestuje, to znaczy, że nie ma nic przeciwko. – Ktoś tę dziewczynę namówił, żeby przyszła na takie bezludzie. A księdzu, w dodatku przystojnemu, na pewno by zaufała. Poza tym jest coś jeszcze. – Tu Witczak pochwalił się pomysłem, który wpadł mu do głowy podczas mszy.

– Nasza ofiara wybierała się do kościoła? – Waškowiak zmarszczył brwi. – To ma sens. Łebski z pana facet, no, no... Kto by się spodziewał.

– Może się wybierała. – Witczak pominął milczeniem tę idiotyczną uwagę. Nim tu przyszli, Waškowiak musiał już wypić piwo, albo i dwa. – A może nie. Ale to by przynajmniej wyjaśniało, dlaczego ubrała się tak elegancko i założyła rajstopy. Na wsiach wciąż panuje przekonanie, że do kościoła nie wypada iść z gołymi nogami.

– Czyli to jednak była dziewczyna ze wsi? Myślałem, że przyjechała z miasta.

– Może pochodziła z miasta, ale znała wiejskie zwyczaje. Albo to miastowa, ale z tych, co się jeszcze przejmują, co wypada, a co nie. Dziewictwo może świadczyć o tym, że była bardziej religijna niż większość kobiet w jej wieku.

– Albo o t...tym, że nikt jej nie chciał. – Synowiec wyszczerzył zęby, ale próba żartu wypadła wyjątkowo żałośnie. Pod karcącym wzrokiem Hanki chłopak zakłopotał się i zaraz zanurkował spojrzeniem w głąb kufła.

– Jeśli ubrała się na mszę – kontynuował kapitan, nie zwracając na nich uwagi – to musiała być na tej o siódmej trzydzieści, albo wybierała się na tę o jedenastej. W wakacje w tygodniu mają tu tylko jedną mszę dziennie, ale w niedzielę są trzy: rano, o jedenastej i wieczorem. Sprawdziłem. Jasiiek, znajdź ludzi, którzy biegają o świcie do kościoła, to pewnie będą jakieś miejscowe staruszki. Może któraś ją widziała. I zapytaj też wikarego, bo pewnie on odprawiał mszę, skoro proboszcz był u chorej. Starszy sierżant może porozmawiać z ludźmi, którzy mieszkają wzdłuż drogi od kościoła aż do miejsca, gdzie dziewczyna została zabita. Jeśli tamtędy przechodziła, ktoś mógł ją zauważyć.

– N...nadal nie wiemy, d...dlaczego znalazła się na torach – zwrócił mu uwagę Synowiec.

– Hanka? Jakiś pomysł?

Dziewczyna zaczerwieniła się jak zwykle.

– Jeśli była religijna, to pewnie zawsze w niedzielę starała się być na mszy. Teraz wiedziała, że nie zdoła iść do kościoła w swojej parafii, więc na wszelki wypadek ubrała się tak, żeby mogła pójść tutaj. Albo nawet msza była w jakiś sposób związana z jej przyjazdem, wiecie, przyjechała w jakiejś ważnej sprawie i chciała się pomodlić za jej powodzenie.

Witczaka coś tknęło. Przypomniawszy sobie księdza czytającego monotonnym głosem ogłoszenia duszpasterskie.

– Jasiek, sprawdź też, w jakich intencjach były odprawiane msze w zeszłą niedzielę. – Spojrzał na zegarek. – Muszę się zbierać, Chojniak pewnie już czeka. Proponuję podział taki, że ja i koleżanka go przesłuchamy, a panowie dopijecie piwo i pójdziecie pogadać z ludźmi, którzy mogli widzieć naszą ofiarę.

* * *

Franciszek Chojniak istotnie czekał już przed posterunkiem. Przyszedł w tych samych brudnych spodniach i koszuli, w których Witczak widział go ostatnio, założył tylko inne buty. Albo z natury był abnegatem, albo zamierzał w ten sposób zademonstrować swoje lekceważenie władzy.

– Zapraszam do środka. – Kapitan otworzył drzwi zapasowym kluczem, który dał mu Waškowiak.

W środku panowała nieznośna duchota. Słońce świeciło prosto w dawno niemyte szyby, w powietrzu unosiła się woń kurzu, starych papierów i pleśni, która, jak podejrzewał kapitan, rosła w stojącym na parapecie kubku. Hanka rzuciła się do okna, ale Witczak powstrzymał ją gestem – gdyby je otworzyła, pół ulicy mogłoby słyszeć szczegóły przesłuchania.

Starsza szeregową usiadła przy stole i przysunęła do siebie rozklekotaną maszynę do pisania. Kapitan zajął miejsce po drugiej stronie i wskazał Chojniakowi ostatnie wolne krzesło. Pomieszczenie naprawdę było maleńkie, Witczak bezustannie uderzał o coś łokciami.

– Proszę podać imię i nazwisko.

– Franciszek Chojniak. Byłem już przesłuchiwany...

– Teraz będzie pan jeszcze raz. Adres?

– Rokitnica 112B.

– Z kim pan mieszka?

– Z żoną Ewą. Jest sparaliżowana od pasa w dół po wypadku, dzieci nie mamy. Sam zajmuję się gospodarstwem.

Witczak raz jeszcze przyjrzał się przesłuchiwanemu. Mimo zaniedbanego wyglądu facet był naprawdę atrakcyjny. Niejedna kobieta poleciałaby na jego intensywnie zielone oczy, kontrastujące z opaloną skórą i ciemnymi włosami. Nawet nieogolone policzki i semicki nos, tak nielubiany w Polsce, w jakiś

przedziwny sposób dodawały mu uroku. Czy nikt z miejscowych gliniarzy tego nie widział? Przystojny mężczyzna mieszkający ze sparaliżowaną żoną, a obok domu trup młodej dziewczyny. Dlaczego nikomu nie złożyło się to w całość?

– Proszę powiedzieć, co pan robił szóstego lipca rano.

– To, co zawsze. Nakarmiłem zwierzęta, wydołem krowę i wyprowadziłem ją na pastwisko. Potem rąbałem drewno na opał.

– W niedzielę?

– W niedzielę, tak. Jestem sam, nie stać mnie na robienie sobie wolnego.

– Gdzie pan rąbał to drewno?

– Z tyłu domu, przy drewnutni. Nie mogłem widzieć stamtąd ścieżki, jeśli chce pan o to zapytać. Mówiłem już milicji.

– Proszę odpowiadać na pytania, a nie spekulować. O której skończył pan rąbać drewno?

– Po ósmej, nie pamiętam dokładnie.

– Co dalej?

– Poszedłem do domu przygotować śniadanie dla żony. Ewa wstaje zazwyczaj o wpół do dziewiątej i staram się, żeby wtedy było już gotowe. Potem siedzieliśmy trochę przed telewizorem, ale w niedzielę rano i tak nie ma nic ciekawego, więc szybko nam się znudziło. Koło dziesiątej poszedłem do sklepu po kartofle na obiad, bo zabrakło.

– Było otwarte?

– Kościelakowa mieszka nad sklepem, jak się zadzwoni, to otwiera.

Kapitan z roztargnieniem skinął głową. Dziesiąta już go nie interesowała, dziewczyna zginęła wcześniej. Zerknął do zeznań Ewy Chojniak, którą tydzień temu przesłuchiwał Synowiec. Jak na razie wszystko się zgadzało.

– Gdzie się pan urodził?

– Tutaj, w Rokitnicy.

– I tutaj kończył pan szkołę?

– Podstawówkę tak. Potem poszedłem do technikum w Żywcu.

A więc Chojniak miał średnie wykształcenie. To by tłumaczyło, czemu nie mówił jak typowy chłop.

– Nie kusiło pana, żeby zostać w mieście?

– Nie. Lubię wieś.

– Gospodarstwo należy do pana?

– Do żony. W domu, gdzie się urodziłem, teraz mieszka siostra z mężem.

– Ewa jest z Brzozówki – wyjaśniła Hanka, unosząc głowę znad maszyny. – Jak zaczęli budować elektrownię, to wszystkich stamtąd przesiedlili i dali im nowe domy.

– Jak często bywa pan w mieście? – Witczak zignorował uwagę dziewczyny.

– Zależy w jakim, w Warszawie to na przykład tylko raz byłem, na

wycieczce z klasą. – W głosie Chojniaka zabrzmiała lekka ironia. – W Żywcu bywam tak co dwa–trzy tygodnie, jak trzeba kupić coś, czego u nas nie ma.

– Spotyka się pan tam z kimś?

– Tak, z ludźmi, od których te rzeczy kupuję.

Hanka pochyliła głowę, tłumiąc śmiech. Witczak zmrużył oczy.

– Radzę panu nie odpowiadać takim tonem – powiedział ostrzegawczo.

– Przepraszam. Nie, nie spotykam się z nikim. Najczęściej kupuję, co trzeba, i wracam. Czasem tylko wpadam na piwo do knajpy niedaleko dworca. Zmarłej dziewczyny nie znałem ani nie widziałem jej w zeszłą niedzielę. Jeśli przechodziła obok mojego domu, to musiało być wtedy, kiedy byłem z tyłu. Albo kiedy siedziałem z żoną przy telewizorze.

Oczywiście mógł kłamać. Witczak stworzył już sobie w głowie cały scenariusz: uwiązany do sparaliżowanej żony Chojniak poznaje młodą, ładną dziewczynę. Mają romans – no, powiedzmy, że prawie romans. Ona jest przyzwoita i mówi, że do łóżka tylko po ślubie, on obiecuje, że się rozwiedzie. Zwleka z tym jednak, bo całe jego gospodarstwo należy przecież do żony. Dziewczyna jest coraz bardziej zła i w pewnym momencie wpada z niespodziewaną wizytą, żeby wyjaśnić to i owo. On widzi ją na ścieżce, podchodzi. Kłócą się, może dziewczyna zaczyna uciekać w stronę nasypu, a facet dopada ją tam i zabija.

Kapitan nie był zbyt zadowolony z tej teorii. Gdyby ofiara uciekała, zostałaby zaatakowana od tyłu, nie od przodu. Powiedzmy, że odwróciła się w stronę napastnika... Nie, to też bez sensu, wtedy próbowałaby się bronić albo przynajmniej osłonić klatkę piersiową. Na dłoniach dziewczyny nie było tych charakterystycznych nacięć, które powstają, gdy człowiek próbuje odepchnąć od siebie ostrze.

Nie wspominając już o tym, że romans z Chojniakiem w żaden sposób nie wyjaśniał kwiatów na tym cholernym krzyżu.

Mniejsza z tym, pomyślał. Teoria nie była zbyt dobra, ale nie była też zła. Wystarczyłoby, żeby zamknąć Chojniaka na jakiś czas i wykazać się przed górą sukcesem. Zawsze to coś, nawet gdyby musieli potem faceta zwolnić. Byłoby z tym co prawda nieco zachodu, bo najbliższy areszt znajdował się w Żywcu, ale dałoby się zrobić.

Witczak przymknął na chwilę oczy. Umilkło stukanie maszyny do pisania, teraz w ciszy słychać było jedynie bzyczenie otumanionej upałem muchy, która obijała się o szybę. Kapitan wzdrygnął się, kiedy strużka potu, laskocząc, spłynęła mu między łopatkami.

Kiedy uniósł powieki, Hanka już czekała, gotowa w każdej chwili opuścić palce na klawisze maszyny. Chojniak też czekał, spokojny i cierpliwy – jednak wcześniej, przez ułamek sekundy, Witczak widział w jego oczach lęk. I nie sądził,

żeby było to złudzenie.

- Co pan wie o krzyżu? – zapytał.
- O krzyżu? Tym, który stoi przy nasypie?
- Dokładnie tym.
- Nic nie wiem.
- Nie wie pan, kto go postawił?
- Nie. Kiedy wprowadzałem się do Ewy, już tam stał.
- A kwiaty? Kto wiesza na nim kwiaty?

Chojniak wzruszył ramionami.

– Pracuję cały dzień. Nie mam czasu, żeby czaić się po krzakach i obserwować jakieś krzyże.

Witczak patrzył na niego, długo, wyczekująco, wzrokiem, który zazwyczaj sprawiał, że przesłuchiwanym zaczęli się pocić. Chojniak drgnął, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

– Zaczniemy od początku – powiedział wreszcie kapitan. – Proszę opisać wszystkie czynności, jakie wykonał pan od obudzenia się aż do dziewiątej dnia szóstego lipca. Po kolei.

* * *

Przesłuchanie ciągnęło się przez cztery godziny i pod koniec kapitan Witczak był pewien, że dzisiejszej nocy będą mu się śniły te wszystkie karmione świnię i wyprowadzane w pole krowy. Chojniak powtórzył swoją historię kilkakrotnie i ani razu się nie pomylił. A jednak im dłużej trwało przepytanie, tym bardziej Witczak dochodził do wniosku, że facet coś ukrywa.

Mimo to puścił go do domu zamiast zatrzymać w areszcie. Chyba na starość robił się miękki.

Wykorzystał chwilę wolnego, żeby przejść się po centrum wsi. Oprócz kościoła i baru, w którym niedawno siedzieli, były tu kawiarnia, poczta, dwa sklepy spożywcze i budka z pamiątkami, która przeżywała właśnie najazd małych kolonistów. Witczak odczekał chwilę, skinął głową wychodzącej za dziećmi wychowawczyni i wszedł do środka. Można tu było kupić widokówki, a także trochę turystycznego badziewia: plastikowe spinki do włosów, korale, kubki i pseudoludowe figurki. Kapitan wziął do ręki małą drewnianą domek z dwoma otworami: w jednym stał mężczyzna, w drugim kobieta. Oboje mieli na sobie regionalne góralskie stroje.

– To barometr – wyjaśniła sprzedawczyni. – Pokazuje, jaka będzie pogoda. Na słońce wychodzi chłop, a na deszcz baba.

- Czemu tak, a nie odwrotnie?
- Nie mam pojęcia. – Wzruszyła ramionami.
- To naprawdę działa?

Kobieta otworzyła usta, jakby chciała powtórzyć: „Nie mam pojęcia”, ale powiedziała bez przekonania:

– Taa, jasne, że działa.

Podziękował, odłożył domek na półkę i wyszedł. Do domu wczasowego dotarł akurat na *Teleexpress*. Program ten, choć nadawany dopiero od miesiąca, miał już w osobie Witzaka wiernego fana.

Kapitan zamówił mocną kawę, a potem usiadł w barze przed telewizorem. Niedaleko rozparł się na krześle jeden z brodatych hippisów. Pił piwo i od czasu do czasu łykał na milicjanta spod skołtunionej grzywki. W programie jak zwykle wspomniano o Rokitnicy – w krótkiej migawce pojawił się obraz zablokowanej drogi, a Wojciech Mazurkiewicz poinformował widzów: „Trwają protesty przeciwko budowie elektrowni atomowej w Brzozówce koło Rokitnicy. Pod petycją zebrano już dziesięć tysięcy podpisów”.

Hippis rzucił Witzakowi triumfujące spojrzenie i wrócił do swojego piwa. Kapitan dokończył kawę. Gdy wypił ostatni łyk, do baru zajrzał Synowiec, przejęty jeszcze bardziej niż zwykle.

– M...mamy świadka – wyjąkał, nie zwracając uwagi na obecność dwóch obcych osób. – Z...zgłosił się facet, który przywiózł t...tę dziewczynę.

Część II: Dziewczyna z daleka

– Proszę podać swoje dane osobowe.

– To znaczy imię i nazwisko?

– Tak, to znaczy imię i nazwisko – wyjaśniła cierpliwie Hanka.

Siedzący po drugiej stronie stołu chłopak wytrzeszczał na nią oczy w kolorze zszarzałego brązu. Był niski, chudy i długowłose, a kiedy mówił, grdyka podskakiwała mu jak uwiązana na sznurku zabawka dla kota.

– A także zawód i adres – dodał Witczak.

Czwartą osobą w ciasnym pokoiku był milczący Synowiec, który uparł się, żeby wziąć udział w przesłuchaniu, i stał teraz obok wypełnionej aktami szafy, rozplaszczony na ścianie, starając się nie zabierać pozostałym resztek miejsca i tlenu. Witczak powinien był go wyrzucić, ale zlitował się: ostatecznie kiedy kapral miał się czegoś nauczyć, jak nie teraz?

– Rafał Sałata, studiuje astronomię w Krakowie – powiedział chłopak. – Mieszkam w akademiku. To znaczy, w czasie roku akademickiego, bo tak w ogóle zameldowany jestem u rodziców w Pszczynie. A teraz nad rzeką obozujemy, w trzy namioty. Nie robimy nic złego – zapewnił pośpiesznie. – Tylko ognisko czasem sobie rozpalimy i na gitarze pogramy. To nie jest zabronione, prawda?

– Nie jest. – Kapitan darował sobie uwagi o bezpieczeństwie pożarowym, sprzątaniu śmieci i zakłócaniu ciszy nocnej. Chłopak i tak był dostatecznie zdenerwowany. Zresztą gdyby te dzieciaki robiły coś złego, milicja już by o tym słyszała.

– Od kiedy obozujecie nad rzeką?

– Na dwa tygodnie przyjechaliśmy, od dwudziestego ósmego czerwca do trzynastego lipca. Znaczy, do dzisiaj. Już powoli zaczynaliśmy się zbierać, kiedy Magda, to jest moja narzeczona, z kościoła wróciła i powiedziała, że ksiądz o jakiejś dziewczynie mówił. Że jest niezidentyfikowana czy coś, i że jak ktoś ją widział, ma się zgłosić na posterunek. Magda pomyślała, że to może być ta, co ją podwoziłem w zeszłą niedzielę, więc poszedłem do kościoła, żeby obejrzyć zdjęcie. No i faktycznie, ta sama dziewczyna. – W głosie Rafała zabrzmiało zdumienie, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że coś takiego przydarzyło się właśnie jemu.

– Niech pan opowie, co wydarzyło się w zeszłą niedzielę – polecił Witczak.

– Tak własnymi słowami? – Rafał zmarszczył brwi.

– Własnymi słowami. – Kapitan wiedział, że na przyciśnięcie świadka i zadawanie szczegółowych pytań przyjdzie czas później.

– Aha. – Chłopak wyglądał na zdezorientowanego i może nawet rozczarowanego, jakby spodziewał się, że będzie brał udział w przesłuchaniu jak z filmów: błyskające po oczach światło i groźny głos zadający z mroku pytania. –

No więc to było tak... Jak mówiłem, przyjechaliśmy na dwa tygodnie, ale jedna z nas, Kaśka Krępińska, była tylko na tydzień i w niedzielę, to znaczy właśnie szóstego, musiała wracać do Krakowa, bo z rodzicami na wczasy jechała. Pociąg z Żywca miała wcześniej rano, przed ósmą, dlatego powiedziałem, że samochodem ją zawiozę. No i jak już Kaśkę odprowadziłem na peron, to wracałem do auta i zobaczyłem tę dziewczynę...

– Tę? – Witczak podsunął mu odbitkę zdjęcia. – Potrzebujemy oficjalnego potwierdzenia.

– Tak, to ona. – Rafał wziął fotografię, przysunął ją do oczu i przyjrzał się uważnie, podczas gdy na jego twarzy groza mieszała się z fascynacją. – Rany, na tym zdjęciu jest całkiem martwa, nie?

– Niech pan mówi dalej. – Witczak wyjął mu z rąk sztywny kartonik. – Gdzie pan zobaczył tę dziewczynę?

– Przed dworcem. Kręciła się tam i jak tylko zobaczyła, że wsiadam do samochodu, to przybiegła i zapytała, czy nie jadę przypadkiem w stronę Rokitnicy. Powiedziałem, że tak i że chętnie ją podrzucę. Mówiła, że autobus jej uciekł.

– Miała coś przy sobie?

– W jakim sensie?

– Torbę, plecak, walizkę...

Chłopak zawahał się.

– Nie, chyba nie.

– Chyba?

– Na pewno nie.

– A torebkę?

– Nie wiem. Miała. Nie, nie miała.

Witczak przymknął oczy.

– To w końcu jak? – zapytał po chwili.

– Nie pamiętam – przyznał z ociąganiem Rafał.

– A co pan pamięta?

– No... pogadaliśmy sobie trochę. Niedużo, bo wie pan, Marta to chyba z tych milkliwych była, a ja też nie bardzo się odzywałem. Pokłóciłem się trochę z narzeczoną, ona bywa zazdrosna, wie pan, jak to jest, i miała mi za złe, że zgodziłem się odwieźć Kaśkę...

– Marta? – Kapitan nie był zainteresowany życiem uczuciowym studenta.

– No, Marta. Tak się przedstawiła.

– A nazwisko?

– Nie wiem. Nie powiedziała, znaczy.

Witczak westchnął. Za czasów jego młodości dwudziestoparolatkiem przedstawiali się pełnymi imionami oraz nazwiskami i nie przechodzili od razu na „ty”. Wyrzucił z głowy myśli o współczesnej młodzieży i o tym, że kiedyś było

lepiej – to i tak do niczego by w tej chwili nie doprowadziło.

Marta. A więc anonimowa dziewczyna zyskała przynajmniej imię. Dobre i to.

– Powiedziała coś jeszcze o sobie? Gdzie pracuje, gdzie mieszka? Po co przyjechała do Rokitnicy?

– Pracowała w aptece, chyba gdzieś nad morzem.

– Skąd pan wie, że nad morzem?

– Mówiła, że jest zmęczona, bo całą noc pociągiem jechała. To znaczy, że znad morza, nie? – Rafał najwyraźniej był dumny ze swoich zdolności dedukcji. – Poza tym spytałem ją, po co tu przyjechała do Rokitnicy, ale...

– Ale?

– To był akurat ten moment, kiedy nie bardzo słuchałem. O Magdzie myślałem, wie pan, czy już jej przeszło, czy może jeszcze się będzie złościć, jak wróć. No i nie bardzo chciałem, żeby mnie zobaczyła z inną dziewczyną, bo znowu byłaby zazdrosna, dlatego zapytałem Martę, gdzie ją wysadzić, a ona mi pokazała taką drogę skręcającą w las. Zatrzymałem się, wysiadła i tyle.

– Jak to pokazała panu drogę?

– Zwyczajnie... – Chłopak niespokojnie kręcił się na krześle, które nawet za czasów swojej świetności, czyli jakieś dwadzieścia lat temu, z pewnością nie było zbyt wygodne.

Po twarzy studenta spływały grube krople potu, w małym pokoiku wciąż panował zaduch, choć dochodziła szóstka i na zewnątrz temperatura już spadała. W dodatku na posterunku coś zaczynało śmierdzieć. Hanka dyskretnie pociągnęła nosem, identyfikując lekki na razie odór rozkładającego się w upale mięsa. Mysz, pomyślała z rezygnacją. Musiała zdechnąć gdzieś pod szafką. Trzeba będzie odsunąć meble i ją znaleźć, bo inaczej nie damy rady tu wytrzymać. Spojrzała na mężczyzn, ale ci zdawali się niczego nie zauważać albo przynajmniej niczego po sobie nie pokazywali – choć Jasiek chyba trochę pobladł, jakby zaczynało zbierać mu się na mdłości.

– Zanim pan tę drogę zobaczył czy później? – zapytał Witczak.

– Pan pyta, czy ona wiedziała, że ta droga tam jest, czy po prostu kazała mi zatrzymać się gdziekolwiek? – Rafał Sałata naprawdę potrafił myśleć.

– Tak, o to pytam.

– W sumie nie wiem. Chyba wcześniej. Tak mi się wydaje.

I naprawdę miał fatalną pamięć.

– O której to było?

– Kaśkę odwoziłem na pociąg o siódmej pięćdziesiąt, potem od razu zabrałem Martę... Do Rokitnicy z Żywca jedzie się jakieś dwadzieścia minut.

– Czyli dziewczyna wysiadła z pana samochodu mniej więcej dziesięć po ósmej.

– Tak. Dziesięć, piętnaście po.

– W porządku, może pan iść. Chyba że ktoś jeszcze ma jakieś pytania? – Spojrzał na Hankę i Synowca.

Kapral potrząsnął nerwowo głową, za to starsza szeregowka postanowiła się odezwać.

– Jaka ona była? Gdyby pan miał ją scharakteryzować kilkoma słowami?

Witczak skrzywił się lekko – nie lubił taniego psychologizowania. Ale odpowiedzi i tak był ciekaw.

– No... – Rafał zakłopotał się jeszcze bardziej. – Zwyczajna. Cicha trochę, jak mówiłem.

– Nieśmiała? – podchwycił Synowiec, który najwyraźniej chciał jednak czymś się wykazać.

– Nie, raczej nie. Tylko taka bardziej zamknięta w sobie. I zdeterminowana.

Witczak zdecydowanie nie takiego określenia się spodziewał.

– W jakim sensie zdeterminowana?

Student zmarszczył brwi.

– Jakby cały czas o czymś myślała, szykowała się na coś. Jak żołnierz przed bitwą. Ja miałem swoje problemy, a ona swoje i dlatego nam się rozmowa nie kleiła. I raz powiedziała coś takiego...

– Tak?

– Nie wiem, czy dobrze pamiętam, bo nie słuchałem wtedy za bardzo, wie pan, moja dziewczyna i w ogóle. Ale ona, znaczy Marta, powiedziała coś jakby: „Musimy go powstrzymać”. Myśli pan, że chodziło jej o mordercę?

* * *

– Może zmyślił całe to zdanie – zasugerował Witczak, kiedy siedzieli na tarasie Stokrotki. Słońce już zaszło, powietrze było teraz chłodne i ostre, pachnące wieczorną wilgocią. W trawie odezwały się świerszcze, lada moment na ciemniejącym z każdą chwilą, czystym niebie miały pokazać się gwiazdy. Synowiec zniknął jakiś czas temu, a Waškowiak nie pokazał się od popołudnia, lecz Hanka twardo tkwiła przy boku Witczaka. Zerknęła co prawda dyskretnie na zegarek, ale mężczyzna nie zamierzał niczego jej ułatwić – jeśli chciała wracać do ciotki, czy gdzie tam mieszkała, powinna powiedzieć to na głos, była w końcu dorosła.

– Czemu miałby kłamać? – Hanka dmuchnęła w herbatę, którą zamówiła, choć chyba nie miała na nią ochoty. Potem chwyciła szklankę i natychmiast cofnęła palce – szkło wciąż było gorące.

Witczak sięgnął po swoją colę.

– Nie musiał kłamać, wystarczyło, że przekręcił coś zwyczajnego, co ta dziewczyna powiedziała. Głupio mu było pod koniec, że okazał się nieprzydatny,

i chciał pokazać, że jednak zapamiętał jakąś ważną informację.

– Tak pan sądzi?

– Ja nic nie sądzę. Rozważam jedynie możliwości.

– A jeśli Marta rzeczywiście przyjechała tu, żeby kogoś powstrzymać?

Wtedy musielibyśmy założyć, że szła spotkać się z mordercą, prawda?

– I dała mu się tak po prostu zarznąć?

Hanka lekko, prawie niedostrzegalnie wzruszyła ramionami. Cały czas wracali do tego samego problemu.

– Jeszcze jedno przyszło mi do głowy... – zaczęła.

– Co? – Witczak był już w połowie coli, podczas gdy Hanka wciąż jeszcze nie tknęła herbaty.

– Może morderca zwabił ją na tory, bo liczył na to, że pociąg przejedzie zwłoki i uznamy to za wypadek? Ostatecznie gdyby nie ksiądz, z ciała niewiele by zostało.

Skinął głową, zły, że sam nie wpadł na takie wyjaśnienie.

– Oczywiście podczas dokładnej sekcji i tak pewnie wyszłoby na jaw, że dziewczyna zmarła od noża. Ale on mógł o tym nie wiedzieć albo po prostu liczył, że nikt się jakoś szczególnie nie będzie przyglądał, że wszyscy uznają, że to samobójczyni, która położyła się na torach i czekała. Co pan o tym myśli? Ma to sens?

– Ma. – Witczak miał sporo wad, ale był uczciwy. Albo przynajmniej starał się być.

– Nie jest pan przekonany?

– Wciąż mamy mnóstwo niewiadomych – zwrócił jej uwagę. – Tak czy inaczej, facet cholernie ryzykował, zabijając ją w takim miejscu.

– Prawda. – Hanka napiła się wreszcie herbaty. – Szkoda, że Jasiek niczego się nie dowiedział o tych intencjach mszalnych. Chociaż teraz, jak wiemy, że dziewczyna poszła prosto na tory, to i tak nie ma znaczenia. Bo musiała pójść od razu na spotkanie z mordercą, prawda?

Witczak nie odpowiedział. Dopił tylko colę i zapalił papierosa, licząc, że dym odstraszy komary. Nad nimi brzęczała mleczna lampa w drucianym kloszu – kapitan słyszał miękkie pacnięcia uderzających o rozgrzane szkło ciem. Ostry, gryzący zapach klubowych mieszał się ze słodką wonią koniczyny i świeżo ściętej trawy.

– I nie było w tamtym miejscu żadnego wypadku na kolei – ciągnęła Hanka. – Przynajmniej nie w ciągu ostatnich trzydziestu lat. W sumie nic w tym specjalnie dziwnego, to jest linia osobowa dopiero od osiemdziesiątego pierwszego. Wcześniej jeździły tym torem tylko pociągi towarowe. Wtedy Rokitnica była niewielkim przysiółkiem, bez kościoła nawet, na msze wszyscy do Brzozówki chodzili...

– A jak zaczęli budować elektrownię, to mieszkańców Brzozówki przesiedlili do Rokitnicy?

Skinęła głową.

– I jakoś tak w tym czasie puścili tędy linię osobową, to i wieś szybko zaczęła się rozrastać. Kościół zbudowali i w ogóle... Wie pan, jak to jest. – Hanka potarła nos i wzruszyła ramionami. – Chyba już pójdę. Jutro jedziemy do Żywca?

– Tak, jedziemy do Żywca. Mam nadzieję, że starszy sierżant Waškowiak raczy się pojawić.

– Pojawi się, na pewno.

– Jak dotąd wydawał się bardziej zainteresowany piwem niż śledztwem.

– To dobry milicjant. – Dziewczyna najwyraźniej poczuła się w obowiązku bronić starszego stopniem. – Mieliliśmy tu kiedyś morderstwo, dawno temu. Chłopak zarębał siekierą całą rodzinę, a Waškowiak rozwiązał tę sprawę w cztery godziny.

– Kiedy to było?

– Ze dwadzieścia lat temu? Nie, chyba nawet więcej. Byłam wtedy malutka, ale ciotka mi wszystko opowiedziała. O Waškowiaku pisali nawet w gazetach. Dostał awans, pojechał do Bielska... – W oczach Hanki pojawił się błysk. Podziwu? Zazdrości? A może dziewczyna ekscytowała się, bo choć w ten sposób otarła się o historię jak z opowiadania o Sherlocku Holmesie?

– A potem wrócił. – Ton Witczaka był zupełnie neutralny, ale dziewczyna i tak poczerwieniała lekko, a błysk w jej oczach zgasł.

– Życie mu się nie ułożyło. Wie pan, jak to jest.

Po raz drugi użyła tego wyrażenia i tym razem Witczak przytaknął, że owszem, wie.

poniedziałek, 14 lipca

Tego ranka ksiądz Jerzy obudził się z przeświadczeniem, że coś się zmieniło. Nie potrafił sprecyzować tego uczucia – było ulotne, a jednak na tyle realne, że nie dawało o sobie zapomnieć. Coś się zmieniło. Na pozór wszystko wyglądało zwyczajnie. Był poniedziałek, dzień, który dawno temu przeznaczył na odpoczynek. Jego prywatna niedziela. Nie odprawiał w tym dniu mszy, nie prowadził żadnych zajęć i nie przyjmował petentów – wyjątek robił jedynie dla tych, którzy przychodzili z jakąś naprawdę ważną sprawą. Starał się wypoczywać, bo już w seminarium straszono go wypaleniem, które było nieuniknioną konsekwencją przepracowywania się, a to z kolei wynikało z równie nieuniknionej samotności. Bez rodziny, bez prawdziwych przyjaciół, bez nikogo, z kim mogliby porozmawiać szczerze o swoich problemach – wszyscy księża byli samotni, niektórzy mniej, inni bardziej. On do tej pory uważał się za szczęściarza, bo miał

Bartka, a młody ksiądz, choć na przyjaciela niespecjalnie się nadawał, był przynajmniej dobrym kolegą. Ale ostatnio i Marczewskiemu samotność zaczęła coraz bardziej doskwierać, zwłaszcza w poniedziałki, kiedy zostawał z mnóstwem wolnych godzin, które trzeba było czymś wypełnić. Modlił się wtedy gorliwiej niż zazwyczaj, czytał, najczęściej klasykę albo powieści historyczne, chodził po lesie. W przeciwieństwie do wikarego nigdy nie stał się fanem górskich wycieczek, ale spacerzy polubił. I tęsknił do wtorku, kiedy będzie mógł wrócić do zwyczajnej pracy.

W ten poniedziałek również odczuwał lekką panikę na myśl o czekającym go wolnym dniu, ale było coś jeszcze, jakieś niejasne i drażniące poczucie obcości. Wstał jak zawsze koło szóstej – kwestia przyzwyczajenia, nawet gdy mógł, nie sypiał dłużej. Zresztą latem, kiedy rano w okna świeciło słońce, wczesna pobudka była czystą przyjemnością. Umył się, ubrał i odmówił poranny brewiarz, a potem zjadł śniadanie, które przygotowała Pawliczkowa. Jajka na miękko, świeży wiejski chleb z miodem, kawa z mlekiem. Prosty, smaczny i sycący posiłek. Księża miewali skłonności do obżarstwa, podobnie zresztą jak do pijaństwa – jedno i drugie równie dobrze wypełniało pustkę, której nie potrafił wypełnić Bóg. Ksiądz Jerzy na szczęście za alkoholem nie przepadał, lecz do dobrego jedzenia miał słabość.

– Mogę zabrać talerz? – Gospodyni kręciła się wokół stołu. Kiedyś wprawiało go to w zakłopotanie, zdążył jednak przywyknąć. I czasem się tym martwił.

– Tak, proszę. – Po czym, pchnięty nagłym poczuciem winy, zaproponował: – Może w czymś pomogę? Mam dziś wolne...

– Wiem. Ksiądz sobie odpocznie, ja się wszystkim zajmę.

– Mogę przynajmniej pozmywać.

– Nie trzeba.

– Albo kurze pościerać – zaoferował się bohatersko.

– Nie trzeba.

Skarcony niczym uczeń wrócił do sypialni i czytał przez jakiś czas, leżąc na łóżku. Nie potrafił jednak skupić się na losach Johanna Angelosa. Jego wzrok co chwila uciekał w stronę białych ścian i wiszącego na nich ciężkiego żelaznego krzyża. Jak klasztorna cela, pomyślał w pewnej chwili. Nigdy wcześniej mu to nie przeszkadzało – kiedy przejął probostwo, nie chciał niczego zmieniać, bo wydawało mu się, że dzięki temu miejscowi szybciej go zaakceptują, a potem przywykł albo nie miał czasu myśleć o przemeblowaniu czy odmalowaniu ścian. Wszystko jedno. Żył na plebanii trochę jak w hotelu, jakby podświadomie zakładał, że to nie jest jego dom, tylko miejsce, w którym zatrzymał się na jakiś czas. Teraz patrzył na szpitalną biel ścian złamaną kanciastą surowością krzyża i czuł narastającą niechęć. Zdecydowanie wolałby otoczenie bardziej swojskie: krzyż

drewniany, nie metalowy, ściany pomalowane na weselszy kolor, może nawet powiesiłby sobie jakąś reprodukcję. Lubił obrazy impresjonistów, zwłaszcza krajobrazy Moneta. Co go powstrzymywało? Nawet gdyby Pawliczkowa czy Bartek uznali, że to zbyt świeckie, nie musiał się przejmować ich opinią.

Odłożył książkę, myśląc o swoim poprzedniku, tym, którego tak nagle odwołano. Uświadomił sobie, że właściwie nic o nim nie wie, znał jedynie nazwisko. Kim był Konstanty Zielnik, były proboszcz parafii w Rokitnicy? Czy naprawdę podobały mu się te białe, pozbawione ozdób ściany, czy może uważał, że księdzu nie wypada mieszkać w mniej surowym otoczeniu?

I dlaczego go odwołano?

Czemu poprzednik Zielnika powiesił się na plebanii, a jeszcze wcześniejszy proboszcz pijany wpadł do jeziora? „Przekłęta parafia”, przypomniał sobie. Kiedyś uważał, że to tylko takie sobie gadanie – ostatecznie myśli samobójcze, obok rozwiązłości, obżarstwa i alkoholizmu, były czwartym z najważniejszych demonów dręczących księży w samotne noce.

Teraz nie był już tego taki pewny.

Wstał, odkładając otwartą książkę grzbietem do góry – zwyczaj, którego nie potrafił się pozbyć – i poszedł do kuchni. Pawliczkowa szorowała coś zawzięcie w pełnym piany zlewie, spod chustki wymykały jej się rude, wilgotne od potu włosy. Gdy ksiądz Jerzy stanął za jej plecami, odwróciła się, przecierając mokrą dłonią twarz. Oczy miała ładnie wykrojone, w kolorze letniego błękitu. Nawet siateczka zmarszczek nie psuła ich uroku i Marczewski nie po raz pierwszy pomyślał, że gospodyni byłaby całkiem przystojną kobietą, gdyby tylko trochę o siebie zadbała.

– Przejdę się – powiedział. – Chyba że jestem do czegoś potrzebny...?

Zawiesił głos, ale Pawliczkowa potrząsnęła głową.

– Przyszedł jakiś człowiek w sprawie chrzcin, ale nasz wikary już się nim zajął. Niech ksiądz proboszcz idzie, ja jeszcze trochę kuchnię ogarnę, a potem za obiad się biorę.

Nie czekała na odpowiedź, tylko zanurzyła ręce w pianie, wracając do szorowania czegoś, co było chyba przypaloną blachą z piekarnika. Ksiądz Jerzy przyglądał się jej jeszcze przez chwilę. Wychowany w tradycyjnej rodzinie przez matkę i starszą siostrę, podchodził z odrobiną lęku do tego kobiecego świata czyszczenia i gotowania, prania, prasowania i sprzątanania. Lęku i poczucia winy zarazem, jakby rodząc się chłopcem, niespodziewanie wygrał los na wielkiej loterii życia. To dla niego, nie dla siostry, matka zaharowywała się, pracując po godzinach, dla niego siostra poszła do liceum wieczorowego, a potem w ogóle zrezygnowała z dalszej nauki – żeby mógł skończyć seminarium. W końcu ksiądz w rodzinie to powód do dumy.

Wycofał się cicho. Jeszcze w progu plebanii ścigał go dźwięk intensywnego

skrobania zmieszany z odgłosami cichej rozmowy, prowadzonej za zamkniętymi drzwiami kancelarii.

* * *

Witczakowi śniła się Marta. Szła nasypem wzdłuż torów, podczas gdy za jej plecami zachodziło słońce. Miękki czerwony blask odarł dziewczynę ze wszystkiego, co trywialne i codzienne. Bliskość śmierci nie uczyniła jej piękną, ale zrobiła coś więcej – sprawiła, że zmarła wydawała się kimś niezwykłym. Już nie przeciętna polska dwudziestokilkulatka, ale tajemnicza kobieta z innego świata.

Kobieta, która przyjechała do Rokitnicy, żeby tu umrzeć.

– Zaczekaj! – Witczak biegł jej na spotkanie po podkładach kolejowych. – Nie idź tam!

Pędził ile sił, ale odległość między nim a dziewczyną nie zmniejszała się ani trochę. Powietrze wokół gęstniało, gorące i lepkie jak przed burzą.

– Stój!

Dopiero teraz spojrzała – nie na niego, ale przez niego, jakby Witczak był zrobiony ze szkła. Uniosła głowę, wbijając wzrok w coś za jego plecami, wysoko na niebie. W oczach miała narastającą grozę. Kapitan odwrócił się. Ze wschodu nadciągała skłębiona ciemność. A więc jednak będzie padać, pomyślał, rejestrując w półśnie uderzający o szyby deszcz.

– Musimy go powstrzymać – powiedziała dziewczyna. Jej rysy zmieniły się i przez krótką chwilę, nim Witczak usiadł z jękiem na łóżku, patrzyła na niego oczami Hanki.

Obudził się spocony, z mocno bijącym sercem. Przez otwarte okno wpadało wilgotne powietrze. Musiało być koło szóstej, bo na zewnątrz było już całkiem jasno, ale w domu wczasowym wciąż jeszcze panowała nocna cisza. Witczak wstał i przymknął okno. Wiatr marszczył płytkie kałuże, które rozlewały się na podjeździe – przynajmniej ten element jego snu był realny, choć deszcz zdążył się zmienić w lekką mżawkę. Kapitan wiedział, że już nie zaśnie, wstał więc i poczłapał w stronę łazienki. Umył się, ogolił, drapiąc po policzkach tępawą żyletką, i zszedł do jadalni. Kuchnia była jeszcze zamknięta, ale w oczekiwaniu na śniadanie mógł przynajmniej wypalić na tarasie papierosa.

Kiedy skończył, po deszczu zostały tylko szybko wysychające kałuże. Kapitan wyrzucił niedopałek w trawę i złowił na twarz pierwsze promienie słońca. Stał tak przez chwilę, potem zawrócił do jadalni. Zza kuchennych drzwi dolatywał szcęk talerzy i zapach gorącego mleka. W części stołówkowej kłębił się już tłumek dzieciaków, w -części barowej ciemnowłosa kobieta przecierała właśnie stoły. Biały fartuch upodabniał ją do pielęgniarki; była tęga, ale nie otyła, z zaskakująco ładną, szeroką twarzą. Poruszała się powoli – Witczakowi przyszło do głowy słowo „majestatycznie” – każdy jej ruch był pełen godności, jakby

celebrowała mszę.

- Kawę zamówić można? – zagadnął. – I coś do jedzenia?
- Kuchnio jesce zawarto. – Kobieta starannie wytarła płamę po kawie.
- Kiedy widzę, że otwarta.

Jak na zawołanie zza drzwi wyszła kucharka z wielkim garem, za którym ciągnął się zapach gorącego mleka. Przeszła do stołówki i postawiła gar na jednym ze stołów.

– To dło dziecek przecie. – Kobieta ze szmatą spojrziała na Witczaka zdumiona.

- Mnie nie przeszkadza, że dla dzieci. Mogę zjeść zupę mleczną.

Zmarszczyła brwi, na chwilę wytrącona ze swojego królewskiego spokoju. Witczak czekał cierpliwie, lekko pochylony, w pozie skromnego petenta. Mógł sobie reprezentować władzę ludową i być dzielnym stróżem prawa, ale nie miał najmniejszych złudzeń, że w kuchni rządzą one: kobiety w fartuchach i czepkach, ze szmatami albo chochlami w rękach.

– Uwidzem, co sie do zrobić. – Sapnęła z wyższością, zabawnie zmarszczyła zgrabny nos i pozęglowała do kuchni niczym biała fregata zawijająca do portu.

* * *

Ksiądz Jerzy poszedł nad rzekę. Rzadko mu się to zdarzało, zazwyczaj chodził tam, gdzie miał szansę znaleźć ciszę i spokój, ale dziś wszystko było na opak. Nie zastanawiał się nad tym, po prostu nogi same zniosły go nad brzeg Soły. Usiadł kilka metrów od rozłożonej na kocu rodziny. Brzuchaty ojciec, chuda matka i dwójka półnagich dzieciaków, które to wbiegały do wody, to znów z niej wybiegały, podczas gdy rodzice starali się ignorować świdrujące w uszach piski i wrzaski. Soła płynęła wartko, rozlewając się szeroką, ale płytką strugą i połyskując złotem słońca na pióropuszech białej piany. Przez materiał sutanny i czarnych spodni Jerzy czuł ciepło nagrzaných od upału kamieni, na twarzy osiadała mu orzeźwiająca mgiełka.

Dziewczynka w majteczkach kąpielowych przebiegła obok, siejąc wokół zimnymi kroplami, po czym opadła na koc. Śmiała się i paplała tak głośno, że zakłopotana matka rzuciła proboszczowi niespokojne spojrzenie. Niespokojne i trochę niechętne, jakby dawała do zrozumienia, że duchowny, zamiast wysiadywać nad rzeką, powinien zająć się ważniejszymi sprawami. Obecność księdza psuła zabawę, wiedział o tym nie od dziś i dlatego właśnie unikał takich miejsc. Wstał. Koszula pod sutanną była już mokra od potu. Przez chwilę miał ochotę zdjąć buty i wejść do wody, tak jak robiło to wielu dorosłych, ostatecznie jednak zrezygnował. Przez całe życie był tchórzem, w drobiazgach i w ważniejszych sprawach też. Nie wychylać się, nie zwracać na siebie uwagi. Decyzja o współpracy z milicją była prawdopodobnie pierwszym odważnym

czynem, na jaki zdobył się od lat, i Marczewski na myśl o wczorajszej mszy wciąż odczuwał lęk.

Rozpiął koloratkę, przetarł mokry kark i ruszył w stronę nasypu kolejowego, gdzie znalazł ciało. Najpierw szedł szeroką wiejską drogą, którą znaczyły pączki końskiego nawozu, potem, odprowadzany wzrokiem pasących się na łące krów, skręcił w las. Tu było już zdecydowanie chłodniej. Pod stopami proboszcza ugiął się dywan z zieleni mchu i brązu opadłych igieł, prześwitujące przez korony drzew słońce malowało na liściach dzikich malin wzory ze światła i cienia, złocąc przy okazji zwisające z krzewów nici pajęczyn, długie i delikatne jak anielskie włosy.

Gdy wyszedł z drugiej strony, ostre światło zakłuło go w oczy, a fala upału uderzyła w twarz. Minął dom Chojniaków i posapując lekko, wspiał się na nasyp. Stał teraz w miejscu, gdzie leżały zwłoki dziewczyny – gdyby zamknął oczy, zobaczyłby pod powiekami jej bladą okrągłą twarz.

Spojrzał na zegarek. Minęła jedenasta, przez nasłonecznione pole po drugiej stronie nasypu pełzył powoli cień kanciastej elektrowni. Ze swojego miejsca na torach słyszał odległe pokrzykiwania robotników – a może tylko wydawało mu się, że je słyszy? Od wczoraj wszyscy mówili o wznowieniu prac. I wszyscy byli zdania, że tej elektrowni nie powinno tu być.

Drgnął lekko, gdy z oddali dobiegł krzyk polnego ptaka. Pora wracać. Narzekając w myślach na swoją kiepską kondycję, bardziej zsunął się, niż zszedł po stromym nasypie i ruszył w drogę powrotną. Gdy mijał dom Chojniaków, zobaczył siedzącą w ogrodzie młodą kobietę.

– Niech będzie pochwalony! – pozdrowił ją, nie czekając, aż zrobi to pierwsza.

Kobieta uniosła dłoń, osłaniając oczy od jaskrawego światła.

– Ksiądz proboszcz – powiedziała bez zdziwienia, prawie jakby się go spodziewała. – Wpadnie ksiądz na herbatę?

* * *

Witczak niezgrabnie wgramolił się na przednie siedzenie starego poloneza. Za kierownicą siedziała Hanka, mimo narastającego upału ubrana w ciepły sweter. Wystająca spod niego krótka spódniczka odsłaniała kościste kolana. Z tyłu rozsiadł się Synowiec, który gorliwie kartkował grubą książkę – kapitan bez trudu rozpoznał w niej rozkład jazdy PKP.

– S...starszy sierżant uznał, że lepiej będzie, jak ja p...pojadę, a on zostanie na d...dyżurze – wyjaśnił chłopak. – W...wie pan, jakby c...coś się działo.

Witczak nie skomentował. Polonez ruszył spod domu wczasowego i po chwili wyjechał na asfaltową szosę wiodącą do Żywca. Kapitan opuścił szybę – na zewnątrz musiało być już ze dwadzieścia parę stopni. Od pól zawiąło ostrą wonią zwierzęcego nawozu i kapitan, który już miał wciągnąć w płuca haust zdrowego

wiejskiego powietrza, wstrzymał oddech. Śniadanie przewracało mu się w żołądku. Nie powinien był jeść tej zupy, ale dał się skusić wspomnieniom z dzieciństwa: kolonie na Mazurach, wielkie gary gorącego mleka z pływającymi w środku glutami makaronu, kanapki z dżemem i kawa zbożowa do każdego posiłku. To były czasy!

Skoncentrował się na krajobrazie. Mijali pola wyłoczone pszenicą, obsypane barwnymi kwiatami łąki i pocięte bruzdami grządek kartofliska. Smród nawozu ustąpił woni trawy i nagrzanego asfaltu. Witczak przymknął oczy. Za jego plecami Synowiec wciąż kartkował rozkład jazdy.

– Szukam p...połączeń, k...które p...pasują – powiedział wreszcie. – Ale wszystkie są z p...przesiadką w K...katowicach. M...mogła jechać z G...gdańska albo z W...warszawy, albo... Czekaście...

– Zostaw to – mruknął Witczak. – Teraz i tak do niczego sensownego nie dojdziemy. Za dużo możliwości.

– Zwłaszcza że nie wiemy, ile ona naprawdę tym pociągiem jechała – dodała Hanka.

– M...mówiła, że całą noc.

– Ludzie lubią przesadzać. – Starsza szeregową wzruszyła ramionami. – Albo chodziło jej o to, że całą noc nie spała. Albo najpierw jechała autobusem z jakiejś małej miejscowości, a potem dopiero pociągiem. Jest mnóstwo możliwości, tak jak kapitan mówi.

Kolorowe pola ustąpiły miejsca zabudowaniom miasta i samochód wkrótce zatrzymał się przed dworcem. Witczak z ulgą wygramolił się z poloneza, za nim, zdejmując sweter, wysiadła Hanka. Synowiec zostawił rozkład jazdy na siedzeniu i przyglądał włosy. Pot zdążył już przykleić mu koszulę do pleców.

Razem weszli w cień dworca, gdzie zagarnął ich chłód o zapachu rozgrzanych ciał i zimnych, kamiennych posadzek. Od murów i wysokiego sufitu odbijały się głosy podróżnych, głos z megafonu zapowiadał, że pociąg z Katowic do Zwardonia stoi przy torze czwartym, planowany odjazd o godzinie ósmej piętnaście. Zdziwiony kapitan spojrzał na zegarek – dwadzieścia minut postoj w niedużym w końcu mieście wydawało mu się przesadą, przypomniał sobie jednak, że w Żywcu zmieniają lokomotywę na parową, bo tutaj kończyła się sieć elektryczna. Prawdziwy kraniec cywilizacji, pomyślał, kierując się w stronę najbliższej kasy. Hanka odruchowo podeszła do drugiej, Synowiec po chwili namysłu udał się do restauracji – kapitan liczył, że wypytać o zmarłą, choć kapral równie dobrze mógł mieć ochotę na ciastko czy poranną herbatę.

Pół godziny później spotkali się w głównej hali. Na peronie zatrzymał się właśnie pociąg, z którego wysypał się tłum dzieci w mundurkach. Raczej jeszcze zuchy, nie harcerze. Witczak słyszał przez szybę radosne pokrzykiwania maluchów i zmęczony głos drużynowego. Na krótką chwilę znów pozwolił, żeby opanowała

go nostalgia. To nie był jego szczęśliwy dzień, zdecydowanie.

– Nikt jej nie widział – powiedziała Hanka. – Ani jak wysiadała, ani później. Nic dziwnego przy tych wszystkich ludziach, którzy się tu przewijają.

– Jedyne, co wiemy na pewno, to że przyjechała p...pośpieszonym o siódmej trzydzieści. – Synowiec był tak dumny z siebie, że zająknął się tylko raz. – Z Katowic. On się wtedy t...trochę spóźnił i dlatego autobus jej uciekł. Wszystko się zgadza.

Dla Witczaka wcale nie było to takie oczywiste, ale nie zamierzał się spierać. Zresztą kapral prawdopodobnie miał rację, najprostsze rozwiązania najczęściej są tymi właściwymi. Tylko że to i tak im nie dawało – nadal nie wiedzieli, skąd dziewczyna przyjechała do Katowic.

– Możemy skontaktować się z konduktorem tej linii, ale wątpię, żeby ją zapamiętał. Są wakacje, pociągi jeżdżą nabite po brzegi. – W głosie Hanki słychać było rozczarowanie.

Czekali na decyzję kapitana, który właśnie odprowadzał spojrzeniem grupę zuchów. Dzieciaki wspięły się już na kładkę ponad peronami i niebezpiecznie wychylone przez barierkę, pluły na dachy wagonów.

– Panie k...kapitanie? – zapytał Synowiec niepewnie. – Wracamy?

– Nie. – Odwrócił się od okna. – Skoro dziewczyna przyjechała pociągiem z daleka, to prawdopodobnie miała bagaż. A jeśli miała, to gdzie musiała go zostawić.

* * *

– Rzadko nas ksiądz proboszcz odwiedza. – Ewa Chojniak sięgnęła po malowany w truskawki kubek i napiła się herbaty.

Siedzieli na ławie przed domem przy drewnianym niskim stole. Franciszek przyniósł im herbatę, poprawił żonie poduszkę, a potem zniknął, usprawiedliwiając się pracą. Ksiądz Jerzy został więc sam na sam z kaleką kobietą, którą, prawdę powiedziawszy, odwiedzał dotąd nie tyle rzadko, ile prawie wcale. Jednak gospodyni najwyraźniej nie żywiła pretensji, w jej błękitnych oczach widział raczej ironię. Ewa Chojniak była śliczna. Nie piękna, ale właśnie śliczna, jak dziecko albo leśna wróżka. Włosy miała tak jasne, że przypominały puch dmuchawca, cerę lekko nakrapianą piegami. Nosila spodenki, które ledwo zasłaniały pośladki, ale w jej długich, białych i wątłych nogach nie było nic, co kojarzyłoby się erotycznie. Pod cienką koszulką rysowały się wzgórki spiczastych piersi. Marczewski bardzo chciał poczuć choć cień pożądania, ale czuł tylko dojmujący smutek, jakby znalazł w trawie martwą jaskółkę.

– Przyszedł ksiądz spojrzeć na miejsce zbrodni?

– Sam nie wiem, co mnie podkuśiło... – Mógłby jej opowiedzieć o dzisiejszym poczuciu obcości, o tym, że był tchórzem, aż wreszcie postanowił

coś zrobić. Ale nic z tego nie pasowało do tego rozświetlonego słońcem ogrodu, w którym w trawie złościły się rumianki i fruwały kolorowe motyle. Ksiądz Jerzy wiedział, że to zwyczajne wiejskie obejście – wyczuwał przecież zapach obory i widział kręcące się tu i ówdzie kury – ale złudzenie magii było tak silne, że przez chwilę miał wrażenie, jakby znalazł się w książce Hodgson Burnett.

Ewa uśmiechnęła się, pokazując drobne białe zęby.

– Niech się ksiądz proboszcz nie przejmuj. Nie jest ksiądz pierwszy ani ostatni. Ostatnio była tu cała wycieczka kolonijna, z dziesięć dzieciaków, jak nie więcej.

– Przyszli z wychowawczynią? – zdziwił się.

– Skąd. Musieli jej się urwać. Albo dała im czas wolny. Nie wiem, nigdy nie byłam na kolonii. Ani w ogóle nie byłam dalej niż w Żywcu. I pewnie już nigdy nigdzie nie pojedę.

Powiedziała to zupełnie zwyczajnie, bez żalu czy pretensji. Urodziła się w Brzozówce, wyszła za męża, a trzy lata temu, zrywając śliwki, spadła z drzewa i poważnie uszkodziła sobie kręgosłup. Każdy w Rokitnicy znał tę historię i ksiądz zawstydział się, że nie wie o dziewczynie czegoś więcej, czegoś szczególnego, co wiedziałyby tylko on. Kiedyś, tuż po wypadku, odwiedził Chojniaków, ale ani on, ani ona nie sprawiali wrażenia ludzi potrzebujących pociechy duchowej, więc dał im spokój. Teraz tego żałował.

Ewa dopiła herbatę i odstawiła swój dziecinny kubek w truskawki.

– Była też u mnie milicja – powiedziała. – Ostatnio spory tu ruch.

– Przesłuchiwali panią?

Wzruszyła ramionami.

– Podobno to była tylko rozmowa, ale Jasiak ciągle coś w notesie zapisywał.

– Jasiak?

– Ten młodszy – wyjaśniła. – Za dzieciaka całowaliśmy się po krzakach, ale teraz to poważny człowiek. W mundurze i w ogóle. Pytał, czy nie widziałam tej dziewczyny, jak szła ścieżką w stronę nasypu.

– A widziała pani?

– Nie. – Patrzyła proboszczowi prosto w twarz. W jej oczach było coś, czego nie potrafił rozpoznać. Coś wyzywającego i jednocześnie tak oczywistego, że odruchowo bronił się przed przyjęciem tego do wiadomości. – Choć musiała tędy przechodzić.

Ksiądz Jerzy dopił herbatę. Nie pomieszał jej i teraz na dnie została obrzydliwie słodka zawiesina, którą z trudem przełknął.

– Pójdę już – powiedział. – Gdyby potrzebowała pani czegoś...

– Na przykład pociechy duchowej? – Znów miał wrażenie, że dziewczyna z niego kpi.

– Na przykład pociechy duchowej. Albo mogę przyjść zwyczajnie, jako

przyjaciel.

– Niech więc przyjdzie ksiądz jako przyjaciel. I proszę mi mówić Ewa.

Podawała mu rękę, którą uściśnął ostrożnie.

– I jeszcze jedno. Czy wie pani... Czy wiesz może, kto postawił ten krzyż przy nasypie?

– Milicja też mnie o to pytała. Ale nie mam pojęcia.

Znów na niego spojrzała, a na proboszcza w tym momencie spłynęło olśnienie. Ewa kłamała, nie starając się w żaden sposób sprawiać wrażenia, że mówi prawdę. Kłamała w najbardziej oczywisty, bezczelny sposób, jakby wymachiwała mu kłamstwem przed oczami. Nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić.

– Naprawdę niczego nie wiesz?

– Tylko tyle, że poprzedni ksiądz też pytał o ten krzyż. A potem zniknął.

– Nic więcej?

– Nic.

Nie mógł już patrzeć jej w oczy. Miał wrażenie, że jeśli natychmiast nie wstanie i nie wyjdzie, nigdy się na to nie zdobędzie.

Odłożył kubek.

– Muszę iść – powiedział. – Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Gdy stanął przy furtce, odwrócił się jeszcze na chwilę – z tej perspektywy ogród był zwyczajnym wiejskim ogrodem, trochę zapuszczonym, w gruncie rzeczy bardziej przypominającym zarośnięte podwórko niż cokolwiek, co opisała Hodgson Burnett. Magia zniknęła i tylko Ewa Chojniak wciąż miała w sobie odrobinę ulotnego piękna nie z tego świata. Dziwna dziewczyna. Kpiła z księdza, kłamała mu w żywe oczy i choć wychowała się na wsi, nie mówiła gwarą. Proboszcz uznał, że musiała nauczyć się klasycznej polszczyzny od męża albo z telewizji. A może z książek? Łatwo przychodziło mu wyobrazić ją sobie z książką na kolanach, od czasu do czasu podnoszącą wzrok znad za-drukowanych kartek i wpatrującą się w ogród oczami barwy lipcowego nieba. Swoją drogą kolor tych oczu z czymś mu się kojarzył, ale dopiero kiedy wyszedł z lasu, odszukał w głowie właściwą myśl: Ewa była podobna do Pawliczkowej.

Uspokojony tym, że w gąszczu pytań znalazł choć jedną odpowiedź, poszedł w stronę plebanii, gdzie gospodyni szykowała już obiad.

* * *

Znalezienie przechowalni bagażu nie było trudne, zdecydowanie dłużej zajęło im czekanie na kobietę, która miała zapasowy klucz do szafek. Przyszła wreszcie, wyraźnie wystraszona. Miała ziemistą cerę i zaczerwienione oczy, jakby niedawno płakała – choć Witczak podejrzewał, że to raczej efekt kataru siennego.

– Ale o co chodzi? – pytała raz za razem. – My nic złego nie robimy. Tu nic nie ma.

– Niech pani otwiera – powiedział Witczak.

– Tu nic nie ma – powtórzyła. – Czego pan szuka?

– Nie p...pani sprawa. – Synowiec zaczerwienił się lekko. – Proszę otworzyć.

Sploszona kobieta włożyła klucz w zamek pierwszej szafki. Stał w niej wysoki turystyczny plecak ze stelażem. Witczak przejrzał go pobieżnie i odłożył – Marta była dużą dziewczyną, ale z pewnością nie nosiła wełnianych skarpet rozmiaru około czterdzieści sześć ani obszernej wędkarskiej kamizelki z mnóstwem kieszeni. W drugiej szafce znaleźli torbę, na której leżała różowa kurteczka. Pasowała w sam raz na dziesięciolatkę, więc przeglądaniem bagażu już się nie kłopotali. W trzeciej odkryli dwie poznaczone czerwono-brązowymi zaciekami siatki – delikatny zapaszek sugerował ofiarę zbrodni, ale Witczak bez większego problemu domyślił się, że to mięso z nielegalnego uboju, zerknął więc tylko i zobaczywszy świński udziec, zamknął szafkę. Kobieta, która przyniosła klucz, wyglądała, jakby miała zemdleć, Hanka i Synowiec ostentacyjnie udawali zainteresowanie komunikatem o opóźnieniu pociągu z Zakopanego.

W czwartej szafce znaleźli kolejną, równie wypchaną siatkę. Witczak już chciał dać jej spokój, kiedy coś go tknęło. Ostrożnie dotknął materiału, który ugiął się pod jego palcem. W środku było coś miękkiego. Szmaty? Ubrania? Sięgnął po siatkę i spojrzał do środka. Hanka i Synowiec pochyłili się jednocześnie, omal nie zderzając się czołami.

– Spodnie? – zapytała zdumiona dziewczyna. – I koszulka?

Witczak rozwinął parę poprzecieranych na kolanach zielonych sztruksów.

– Jak myślicie, pasowałyby?

– Na pana? – Zanim kapitan zorientował się, czy Synowiec żartuje, czy mówi poważnie, Hanka już sięgnęła do siatki i odchyliła kołnierzyk bawełnianej koszulki.

– Czterdzieści cztery – oznajmiła. – To jej rozmiar.

– Zabieramy te rzeczy. – Witczak wsadził sztruksy z powrotem do siatki i spojrzał na kobietę ściskającą w dłoni zapasowy klucz. – Gdyby ktoś ich szukał, pani zadzwoni na posterunek w Rokitnicy.

Miał już prawie pewność, że to nie będzie konieczne – przeczcucie podpowiadało mu, że faktycznie trafili na ubrania należące do denatki.

– Oczywiście. – Kobieta gorliwie skinęła głową. – Oczywiście.

– Pani przypomni mi swoje nazwisko? – Tak naprawdę wcześniej jej o to nie pytał.

– Elżbieta Jelonek.

– W porządku, pani Jelonek. Podpiszę pani pokwitowanie i nie będziemy

więcej przeszkadzać.

* * *

Na biurku leżały wyjęte z siatki rzeczy: sztruksy, błękitna koszulka, rozpinany sweter, skarpetki i sportowe półbuty z przetartymi noskami. Hanka i Synowiec wpatrywali się w nie jak zahipnotyzowani, Witczak palił papierosa przy otwartym oknie. Dziś obawa przed byciem podsłuchanym przegrała z duchotą i wonią zdechłej myszy. Na szczęście nie musieli tłoczyć się na posterunku w czwórkę – Waškowiak wysłuchał sprawozdania z wyprawy do Żywca, a potem oznajmił, że pora coś zjeść, i zniknął.

– Co o tym myślicie? – Kapitan mówił w liczbie mnogiej, ale patrzył na Hankę. To ona z dwójki młodych była bystrzejsza, od niej miał szansę otrzymać jakąś sensowną odpowiedź.

Odezwał się jednak Synowiec.

– Dz...dziwne, że wozila ubrania w siatce. Nie miała t...torby?

– Może miała tylko dużą, na dłuższe wyjazdy – podpowiedziała Hanka. – Spódnica i bluzka, w których ją znaleźli, były ze sztucznego materiału, takiego, co się nie gniece. Mogła użyć siatki zamiast torby, czemu nie.

– Nie zabrała niczego więcej, tylko ubranie na zmianę – stwierdził Witczak.

– Żadnych kosmetyków, ręcznika, piżamy czy bielizny – podchwyciła natychmiast Hanka. – To znaczy, że przyjechała na krótko. Do pociągu włożyła wygodne ciuchy, a w siatce miała te lepsze. Chciała się z kimś spotkać, załatwić jakąś sprawę, która wymagała eleganckiego wyglądu, a potem od razu wracać. Pewnie przebrałaby się z powrotem w toalecie na dworcu...

– Powinniście chyba sprawdzić kieszenie – podsunął kapitan, bo młodzi wciąż gapili się na stertę ciuchów, jakby bali się jej dotknąć.

Hanka sięgnęła po sweter, Synowiec po spodnie. Dziewczyna wyłowiła paperek po krówce i spojrzała na kaprala, który energicznym ruchem odwracał właśnie kieszenie sztruksów na lewą stronę.

– Uważaj!

– Co?

– Coś wypadło, nie widzisz? Przesuń się, bo podepczesz. W drugą stronę!

Schyliła się i podniosła małą białą kulkę.

– T...to jakiś śmieć. – Synowiec wzruszył ramionami.

Witczak wyjął paperek z ręki Hanki.

– Nie, to bilet, tramwajowy albo autobusowy. Wyprany w pralce, ale może da się go jeszcze rozprostować i odczytać.

* * *

W kuchni na piecu parował już wielki gar kapuśniaku. Pawliczkowa

zamieszala w nim chochlą i odwróciła się w stronę wchodzącego mężczyzny.

- Księdza Bartka jeszcze nie ma? – zapytał Marczewski.
- Siedzi u siebie w wikarówce. Zje ksiądz proboszcz sam?
- Zaczekam.

Gospodyni zsunęła garnek z rozgrzanego do czerwoności środka pieca na brzeg i przykryła zupę przykrywką.

– Widziałem się dziś z Ewą Chojniak – zaczął ksiądz Jerzy odrobinę niepewnie. – I uderzyło mnie jej podobieństwo do pani. To jakaś krewna?

Pawliczkowa skinęła głową.

– Córka kuzyna, świeć Panie nad jego duszą. Ale rzadko się widzujemy.

– Dlaczego? – Coś podpowiadało księdzu, żeby nie ciągnął tego tematu, ale kiedy już zaczął, nie potrafił przestać.

Wzruszyła ramionami.

– Jakoś tak wyszło. To dziwna dziewczyna jest.

Z tym był skłonny się zgodzić.

– I nie ma pani innych krewnych?

– Mam, co mam nie mieć. Róża z poczty to też krewna, a nasz kościelny to mój wujek. Ale i z nimi nie jestem blisko.

Tym razem powstrzymał się od zadania pytania „dlaczego?”, pewnie zresztą i tak usłyszałby, że jakoś tak wyszło. Może na tym właśnie polegał jego problem – w tak niewielkich miejscowościach ludzie byli ze sobą mniej czy bardziej spokrewnieni i każdego obcego traktowali jak intruza.

– Jak pani myśli – zmienił temat – gdybym chciał odnowić mieszkanie, kogo by mi pani poleciła?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Chyba Jędrka Kołodziejczaka – powiedziała wreszcie. – To porządny chłop, na robocie się zna, tylko go trzeba z dala od flaszki trzymać. Ale ja wszystkiego przypilnuję, jakby co. Chodzi księdzu proboszczowi o malowanie?

– Tak, o malowanie. Może też parę nowych mebli kupię. – O reprodukcjach Moneta wolał nie wspominać. Pawliczkowa nie wyglądała na wielbicielkę impresjonizmu. – Przy okazji może większe porządki bym zrobił...

– Porządki? – Spojrzała na niego czujnie.

– Na przykład na strychu, widziałem tam mnóstwo niepotrzebnych rzeczy. Jakies skrzynie czy kufry... Trzeba to kiedyś przejrzeć.

Kobieta zacisnęła usta w wąską kreskę, nim jednak zdążyła odpowiedzieć, wszedł wikary i usiedli do stołu.

– Był ksiądz proboszcz na spacerze? – zapytał Bartek, kiedy już się pomodlili i mógł zanurkować łyżką w kapuśniaku. – Daleko?

– Nad rzeką. – Ksiądz Jerzy najchętniej na tym by poprzestał, ale podejrzewał, że plotki prędzej czy później i tak się rozejdą. Wolał więc przyznać

się od razu. – Potem zaszedłem na chwilę do Chojniaków.

– O! – Chłopakowi zaświeciły się oczy. – Ewa to ładna dziewczyna, prawda? Szkoda, że kaleka. Ciekawe, jak oni sobie radzą, wie ksiądz proboszcz, tak w małżeństwie, jak kobieta z mężczyzną. Zastanawiał się nad tym kiedyś ksiądz?

Marczewski powinien go skarcić za niestosowne myśli, ale nie miał na to ani siły, ani ochoty. Wymruczał więc tylko, że nie, nie zastanawiał się, dokończył zupę i zrejterował na piętro. Począł, aż Bartek wróci do wikarówki, a Pawliczkowa umyje talerze i wyjdzie. Potem wymknął się na podest. Czuł się nieswojo we własnym mieszkaniu, jak złodziej. A przecież miał prawo tu być, miał prawo przewrócić całe probostwo do góry nogami, gdyby przyszła mu na to ochota.

Zszedł na dół, wziął z pokoiku gospodyni pęk kluczy i z powrotem wspinał się schodami – najpierw szerokimi i murowanymi na piętro, potem wąskimi, drewnianymi na strych. Otworzył drzwi. W środku pachniało starością. Nie kurzem, próchniejącymi krokwiemi czy odchodami gołębi, jak często bywa na strychach, ale właśnie starością. Ledwo uchwytny zapach, który kojarzył się z poślizgniętymi kartami papieru, skórzanymi walizkami bez rączek i wypucowanymi do połysku mosiężnymi czajnikami. Zapach sklepu ze starzyzną, dziwnie kontrastujący z nowością budynku plebanii.

Pstryknął włącznik światła i naga, zakurzona żarówka rozjarzyła się żółtawym blaskiem. Na strychu, tak jak pamiętał, leżały kufry i walizki, należące nie do poprzedniego proboszcza – ten przy wyjeździe zabrał cały swój prywatny majątek – ale do jeszcze poprzedniego, tego, który się powiesił. Ksiądz Jerzy niejasno przypomniał sobie, że ktoś – Pawliczkowa? – mówił, że czekali, aż odbierze to wszystko rodzina, ale ponieważ nikt się nie zgłosił, rzeczy zostały na strychu.

Pochylił się nad walizką z wytartymi okuciami na rogach. Miała zamek szyfrowy, który i tak był zepsuty – wieko otworzyło się, ledwo trącił walizkę palcem. Zajrzał do środka i zobaczył ubrania: zwyczajne księżowskie ubrania, jakich sam miał sporo w szafie. Na wół zjedzony przez mole sweter, spodnie, eleganckie czarne półbuty w sam raz na pogrzeb. Trzeba się tego pozbyć, pomyślał, dręczony poczuciem winy – ostatecznie grzebał w rzeczach dawno zmarłego człowieka – i jednocześnie narastającą złością. Już dawno powinien był zabrać się do tych porządków.

W kolejnym kufrze znalazł książki. Trochę klasyki: Sienkiewicz, Kraszewski, Bunsch – czyli dokładnie to, czego można by się spodziewać po bibliotecznym szacownym księdzu. Marczewski też czytał podobne pozycje i zastanawiał się nawet przez chwilę, czy nie podwędzić nieboszczykowi paru *Powieści Piastowskich*.

Na dnie kufra leżała poślizgnięta kartka. Sięgnął po nią, przekonany, że wypadła z Sienkiewicza, Kraszewskiego czy Bunscha, już gotów umieścić stronę we

właściwym miejscu, kiedy ze zdumieniem ujrzał tytuł. *Mała księżniczka*. Powieść w sam raz dla dziesięciolecia. Zmarszczył brwi. Na kartce widniały imiona, wypisane dziecinnymi kulfonami:

Józia

Rózia

Ksiądz Jerzy odłożył książki z powrotem do kufra, po czym zszedł na dół do kancelarii, gdzie stał telefon. Odszukał numer w notesie i zadzwonił.

Czekał ze słuchawką przy uchu, licząc długie buczące sygnały, aż wreszcie na linii coś zatrzeszczało i usłyszał znajomy głos.

– Parafia Świętego Krzyża, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. W czym mogę pomóc?

– Niech będzie pochwalony, Jerzy Marczewski z tej strony. Pamiętasz mnie?

– Jurek z seminarium? Ten, który na pierwszym roku zamknął się w klozecie i nie potrafił wyjść?

– Ten sam. – Zrobiło mu się przykro, że koledzy zapamiętali go jedynie ze względu na tamtą nieszczęsną historię. Możliwe jednak, że sobie na to zasłużył.

– Jasne, że cię pamiętam. Co u ciebie? Dalej na tej nawiedzanej parafii? Nie myślisz przypadkiem za dużo o sznurach, co?

Ksiądz Jerzy odetchnął głęboko. Kostek Frączyński zawsze miał dziwaczne poczucie humoru.

– Nie, nie myślę. Ale mam do ciebie prośbę.

– Wal.

– Dałbyś radę dowiedzieć się, dlaczego mój poprzednik został odwołany?

– No wiesz, chodziły różne plotki...

– Wiem, że chodziły plotki. Też je słyszałem. Ale ja chciałbym poznać nie plotki, tylko fakty.

– Po co ci to właściwie? Tam naprawdę dzieje się coś dziwnego?

– Nie wiem. – Zawahał się Marczewski. – Możliwe.

– Zaraz, czekaj, to u was znaleźli tę martwą dziewczynę na torach? Czytałem o tym...

– U nas.

Po drugiej stronie zapadło wymowne milczenie i ksiądz Jerzy wystraszył się już, że dawny kolega odłożył słuchawkę. Nigdy nie byli dobrymi przyjaciółmi, po prostu Kostek, typ brata łąty, kumplował się ze wszystkimi, a Marczewski był zbyt nijaki, by kogokolwiek do siebie zrazić. Dla Konstantego prawdopodobnie ta znajomość nic nie znaczyła, ani przed laty, w seminarium, ani tym bardziej teraz. Mógł odmówić, mógł nawet pójść do biskupa i o wszystkim mu opowiedzieć. Jednak ksiądz Jerzy postanowił zaryzykować. Kostek Frączyński pracował w krakowskiej kurii i był jedyną osobą, która mogła mu w tej chwili pomóc.

– Zobaczę, co da się zrobić. – W głosie dawnego kolegi nie było entuzjazmu,

ale ksiądz Jerzy nie dosłyszał też w nim niechęci. Dobrze i to.

– Dziękuję.

– Może spotkamy się kiedyś, napijemy się piwa i powspominamy stare czasy?

– Pewnie. Z Bogiem.

– Z Bogiem.

* * *

– Spróbuj ty. – Witczak wręczył zmięty bilet Hance.

– Czemu ja?

– Masz najzręczniejsze palce.

Przejęta dziewczyna położyła na stole maleńką kulkę papieru i ostrożnie zaczęła ją rozprostowywać. Wyprany w pralce papier był szorstki i rwał się w rękach.

– Może lepiej byłoby wysłać to do laboratorium? – W głosie Synowca zabrzmiało powątpiewanie.

– Jasne, a odpowiedź dostaniemy za miesiąc. Albo w ogóle. Hanka sobie poradzi.

Dziewczyna sapnęła z przejęcia, Witczak nachylił się nad stołem. Chwilę później za jego plecami otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Waškowiak, wnosząc ze sobą lekki zapach piwa i kiełbasy z rusztu.

– Co tu się dzieje? Coś przegapiłem?

– Znaleźliśmy w kieszeni bilet – poinformowała go Hanka. – Może... O!

Papierek rozwinął się, ukazując wyblakły druk. Cena była czytelna, niżej można było się domyślić napisu JEDNO-RAZOWY. A nad ceną, wypisana małym drukiem, prawdopodobnie widniała nazwa miasta – tak zatarta, że kapitan zdołał odszyfrować tylko kilka liter.

– L? – zapytał Synowiec. – I Y?

– Wcześniej jest chyba T. Albo I.

– M...mogę usiąść z rozkładem j...jazdy i sprawdzić, k...które miejscowości najbardziej p...pasują. – Kapral gorliwością nadrabiał wcześniejszą niezgrabność.

– Warto spróbować. – Witczak zerknął na zegarek. – Idę coś zjeść. Hanka, wybierzesz się ze mną?

* * *

Tego dnia w menu Stokrotki były trzy dania do wyboru: żeberka w sosie własnym, kotlet pożarski i naleśniki z serem. Witczak zamówił żeberka, Hanka poprosiła o naleśniki, które potem skubała z wyraźnym brakiem apetytu. Nic dziwnego, że jest taka chuda, pomyślał kapitan, wgryzając się w mięso. Popił colą, beknął dyskretnie. Hanka dźgała widelcem wyływający z naleśnika ser. Coś ją

dręczyło, ale odezwała się, dopiero gdy kapitan skończył jeść.

– Myśli pan, że uda nam się dowiedzieć, kim ta dziewczyna była? Że ktoś... – zawahała się – gdzie jej szuka? Czeka na nią?

Jaka ona jest młoda, pomyślał Witczak. Nie rozczulał się. Dawno minęły czasy, kiedy młodość budziła w nim tego rodzaju uczucia. Ale mimo wszystko trochę Hance zazdrościł.

– Jest sezon urlopowy – przypomniał. – Mnóstwo ludzi teraz wyjeżdża. Jeśli nasza ofiara mieszkała sama, to możliwe, że nikt nie zwrócił uwagi na jej zniknięcie.

– Mogła mieszkać z rodziną.

– Z mamusią i tatusiem, jak przystało na porządną dziewczynę? Oczywiście mogła. Wtedy mamy pewną szansę.

Hanka podłubała jeszcze w naleśniku i oznajmiła:

– To takie... smutne.

– Jej śmierć?

Potrząsnęła głową.

– To, że przejechała przez pół kraju w tych starych sztruksach, z eleganckimi ubraniami upchniętymi w siatce. To musiało być dla niej ważne, cała ta podróż... Myślała, że coś zdoła osiągnąć, że coś zmieni...

– Że go powstrzyma – odpowiedział Witczak. – Kimkolwiek ten „on” miałby być.

Hanka odsunęła talerz z ledwo napoczętym obiadem. Witczak bez słowa przyciągnął go do siebie i zaczął jeść. Dziewczyna drgnęła, lekko zaskoczona, ale nie skomentowała.

– A tymczasem ktoś ją zabił – odezwała się w końcu zawzięcie. – Ktoś, komu prawdopodobnie ufała, zaszlachtował ją jak zwierzę i zostawił na torach.

– Masz rację, to smutne. – Witczak skończył drugi obiad i spojrzał na zegarek. – Poczekaj tutaj, zaraz wrócę.

Podszedł do baru, przy którym stał mężczyzna w kraciastej koszuli i czapce z daszkiem. Był wysoki i tęgi – góra solidnych mięśni otoczonych równie solidną warstwą tłuszczu – a kiedy się odwrócił, Witczak zobaczył twarz ozdobioną masą jaskraworudych włosów. Prawdopodobnie znowu ktoś z ruchu Pokój i Wolność. Nowy, bo tak imponującej brody Witczak nie mógłby zapomnieć.

Kapitan czekał, bawiąc się poduszczką do tuszu i pieczętką, które leżały na ladzie. Odbił na ręce obrazek domu wczasowego, obejrzał rozmieszczone na korkowej tablicy przypinki PTTK. Była tam Wielka Racza, Pilsko i Babia Góra. Nigdy nie przepadał za chodzeniem po górach, ale teraz niemal czuł ochotę, żeby ruszyć na szlak.

Dziewczyna za ladą podała wreszcie rudzielcowi zamówione piwo, a potem spojrzała na kapitana.

– Mogę zadzwonić? – zapytał.

– Jasne. – Barmanka przysunęła w jego stronę staroświecki aparat i zniknęła na zapleczu. Witczak zerknął na rudobrodego, ale ten nie zamierzał odejść. Pił swoje piwo niemal prowokacyjnie powoli, a kapitan czuł promieniującą z niego wrogość.

Wykręcił numer i czekał na połączenie. Po nieskończonej długiej minucie w Bielsku ktoś podniósł słuchawkę.

– Andrzej?

– Prosiłaś, żebym zadzwonił, to dzwonię.

– Jak tam?

– Nic szczególnego. Dojechałem, teraz zajmujemy się sprawą. Zadzwonię znowu jutro. Jak Karolinka?

– Wszystko z nią w porządku. Tylko...

– Tak?

Wyobraził sobie Renię w ich mieszkaniu na Osiedlu Grunwaldzkim, ściskającą słuchawkę w wąskiej dłoni. Jej skromny domowy strój, w którym spędzała większość czasu. Jej pokorny i nieustępliwy jednocześnie wzrok. Z łagodności uczyniła broń groźniejszą niż ta, której używali aresztowani przez Witczaka bandyci.

– Martwię się, Andrzej. Znowu mówili o Brzozówce w telewizji... Że wznawiają budowę.

– Wiem. – Witczak łypnął na rudobrodego, który wyszczerzył do niego zęby. Bardziej przypominało to ostrzeżenie niż uśmiech. – Nie musisz się niczym martwić.

– A jeśli u nas będzie tak jak... tam? Jeśli Karolinka zachoruje? W gazetach pisali, że nie ma niebezpieczeństwa, ale oni ciągle kłamią, sam przecież wiesz.

– Naprawdę nie ma żadnego niebezpieczeństwa. – W głosie Witczaka brzmiało znużenie. Nie pierwszy raz o tym rozmawiali. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

– Zadzwonisz jutro?

– Zadzwonię.

– O tej samej porze?

– O tej samej, tak.

Kiedy odkładał słuchawkę, spojrzął jeszcze raz na rudobrodego. Mężczyzna zamknął już usta, ale w jego oczach widać było wyraźne rozbawienie.

* * *

Dochodziła czternasta, kiedy wrócili na posterunek. Witczak spodziewał się, że zastanie tam rozczarowanego i wściekłego głodnego Synowca w towarzystwie znudzonego, pijącego kolejne piwo Waškowiaka.

Mylił się. Kiedy otworzył drzwi, powitał go głos kaprała, który najwyraźniej podekscytowany, jękał się bardziej niż zazwyczaj.

– P...panie k...kapitanie, ch...chyba j...ją z...znaleźliśmy.

– Pomogłem młodemu sprawdzić te wszystkie miasta i Olsztyn pasował najbardziej – sprecyzował Waškowiak. – Dziewczyna mogłaby dojechać stamtąd do Katowic Kormoranem, a z Katowic do Żywca. Cała noc w pociągu, dokładnie tak, jak mówiła. Zadzwoniliśmy więc do komendy wojewódzkiej w Olsztynie i zapytaliśmy, czy nie mieli ostatnio jakichś zgłoszeń o zaginionych osobach.

– I mieli? – Witczak właściwie zinterpretował owo uprzejme „my”. Telefonował prawdopodobnie Waškowiak, bo mało prawdopodobne, by jąkała poradził sobie z takim zadaniem.

– Nawet sporo, z czego większość to banalne ucieczki. Są wakacje, mnóstwo dzieciaków teraz rusza w trasę. Ale jedno zgłoszenie było szczególne. – Waškowiak zerknął w notatki. – Marta Jaczyk, lat dwadzieścia siedem, około metr siedemdziesiąt wzrostu, mniej więcej osiemdziesiąt kilo wagi, ciemne włosy. Zatrudniona w aptece, od tygodnia nie przychodziła do pracy. Jej zaginięcie zgłosił niejaki Wojciech Gawryluk, pracodawca. Dziewczyna mieszkała sama, rodziny nie miała.

Witczak przymknął oczy. Po tych wszystkich godzinach kręcenia się w kółko, po tym, co sam powiedział o sezonie urlopowym, naprawdę nie spodziewał się, że zdołają dziewczynę jednak zidentyfikować. Jednak cuda czasem się zdarzają, pomyślał.

Waškowiak podsumował to bardziej dosadnie.

– Mieliśmy kurewsko wielkie szczęście – stwierdził.

Część III: Miła dziewczyna

Porucznik Szczepan Dudek, który przyjął zgłoszenie o zaginięciu Marty Jaczyk, sam zaproponował, żeby spotkać się przed północą w knajpie obok komendy. Jak oznajmił zaraz na początku, nim jeszcze rozsiadł się przy stoliku, odkąd rzuciła go żona, przesiadywał w pracy do późna, a potem szedł pić. Powiedział to niby rozbawionym tonem, jakby to był świetny żart, ale Hanka widziała, że wcale nie jest mu do śmiechu. Porucznika otaczała niemal namacalna aura tragedii: widać ją było w brudnym kołnierzyku niegdyś chyba eleganckiej, a teraz wymiętej koszuli, popękanych naczynkach na nosie, drgającej -lekkopowiece lewego oka i trzęsących się dłoniach. Nieźle go musiało trafić, pomyślała Hanka i z wyżyn pewności swoich dwudziestu czterech lat pozwoliła sobie nawet na litość. Jej małżeństwo nigdy się nie rozpadnie, ona nie pozwoli, żeby praca była ważniejsza niż rodzina.

Dudek i Synowiec zamówili piwo, Witczak nie pił niczego, a Hanka zdecydowała się na wodę mineralną. Oczy zamykały jej się ze zmęczenia – przejechali samochodem prawie sześćset kilometrów i przez cały czas to ona siedziała za kółkiem. Owszem, sama chciała, bo lubiła prowadzić, a Synowcowi, który też miał prawo jazdy, niespecjalnie ufała, ale teraz płaciła za to cenę. Rozejrzała się dyskretnie. Bar typowy dla robotniczej dzielnicy, tak przynajmniej zgadywała, ponieważ nigdy wcześniej w podobnym lokalu nie była. Żadnych ozdób na ścianach – właściciel naj-wyraźniej uważał je za niepotrzebną ekstrawagancję – czy obrusów na stołach. Tylko to, co najważniejsze, czyli lane z kija piwo, wódka, nieszczególnie świeża galaretka z nówek za szklaną ladą i morze papierosowego dymu, w którym siedzące przy stolikach sylwetki wyglądały jak zagubione we mgle szare duchy. Hanka z nieprzyjemnym ukłuciem w żołądku uświadomiła sobie nagle, że jest tu jedyną kobietą. I patrzyli na nią, to też sobie uświadomiła. Przez cuchnącą zasłonę dymu czuła na sobie lepkie, zdziwione spojrzenia. Zerknęła na Jaśka Synowca – chciałyby, żeby chłopak teraz coś powiedział, nawet gdyby miał to być jeden z jego głupich żartów. Nie przyjaźnili się, po prostu Hanka uważała, że skoro oboje są nowi i młodzi, powinni się wspierać. Kapral jednak milczał, zgarbiony nad swoim kuflem, próbując wtopić się w tło. Zachowywał się tak od wyjazdu z Rokitnicy, odkąd jakimś cudem zdołał ubłagać Witczaka, żeby go zabrał. Zupełnie jakby bał się, że kapitan nagle zmieni zdanie i porzuci go gdzieś w polu na bezdrożach Warmii.

Zrezygnowana starsza szeregowka sięgnęła po swoją szklankę. Nigdy nie sądziła, że zwyczajna woda może mieć paskudny smak, ale ta miała.

– To ja przyjąłem zawiadomienie o zniknięciu tej dziewczyny. – Dudek zapalił, dodając elitarny smród carmenów do smrodu plebejskich sportów

i mazurów. – W zeszły czwartek to było. Przylazł do nas ten facet, zaraz, jak on się nazywał...? – Sięgnął po teczkę, na której zostały tłuste odciski palców. – Gawryluk, tak. Dyrektor apteki na Podgrodziu. Tak się przedstawił, chociaż tam tylko dwie osoby pracują: on i dziewczyna, to co z niego za dyrektor? Mały facet taki, męczący, jak lepiące się do podeszwy psie gówno. Powiedziałem mu, że mamy od cholery roboty i żeby sobie poszedł, ale on się uparł. I ciągiem to samo nadawał: że Marta to porządna dziewczyna, że z własnej woli nigdy nie opuściłaby dnia w pracy i tak dalej. W końcu dla świętego spokoju przyjąłem to zgłoszenie.

– I nic pan nie zrobił? – Hanka była pod wrażeniem, bo Witczakowi udało się to powiedzieć bez śladu potępienia w głosie.

Porucznik wzruszył ramionami.

– Nie. Dziewczyna dorosła była, a facetowi wymknęło się, że niedawno kogoś poznała. No i lato jest przecież, młodych ciągnie do zabawy, a nie do tego, żeby tyłek sobie wycierać w nudnej pracy. Uznaliśmy, że z gachem gdzieś wybyła, i tyle. Jak wytrzeźwieje i z łóżka mu wylezie, to się odezwie, tak sobie kombinowaliśmy. A ją naprawdę zabili, Jezu. – Dudek po raz pierwszy wyglądał na przejętego losem ofiary, szybko się jednak otrząsnął. – Wyślę kogoś z naszych, żeby wam pomógł, miasta nie znacie...

– Nie trzeba, poradzimy sobie. Adresy nam tylko pan da – powiedział Witczak. – Dziewczyny, tego Gawryluka i apteki, gdzie pracowała. I zdjęcie, jeśli jakieś macie.

Dudek pogrzebał w teczce, wyjął czarno-białą fotografię, po czym położył ją na stole, zakrywając ręką.

– Ten facet to, kurwa, trochę świr jest. Nie zdziwiłbym się, gdyby on ją zabił. Zobaczcie zresztą sami, aż ciarki po plecach chodzą, nie? – Dopiero teraz przysunął zdjęcie w stronę Witczaka. Hanka przechyliła się, by też spojrzeć. Tak, musiała przyznać, że porucznik ma rację. Aż ciarki po plecach przechodziły.

wtorek, 15 lipca

Dochodziła druga w nocy. Hanka, umyta już i przebrana w piżamę, powinna spać, ale zamiast tego siedziała na łóżku w swoim pojedynczym pokoju w hotelu – najtańszym, jaki udało im się znaleźć – i gapiała się na zdjęcie Marty Jaczyk. Dziwnie było spoglądać w twarz dziewczyny, którą zapamiętała jako leżące w kostnicy martwe ciało. Żywa Marta okazała się jeśli nie ładna, to przynajmniej dość atrakcyjna. Sfotografowano ją w aptece, kiedy kucając, układała na dolnej półce opakowania leków, skupiona na swoim zajęciu. Włosy, dłuższe i bez trwałej, opadały jej na policzki, spod białego fartucha wysunęło się krągłe kolano, a w rozchyleniu dekoltu widać było zarys piersi. Skupiona i jednocześnie nieświadoma, że ktoś właśnie schwytał ją w obiektyw. Było w tej fotografii coś

lekko perwersyjnego, jakby Hanka spoglądała przez dziurkę podglądacza. Porucznik miał rację – ktokolwiek nacisnął spust aparatu, prawdopodobnie był trochę świrem. Albo nawet więcej niż trochę.

Odłożyła zdjęcie i wyszła na balkon. Powietrze tutaj było zupełnie inne niż na wsi, ciężkie i duszne nawet w nocy. Hanka ostrożnie odetchnęła zapachem spalin i rozgrzanego asfaltu. Niebo nad Olsztynem było ciemne, bez śladu gwiazd, jak narzucona na miasto kołdra. Niżej dziewczyna widziała połyskujące w mroku światła: latarnie, może nocne sklepy. Przez moment opanował ją strach. Chciała wracać: do mamy, która powiedziałaaby, że cały ten pomysł z milicją od początku był głupi, choć w gruncie rzeczy czułaby się rozczarowana, i do ojca, który swoim zwyczajem wymruczałby „Szkoda”, choć pewnie by się ucieszył. Do koleżanek, które miały normalne prace w sklepach, szkołach czy urzędach i popychały już po uliczkach Żywca wózki z pierwszymi pociechami. Do kolegów, z którymi chodziła do technikum, a którym, kiedy spotykała ich po latach, nawet się nie przyznawała, że była w szkole milicyjnej, bo to zawsze kończyło się tak samo: zaczynali sobie z niej żartować i chcieli sprawdzać, czy naprawdę jest taka twarda. A ona twarda nie była.

Jeszcze nie.

Opanowała lęk, jak robiła to wiele razy wcześniej, i rozejrzała się. Dopiero teraz zauważyła, że na sąsiednim balkonie ktoś stoi – zarysowana w mroku sylwetka, ognik papierosa wędrujący przez noc w drodze do ust. Kapitan Witczak. Hanka już miała coś powiedzieć – w końcu głupio było tak stać w ciemności obok siebie – ale wtedy mężczyzna strzepnął popiół i odwrócił się. Jego gesty były niezborne, zbyt zamaszyste, poruszał się, jakby był chory. Albo pijany – Hanka dopiero po chwili zrozumiała, na co właściwie patrzy. Gdy Witczak otworzył drzwi do pokoju, światło padło na jego twarz, a dziewczyna cofnęła się odruchowo. Miała wrażenie, że widzi właśnie coś, czego nie powinna widzieć, coś zbyt intymnego i osobistego. Kapitan wyglądał na zmęczonego, ale Hanka zobaczyła więcej: jakiś cień w jego twarzy, który na krótką jak uderzenie serca chwilę uczynił go bliźniaczo podobnym do opuszczonego przez żonę porucznika Dudka.

Jak najciszej wróciła do swojego pokoju, zgasła światło i schowała się pod kołdrą. Myślała, że tej nocy nie zmrzury oka, ale zasnęła, ledwo przyłożyła głowę do poduszki.

* * *

ZŁO NADESZŁO OD WSCHODU

JUŻ TU JEST

POKUTUJCIE ŻEBY NIE STAŁO SIĘ WIĘKSZE

ŻAŁUJCIE ZA GRZECHY A ZOSTANIECIE OCALENI

Niżej ktoś dopisał, też kredą, ale innym charakterem pisma: MOŻE.

Ksiądz Jerzy przyglądał się przez chwilę równym białym literom znaczącym drzwi kościoła, potem poszedł do zakrystii, przyniósł miskę z wodą oraz szmatkę i starannie wszystko wytarł. Kreda miała niewątpliwie tę zaletę, że schodziła łatwo – Marczewski szczerze się cieszył, że nikt z miejscowych nie wpadł jeszcze na to, żeby użyć farby – ale i tak te powtarzające się napisy zaczynały go coraz bardziej irytować.

Zaniósł miskę z powrotem do zakrystii, otworzył kościół i usiadł w konfesjonale, czekając na wiernych, którzy przyjdą wypowiadać się przed mszą. Minęła dopiero siódma, miał więc trochę czasu. Pięć minut później drzwi skrzypnęły cicho i w nawie rozległ się zwielokrotniony echem odgłos niepewnych kroków. Po chwili ktoś ukląkł w konfesjonale i powiedział cicho:

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.
- Na wieki wieków. Amen – odparł ksiądz.

Mężczyzna milczał przez dobre pół minuty, a kiedy wreszcie się odezwał, mówił powoli, jakby zastanawiał się nad każdym słowem:

- Czy wierzy ksiądz, że istnieją grzechy, które można zmyć tylko krwią?
- Nie rozumiem – powiedział proboszcz ostrożnie, czując, jak mocniej bije mu serce. – Bóg jest miłosierny i nigdy nie żąda od nas takich ofiar.

Mężczyzna znowu ucichł na kilkanaście sekund. Ksiądz Jerzy czekał cierpliwie, z pocącymi się dłońmi i pulsem łomoczącym w skroniach. Jak powiedział ten milicjant? Gdyby to był film, morderca przyszedłby do kapłana wyznać swoje winy. Ale to nie był film, a proboszcz nie usłyszał wyznania. Jeszcze nie.

- Wierzy ksiądz, że to, co jedni uważają za grzech, dla innych może być... świętością?

- Nie sądzę, nie... – Czuł, że sam zaczyna się plątać. – Musiałbym znać więcej szczegółów. Jeśli...

Nie dokończył, bo mężczyzna zerwał się nagle i w kościele ponownie rozległ się odgłos kroków – tym razem znacznie szybszych, zdecydowanie zmierzających w stronę wyjścia. Ksiądz Jerzy wychylił się z konfesjonatu w samą porę, by dostrzec sylwetkę znikającą w jasnym świetle poranka. Nie rozpoznał jej, tak samo jak nie rozpoznał głosu – choć ten wydawał mu się znajomy. Przysięgłby, że gdzieś już tego człowieka słyszał, ale ostatecznie to samo mógłby powiedzieć o wszystkich mieszkańcach Rokitnicy.

Usiadł z powrotem, wycierając czoło chustką. Nie był pewien, co tu przed chwilą zaszło. Naprawdę rozmawiał z mordercą? Nonsens, uznał. Ktokolwiek

przyszedł się wyświadczyć, był prawdopodobnie kolejną zagubioną duszą. Tylko tyle.

Drzwi kościoła skrzypnęły znowu i po chwili proboszcz słuchał już skomplikowanej opowieści o ciągnącej się latami kłótni z teściową. „To nie moja wina, że ona taka jest, ale sam ksiądz rozumie, człowiek czasem nie wytrzymuje...”

Marczewski potakiwał odruchowo, myślami będąc zupełnie gdzie indziej.

* * *

– Czy robiłem Marcie ukradkiem zdjęcia? Co za bzdury! – Gawryluk zamachał gwałtownie przypominającymi poduszczeni dłońmi, kreśląc w powietrzu niemal idealnie okrągłe łuki. Sam też był niemal idealnie okrągły, z łysą głową przypominającą kulę do kręgli i okazałym brzuszkiem. – Kupiłem wtedy nowy aparat, bo z żoną na wczasy jechaliśmy, i żeby go wypróbować, cyknąłem parę fotek w aptecę.

– I na jednej przypadkiem znalazła się Marta Jaczyk? – zapytał Witczak, a Hanka po raz kolejny tego dnia zerknęła na niego spod oka. Po nocnym pijaństwie nie został ślad, kapitan był opanowany i spokojny jak zawsze. Starsza szeregowca zaczynała wierzyć, że wczorajsza scena na balkonie tylko jej się przywidziała.

– I na jednej przypadkiem znalazła się Marta, tak.

Hanka zostawiła w spokoju Witczaka i skupiła się na pytaniu, czy wierzy Gawrylukowi. Wyjaśnienie brzmiało sensownie, a poza tym na korzyść aptekarza świadczyło to, że z całą niewinnością dał zdjęcie milicji. Jednak nie do końca ufała temu krągłemu mężczyźnie. Wydawał się... zbyt gładki, niemal zbyt przekonujący, co w pewien sposób sugerowało, że potrafiłby równie wiarygodnie kłamać, gdyby tylko zechciał.

W aptecę zapadła cisza. Witczak i Hanka czekali, Gawryluk ocierał pot z czoła wielką kraciastą chustką. Byli tu już od kwadransa, zdążyli dostać klucze od mieszkania Marty Jaczyk – dziewczyna dała zapasowy komplet szefowi, żeby mógł w czasie jej urlopu podlewać kwiatki – i wysłać z nimi Synowca. Potem Witczak zapytał o zdjęcie, a Gawryluk odpowiedział.

Przez cały ten czas aptekarz nie zadał najważniejszego pytania.

On wie, pomyślała nagle Hanka. Już wie.

Gawryluk schował chustkę i nagle jakby skłął, zapadł się w sobie.

– Marta nie żyje, prawda?

– Tak, Marta nie żyje.

Usta aptekarza zadrgały, policzki zatrzęśły się. Cholera, zaraz się rozryczy, pomyślała zdumiona Hanka. Nie dziwił jej przy tym sam płacz, ale fakt, że mężczyzna nawet nie próbował się opanować ani w żaden sposób zasłonić.

Rozszlochał się jak dziecko, zupełnie otwarcie. Z oczu lały mu się łzy wielkości grochu, a on tylko ocierał je chustką.

Witczak spojrział znacząco na Hanke, najwyraźniej oczekując, że dziewczyna zajmie się aptekarzem. Tego właśnie spodziewano się po kobietach w milicji: pocieszania i uspokajania. Hanka świetnie o tym wiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca. Nie miała pojęcia, co teraz zrobić – pomysł, żeby podejść do Gawryluka i go objąć, wydawał się absurdalny.

Witczak chrząknął.

– Starsza szeregowo, proszę przynieść świadkowi szklankę wody.

Zawstydzona dziewczyna z ulgą umknęła na zaplecze. Znajdowały się tam miniaturowa łazienka i kącik kuchenny, składający się z szafki i przypiętego do butli gazowej palnika. Na palniku stał poobijany czajnik, na szafce Hanka znalazła szklankę z resztkami fusów po kawie. Wypłukała ją i przez chwilę rozważała, czy nie napełnić jej w łazience, zrezygnowała jednak – rodzice od dzieciństwa wbijali jej do głowy, że nie pije się prosto z kranu. Na szczęście w czajniku było jeszcze trochę wystudzonej wody. Pływały w niej jakieś śmieci, pewnie kamień z dna naczynia, ale to nie powinno Gawrylukowi przeszkadzać.

Nie przeszkadzało. Aptekarz wypił wodę jednym haustem i trochę się uspokoił. Wysmarkał nos, po raz ostatni przetarł oczy.

– Czy teraz może pan z nami porozmawiać? – zapytał Witczak.

– Tak. Mój Boże, biedna Marta... Takie nieszczęście. Powie mi pan, co się stało? To nie był wypadek, prawda?

– Nie. Marta Jaczyk została zamordowana. Więcej nie musi pan wiedzieć.

– Och... – Gawryluk zgiął się wpół. Hanka wystraszyła się, że zaraz znowu wybuchnie płaczem, ale tym razem mężczyzna odetchnął głęboko i jakimś cudem zdołał się opanować. – Niech pan pyta – powiedział. – Trzeba dorwać tego drania.

* * *

– Marta... Marta była miła, rozumie pan? – Gawryluk w roztargnieniu upił łyk kawy. Hanka zrobiła ją tym razem z własnej inicjatywy, po czym usiadła na ladzie obok kasy – innego miejsca nie było, bo Gawryluk i Witczak zajęli jedyne dwa krzesła. Od czasu do czasu ktoś z ulicy podchodził do drzwi apteki, patrzył na kartkę z napisem REMANENT, ZAMKNIĘTE i odchodził z kwitkiem. – Wiem, że o wszystkich ofiarach zbrodni tak się mówi – ciągnął tymczasem aptekarz. – Ale Marta naprawdę była miła. Spokojna taka, uważna, w wydawaniu leków nigdy się nie pomyliła... Wcale nie przypominała innych -dziewczyn...

– W jakim sensie?

– No wie pan kapitan, teraz to młodzi mają fiu-bździu w głowie, na dyskoteki chodzą, nic, tylko by się bawić chcieli. Albo narzekają, że to źle, tamto niedobrze. Ciągłe czegoś chcą, ciągle im mało.

– A Marta?

– Marta cieszyła się zwyczajnym życiem. Nie chciała gwiazdki z nieba, nie wydawało jej się, że jest Bóg wie kim i cały świat powinien z tego powodu paść jej do stóp. Była, no wie pan...

– Miła – odpowiedział Witczak.

– Miła, tak. – Gawryluk pociągnął nosem i napił się kawy. – Robiła, co do niej należało, po pracy czasem z koleżanką do kina wyszła. Nic więcej. Jezu, komu ta dziewczyna mogła przeszkadzać, żeby ją... Nie powie mi pan, jak zginęła, prawda?

– Miała chłopaka? – Kapitan udał, że nie słyszy pytania.

– Nie, chociaż...

– Tak?

– Jakoś w maju wydawało mi się, że chyba kogoś poznała. – Aptekarzowi prawie udało się spojrzeć na Witczaka wyzywająco. Prawie, bo załzawione oczy jednak psuły efekt. – To był mój błąd, prawda? Że powiedziałem o tym na milicji, jak zgłaszałem zaginięcie. Dlatego nic w tej sprawie nie zrobili.

– Niech pan opowie, jak to z tym chłopakiem było.

Gawryluk pokręcił głową.

– Nie wiem, czy w ogóle istniał jakiś chłopak. Ale w maju Marta poprosiła o wolny dzień w któryś piątek. Wydawała się... Sam nie wiem, jakby podekscytowana, wie pan, trochę zdenerwowana, ale przy tym radosna. Zgodziłem się i w czwartek przyszła do pracy z nową fryzurą, pochwaliła się też, że kupiła sobie na jutro sukienkę. Żartowałem z niej i pytałem, czy szykuje się na randkę, a ona...

– Tak? – tym razem odezwała się Hanka.

– Powiedziała, że jedzie spotkać się z kimś szczególnym. Uśmiechała się i wyglądała... wyglądała, jakby miała zaraz unieść się nad podłogą. Jak w tych wszystkich filmach, gdzie ludzie zakochują się, a potem tańczą i śpiewają w deszczu. Dlatego właśnie pomyślałem o chłopaku.

– Co było potem?

– Pod koniec maja wzięła dwa tygodnie urlopu. Założyłem, że chciała je spędzić z tym mężczyzną, ale wróciła jakaś inna, już nie radosna, tylko cała spięta, jakby wydarzyło się coś złego. Pomyślałem sobie, że może się pokłócili albo on ją rzucił. Pytałem nawet, delikatnie, wie pan, z młodymi dziewczynami trzeba ostrożnie, ale Marta nie chciała mówić...

Hanka uniosła głowę znad pośpiesznie bazgranych notatek. Albo jej się wydawało, albo w głosie Gawryluka zabrzmiała lekka uraza.

„Zazdrość?” – zanotowała. Pracodawca, który dostrzega takie szczegóły jak nowa fryzura u pracownicy i wypytuje o życie uczuciowe, wydawał jej się dość nietypowy. Choć może Gawryluk faktycznie nie miał niczego złego na myśli, może

po prostu Martę lubił i tyle.

„Akurat” – zapisała.

– Co było dalej? – dopytywał Witczak.

– Przez trzy tygodnie był spokój. Marta jak zawsze przychodziła do pracy, a potem... Potem...

– Zniknęła – podpowiedziała Hanka.

– Zniknęła, tak. – Aptekarz wyglądał na śmiertelnie znużonego, jakby płacz i wspomnianie zmarłej były niezwykle męczącymi zajęciami. – Nie przyszła w poniedziałek, a ja... Możecie się ze mnie śmiać, ale od razu wiedziałem, że stało się coś złego. Po prostu wiedziałem. Marta nigdy nie opuściłaby dnia pracy bez zawiadomienia mnie. Nawet jak była chora, zawsze dzwoniła, nie od siebie, bo sama telefonu nie miała, ale od sąsiadki. Zawsze.

Witczak spojrzał na Hankę zachęcająco. Teraz ty, mówił jego wzrok. Pytaj.

– Czy nazwa Rokitnica z czymś się panu kojarzy?

– Rokitnica? Nie. To tam Marta została zabita?

– Nigdy nie wspominała o takiej miejscowości? – Hanka, podobnie jak wcześniej kapitan, postanowiła zignorować pytanie.

– Nie przypominam sobie.

– A na ten urlop gdzie pojechała?

– Gdzieś w góry. Nie w żadne konkretne miejsce, tylko tak, żeby sobie pochodzić po szlakach.

– I nie miała żadnej rodziny? – Wiedzieli o tym już z notatki, którą dał im Dudek, ale wydawało się to na tyle dziwne, że wołała się upewnić.

– Nie. Wychowała się w domu dziecka gdzieś na Śląsku. W Będzinie chyba. Nie lubiła wspominać o tamtych czasach.

– Znajomych też nie miała?

– Nie. Nie była nieśmiała, po prostu lubiła trzymać się z boku. Typ samotnicy, rozumiecie.

– Wspominał pan coś o jakiejś przyjaciółce, z którą chodziła do kina.

– Koleżance. – Gawryluk podkreślił to słowo. – Nie były ze sobą bardzo blisko. I Staszka też nic nie wie, pytałem ją, kiedy Marta zniknęła.

– Mimo to chcielibyśmy z nią porozmawiać.

– Oczywiście, rozumiem. Nie znam jej adresu, ale wiem, gdzie mieszka. To takie małe osiedle nad Jeziorem Kortowskim. Parę razy tam Martę samochodem odwoziłem i z państwem też mogę pojechać. Tylko po pracy, dobrze? O szesnastej. I tak już długo zamknięte mam. Albo mogę wam narysować, gdzie Staszka mieszka, tylko nie wiem, czy ona teraz w domu będzie...

Hanka spojrzała na Witczaka, który ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– W porządku, przyjdziemy po szesnastej.

– To wszystko? – Gawryluk wyjął z kieszeni niesamowicie wymiętą już

wilgotną chustkę, spojrzął na nią i schował z powrotem. Wyglądał, jakby ledwo trzymał się na nogach, i Hanka zastanawiała się, jakim cudem aptekarz zamierza dziś jeszcze pracować.

– Nie wiem, niech pan nam powie – odezwał się Witczak. – Było coś jeszcze, co powinniśmy wiedzieć? Coś nietypowego w zachowaniu Marty? Coś, co powiedziała albo zrobiła?

– Nie. Chociaż... – Aptekarz zawahał się. – Mamy taki obowiązek, że w rejonie co najmniej jedna apteka nocą musi być otwarta. U nas są trzy, dlatego te nocne dyżury wypadają mniej więcej dwa razy w tygodniu. Marta wcześniej nigdy ich nie lubiła, zawsze mówiła, że bardzo ją męczą. Ale...

– Tak?

– Odkąd wróciła z urlopu, sama je chciała brać, nawet nie musiałem jej namawiać. Nie wiem czemu.

– Nie powiedziała panu? – W głosie Witczaka zabrzmiała lekka złośliwość.

– Nie, tylko się wykręcała, że ktoś musi, a ona w domu i tak sama siedzi, więc równie dobrze może posiedzieć tutaj. Tyle że wcześniej jakoś to nie miało znaczenia. Próbowałem pytać, ale – wzruszył ramionami i przez krótką chwilę wyglądał jak mały smutny chłopiec – ona nigdy mi nic nie mówiła. Zamknięta w sobie, taka już była.

* * *

– Co o tym sądzisz? – zapytał Witczak, kiedy jechali w stronę osiedla, na którym mieszkała Marta i gdzie urzędował już Synowiec. A przynajmniej powinien urzędować, bo kapitan nie był pewien, czy kapral poradził sobie z olsztyńską komunikacją miejską. – Stary próbował włączyć z butami w życie dziewczyny, a ona się broniła?

– Coś między nimi było – powiedziała Hanka ostrożnie.

– Lubił ją i próbował udawać dobrego tatusia? Czy raczej marzył, żeby wskoczyć jej do łóżka? A ona trzymała język za zębami, bo nie lubiła się zwierzać, czy po prostu dlatego, że uważała Gawryluka za paskudnego, wścibskiego dziada?

– Nie wiem. Może...

– Może co?

– Może ani jedno, ani drugie, tylko coś pośrodku. No wie pan, ludzie są skomplikowani.

– Tak czy owak, miałby motyw, żeby zabić, zwłaszcza jeśli się dowiedział, że jego ulubiona sierotka zadaje się z niewłaściwym chłopakiem. Albo jakimkolwiek chłopakiem.

– Miałby. – Hanka w ostatniej chwili skręciła w lewo. Gawryluk dobrze opisał im drogę, a ona miała niezłą pamięć, ale mimo to jazda po mieście trochę ją stresowała. – Ale w takim razie czemu miałby ją zabijać na torach w Rokitnicy?

– To jest pytanie, co?
– A te dyżury? Dlaczego dziewczyna, która wcześniej nie przepadała za siedzeniem po nocach w pracy, nagle to polubiła?
– Może nabawiła się bezsenności? – W głosie Witczaka zabrzmiała lekka kpina.
– Albo z kimś się wtedy spotykała – zaryzykowała Hanka. – Na przykład z tym tajemniczym chłopakiem.
– Szybki numerek na ladzie w aptece? Po co, skoro miała przytulne mieszkanko?
– Nie mam pojęcia – przyznała uczciwie starsza szeregowca. – Może miała też wścibskich sąsiadów?
– W porządku, sprawdzimy to. – Witczak nie wyglądał na przekonanego, ale przynajmniej nie uznał teorii za kompletnie bezsensowną. – Sąsiadów i tak trzeba będzie przepytwać. Jeszcze jakieś pomysły?
– Mogła handlować lekami na boku. Chociaż – Hanka od razu się zreflektowała – to chyba mogłaby robić zwyczajnie, w dzień, kiedy zostawała sama. Ta apteka nie wygląda na taką, gdzie od klientów nie można się opędzić.
– To też jest jakiś pomysł. Trzeba zapytać Gawryluka, czy coś mu ostatnio nie zginęło. Tutaj?
– Tak mi się wydaje. – Zaparkowała przed czteropiętrowym blokiem.
Osiedle było pełne życia: matki siedziały na ławkach, kołysząc wózkami, młodsze dzieciaki bawiły się w piaskownicy, a starsze jeździły na rowerach albo grały w gumę. Ich jasne, pełne radości głosy ścigały Hankę, kiedy wchodziła do klatki schodowej. A potem, z każdym kolejnym piętrem, wszystko to milkło, wysokość i kamienne mury wytłumiały śmiech i szczęście. Na czwartym panowała już głęboka cisza, jakby wszystkie mieszkania były tu puste, nie tylko to należące do Marty. W pogodny letni dzień taka cisza nie budziła zdziwienia, ale Hanka i tak wzdrygnęła się lekko.
Witczak zadzwonił pod numer dwadzieścia cztery. Otworzył mu Synowiec, wyraźnie zakłopotany i jeszcze wyraźniej nieszczęśliwy.

– P...przeszukałem wszystko – oznajmił. – I n...nic nie znalazłem.

* * *

Mieszkanie Marty Jaczyk składało się z niewielkiej kuchni, świeżo wyremontowanej łazienki i dwóch średniej wielkości pokoi. Witczak, który spodziewał się najwyżej zapyziałej kawalerki – choć i na zdobycie takiej dziewczyna miałaby marne szanse – spojrział zdziwiony na kaprała.

– T...to nie jej t...tak naprawdę. – Synowiec pośpieszył z odpowiedzią. – Tylko jakiejś k...koleżanki z uczelni. Ona t...teraz jest na k...kontrakcie w P...paryżu, a M...marta miała opiekować się m...mieszkaniami. Z...znalazłem

cały stos listów.

– Trzeba będzie tę właścicielkę powiadomić. Coś jeszcze?

– N...nic ciekawego, m...mówiłem.

– W porządku, rozejrzyjmy się tu jeszcze na spokojnie i pomyślmy.

Hanka posłusznie ruszyła na obchód mieszkania. W kuch-ni zajrzała do szafek, ale nie znalazła tam nic poza tym, czego można było się spodziewać. W jednej garnki i zastawa stołowa – w różyczki, chyba jeszcze przedwojenna – w drugiej mąka, ryż, kasza i woreczek z solą. W lodówce parę jajek, masło, napoczęta butelka ze skiśniętym mlekiem. Książka kucharska na blacie – kiedy Hanka wzięła ją do ręki, otworzyła się na stronie z przepisami na pierogi.

W łazience leżało trochę kosmetyków: krem Nivea, bezbarwny lakier do paznokci, szminka w bezpiecznym kolorze zgaszonej czerwieni, tusz do rzęs i puder. I perfumy Konwalia, które można było kupić w każdym kiosku. Nic droższego czy bardziej wyrafinowanego. Chciała dobrze wyglądać, ale nie miała dużo pieniędzy, Hanka przypomniała sobie własne słowa.

W pokoju, który starsza szeregowka nazwała „dziennym”, większość rzeczy prawdopodobnie należała do właścicielki mieszkania: porcelanowe bibeloty, staroświeckie zegary, obrazki z widokami zagranicznych miast na ścianach. W jednej z szuflad Hanka znalazła aparat fotograficzny i lornetkę, na stoliku pod oknem leżał notes w czarnej skóropodobnej okładce. Na pierwszej stronie widniał numer telefonu do apteki i trzy adresy: jeden Stanisławy Gwarek, olsztynianki, drugi mieszkającej w Paryżu Anny Szmidt i trzeci, należący do Elizy Sterczewskiej z Będzina. Koleżanka, z którą Marta Jaczyk chodziła do kina, kobieta, której mieszkaniem się opiekowała, i jeszcze ktoś, być może znajoma z dawnych czasów. Reszta stron była pusta.

W sypialni na półce przy łóżku stało kilka kryminałów z serii *Z jamnikiem* i wypożyczony z biblioteki romans angielskiej autorki, której nazwisko nic Hance nie mówiło. Obok album ze zdjęciami z wakacji, w przeciwieństwie do notesu wypełniony aż do ostatniej strony.

Przejrzała jeszcze szybko szafę: na półkach starannie złożone bluzeczki i sweterki, na wieszakach sukienki, jeden żakiet, jeden jesienny płaszcz, który był chyba jednocześnie płaszczem zimowym. Kurtka przeciwdeszczowa i zwinięte rajstopy wydzielające lekki zapach kulek na mole, trochę ubrań bardziej sportowych – krótkie spodenki, para sztruksów podobnych do tych, jakie znaleźli w siatce na dworcu. Kostium kąpielowy i grube wełniane skarpety. Na najwyższej półce Hanka znalazła starą walizkę, a także plecak turystyczny i śpiwór – te z kolei wyglądały na nowe, choć już używane. Na najniższej buty: jedna para eleganc-kich, pewnie do pracy, tenisówki, letnie sandałki w sam raz na plażę, zimowe kalosze i starannie wyczyszczone ciężkie buciory z gatunku tych, jakie wkłada się na długie piesze wycieczki. Też stosunkowo nowe, kupione chyba nie

dalej jak na wiosnę. Dziewczyna przyglądała się im przez dłuższą chwilę. Tknęło ją przecucie, na razie zbyt niejasne, by sformułować je w słowa. Zmarszczyła brwi.

– Znalazłaś coś? – zapytał Witczak, który w czasie, gdy Hanka przeszukiwała mieszkanie, spokojnie popijał w kuchni herbatę.

– Nie wiem... – Zawahała się. To wydawało się zbyt głupie, by o tym wspominać. Synowiec patrzył na nią ponuro – jeśli okaże się, że starsza szeregową odniosła sukces tam, gdzie on zawałił, ich wzajemne stosunki, i tak już nieszczęśliwie przyjacielskie, jeszcze się ochłodzią. Hance zależało na tym, żeby mieć w Jaśku kolegę, ale nie mogła przecież z tego powodu udawać, że niczego nie zauważyła.

Przeszła do pokoju dziennego i z półki pełnej delikatnych bibelotów zdjęła mewę z bursztynu, statek w butelce i lakierowaną muszelkę – tanie drobiazgi, które można było kupić w każdym sklepie dla turystów nad morzem. Drobiazgi, które nie pasowały ani do przedwojennej porcelany, ani do staroświeckich zegarów.

– Marta lubiła morze – powiedziała Hanka. – Niech pan zajrzy do albumu przy łóżku, to pan zobaczy, że wszystkie urlopy spędzała na wybrzeżu. Wszystkie z wyjątkiem ostatniego, bo na końcu są już zdjęcia z gór. Może to nic nie znaczy, może zwyczajnie morze jej się znudziło, ale mimo wszystko...

– To trochę dziwne, tak? Masz rację, wszystko, co wygląda nietypowo, powinno nas interesować.

* * *

– My do ksiondza probosca skroś tyj msy świentyj – powiedziała Janina Kurkowa, kiwając energicznie siwą głową. – Bo może by tak ksiondz jegomość nos usłuchol? To nic złego pomodlić się w intencji localenio wsi.

– Nie, jeśli istnieje rzeczywiste niebezpieczeństwo – przyznał ksiądz Jerzy. – Ale Rokitnicy nic nie zagraża.

– Elektrownie stawiajom – wtrąciła Aniela Grabkowa. – To nie wystarczy?

– Elektrownia nie jest niebezpieczna – tłumaczył cierpliwie. – Na całym świecie takie działają i nic złego się nie dzieje. Awaryje to rzadkość, naprawdę, nie muszą się panie martwić. Proszę zaufać Bożej opatrności. – Uśmiechnął się, ale żadna ze staruszek nie wyglądała na przekonaną.

– Ksiondz probosc młody jes i nye zno jesce prowdziwego zła – oznajmiła Grabkowa pobłażliwie. – Ludziska casem sie łomylom. To, co zdoje sie być dobre, tak naprowde może złe być. I na odwyrtkę. Cy jegomość to pojmuje?

– Nie – odparł jegomość zgodnie z prawdą. – Ale mam propozycję. Ja się zastanowię nad tą mszą, a panie dopilnują, żeby nie było więcej napisów na drzwiach kościoła, dobrze?

– Ksiondz zwazuje, ze to my pisemy? – oburzyła się Kurkowa.

– Skąd, jestem pewny, że żadna z pań niczego takiego by nie zrobiła. – Proboszcz wciąż był całkowicie szczery. Wiejskie staruszki miały za sobą najwyżej parę klas podstawówki i kiepsko radziły sobie nie tylko z przecinkami, lecz także z ortografią. – Jednak obie panie mają wnuki, a młodzież jest dziś taka niecierpliwa... Dlatego ja pomyślę nad mszą, a panie postarają się uspokoić młode pokolenie, dobrze?

Kurkowa niechętnie skinęła głową. Druga kobieta po chwili wahania poszła w jej ślady.

– I tak po prowadzie to trza by było, żeby ksiondz probosc cosik zrobił z to gałęzio w sodzie – Kurkowa dodała z dezaprobatą. – Mało se nogi na nij nye skręciłak.

– Zrobię, obiecuję. – Już trzy razy prosił miejscowych, żeby pomogli gałąź usunąć, ale jeden pilnie musiał jechać do synowej, drugiego nagle rozboleł krzyż, a trzeci zapił i w ogóle nie przyszedł. Proboszcz zastanawiał się, czy nie jest to przypadkiem niewielka dywersja ze strony mieszkańców Rokitnicy, ale może był za bardzo podejrzliwy. Mniejsza z tym, wyglądało na to, że i tak będzie musiał zająć się problemem osobiście.

Kobiety wyszły i ksiądz Jerzy został sam, a kiedy oderwał wreszcie myśli od gałęzi, uświadomił sobie, że było w tej rozmowie coś zastanawiającego.

„To, co jedni uważają za grzech, dla innych może być świętością”.

„To, co zdaje się dobre, tak naprawdę może być złe, i na odwrót”.

Czy te dwa zdania nie brzmiały niepokojąco podobnie?

* * *

Pili herbatę w mieszkaniu zmarłej – dla Witczaka była to druga filiżanka, dla Synowca i Hanki pierwsza. Dziewczyna miała wrażenie, że większość jej pracy na tym właśnie polega: nieskończenie długie dyskusje w kłębach papierosowego dymu przy kolejnych herbatach czy mocnych jak siekiera kawach. Jedyna różnica polegała na tym, że na komendzie nie mieli delikatnych porcelanowych filiżanek, tylko szklanki ze spodeczkami. A kiedyś naprawdę sądziła, że milicjanci zajmują się głównie ekscytującymi gonitwami za przestępcami i wymachiwaniem bronią.

– Zastanówmy się. – Witczak otworzył album ze zdjęciami. – Pod względem upodobań wakacyjnych ludzie dzielą się na dwie kategorie: tych, którzy lubią morze, i tych, którzy wolą góry, tak?

– A p...pan co lubi? – zapytał Synowiec, który zaraz chyba pojął, że palnął głupstwo, bo cały aż się skulił. Hanka spojrzała na niego ze współczuciem – chłopak zdecydowanie nie miał szczęścia. Jednak odpowiedzi była ciekawa, tak ekscentryczny człowiek jak Witczak miał prawdopodobnie także ekscentryczne upodobania urlopowe.

– Ja lubię wakacje przed telewizorem – burknął ku jej rozczarowaniu, po

czym wrócił do poprzedniego tematu. – To oczywiście uproszczony podział, ale przyjmijmy go na chwilę. Jaczyk była zwolenniczką wylegiwania się na słońcu. Żadnych forsownych wycieczek czy męczenia się w upale, tylko słodkie nieróbstwo na gorącej plaży. Czemu taka dziewczyna pewnego dnia kupuje ciężkie buty, grube skarpetki i plecak turystyczny, a potem rusza w Beskidy? Bo na tych zdjęciach są Beskidy, tak?

– Tak. Tu jest Pilsko, a tu chyba Wielka Rycerzowa... – Jak większość górali Hanka nie przepadała za łażeniem po górach dla samego łażenia. – Może po prostu potrzebowała odmiany? Albo namówił ją ten chłopak, którego podobno poznała?

– Patrzcie na te zdjęcia. Same budynki i widoki, czasem z jakimiś przypadkowymi ludźmi w tle, zgadza się? Nad morzem i w górach tak samo. Nigdzie ani śladu Jaczyk czy kogoś, kto mógłby być głównym celem fotografa. Może dziewczyna nie lubiła własnej twarzy, a może zwyczajnie nie miała śmiałości, żeby podchodzić do obcych i prosić ich o cyknięcie fotki. Gawryluk mówił, że była introwertyczką, trzymała się raczej z boku. Ale gdyby pojechała na wczasy ze świeżo poznanym chłopakiem... – Witczak zawiesił głos.

– ...wtedy pewnie zrobiłaby mu zdjęcie – podchwyciła Hanka. – Albo on jej. Albo przemogłaby się i poprosiła kogoś, żeby sfotografował ich razem w jakimś romantycznym miejscu. To znaczy, że na urlop pojechała sama.

– Prawdopodobnie – zgodził się Witczak. – Ale możliwe też, że były jakieś zdjęcia chłopaka, tylko zniknęły. Albo Jaczyk z zasady nie fotografowała ludzi. Albo cokolwiek. Zabierzemy ten album i przejrzymy dokładnie później. Notes z adresami też weźmiemy. Ktoś ma jeszcze pomysł, co możemy sprawdzić?

Hanka potrząsnęła głową, Synowiec po chwili z ociąganiem zrobił to samo. Kapitan zniknął w toalecie, a dziewczyna pozbierała filizanki, umyła je w zlewie i położyła na suszarce. Kiedy się odwróciła, wycierając ręce, kapral stał w progu z triumfującą miną. W ręku trzymał notes w czarnej okładce.

– Z...znalazłem coś. P...patrz, tu brakuje strony. Widzi p...pan? – zwrócił się do Witczaka, który wyszedł właśnie z łazienki. – K...ktoś ją m...musiał wyrwać.

Kapitan wziął notes, starsza szeregowca podeszła bliżej i zerknęła mu przez ramię.

Kapral miał rację: ktoś wyrwał stronę i co więcej, zrobił to tak ostrożnie, że ślad był ledwo widoczny. Hanka zauważyła go, dopiero kiedy Jasiek palcem pokazał jej parę mikroskopijnych strzępków papieru widocznych w rozchyleniu pomiędzy dwiema pierwszymi kartkami.

– Dobra robota – powiedział Witczak, a kapral wypiął dumnie chudą pierś.

* * *

Obiad zjedli w barze mlecznym niedaleko mieszkania ofiary. Dziobiąc widelcem pierogi z jagodami, Hanka zastanawiała się, czy Marcie Jaczyk naprawdę podobało się życie, jakie prowadziła: żadnej rodziny, którą można odwiedzić w niedzielę, czy przyjaciółek od serca, z którymi można umówić się na plotki albo na dyskotekę. Prawdopodobnie żadnego chłopaka, bo urlop w pojedynkę musiał oznaczać, że majowa znajomość okazała się niewypałem. Wieczory spędzane w domu przed telewizorem albo na tapczanie z książką, jakby miała sześćdziesiąt, a nie dwadzieścia kilka lat. Czy to właśnie jej odpowiadało? Hanka próbowała wyczuć tę dziewczynę, jednak ona ciągle jej się wymykała. Niezbyt ładna, ale dbająca o siebie, solidna, spokojna i trzymająca się z boku, choć i Rafał Sałata, i Wojciech Gawryluk twierdzili, że nie była nieśmiała. Czego chciała od życia? Jakie miała plany i marzenia?

I wreszcie najważniejsze pytanie: po co pojechała do Rokitnicy? Kogo i przed czym zamierzała powstrzymać?

Starsza szeregową drgnęła lekko, gdy głos Witczaka wdarł się w jej świadomość.

– ...w maju Jaczyk kogoś poznaje, sprawia sobie nową sukienkę, ścina włosy i jedzie na spotkanie, cała w skowronkach. Potem kupuje solidne buty, plecak oraz śpiwór. Bierze dwa tygodnie urlopu i wyjeżdża w góry, czego sądząc po zdjęciach, nigdy wcześniej nie robiła. Prawdopodobnie jest wtedy sama, choć szef uważa, że wzięła sobie do towarzystwa chłopaka. Może podczas tych górskich wędrówek dociera do Rokitnicy, a może nie, ale w każdym razie kręci się mniej więcej w tym rejonie. I wraca odmieniona, jakby bardziej spięta, czymś zaniepokojona. Ni z tego, ni z owego zaczyna brać nocne dyżury, a pewnego dnia na początku lipca znowu wybiera się do fryzjera, pakuje w siatkę ubranie i jedzie do Żywca. Tam przebiera się na dworcu, po czym rusza do Rokitnicy, żeby „kogoś powstrzymać”. W butach na obcasach idzie półtora kilometra leśną ścieżką, po czym ginie na torach, z tą swoją świeżo zrobioną trwałą, w eleganckiej spódnicy i bluzce. Czy dla kogoś ma to jakiś sens?

Spojrzał na Hanke, która odsunęła od siebie talerz z niedojedzonymi pierogami.

– Ona musiała się o czymś dowiedzieć. Wtedy, podczas tego urlopu, albo nawet jeszcze wcześniej, kiedy jechała na spotkanie z chłopakiem. Że ktoś robi coś złego, może kogoś krzywdzi... Z jakiegoś powodu nie mogła zgłosić tego na milicję, ale postanowiła sama działać. Choć to i tak nie wyjaśnia, czemu się przebierała...

– M...może była jak ci amerykańscy s...superbohaterowie, co zwalczają z...zło w specjalnych ciuchach – odezwał się Synowiec, najwyraźniej ośmielony dzisiejszym sukcesem. – Oni w...wkładają majtki na spodnie, a ona w...wkładała strój biurowy.

Zażenowana Hanka wbiła wzrok w kompot. Witczak otarł usta i rzucił zmiętą serwetkę na talerz, gdzie momentalnie nasiąkła resztą sosu i rozwinęła się niczym brązowy kwiat.

– Teraz pójdziecie przepytac sąsiadów – oznajmił. – Jest po trzeciej, przynajmniej niektórzy powinni już być w domu, a reszta niedługo wróci. Ja jadę najpierw do Gawryluka, potem do tej przyjaciółki, jak jej tam było... Sławka?

– Staszka – podpowiedziała Hanka. – Stanisława Gwarek.

Kapitan nie pofatygował się, żeby podziękować, skinął tylko głową i wstał od stołu. Hanka pomyślała, że czeka ich jeszcze długi dzień.

* * *

Kiedy Witczak z powrotem znalazł się w aptece, było wpół do czwartej, ale Gawryluk już zbierał się do wyjścia.

– Pomyślałem, że nie zaszkodzi, jak zamknę wcześniej – usprawiedliwiał się. – Kiepsko się dziś czuję, a skoro i tak mam pana zawieźć do Staszki...

– Znam adres pani Stanisławy.

– To znaczy, że już nie będę potrzebny?

– Będzie pan, bo Olsztyna z kolei nie znam i wolę, żeby ktoś pokazał mi drogę. Weźmiemy mój samochód.

Gawryluk skinął głową. Nie zaprotestował, nie zapytał, jak potem wróci do domu. Wydawał się zrezygnowany i naprawdę źle wyglądał. Jakby w ciągu ostatnich paru godzin postarzał się o dziesięć lat.

– Niech pan zaczeka. – Witczak powstrzymał aptekarza, kiedy ten wyjmował z szuflady klucz. – Mam jeszcze parę pytań.

– Tak?

– Po pierwsze, czy coś ostatnio panu zginęło?

– Słucham? – Zmęczony, załamany wzrok, w którym nie było śladu zrozumienia, ale znalazło się coś innego: lekka na razie czujność. – Co miałyby zginąć?

– Cokolwiek. Jakies leki czy inne specyfiki.

– Czy pan podejrzewa...

– Niczego nie podejrzewam. Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Nie, nic nie zginęło. – Aptekarz zacisnął usta w wąską kreskę.

– Jest pan pewien?

– Jestem pewien.

– W porządku, w takim razie drugie pytanie. Gdzie pan był w niedzielę szóstego lipca mniej więcej o godzinie dziewiątej rano?

Tym razem Gawryluk zrozumiał zdecydowanie szybciej. Ożywił się, wyprostował, jakby zebrał resztki sił. W jego oczach błysnęło oburzenie.

– Pan sądzi... pan sądzi...?

– Nic nie sędzę – przerwał mu Witczak. – I niczego nie podejrzewam, jak już mówiłem. To czysta formalność. A więc: gdzie pan był w niedzielę szóstego lipca, o dziewiątej?

– U teściów. – Aptekarz poddał się, ramiona mu opadły. – Cały weekend z żoną u nich byliśmy. To wtedy Marta zginęła, tak? Mój Boże...

– Teściowie gdzie mieszkają?

– Pod miastem.

– Mają w mieszkaniu telefon?

– To domek jednorodzinny, nie mieszkanie. Ale tak, mają.

– Proszę podyktować mi numer. I podać przy okazji nazwisko teściów.

Witczak przysunął sobie stojący na ladzie telefon. Nie było to może zbyt profesjonalne, ale na samą myśl, że miałyby jechać na jakieś zadupie i przesłuchiwać świadków, którzy nie mają do powiedzenia nic oprócz: „Owszem, zięć zjadł z nami niedzielne śniadanie, kielbaski bardzo mu smakowały”, zrobiło mu się słabo. A Gawryluk i tak nie był jakoś szczególnie podejrzany. Hanka miała rację: gdyby aptekarz z zazdrości zabił Martę Jaczyk, zrobiłby to tutaj, nie w Rokitnicy. I nie zawiadamiałby potem milicji.

Aptekarz dyktował, kapitan wykręcał numer. Przeczekał ledwo dwa długie sygnały, kiedy po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę.

– Mieszkanie państwa Zielińskich, słucham – odezwał się cienki głosik.

Witczak przedstawił się, podał stopień służbowy i zapytał, z kim rozmawia. Głosik natychmiast stał się bardziej nerwowy.

– Jagoda Sznajder, pracuję u państwa Zielińskich jako gosposia. Pan chce rozmawiać z panem czy z panią?

– Wszystko jedno.

– To zawołam panią.

Teściowa Gawryluka potwierdziła, że córka i zięć spędzili u nich cały weekend. Nie, nigdzie dalej w tym czasie nie wyjeżdżali, tyle co do miejscowego sklepu po piwo. Miało być ognisko w ogrodzie, ale kielbasy nigdzie nie dostali, więc wieczór skończył się na wspólnym oglądaniu filmu w telewizji.

Usatysfakcjonowany Witczak odłożył słuchawkę.

– Teraz możemy jechać – oznajmił.

* * *

Synowiec i Hanka podzielili się zadaniami: on przepytывał mieszkańców, idąc z ostatniego piętra w dół, ona odwrotnie, posuwała się od parteru w górę. Dziewczyna wolałaby co prawda na odwrót, bo na czwartym piętrze mieli większą szansę natknąć się na kogoś, kto znał dobrze ofiarę i jej zwyczaje, jednak kapral był starszy stopniem i Hance nie wypadało protestować. Już zresztą w okolicach mieszkania numer pięć doszła do wniosku, że prawdopodobnie niczego

sensownego się nie dowiedzą.

Pod jedynką otworzyła jej zmęczona, rozczochrana kobieta w mokrym fartuchu i z rękoma ociekającymi mydłem – za jej plecami chował się doszorowany do połowy, golutki brzdąc, najwyraźniej zachwycony, że dzwonek do drzwi przerwał mu wysoce niepożądaną kąpiel. Pod dwójką mieszkała para staruszków, oboje z wadą słuchu, nie bardzo kojarzący, o kogo właściwie Hanka pyta i czego chce. Pod trójką trafiła na kolejną rodzinę z dziećmi, tym razem dwójką starszych. Dziewczynka przysłuchiwała się rozmowie z otwartą buzią, a chłopiec na hasło „milicja” pobiegł do pokoju, wrócił z plastikowym karabinem, położył się na progu i zaczął wydawać z siebie dźwięczne „tra-ta-ta-ta”. Pod czwórką starsza szeregową nikogo nie zastała – jak wyjaśniła matka spod trójki, mieszkało tam młode małżeństwo, które rzadko bywało w domu. Pod piątką Hankę zaatakował wielki czarny brytan. Kobieta, która z trudem odciągnęła go od drzwi, wyznała, że kupiła sobie psa, ponieważ boi się byłego męża. „Nachodzi mnie, pod oknami wystaje, a raz nawet w samochodzie opony pociął”, mówiła. „Czy milicja nie mogłaby czegoś z tym zrobić?”

Wszędzie Hanka słyszała to samo: Marta Jaczyk, o ile sąsiedzi w ogóle ją kojarzyli, była miła i nikomu nie sprawiała kłopotów.

Określenie „miła” powtarzało się jak mantra. Słowo, którego używa się, kiedy człowiek nie ma pojęcia, co powiedzieć. Uspokajające sumienie zaklinanie zmarłych, na których, kiedy jeszcze żyli, nie zwracaliśmy uwagi. Miła. W dziewięciu przypadkach na dziesięć Hanka modliłaby się, żeby trafić na kogoś, kto wreszcie będzie z nią szczerą, ale tym razem poważnie zaczęła się zastanawiać, czy wszyscy ci ludzie nie mieli przypadkiem racji. Może Marta Jaczyk naprawdę była po prostu miła.

Spotkali się na drugim piętrze. Synowiec pokręcił głową, Hanka powtórzyła jego gest jak w lustrzanym odbiciu.

– Nic?

– Nic.

– Żadnych wścibskich sąsiadów, nikt nie miał do tej dziewczyny pretensji? – zapytała starsza szeregową.

– N...nie. Chyba że k...kłamia, ale nie w...wydaje mi się.

Hance też się nie wydawało. Jej doświadczenie – niewielkie co prawda, jednak jakieś – mówiło, że samozwańczy stróże moralności raczej się nie ukrywają. Gdyby ktoś miał Jaczyk za złe sprowadzanie do mieszkania mężczyzn, nie przepuściłby okazji, żeby poskarżyć się milicji. Wyglądało więc na to, że dziewczyna brała nocne dyżury z innych niż romantyczne powodów. Hanka nie miała pojęcia jakich i zabrakło jej sił, żeby teraz się nad tym zastanawiać. Była zmęczona, zgrzana, a przede wszystkim zniechęcona. Początkowy entuzjazm spowodowany identyfikacją ofiary zdążył się rozwiązać i teraz gotowa była uwierzyć,

że nigdy tej sprawy nie rozwiążą – i czuła się z tego powodu winna, bo wiedziała, że nie wolno jej tak myśleć. Potrzebuję kawy, uznała, albo dużej porcji lodów. A najlepiej jednego i drugiego.

Spojrzała na Synowca.

– Może zrobimy sobie przerwę? – zaproponowała. – Potem popytamy w innych klatkach.

– T...tam też p...pewnie niczego się nie d...dowiemy.

Wiem, pomyślała Hanka. Ale tak po prostu trzeba. Musimy coś zrobić, bo jeśli nie my, nie zrobi tego nikt inny.

* * *

Staszka Gwarek była drobną blondyneczką o wąskiej, lisiej twarzy i szarych oczach. Kapitan wiedział od Gawryluka, że miała dwadzieścia pięć lat – niewiele mniej niż Jaczyk – ale sprawiała wrażenie młodszej, zupełnie jakby przyszedł przepytac licealistkę. Czerwone od płaczu, mniej więcej roczne dziecko, które trzymała na ręku, nie dodawało jej powagi – Staszka wyglądała bardziej na niechętną siostrę, której rodzice wcisnęli marudnego braciszka, niż na matkę.

– Kapitan Witczak z Milicji Obywatelskiej, mogę wejść?

Lewa ręka, ta wolna, pofrunęła do ust, oczy zrobiły się większe.

– O mój Boże! Co się stało?

– Chcę tylko porozmawiać. Mogę wejść? – powtórzył.

– Pan w sprawie Marty, tak? Znaleźli ją?

Witczak nie miał pojęcia, czy Staszka mówi o martwej Marcie, czy może żywej, i chwilowo przynajmniej nic go to nie obchodziło.

– Mogę wejść? – zapytał po raz trzeci, z trudem hamując zniecierpliwienie, i dziewczyna wreszcie odsunęła się, wpuszczając go do środka. Momentalnie tego pożałował – mieszkanie było spore, ale duszne, dawno niewietrzone, podłoga lepiała się od brudu, a w kuchni, dokąd zaprowadziła go dziewczyna, panował nieopisany bałagan: zlew wypełniały brudne naczynia, na stole w płamie zaschniętego sosu wałały się obierki po kartoflach, skorupki jajka i resztki rozsypanej mąki. Śmierdziało gnijącym jedzeniem i czymś, co kapitan bez większego trudu zidentyfikował jako pełną pieluchę.

– Małemu muszę obiad zrobić – wyjaśniła Staszka z roztargnieniem, ale nie podeszła do piecyka ani do stołu. Kołysała tylko wrzeszczące dziecko monotonnym, pozbawionym czułości ruchem, wlepiając w Witczaka spojrzenie niezbyt przytomnych oczu. Nagle jakby się ocknęła, rozejrzała się dokoła i z powrotem skierowała wzrok na kapitana.

– Może herbaty panu zrobić? – zaproponowała bez entuzjazmu. – Przepraszam za bałagan, ale wie pan, przy dzieciaku to tyle roboty jest, że człowiek nie wie, w co ręce włożyć. A on tylko płacze i płacze, po nocach spać mi

nie daje...

– Dziękuję za herbatę. – Jeszcze przed chwilą Witczak chętnie przyjąłby poczęstunek, ale teraz uznał, że nie zaryzykuje picia czegokolwiek w tym domu. – Opowie mi pani o swojej znajomości z Martą?

– To jednak ją znaleźli? – Kołysała dziecko coraz szybciej, aż Witczak wystraszył się, że mały lada moment wystrzeli pod sufit.

– Tak, znaleźli.

– Żywą?

– Nie, martwą. Marta została zabita w niewielkiej miejscowości niedaleko Żywca.

– Ach. – Staszka znieruchomiała i przez chwilę wpatrywała się w ścianę ze zmarszczonymi brwiami. Wzrok miała dziwnie pusty, dziecko na jej ręku wciąż płakało. Witczak uświadomił sobie, że to nie jest zdrowy wrzask malucha, któremu dokucza głód czy pełna pielucha, dziecko musiało być chyba chore, bo jego płacz był tak samo monotony jak ruch, jakim jeszcze przed chwilą kołysała go matka. Monotonny i pozbawiony nadziei, jakby chłopczyk nie spodziewał się, że ktokolwiek zdoła mu pomóc.

– Opowie mi pani o Marcie? – przypomniał Witczak, wyjmując z kieszeni notes.

– Marta, tak. – Staszka znowu ocknęła się, jakby w jej środku ktoś spał nagle dwa druciki. – Poznałyśmy się w kinie, jakoś tak jesienią. Wiem, że pewnie nie powinnam – zachichotała cienkim kokieterijnym śmieszkiem – bo dziecko i w ogóle. Ale przecież każdy potrzebuje czasem rozrywek, nie? No więc poszłam do tego kina, a tam na seans czekała jeszcze tylko jedna osoba, właśnie Marta. Nie chcieli dla nas dwóch puścić filmu, ale Marta jakoś tak uprosiła, że w końcu się zgodzili. Potem, po seansie, poszłyśmy jeszcze na kawę i tak się zgadałyśmy. Marta mi pomagała...

– Przy dziecku?

– Przy dziecku też, ale głównie w domu. Wie pan, ja to sobie niezbyt radzę. – Kolejny kokieterijny chichocik. – Nieprzyzwyczajona jestem, w domu na mnie mama i tata ciągle dmuchali. A potem dałam sobie brzuch zrobić i skończyły się dobre czasy. Głupia byłam i tyle. Mąż ciągle w rozjazdach jest, jako kierowca pracuje i w domu bywa od święta. I tak sama zostałam z całym tym syfem. – Pociągnęła nosem, po czym otarła go lewą ręką. Dziecko, które na chwilę trochę przycichło, znowu się rozryczało. Kapitan miał wrażenie, że wrzask małego za moment rozsądzi mu czaszkę. Smród zatykał oddech, w żołądku nieprzyjemnie zawirowały mdłości. Witczak przełknął ślinę, patrząc, jak spasiona mucha odrywa się od szyby i nurkuje w brudnych naczyniach w zlewku. Pot spływał mu po czole coraz grubszymi kroplami, słońce za oknem prażyło, jakby chciało spalić na popiół smętne resztki stojącej na parapecie paprotki.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Martę? – zapytał, byle szybciej mieć z głowy całe to przesłuchanie.

– W piątek, jakiś tydzień temu. No wie pan, zanim zniknęła. Bażanta pomogła mi rozebrać, takiego, co wujek z polowania przywiózł. Bo mój Zdzisiek to się do niczego nie nadaje, ciągle go nie ma. A Marta na święta karpia potrafiła zabić i dla mnie, i dla siebie. Nic w tym dziwnego, nie? Nie miałam kogo prosić, to ją prosiłam.

– Wspominała może wtedy, że dokądś się wybiera?

– Nieee. – W głosie Staszki słychać było rozczarowanie.

Machnął w notesie jakiś gryzmoł. Szybciej, zanim żołądek się zbuntuje.

– A może wymieniła kiedyś nazwę Rokitnica?

– Eee. Rokitnica? Jak od diabła?

– A o chłopaku może coś mówiła? Że kogoś poznała?

– To on panu nagadał? Gawryluk? Jeśli tak, to nieprawda. – Staszka znowu pociągnęła nosem. – O chłopaku by mi powiedziała. Nie byłyśmy może jakimiś wielkimi przyjaciółkami, ale...

– Ma pani pojęcie, kto mógłby ją zabić?

– Nie. No chyba że jej szef – zachichotała, tym razem trochę złośliwie. – Z zazdrości.

– Był o nią zazdrosny?

– Na serio to nie. Ale trochę może tak, tyle że tak bardziej dla żartów. No wie pan, robił z siebie takiego niby dobrego wujaszka, co pilnuje cnoty ładnej siostrzenicy. Marta się z niego śmiała.

– Nie bała się go?

– Starego Gawryluka? Gdzie tam. Zawsze miałyśmy z niego ubaw. Będzie mi jej brakowało, bo kto teraz...

– Dziękuję, to wszystko. – Witczak z trzaskiem zamknął notes. – Sam trafię do wyjścia.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, stał przez chwilę z zamkniętymi oczami, oddychając głęboko. Na osiedlu czuć było świeżo skoszoną trawę, paloną gumę, a także gotowaną kapustą, której woń dolatywała z okna na parterze. W tej chwili kapitan Witczak byłby gotów przysiąc, że to trzy najpiękniejsze zapachy na świecie.

* * *

Przez cały wtorek proboszcz nadrabiał poniedziałkowe zaległości i dopiero wieczorem, kiedy Pawliczkowa poszła do domu, a Bartek wrócił do wikarówki, przypomniał sobie o leżących na strychu walizkach. Zniósł je na dół, po czym już na spokojnie, we własnej sypialni, posegregował ich zawartość. Znalazł jeszcze więcej ubrań – te pogryzione przez mole zrzucił na stertę pośrodku pokoju, mniej

zniszczone starannie poskładał i odłożył z myślą, że może przydadzą się biednym. I więcej książek. Znowu klasyka, polska i zagraniczna. Same poważne powieści w ciemnych, niemal żałobnych okładkach ze sztucznej skóry. Poważne powieści dla poważnego mężczyzny w średnim wieku. Na ich tle strona z *Małej księżniczki*, teraz starannie schowana w szufladzie przy łóżku, sprawiała szczególnie absurdalne wrażenie.

W ostatniej walizce były drobiazgi codziennego użytku: staroświecka brzytwa w eleganckim etui, przybornik na igły i nici, łyżka do butów, okulary w rogowej oprawie, obrazek świętego Wojciecha i opakowanie dawno przeterminowanych leków na ciśnienie. Ziemski majątek zmarłego tragiczną śmiercią księdza nie wyglądał imponująco. Marczewski zamknął walizkę – sam do końca nie wiedział, czego szukał. Czegoś cennego? Jeśli coś takiego było w bagażach, poprzedni proboszcz prawdopodobnie dawno już to znalazł i zabrał dla siebie. Albo sprzedał. A może czegoś, co w jakikolwiek sposób wyjaśniłoby tajemnice Rokitnicy: pliku listów czy nawet pamiętnika?

Rozbawiony własną naiwnością, wrzucił do walizki opakowanie tabletek i wstał z kolan. Przeciągnął się, prostując zeszywniałe mięśnie. Czuł się trochę głupio – oto dorosły facet, duchowny z powołania, któremu zachciało się bawić w detektywa. Śmiechu warte.

Nie zamierzał jednak tak łatwo zrezygnować.

Otworzył okno, oparł łokcie o parapet i patrzył w ciemność rozciągającego się wokół plebanii ogrodu. Noc pachniała różami, które hodowała Pawliczkowa. Proboszcz parę razy próbował jej pomóc, ale jako ogrodnik radził sobie tak kiepsko, że szybko dał spokój. W gruncie rzeczy, pomyślał z goryczą, bycie księdzem było jedynym, co kiedykolwiek mu wychodziło – choć i w tej roli sprawdzał się tak sobie. Powinien przynajmniej usunąć tę gałąź z ogrodu. Był za słaby, żeby to zrobić sam, ale z pomocą Bartka dałby radę. Wikary wbrew pozorom mięśnie miał niezłe wyrobione przez te wszystkie piesze wycieczki i ćwiczenia na świeżym powietrzu.

Na piętrze wikarówki paliło się światło – jasny, ciepły blask oznaczał, że domownik jest u siebie, czyta w fotelu, ogląda telewizję albo szykuje się właśnie do snu. Ksiądz Jerzy przez krótką chwilę miał ochotę przejść te kilkanaście metrów, zapukać i zaprosić młodego księdza na partyjkę warcabów, na wspólne wypicie filiżanki herbaty, cokolwiek. Przynajmniej w ten wieczór miałyby towarzystwo. Jednak nigdy wcześniej tego nie robił i gdyby teraz nagle zaczął, wyglądałoby to co najmniej dziwnie. A Marczewski nie miał pewności, czy stać go już na to, by być dziwnym.

Drgnął lekko, kiedy światło na piętrze zgasło. Bartek poszedł spać, pomyślał i zaczął zamykać okno. Nim jednak przekręcił klamkę, światło w wikarówce zapaliło się ponownie, tym razem na parterze, tam gdzie znajdowała się salka

katechetyczna. Po co młody ksiądz schodził na dół o tej godzinie?

Proboszcz wciąż stał przy oknie, trochę z ciekawości, a trochę dlatego, że i tak nie miał nic ciekawszego do zrobienia. I został nagrodzony, bo w ciemności wyraźnie usłyszał skrzypnięcie drzwi. Smuga światła zalała ogród, wyławiając z mroku szczupłą postać, która pośpiesznie zniknęła w wikarówce. Światło zgasło na parterze i po chwili znów zapaliło się na piętrze. Na tle okna pojawiły się dwie czarne sylwetki, a potem ktoś – prawdopodobnie wikary – zasunął zasłonę i proboszcz niczego więcej nie widział ani nie słyszał.

Marczewski zamknął okno, myśląc o tym, co właśnie zobaczył. To nie musiało nic znaczyć, być może powód nocnej wizyty był całkowicie niewinny. Bartek miał dobry kontakt z ludźmi. Prawdę powiedziawszy, mieszkańcy Rokitnicy chętniej szukali pomocy właśnie u młodego wikarego niż u proboszcza.

A jeśli Bartek znalazł sobie kochankę? Cóż, pomyślał ksiądz Jerzy z odrobiną cynizmu, i to nie oznaczałoby jeszcze tragedii. Mnóstwo księży tak robiło, zwłaszcza na wsiach istniało ciche przyzwolenie na podobne związki, przynajmniej dopóki obie strony nie afiszowały się nimi jakoś przesadnie. I dopóki nie było z nich dzieci. A to, jak wikary pogodziłby taki romans ze ślubami czystości, ostatecznie było kwestią jego sumienia.

Proboszcz, rozkojarzony, odmówił wieczorny brewiarz i usiadł przed telewizorem. Nie chciało mu się spać, a na czytaniu pewnie też nie mógłby się skupić. Oglądał więc film, podczas gdy jego myśli uciekały w różne strony. Bartek i nocna wizyta w wikarówce, dziewczyna na torach, kartka z *Małej księżniczki*, dwa dziewczęce imiona i trzech księży: pijak, który zginął w nieszczęśliwym wypadku, samobójca i trzeci, odesłany przez biskupa gdzieś daleko.

Na ekranie telewizora zaczęło śnieżyć, głosy aktorów rwały się i ginęły w szumie. Tutaj, niedaleko granicy, sygnał bywał słaby, a spod polskich programów od czasu do czasu wyzierały czeskie, niczym dobijające się na powierzchnię wyblakłe duchy.

Ksiądz Jerzy myślał. Film się skończył, a on nie miał pojęcia, czy dzielny kowboj zdobył na końcu miłość blondynki i pomścił śmierć brata. Nic go to nie obchodziło. Myślał.

Próbował dziś rozmawiać ze starszymi mieszkańcami Rokitnicy, ale ci, wypytywani o poprzednich księży, niezmiennie nabierali wody w usta. A on bał się naciskać, bo jego ciekawość mogłaby się wydać, no cóż, dziwna.

Miał wrażenie, że to słowo ostatnio określa sporo rzeczy, które robił bądź chciałby zrobić.

Istniał jednak inny sposób na dowiedzenie się czegoś konkretnego. Ludzie mogą niechętnie rozmawiać z księdzem, ale proboszcz zawsze porozmawia z proboszczem. A duchowni lubili plotkować we własnym gronie, wiedział o tym od czasów seminarium. Mógłby wybrać się z wizytą do sąsiednich Jaworków,

gdzie wiernymi opiekował się ksiądz Stefan Wójcik, obecnie chyba sześćdziesięcioletni. Albo i starszy. Wójcik musiał znać zarówno księdza Zielnika, jak i wcześniejszego proboszcza, może zetknął się nawet z jeszcze wcześniejszym, tym, który utopił się w jeziorze.

Marczewski wstał i ruszył w stronę łazienki. Kiedy się kąpał, obraz w telewizorze nabrał ostrości, ukazując wiejską drogę, na końcu której wznosił się kanciasty budynek. Przed kamerą na tle jaskrawych polnych kwiatów stał rudobrody mężczyzna w kraciastej koszuli i krzyczał coś, wygrażając pięścią, ale jego głos ginął w szumie odbiornika.

* * *

Siedzieli w pokoju Witczaka i Synowca – mężczyźni na łóżkach, Hanka na krześle pod otwartym oknem, przez które wpadało chłodne wieczorne powietrze. Na zachodzie niebo rozdarł błękitny zygzak błyskawicy. Witczak odruchowo zaczął liczyć: jeden, dwa, trzy... Przy siedmiu nad miastem przetoczył się grzmot, jak odległy na razie pomruk skradającego się zwierzęcia. Kapitan próbował sobie przypomnieć, co właściwie w tym przypadku oznaczało sześć. Odległość, w jakiej znajdowała się burza? Nie pamiętał już. Czasem miał wrażenie, że wspomnienia z dzieciństwa wyciekają z niego, tak jak piasek sypie się z dziurawego worka.

Podmuch chłodnego wiatru wydał firankę. Kapral, który po ciężkim dniu przysypiał, oparty o ścianę, poruszył się niespokojnie i coś wymamrotał. Pochylona nad notatkami kapitana Hanka poprawiła opadający na czoło kosmyk włosów.

– Ta cała Staszka nie jest chyba zbyt sympatyczna – powiedziała.

– Nie jest. – Witczak sięgnął po papierosa, ugniótł go starannie w palcach i pstryknął zapalniczką. Od okna znowu zawiało ostrym przedburzowym chłodem, firanka musnęła śpiącego Synowca w policzek, a chłopak zabawnie zmarszczył nos. – Szkoda, że nie widziałaś jej mieszkania. Duży, porządny lokal zapuszczony jak najgorsza melina. Ta kobieta to kompletny flejtuch.

– Nie dziwi to pana? – Hanka zamknęła notes. – Wszyscy powtarzają, że Marta Jaczyk była miła.

– Nie wszyscy, tylko jej szef. Sąsiedzi prawie tej dziewczyny nie znali – zwrócił jej uwagę.

– Ale Gawrylukowi przecież możemy wierzyć – upierała się starsza szeregowa. – A on twierdzi, że Marta była poukładana i solidna.

– Zupełne przeciwieństwo Staszki, co?

– Właśnie. Dlaczego taka dziewczyna jak Marta miałaby przyjaźnić się z kimś takim jak Stanisława Gwarek?

– Nie wiem, ty mi powiedz. – Witczak wzruszył ramionami. Coraz bardziej zazdrościł pochrupującemu cicho Synowcowi i coraz intensywniej myślał o tym, jak pozbyć się Hanki z pokoju.

– Może była samotna – rozważała tymczasem dziewczyna. – Albo z natury miała dobre serce, wie pan, typ samarytanki. Chociaż wtedy chyba pomagały też innym, choćby tym starszkom spod dwójki...

Witczak ledwo słuchał, głos starszej szeregowej działał na niego usypiająco. Przez chwilę zastanawiał się nad Hanką, nad tym, jaki był jej największy atut. Dziewczyna miała sporo rozumu, owszem, ale co poza tym? W pewnym momencie wydawało mu się, że jej siłą będzie współczucie – kobiety zazwyczaj dobrze się sprawdzały na tym polu, a ona niewątpliwie była wrażliwa. Ale wtedy, w aptece, kiedy Gawryluk się rozplakał, stała jak sparaliżowana, niezdolna do podjęcia żadnej sensownej decyzji. Jeśli sobie z tym nie poradzi, Witczak czarno widział jej dalszą karierę.

– Panie kapitanie? – Nagła zmiana tonu wyrwała go z zamyślenia.

– Tak?

– Pan coś napisał, o tu. – Dziewczyna pokazała mu gryzmoł w notesie. – Wygląda jak... „zabite”? „Zabity”?

– Zabijała. – Witczak zabrał Hance notes. W ogóle nie powinien był go jej dawać. Kiedy robił te notatki, zdecydowanie nie czuł się dobrze. – Z pytajnikiem.

– Kto zabijał?

– Marta, tak przynajmniej twierdzi Staszka. Dziewczyna przychodziła do niej sprzątać kurczaki i zabijać karpie na święta.

– Myśli pan, że to ma znaczenie? – W głosie Hanki słychać było niepewność. – Że Marta... wcale nie była taka miła, jak się ludziom wydawało?

– Daj spokój, gdyby każdy, kto kiedyś zabił karpia, był mordercą, musielibyśmy wsadzić do ciupy pół kraju. A teraz idź już, spać mi się chce. Jutro wracamy do Rokitnicy, a ty wsiadasz w pociąg i jedziesz na Śląsk.

– Do domu dziecka, gdzie wychowała się Jaczyk?

Witczak skinął głową.

– I do Elizy Sterczewskiej. Porozmawiasz ze wszystkimi, którzy mogą naszą ofiarę pamiętać, i jeśli ta dziewczyna ma jeszcze jakąś żyjącą rodzinę, z nimi też pogadasz.

– A pan i Jasiak?

Zgasił papierosa. Niebo na zewnątrz rozjarzyło się neo-nowym błękitem i sekundę później tuż nad hotelem huknął grom. Hanka podskoczyła lekko, Synowiec drgnął, ale się nie obudził. Witczak wyciągnął ręce, żeby zamknąć okno, i poczuł na twarzy pierwsze zimne krople.

– Kapral zajmie się ustalaniem wakacyjnej trasy Marty Jaczyk – powiedział, nie odwracając się. – Na podstawie zdjęć z albumu da się to chyba zrobić. Ja znajdę sobie jakieś zajęcie. Idź już.

Kiedy wychodziła, wciąż patrzył w zalaną deszczem szybę, za którą nieruchome miasto rozpałało się i gasło w serii elektrycznych błysków, jak

wstrząsany wyładowaniami potwór ze starych, czarno-białych jeszcze horrorów.

Część IV: Dziewczyna w deszczu

środa, 16 lipca

Kiedy w środę rano ksiądz Jerzy wychodził z kościoła, dogoniła go żwawa sześćdziesięciolatka. Znał ją, oczywiście, ale w tej chwili nie potrafił przywołać w pamięci nazwiska.

– Jegomości... – wydyszała.

– Słucham? – Odwrócił się, mrużąc oczy w obronie przed ostrym światłem.

– Ksiondz probosc na msy świętyj godoł, ze w tym tygodniu kościół sprzontajom ci z Łoncek, prowda?

– Tak. Chyba tak. – Harmonogram sprzątania przygotowywał kościelny i proboszcz nie bardzo się orientował.

– To jo chciałak byk pedzieć, ze w tym tygodniu nye moge, bo wyjezdzom na pore dni. Córka mnie zaprosiła, wnuka bydom krzcic, w sobotę co prowda dopiero, ale Maryśka kcioła, zebyk wcześniej jij w chałpie pomogła.

– Nie ma problemu, z pewnością inni panią zastąpią. – Ksiądz Jerzy był lekko zdumiony tym dowodem obowiązkowości. Na Łączkach stało kilkanaście domów i kościół z pewnością nie miał szans zarosnąć brudem w czasie nieobecności jednej starszej pani.

– Prowda, nale nye kcioła byk ksiondza probosca zawieść – ciągnęła. – Nigdy jesce zodnego sprzontanio nie opuściłak, łodkond te dziwne zwyczajy nastaly.

– Jakie zwyczajy? – zapytał odruchowo, myślami już będąc w drodze do Jaworków.

– No, łodkąd downy ksiondz probosc ustanowił, ze bydemy sprzontać po kolei. Wcześniej, jesce za ksindza Kubiaka, była jedno baba, co tygo sprzontania wartowała. I niek ksiondz jegomość sie nye gniwo, ale wtedy to pewnie lepiej było, kłopotu mniej. Tyroz to jedni robiom tak, inni siak, dogodać sie nye mozna.

– Zaraz, mówi pani, że ksiądz Zielnik zmienił zwyczajy? Kto wcześniej pilnował sprzątania?

– Halinka Zakrzewsko, ta, co łumarła łońskiego roku na płuca. Panie, łodpuść jij grzechy...

A wcześniej długo chorowała, przypomniał sobie Marczewski. Już miał nadzieję, że decyzja księdza Zielnika okaże się tropem prowadzącym do rozwiązania choć jednej z tutejszych tajemnic, a tymczasem były proboszcz prawdopodobnie zmienił zwyczajy po prostu dlatego, że na miejsce Zakrzewskiej zabrakło chętnych.

– Jakby tak ksiondz probosc uwozył, zeby zaś było po starymu, to jo byk mogła tego przypilnowość. Wceśniej casu zek nye miała, bo w sklepie robiłak, ale teraz, jak zek juz na emeryturze, dzieciska z chałpy łuciekły, to cymu nye. Zgodzi się ksiondz probosc?

– Tak, oczywiście.

– To jo moze nye byde juz ksindzu głowy zawracać, ksiondz...

– Chwileczkę. – Z trudem powstrzymał się przed wyciągnięciem ręki i złapaniem za rękaw eleganckiej szarej bluzki, która wydzielala nikły zapaszek kulek na mole i starej szafy. – Czy mogłaby mi pani opowiedzieć o księdzu Zielniku? Albo o księdzu Kubiaku?

Źle zaczął, wiedział o tym. Kobieta, która dostała już, czego chciała, momentalnie zrobiła się czujna.

– Łopowiedzieć? A po co to ksiendzu wiedzieć? Ja plotki nyerada rozpuscom. A ludziska słabości swoje mojom, przeboczyć im trza, zaś nye po wielu rokak przypominość.

– Nie powiedziałem, że rozpuszcza pani plotki. I nie chcę nikomu nic wypominać. Po prostu... – Gdyby powiedział „jestem ciekawy”, prawdopodobnie doczekałby się popularnego przysłowia o tym, co jest pierwszym stopniem do piekła. – Nieważne. – Poddał się właściwie bez walki. – Nie będę pani więcej zatrzymywał.

Kobieta odeszła, dumnie unosząc siwą głowę, a on skierował się w stronę plebanii, gdzie w garażu czekał rzadko używany samochód. Jako detektyw po raz kolejny poniósł klęskę, ale wciąż liczył na rozmowę z proboszczem Jaworków. Jeśli on mi niczego nie powie, przestanę się wygłupiać i dam sobie spokój, postanowił solennie, wsuwając się za kierownicę. Kiedy wyjeżdżał z Rokitnicy, odprowadzały go spojrzenia grupki starszych pań. Złowił jeszcze w lusterku ich zaniepokojony wzrok, a potem docisnął pedał gazu i zostawił za sobą wieś.

* * *

Hanka siedziała w przedziale pociągu dalekobieżnego relacji Warszawa–Katowice i po raz kolejny przeglądała akta sprawy. Za oknami przesuwiał się letni krajobraz, zielone niziny Mazowsza stopniowo ustępowały lasom i łagodnym pagórkom południowej części kraju. W przedziale czuć było rozgrzanym metalem, popiołem z popielniczki przy oknie i wyziewami z ubikacji, której nie-domknięte drzwi trzaskały przy każdym zakręcie. Hanka próbowała otworzyć na chwilę okno, ale podmuch wiatru momentalnie zmiótł z siedzenia wszystkie kartki, zamknęła je więc i jechała dalej, spływając potem i czując, jak żar lipcowego dnia pali ją w kark. Jedną butelkę oranżady wypila szybko, póki była jeszcze zimna, drugą zostawiła sobie na czarną godzinę – wtedy, gdy nie będzie jej już obchodziło, że pije obrzydliwie ciepły, smakujący czystą chemią płyn. Miała

też kanapkę, ale po pięciu godzinach podróży bała się odwinąć ją z papierka – wolała nie wiedzieć, co prawie czterdziestostopniowy upał może zrobić z paprykarzem szczecińskim i kawałkiem kiszzonego ogórka.

Ignorując narastające pragnienie, skupiła się na materiałach, które do tej pory zebrali. Marta Jaczyk urodziła się 4 lipca 1959 roku w Będzinie, wychowała w domu dziecka, skończyła liceum i poszła na studia. Dość nietypowe jak na sierotę pochodzącą prawdopodobnie z nieciekawego środowiska, ale nie tak znowu rzadkie. Uczyła się dobrze, choć bez przesady – ot, solidna czwórkowa studentka. Potem wyjechała do Olsztyna, by opiekować się mieszkaniem koleżanki, która akurat wybierała się za granicę. Dla Marty był to idealny układ: praktycznie za darmo zyskiwała dach nad głową, a na Śląsku nic jej przecież nie trzymało. Szczęśliwy zbieg okoliczności? Czemu nie, pomyślała Hanka, ta dziewczyna zasługiwała na odrobinę fartu w życiu. Jednocześnie jednak było w niej coś irytującego: niby tak przeciętna, wiodąca nudne życie bez żadnych dramatów, a przecież ciągle się im wymykała. Starsza szeregową miała wrażenie, że im więcej o Jaczyk wiedzą, tym mniej tak naprawdę ją znają. Jej przyjaźń ze Staszka Gwarek, nagła zmiana wakacyjnych przyzwyczajzeń, tajemniczy chłopak, który może istniał, a może nie – wszystko to mogło mieć zupełnie zwyczajne wyjaśnienie, ale nawet jeśli faktycznie miało, to i tak drażniło, zaciemniało obraz, sprawiając, że Hanka sama nie wiedziała, co właściwie ma o tej dziewczynie myśleć.

W Częstochowie dosiadła się rodzina z dwójką małych chłopców, więc starsza szeregową pośpiesznie schowała zdjęcie martwej Marty i resztę papierów. Przy dzieciach nie chciała czytać o zbrodni, a poza tym domyślała się, że nowo przybyli za chwilę otworzą okno.

Miała rację. Ojciec rodziny ściągnął szybę w dół i do przedziału wpadł podmuch powietrza pachnącego świeżo skoszoną trawą i lasem. Hanka usadowiła się wygodnie w kącie przedziału i zamknęła oczy, w gruncie rzeczy wdzięczna nieznanemu. Do Będzina miała jeszcze prawie godzinę, mogła złapać odrobinę snu.

* * *

– Wejdz, wejdz. – Ksiądz Stefan Wójcik szerokim gestem zaprosił Marczewskiego do środka. – Zaraz znajdzie się coś do jedzenia. I może kieliszek winka, co? Sam robiłem w zeszłym roku, z porzeczek, pyszne.

Nie wyglądał na zdziwionego wizytą, choć wpadanie bez zapowiedzi nie było wśród księży mile widziane. Albo przynajmniej dobrze zdziwienie ukrywał. Był też serdeczny, zupełnie jak siwy, okrągły i jowialny wujaszek. Od razu przy pierwszym spotkaniu, cztery lata temu, nalegał, by ksiądz Jerzy mówił mu po imieniu, i młody proboszcz do dziś pamiętał, z jakim trudem mu to przyszło.

– Czekaj, zaraz stół przygotuję i zjemy razem.

– Nie chcę robić kłopotu... – Marzewski specjalnie zjawił się w porze między śniadaniem a obiadem, nie przyszło mu jednak do głowy, że dla proboszcza Wójcika i godzina dziesiąta rano może być dobra, żeby usiąść do stołu.

– Żaden kłopot, drugie śniadanie w towarzystwie to sama przyjemność. – Wójcik rozsunął drzwi między pokojami, robiąc w ten sposób z dwóch pomieszczeń jedno większe. Mieścił się w nim teraz długi stół, przy którym śmiało można było posadzić kilkanaście osób. Stół w sam raz na imprezy takie jak odpust, kiedy z sąsiedniej parafii przyjeżdżał ksiądz. Marzewski czuł się nieswojo, w końcu wpadł tylko na chwilę, żeby porozmawiać. Jednak stary proboszcz już pędził do kuchni, już niósł talerz z pokrojoną wędliną, drugi z serem i miskę sałatki jarzynowej. Ksiądz Jerzy obserwował to w niemym przerażeniu, ale zaprotestował, dopiero gdy gospodarz spróbował nalać mu wina.

– Dziękuję, przyjechałem samochodem.

Proboszcz Wójcik roześmiał się serdecznie.

– I kto cię niby będzie sprawdzał na tych wiejskich drogach? Dwa łyki, tylko dla smaku. Nie daj się prosić.

Marzewski zgodził się na dwa łyki i dostał pełny kieliszek. Umoczył w nim usta, potem nałożył sobie małą porcję sałatki. Niedawno przecież jadł śniadanie, a poza tym w upalne dni i tak nigdy nie miał dużego apetytu. Tymczasem narastająca na zewnątrz duchota zdawała się nie przeszkadzać gospodarzowi. Z apetytem pożarł kanapkę z kielbasą, popił kieliszkiem wina, zabrał się za ser i znowu napełnił kieliszek. Rozmawiali przez ten czas o pogodzie, o tym, które lata były suche, a które deszczowe, i jak w zeszłym roku powódź zmiotła most nad Sołą. O przyczynie, dla której ksiądz Jerzy wsiadł w samochód i przejechał dziesięć kilometrów do sąsiedniej wsi, nie wspomnieli ani razu. Wreszcie Wójcik skończył jeść, otarł usta serwetką, rozparł się wygodnie na krześle – i dopiero wtedy zagadnął:

– To jak, powiesz mi, co cię tu przywiało? Bo raczej nie chęć odwiedzenia staruszka, co?

Ksiądz Jerzy od rana główkował nad jakimś sensownym pretekstem, ale żadnego nie wymyślił, zdecydował się więc powiedzieć prawdę. Albo przynajmniej część prawdy.

– Robiłem porządki i znalazłem na strychu rzeczy należące do proboszcza Kubiaka. Wiesz, tego, który...

– Który się powiesił, wiem. – Wójcik powiedział to prawie z humorem. Ksiądz Jerzy przez moment miał nawet absurdalne wrażenie, że jego gospodarz lada moment uniesie kieliszek w toaście „za starego druha” albo coś w tym rodzaju, ale oczywiście niczego podobnego nie zrobił. – Bóg nie każdemu daje siłę, żeby zmierzyć się z życiem. I co z tymi rzeczami?

– Zastanawiam się, gdzie je odesłać. Znałeś go, prawda? Możesz mi o nim

opowiedzieć?

Ksiądz Wójcik patrzył na Marczewskiego spod zmrużonych powiek, aż młody proboszcz poruszył się niespokojnie i odruchowo sięgnął po kieliszek wina. Równie odruchowo upił łyk, po czym wzdrygnął się lekko – wino było słodkie i pachnące latem, mocne jak zamknięte w butelce lipcowe słońce. Zdawał sobie sprawę, że nie powinien lekceważyć starego proboszcza. Ksiądz Wójcik niewątpliwie za dużo jadł i nie przejmował się przepisami drogowymi, zaś wiejskie plotki łączyły go z pewną samotną wdową, ale był też całkiem niezłym kapłanem – nie zdzierał za bardzo ze swoich owieczek, a miejscowi chłopcy raczej go szanowali. I przede wszystkim był inteligentny, o tym Marczewski również wiedział.

– Nie pchasz czasem nosa tam, gdzie nie trzeba, co?

Ksiądz Jerzy zacisnął palce. Kieliszek w jego ręce nagrzał się od dotyku, a kiedy rozluźnił dłoń, na szkle zostały wilgotne, matowe smugi.

– Pytałem tylko...

– Tak naprawdę nie chodzi o żadne rzeczy znalezione na strychu, prawda? Interesuje cię śmierć tego człowieka. Chcesz wiedzieć, czemu się powiesił. I dlaczego twój poprzednik odwołał biskup. Mam rację?

Nie było sensu zaprzeczać. Ksiądz Jerzy odetchnął – nie chciał podnosić głosu, a miał wrażenie, że jeśli teraz się odezwie, zacznie krzyżeć.

– Nie robię tego z pustej ciekawości – powiedział, kiedy już zdołał się uspokoić. – To wszystko działo się w moim domu, pod moim dachem. A teraz znowu coś się dzieje, coś złego, a ja nie wiem, co z tym robić. Wszyscy tylko mówią mi, że mam dać sobie spokój, przestać wsadzać nos w nie swoje sprawy...

– Nie przyszło ci do głowy, że mogą mieć rację?

Pokręcił głową, sfrustrowany.

– Muszę wiedzieć. Jak inaczej mam dbać o ludzi, których powierzono mojej opiece?

– Naprawdę sądzisz, że komuś z Rokitnicy może coś grozić?

– Sam nie wiem... – Marczewski zakłopotał się. – Może. Ale łatwiej byłoby mi decydować, gdyby ludzie nie traktowali mnie jak ciekawskiego pięciolatka.

Wójcik zachichotał.

– I oczekujesz ode mnie szczerości? Że ja ci powiem, czemu Kubiak przerzucił sznur przez belkę, a Zielnik został odwołany?

Ksiądz Jerzy wzruszył ramionami, zbyt zmęczony, żeby do czegokolwiek starego kapłana przekonywać. Może była to wina ciężkiej mu w żołądku sałatki z majonezem, może alkoholu, upału albo tego, że zeszłej nocy nie spał zbyt dobrze. Albo zwyczajnie dopadło go poczucie bezsensu tego, co robi. Co próbuje robić.

– To jak będzie? – zapytał po chwili. – Od ciebie też usłyszę, że mam się nie wtrącać i o wszystkim zapomnieć?

Wójcik wstał, posapując. Jego zwalista sylwetka zarysowała się na tle

jasnego okna, rysy twarzy zniknęły, pochłonięte przez drgającą plamę słonecznego światła.

– Nie, dlaczego? Powiem ci wszystko, co wiem, chociaż nie ma tego dużo. Co prawda faktycznie byłoby lepiej, gdybyś zostawił to wszystko w spokoju, tak myślę. Z odgrzebywania przeszłości jeszcze nigdy nic dobrego nie wynikło. Ale skoro nie chcesz dobrych rad, nie będę ci ich udzielał.

Umilkł, Marczewski czekał. Wreszcie stary kapłan podjął wątek.

– Kiedy Kubiak był proboszczem w Brzozówce, nie widywałem go prawie wcale, dopiero później, kiedy zaczęli budować elektrownię i przenieśli parafię. Wszyscy mówili, że się wtedy zmienił: wcześniej był pogodny, pełen energii, a potem nagle stał się cieniem samego siebie. Nie wiem, czy to prawda, powtarzam tylko, co słyszałem. Ale widziałem go przed śmiercią...

– I? – zapytał ksiądz Jerzy niecierpliwie.

– Naprawdę wyglądał jak wrak człowieka. Myślałem, że ma jakieś problemy, nie wiem, ze zdrowiem, może osobiste... Pytałem go nawet, ale nie chciał powiedzieć. A potem się powiesił i było za późno. To wszystko. Mówiłem, że nie ma tego dużo.

– A krzyż, który stoi przy kolei? Odwołanie księdza Zielnika?

Proboszcz Wójcik pokręcił głową.

– Przykro mi. O tym odwołaniu wszyscy gadali, że nie miało nic wspólnego z powołaniem do życia misyjnego, ale to każdy wie. Możesz spróbować porozmawiać ze starym Chochołkiem, kiedyś był u was kościelnym. On i ksiądz Kubiak chyba się trochę przyjaźnili, a w każdym razie Chochołek czasem bywał na plebanii. I opowiadał...

– Tak?

Wójcik zacisnął usta.

– Że Kubiak przed śmiercią rozpałił w ogrodzie wielkie ognisko i zniszczył w nim jakieś rzeczy. Nie wiem, naprawdę, nie chcę powtarzać plotek. Może Chochołek to zmyślił, a może coś mu się pomyliło, w końcu już wtedy był starym człowiekiem. Nie przekonam cię, żebyś zostawił to w spokoju, co?

– Chyba nie.

– Napijesz się jeszcze? Na dobrą drogę? Albo zapakuję ci butelkę, sporo ich mam w piwnicy...

– Nie, dziękuję, muszę już jechać. – Marczewski podniósł się, odzyskując przynajmniej odrobinę energii. Kiedy wstawał, fala gorąca uderzyła mu do głowy, nagły moment paniki, jakby zrobił krok w ciemności i nie znalazł oparcia dla stopy. A potem wszystko minęło.

– Z Bogiem – pożegnał się.

– Z Bogiem. Niech ci się szczęści, cokolwiek zamierzasz.

Nie był pewien, czy te życzenia są szczerze. Nie był nawet pewien, czy

wierzy, że stary ksiądz powiedział mu wszystko, co wie. Ale miał przynajmniej jakiś punkt zaczepienia.

* * *

Gdy Hanka otworzyła oczy, pociąg stał na stacji, a rodzina z dwójką dzieci właśnie zbierała się do wyjścia.

– Wsiadka – powiedział życzliwie mężczyzna. – To już Katowice.

Milicjantka zaklęła, podrywając się gwałtownie z miejsca, zabrała torbę i wysiadła. Na peronie odetchnęła głęboko. Przespała stację, ale jakoś sobie poradzi. Z Katowic do Będzina nie było daleko.

Stolica Śląska przywitała ją przelotnym deszczem, który na krótko odświeżył powietrze. Nim Hanka wyszła z dworca i zeszła szerokimi schodami na ulicę 3 Maja, było już po ulewie, przechodnie składali parasole, a słońce, które właśnie wychynęło zza chmur, odbijało się w mętnej czerni błotnistych kałuż. Starsza szeregową odetchnęła. Katowice były takie jak w jej wspomnieniach: szare i przytłaczające, z dzwoniącymi głośno tramwajami, które jeździły po czymś, co mieszkańcy z jakiegoś powodu nazywali rynkiem, a co dla niej było jedynie skrzyżowaniem głównych dróg. Ostatnim razem była tutaj z rodzicami, jeszcze jako dziecko. Poszli wtedy na lody, a potem do zoo, gdzie oglądali lwy. To pamiętała: wielkie wyleniałe koty o smutnych oczach, z obojętnością słuchające wrzasków dzieciarni zajadającej watę cukrową. Nie pamiętała, czy ten widok bardziej ją zafascynował, czy może przygnębił.

Kręciła się po centrum, aż znalazła niewielki bar mleczny i zjadła obiad. Potem, uzbrojona w parę dobrych rad od kobiety za ladą, odszukała dworzec autobusowy i ruszyła w dalszą drogę.

Do domu dziecka w Będzinie dotarła z małymi komplikacjami tuż po trzeciej. Budynek sprawiał wrażenie wyludnionego, na korytarzu słońce odbijało się od gumowej wykładziny, a echo kroków ginęło, stłumione przez grube mury. Zrozumiała, skąd ta pustka, dopiero kiedy spojrzała przez jedno z okien: wszystkie dzieci były na zewnątrz, goniły się po trawie, grały w piłkę albo bawiły się na placu zabaw. W ten letni jasny dzień sprawiały wrażenie szczęśliwych, choć Hanka nie miała złudzeń – w tych ścianach wyczuwało się zbyt wiele tragedii, by można było uwierzyć w prawdziwą radość.

Nie bez trudu znalazła gabinet dyrektora i zapukała.

– Wejść. – Głos był tak ostry, że na moment poczuła się jak uczennica. Dom dziecka miał zresztą w sobie coś, co kojarzyło jej się ze szkołą: duży kanciasty budynek, w którym unosiła się dyskretna woń pasty do podłóg, dziecięcego potu i zawiedzionych nadziei. Budynek, z którego nawet lipcowe słońce nie zdołało wygnać cieni.

– Spóźniła się pani – powitał ją stojący przy oknie wysoki, łysiejący

mężczyzna w rogowych okularach. Jan Woźniak, dyrektor. – Piętnaście minut.

Już miała wyjaśnić, że miała problem ze znalezieniem właściwej ulicy, a potem z trafieniem do gabinetu, ugryzła się jednak w język. Jeśli zacznie od usprawiedliwiania się, będzie jej trudniej przejąć kontrolę nad rozmową.

– Przyszłam porozmawiać o Marcie Jaczyk. Była pańską wychowanką.

– Mamy wielu wychowanków. A Marta Jaczyk była tu jeszcze za mojej poprzedniczki.

– A więc wie pan, o kim mówię.

– Wiem, bo znalazłem ją w papierach. – Podsunął w stronę Hanki leżącą na biurku teczkę. Dziewczyna ani drgnęła. – Jest pani pewna, że nie wolałaby porozmawiać z Elizą Sterczewską? Jest teraz na urlopie w Bułgarii, ale wkrótce powinna wrócić.

– Na razie wystarczy mi rozmowa z panem, dziękuję. – Zignorowała lekką złośliwość w głosie dyrektora. – Co może mi pan powiedzieć o Jaczyk?

Woźniak westchnął i przysunął teczkę z powrotem do siebie. Usiadł, a Hanka po chwili namysłu też usiadła, przysuwając sobie do biurka krzesło, które do tej pory stało pod ścianą.

– Marta Jaczyk była pod opieką państwa prawie od urodzenia, bo od września 1959 roku. Jej matce szybko odebrano prawa rodzicielskie...

– Dlaczego?

Skrzywił się, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do tego, że ktoś mu przerywa.

– Bo to ograniczona umysłowo alkoholiczka. Urodziła sześcioro dzieci, każde z nieznanego ojca. I żadnym nie potrafiła się zająć. Od małego wychowywały się w placówkach opiekuńczych.

– Czy ta kobieta jeszcze żyje?

– Nie mam pojęcia. Prawdę powiedziawszy, zdziwiłbym się. Martę urodziła późno, koło czterdziestki, czyli teraz musiałyby mieć... sześćdziesiąt parę lat? Nie wierzę, że wcześniej nie zabiła jej marskość wątroby czy inne choróbko. Takie jak ona nie żyją długo.

– Proszę opowiedzieć mi o rodzeństwie Marty.

Woźniak znowu się skrzywił. Może nie podobały mu się pytania starszej szeregowej, a może bolał go dzisiaj brzuch. Albo był zmęczony. Albo nie lubił całego świata tak po prostu, bo dlaczego miałby go lubić?

– Jak mówiłem, było ich sześcioro i każde prędzej czy później przewinęło się przez naszą placówkę. Dwójka najstarszych była tu dawno, tuż po wojnie, młodsza czwórka, zaraz... – Przewrócił parę kartek. – Jedną dziewczynkę i chłopca adoptowano, Marta i pozostały chłopiec, Paweł, zostali u nas aż do osiągnięcia pełnoletności.

– Mogę się jakoś skontaktować z tymi adoptowanymi?

– Nie, chyba że będzie miała pani nakaz sądowy. Dokumenty adopcyjne są

tajne. Powinna pani o tym wiedzieć. Czego was teraz uczą w tych szkołach milicyjnych?

Hanka zacisnęła dłonie w pięści tak mocno, aż poczuła wbijające się w skórę paznokcie, a kiedy się odezwała, jej głos brzmiał spokojnie:

– A pozostałe dzieci, Paweł i starsza dwójka? Jak oni się nazywali?

– Stefan i Tadeusz. Nie wiem, gdzie teraz są. Pewnie w więzieniu, większość Jaczyków tam trafia. To patologia tak czysta, że prawie podręcznikowa. Jeśli naprawdę chce pani rozmawiać z takimi typami, może pani popytać na Koszelewie. To kolonia górnicza, gdzie mieszkała Ilona Jaczyk. Albo wciąż mieszka. Wszyscy tam znają jej rodzinę. Tylko niech pani uważa, bo to niebezpieczne miejsce.

– Bieda nie zawsze oznacza niebezpieczeństwo.

– Nie zawsze, ale często tak. Wie pani, że ci z Koszelewa, którzy mają pracę, nie biorą urlopów?

– Nie rozumiem...

– Zwyczajnie, jak zapiją i nie przyjdą do roboty, to proszą majstra, żeby odpisał z urlopu, a potem na zwyczajny urlop już nie starcza. To właśnie tego typu miejsce. Nie twierdzę, że tam siedzą sami mordercy, ale bieda i alkohol z niejednego już zrobiły przestępcę.

– Popytam. – Hanka wstała i już w progu obejrzała się na Woźniaka, który siedział przy biurku z rękoma złożonymi w piramidkę i wyrazem niecierpliwego wyczekiwania wypisanym na twarzy. – Ma pan w tych swoich papierach coś jeszcze? Coś o tym, jaka Marta była?

– Jaka była? Nie rozumiem...

– Sprawiała kłopoty czy była grzeczna? Jaki miała charakter?

– Ach, to. – Niecierpliwość zmieniła się w pobłażanie, jakby dyrektor uznał, że tylko dziecko mogłoby zadać takie pytanie. – Nie, nic na jej temat nie mamy, a ponieważ zapisujemy jedynie incydenty związane z problemami wychowawczymi, oznacza to, że Marta Jaczyk musiała być wyjątkowo spokojnym dzieckiem. W przeciwieństwie do rodzeństwa, sądząc po grubości ich teczek; pozostała piątka to były bestie z piekła rodem. Proszę, może pani spojrzeć tu. – Podniósł z biurka inną teczkę, rzeczywiście wyraźnie grubszą. – Drobne kradzieże, bójki, chuligańskie wybryki, niech pani wybierze sobie, co chce. Pełny wachlarz zachowań dziecka, a potem nastolatka z patologicznego środowiska. Ale Marta, przynajmniej jeśli wierzyć temu, co tu jest o niej napisane, a raczej czego nie ma, nigdy nawet nie wypaliła papierosa na boisku za szkołą.

* * *

Ksiądz Jerzy jechał powoli, jakby naprawdę spodziewał się na wiejskich wertepach milicjantów z drogówki, i w rezultacie do Rokitnicy dotarł dobrze po dwunastej w południe. Wysiadając, zauważył Pawliczkową, która stała w drzwiach

plebanii i energicznie kiwała na niego ręką.

– Telefon do księdza proboszcza!

Przyśpieszył kroku, gospodyni odsunęła się, wpuszczając go do środka. Wpadł do kancelarii, gdzie na biurku leżała odłożona słuchawka. Podniósł ją z mocno bijącym sercem.

– Parafia Najświętszej Marii Panny, słucham.

– Jurek? To ty? – Marzewski rozpoznał głos kolegi ze studiów.

– Tak.

Przywitali się krótko, bo Kostek Frączyński nie zamierzał tracić czasu.

– Znalazłem księdza Zielnika – powiedział. – Możesz wziąć kartkę i notować...

– Jest na misji?

– Gdzie tam na misji. Owszem, parę lat siedział w Afryce, ale jakieś pół roku temu wrócił do Polski. Podobno zdrowie zaczęło mu szwankować. Mieszka teraz u boromeuszek w Trzebnicy. Zapiszesz numer telefonu?

– Tak, daj mi chwilę.

Kostek dyktował, ksiądz Jerzy pośpiesznie bazgrał na odwróconej kopercie. Poczta przyszła dzisiaj rano, a on nawet nie miał czasu, żeby ją przejrzeć.

– Dziękuję – powiedział, kiedy kolega skończył. – Jestem ci winien przysługę.

– Wiem – odparł Kostek poważnie. – Pamiętaj, że propozycja piwa wciąż jest aktualna.

* * *

Hanka zatrzymała się niepewnie przed zapyziałym sklepikiem. Do drzwi wiodły trzy popękane schodki, nad wejściem wisiał szyld z ledwo czytelnym napisem SPOŻYWCZY. W środku były dwie osoby: pulchna sprzedawczyni i stary pijaczek, który ładował właśnie do siatki pokaźny zapas piw w zielonych butelkach. Starsza szeregowa obserwowała ich przez szybę, jednocześnie pilnie nadstawiając uszu na to, co działo się wokół niej. Jednak familoki za jej plecami były zwodniczo ciche – Hanka słyszała tylko odległe, dobiegające gdzieś z podwórka śmiechy dzieci. Było w tym spokoju jakieś podskórne napięcie, jakby w każdej chwili zza rogu mogła wychynąć grupka szukających zaczepki bandziorów. A może tylko to sobie wymyśliła – ostrzegano ją w końcu, że to zła dzielnica. Patologia prawie podręcznikowa, przypomniała sobie słowa dyrektora Woźniaka.

Pijaczek wyszedł, dźwigając swoją zdobycz, a Hanka pchnęła drzwi i wkroczyła do środka. Pulchna kobieta podniosła głowę znad zeszytu, w którym pisała coś ołówkiem. W jej oczach zamigotało wyraźne zdziwienie. W tym sklepie zapewne pojawiała się niewiele nowych twarzy.

– Dzień dobry, szukam Ilony Jaczyk i jej rodziny. – Hanka pokazała legitymację.

– O! – Usta kobiety ułożyły się w niemal idealne kółko. – A co oni znowu zrobili, że milicja po nich przychodzi?

– Nic nie zrobili, chciałam tylko z nimi porozmawiać.

– Kiedy z tej rodziny to już mało kto się ostał. Paweł mieszka z matką niedaleko, na starych śmieciach, ale reszty dawno nie widziałam.

– A drugi syn, Tadeusz? I Stefan?

– Tadeusz nie żyje, świeć Panie nad jego duszą, z pół roku już będzie, jak go na działkach znaleźli.

– Co się stało?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Ponoć spił się i zamarzył, tak gadają jedni.

– A inni?

– Że mu ktoś nóż pod żebra wsadził, a milicja nic z tym nie zrobiła, bo jej się nie chciało. Tylko powtarzam – zastrzegła szybko. – Ja tam nic nie gadam, swoją robotę mam i jej się trzymam.

– A Stefan?

– Ten to w więzieniu siedzi, parę lat temu go skazali.

– Za co?

– Za kradzież, a za co innego? Wszyscy Jaczykowie kradną, żaden jeszcze w swoim życiu dnia uczciwie nie przepracował. Z wyjątkiem Pawła, oczywiście, on ostatnio sporządzał, choć kiedyś też niezłe ziółko z niego było.

– I znajdę go niedaleko, tak?

– Trzeci dom po lewej. – Kobieta machnęła ręką w nieokreślonym kierunku. – Ostatnie piętro, numer dwanaście. Nie pomyli się pani. A jak pani już u nich będzie, to może przypomnieć Pawłowi, że jest mi winien trzy-dzieści złotych.

* * *

Marczewski wahał się, z ręką przy telefonie, zanim jednak podjął decyzję, usłyszał dyskretne pukanie i do kancelarii wsunął się wikary.

– Mam prośbę – zaczął niepewnie. – Czy ksiądz proboszcz mógłby dziś zamiast mnie poprowadzić grupę oazową? Nie czuję się najlepiej...

– Oczywiście. – Nie mieli sztywnego podziału obowiązków, jednak tak się jakoś utarło, że ksiądz Jerzy zajmował się starszymi parafianami, a ksiądz Bartek młodszymi. – To coś poważnego? Potrzebujesz lekarza?

Nigdy wcześniej nie widział, żeby wikary był chory. Teraz też zresztą młody kapłan nie wyglądał na kogoś, kogo dopadła niestrawność czy inna, równie banalna niedyspozycja. Sprawiał wrażenie człowieka, którego problem tkwi znacznie

głębiej, w duszy, nie w ciele. Był wyraźnie zmęczony, oczy miał podkrążone, ręce lekko, ale zauważalnie mu drżały. Ksiądz Jerzy pomyślał o nocnym gościu wikarego – jeśli istotnie była to niewinna wizyta, właśnie nadszedł właściwy moment, by Bartek o niej wspomniał. Mógł powiedzieć, że nie spał, ponieważ przez pół nocy zajmował się kłopotami rodzinnymi takiej czy innej zdesperowanej parafianki – bo to kobiety częściej szukały pomocy. Marczewski pamiętał, jak parę lat temu o północy w drzwi probostwa załomotała uciekająca przed pijanym mężem Ola Czyż. Dlatego uwierzyłby, nawet gdyby historyjka wikarego nie brzmiała zbyt prawdopodobnie. Uwierzyłby, bo chciałby uwierzyć. Jednak Bartek odwrócił tylko głowę i – ksiądz Jerzy mógłby przysiąc – zarumienił się lekko.

– Wystarczy mi trochę odpoczynku – wykręcił się.

– Jeśli chciałbyś o czymś porozmawiać... – Proboszcz użył swojego najlepszego księzowskiego głosu, ciepłego i budzącego zaufanie. Tego, którego używał, gdy próbował nakłonić kogoś do zwierzeń, jednocześnie mając nadzieję – tak głęboko ukrytą, że sam ledwo zdawał sobie sprawę z jej istnienia – że żadnych zwierzeń nie będzie.

Wikary, który sam potrafił mówić podobnym tonem, nie dał się nabrać.

– Wtedy przyjdę do księdza proboszcza, oczywiście. Bóg zapłać.

– Zaczekaj chwilę. – Marczewski zatrzymał wychodzącego.

– Tak?

– Widziałeś może w poniedziałek na mszy Chochołka?

– To ten stary, który był kiedyś kościelnym?

– Tak.

Ksiądz Bartek myślał przez chwilę.

– Nie, nie widziałem.

Ksiądz Jerzy zastanowił się. Chochołka nie było też we wtorek ani dzisiaj – a przecież staruszek miał zwyczaj przychodzić na mszę dwa razy w tygodniu, nie licząc obowiązkowej sumy w niedzielę. Dziwne. Jeszcze nie niepokojące, ale już dziwne.

Gdy wikary wyszedł, proboszcz spróbował zadzwonić do klasztoru w Trzebnicy. Odebrała siostra Augustyna – sądząc po tonie głosu, prawdopodobnie starsza i pozbawiona poczucia humoru. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie wyobrazić jej sobie jako przełożonej pielęgniarek, z oczami groźnie błyskającymi zza grubych szkielec.

– Niech będzie pochwalony. Mówi ksiądz Jerzy Marczewski, proboszcz parafii w Rokitnicy. Chciałbym porozmawiać z księdzem Zielnikiem.

– Ksiądz Zielnik nie chce z nikim rozmawiać.

– W takim razie może przekaże mu siostra wiadomość...

– To starszy, bardzo schorowany mężczyzna, potrzebuje dużo spokoju. –

W głosie kobiety zabrzmiała wyraźna dezaprobata. – Nie wolno mu się

denerwować.

– Nie zamierzam nikogo denerwować, chciałem tylko...

– Ksiądz Zielnik nie podejździe do telefonu, mam nadzieję, że wyraziłam się jasno. – Siostra Augustyna już po raz drugi przerwała księdzu. Pierwszy mógł być przypadkiem czy wynikiem zdenerwowania. Drugi wyglądał już jak celowa niegrzeczność – a zakonnice nie bywały niegrzeczne w stosunku do księży. Nigdy. Albo ta była bardzo szczególną osobą, albo... co właściwie?

Albo czuła za plecami poparcie kogoś znacznie ważniejszego niż prowincjonalny proboszcz, pomyślał, po czym pożegnał się i odłożył słuchawkę. Przegrał i chwilowo przynajmniej musiał się z tym pogodzić.

Poza tym dochodziła pierwsza – za kwadrans zaczęli się zbierać grupa oazowa, wypadało więc przygotować salę. Pawliczkowa z pewnością by się tym zajęła, dziś jednak ksiądz Jerzy sam chwycił za szmatę. Potrzebował takiej prostej pracy, potrzebował szybkiego i konkretnego efektu, a także pewności, że wciąż istnieją zadania, z którymi jest w stanie sobie poradzić, nawet jeśli chodzi tylko o wytarcie kurzu czy przewietrzenie pomieszczenia, do którego nikt nie zaglądał od końca roku szkolnego.

* * *

Na dole w sieni stał zepsuty dziecinny wózek, pordezewiałe wiadro z ułamaną łopatą i coś, co wyglądało jak resztki roweru. Pod rowerem siedział kot, który na widok Hanka prychnął i uciekł do otwartej piwnicy. Dziewczyna ruszyła w górę. Na klatce schodowej czuć było moczem, ale wyżej dominowała już tylko woń stęchlizny i brudu. Zapach biedy.

Na trzecim piętrze znalazła mieszkanie numer dwanaście i zapukała. Po chwili za drzwiami rozległo się szuranie kroków i odchyliła się klapka wizjera.

– Kto tam? – zapytał drżący męski głos.

– Milicja Obywatelska. Chcę zapytać o pana siostrę Martę.

– Pokaże pani dowód? Proszę.

Wyjęła legitymację, po czym uniosła ją do wizjera. Czekala. W mieszkaniu zazgrzytał zdejmowany łańcuch i drzwi się uchylily.

– Może pani wejść.

Hanka spodziewala się odstręczajacej, pijackiej meliny, a tymczasem mieszkanie Jaczyków okazało się, owszem, ubogie, ale czyste. Z podłogi można by chyba jeść, na odrapanych meblach nie było śladu kurzu. Idąc korytarzem, starsza szeregowka zerknęła przez otwarte drzwi do maleńkiej łazienki – tam również wszystko wyglądało na wypucowane, a z nad zlewu dolatywała nikła woń środków czyszczących.

Paweł zaprowadził ją do pokoju, w którym na wytartej kanapie siedziała gruba kobieta. Nie pulchna ani przy kości, tylko naprawdę gruba, z masywnymi

ramionami wylewającymi się z rękawów letniej sukienki i zwałami sadła zwisającymi nad stopami, które ledwo mieściły się w kapciach. Mogła mieć równie dobrze pięćdziesiąt, jak i siedemdziesiąt lat, jej drobna okrągła twarz wydawała się ginać w tłuszczu jak twarz pochłanianego przez morze rozbitka. Kobieta nie zwróciła na Hankę uwagi, zajęta oglądaniem telewizji.

– To moja matka – wyjaśnił Paweł. – Ja się nią teraz opiekuję. Mamo, to jest pani z milicji. Przyszła porozmawiać o Marcie.

Był trochę podobny do Ilony Jaczyk, choć znacznie szczuplejszy, miał jednak tak samo okrągłą, zagubioną twarz. Musiał dobiegać trzydziestki, ale wyglądał na młodszego: schludnie uczesany, w zaprasowanych w kant spodniach i białej koszulce, niczym piątkowy uczeń na apelu. Hanka spróbowała odnaleźć jakieś podobieństwo między bratem a siostrą. Marta też była dobrze zbudowana, ale poza tym młodych Jaczyków nic nie łączyło.

– Napije się pani herbaty? – zapytał. – Usiądzie pani?

Za herbatę podziękowała, ale przy stole usiadła. Drewniany blat również był wyszorowany do czysta. Na ścianie naprzeciwko wisiał oprawiony w ramkę obrazek Chrystusa trzymającego w ręku wyrwane serce, z którego tryskała tęcza. Babcia Hanki miała nad łóżkiem taki sam i dziewczyna pamiętała, że kiedy pierwszy raz go zobaczyła, śniły się jej potem koszmary.

Paweł zajął miejsce na drugim krześle, z rękoma złożonymi na kolanach, wyczekujący, grzeczny.

– Pamięta pan Martę? – zaczęła Hanka. – Była z panem w domu dziecka.

– Tak, pamiętam. Ale Marta nie była dla mnie miła. Popychała mnie i krzyczała, żebym sobie poszedł, bo jestem głupi. Przed innymi nawet udawała, że wcale nie jestem jej bratem. Dlatego ja też jej nie lubiłem.

– I nie próbowała się z panem ostatnio kontaktować?

– Pani pyta, czy tu kiedyś przyszła?

– Przyszła, napisała list, cokolwiek.

Paweł zastanowił się.

– Nie było jej, bo bym zauważył. I my nie dostajemy żadnych listów, tylko z urzędów.

Czekała, aż mężczyzna zapyta, co się z Martą stało, ale się nie doczekała. Gawryluk, który milczał tak samo, domyślił się, że dziewczyna nie żyje. Pawła Jaczyka los siostry w ogóle nie obchodził.

– A Stefan? Ma pan z nim jakiś kontakt?

– Nie. – Rysy Pawła niespodziewanie stwardniały. – On siedzi w więzieniu. To źle jest, jak ktoś siedzi w więzieniu. Ja też mógłbym tam trafić, ale odnalazłem Jezusa i zaopiekowałem się mamą. Teraz mam pracę, a pani z urzędu przychodzi co tydzień zobaczyć, jak sobie radzimy, i zawsze mnie chwali. Chodzimy do kościoła w każdą niedzielę. – Zastanowił się chwilę. – Był jeszcze Tadek, ale on

nie chodził do kościoła i też był zły. A potem umarł. Teraz jestem sam z mamą i nikogo innego nie potrzebujemy.

– Hm, w porządku. Mogę porozmawiać z pana matką?

Skinął głową. Hanka odsunęła krzesło i spojrzała na Ilonę Jaczyk, która oglądała telewizję, obojętna na to, co się wokół niej działo, niczym jakieś pradawne potężne bóstwo. Nie zmienił się nawet wyraz jej twarzy, oczy wciąż utkwione miała w ekranie telewizora, na którym leciało właśnie *Studio Lato* i lista przebojów. *Chałupy welcome to* wciąż były wysoko.

Starsza szeregowca chrząknęła.

– Czy pamięta pani Martę? – zapytała. – Córkę, którą urodziła pani w 1959 roku?

Coś drgnęło na twarzy kobiety, powoli, jakby Hanka obserwowała ruchy tektoniczne wypiętrzających się gór. Ilona Jaczyk poruszyła ustami.

– Zabrali – powiedziała wreszcie.

– Tak, zabrali pani Martę.

– Dzieci. Zabrali. Małeńkie były. Wszystkie. Zła matka, mówili, zła matka... – Kobieta zaczęła kołysać się w przód i w tył hipnotyzującym ruchem.

– Zdenerwowała ją pani – powiedział Paweł, wstając. – Powinna pani już iść.

– Przepraszam... – bąknęła Hanka. Zastanowiła się, czy powinna tej rodzinie przekazać, że Marta nie żyje, ale to chyba nie miało sensu. – Przepraszam.

Kiedy Paweł odprowadzał ją do drzwi, Ilona Jaczyk uspokoiła się już i wróciła do oglądania telewizji.

– Mamą trzeba się opiekować – wyjaśnił. – Kiedyś miała swojego tatę, ale on tylko pił i wcale o nią nie dbał. Dlatego przychodzili tu różni ludzie, dawali jej wódkę i robili jej dzieci, a ona nic nie mogła na to poradzić. Potem ja doros-łem i się nią zająłem. Razem odnaleźliśmy Jezusa i teraz mama jest szczęśliwa. Rozumie pani?

Hanka pomyślała, że siedząca na kanapie kobieta nie wyglądała na szczęśliwą. Wyglądała na kogoś, kogo nikt nigdy nie zapytał, czy woli w swoim życiu wódkę, czy Jezusa, czy może jeszcze coś innego.

Kiedy schodziła na dół, uświadomiła sobie, że miała przypomnieć Pawłowi o oddaniu trzydziestu złotych, ale nie zamierzała w tym celu wracać na ostatnie piętro.

* * *

Ksiądz Jerzy zatrzymał się w miejscu, w którym wąska leśna ścieżka rozdzielała się na dwie jeszcze węższe i bardziej zarośnięte odnogi. Skręcić w prawo czy w lewo? Jedna dróżka pięła się ostro pod górę, na drugiej wędrowca czekało nieprzyjemne spotkanie z kolczastymi krzewami malin i kępą wyrosniętych pokrzyw. Która z nich prowadziła do gospodarstwa Chochołka?

Nie pamiętał. Ostatni raz był tu dwa lata temu z kolędą, gdy wszędzie leżał śnieg, potem do najdalszych gospodarstw chodził już wikary. A proboszcz nigdy nie miał szczególnie dobrej orientacji w terenie.

Usiadł na obrośniętym mchem zwalonym pniu i spróbował się zastanowić. Na spokojnie, bez paniki. Jeszcze przed dziesięcioma minutami widział słońce przeświecające między drzewami w miejscu, w którym wszedł do lasu. Teraz światło docierało tylko z góry, przefiltrowane przez rozłożyste gałęzie sosen i świerków, zielonkawe i przesycone wonią ziemi, paproci i próchna. Las zamknął się wokół niego – gdziekolwiek spojrzał, widział jedynie strzeliste pnie odbite jak w gabinecie luster, dziesiątki szarobrazowych żołnierzy stojących na warcie w ciszy i cieniu. Do uszu księdza docierał miarowy stukot dzięcioła i delikatny szmer płynącego gdzieś niedaleko strumyka, nic więcej. Marczewski tłumaczył sobie, że nie ma się czego bać – ostatecznie to nie była Puszcza Białowieska, tylko zwyczajny las w Beskidach. Nawet gdyby zgubił drogę na dobre, prędzej czy później udałoby mu się trafić do jakiejś wioski. W najgorszym razie czekałoby go kilka godzin samotnego błąkania się po lesie, nic strasznego, nic, z czym nie potrafiłby sobie poradzić.

Ale i tak się bał.

Wstał, otrzepał spodnie i ruszył w kierunku, z którego dobiegał szmer wody. Wydawało mu się, że zimą, kiedy szedł z kolędą, mijał w pewnym momencie zamrznięty potok. Chyba.

To nie był strumyk, tylko źródło wypływające spomiędzy wrośniętych w zbocze kamieni – ktoś zmyślny puścił wodę drewnianą rynną i teraz można było podstawić dłonie pod ciurkającą strugę i napić się jak z kranu. Marczewski zrobił to – woda była lodowata, aż kłuła w zęby, i smakowała, jakby rozgryzł rosnący głęboko pod ziemią korzeń. Bogaty smak, przypominał sobie zapomniane powiedzonko swojej babki.

Kiedy ocierał usta, krzewy przed nim zaszeleściły i ksiądz Jerzy cofnął się odruchowo. Sam nie wiedział, czego się spodziewać: wilka, może sarny czy niedźwiedzia? Z gęstych liści wyszły jednak dwie kobiety dźwigające bańki na mleko pełne jagód. Wyglądały jak siostry, obie tuż po dwudziestce, ubrane w długie spodnie i kolorowe koszulki. Letniczki, niewątpliwie – miejscowe kobiety potrafiłyby rozpoznać. Na widok proboszcza przystały niepewnie.

– Szczęść Boże – powiedziała jedna, a druga zachichotała, jakby jej towarzyszka powiedziała coś zabawnego.

– Szczęść Boże – odparł. – Szukam gospodarstwa Chochołków i chyba się trochę zgubiłem. Nie wiedzą panie przypadkiem, gdzie to jest?

– Ma ksiądz na myśli tę starą chałupę z wałącym się płotem? – Ta rozmowniejsza uniosła brwi. – Jeśli tak, to blisko, niedawno ją mijaliśmy. Pójdzie ksiądz prosto, o, w tamtą stronę. – Machnęła ręką w kierunku, z którego przysła.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Poczęstuje się ksiądz jagodą? – Podsunęła mu bańkę pod nos, a druga dziewczyna znowu zachichotała.

Skrępowany, wziął w palce krągły granatowy owoc i wsunął do ust. Rozgryziona jagoda wybuchła na języku smakiem lata, słodkim i cierpkim jednocześnie, a ksiądz Jerzy nie po raz pierwszy pomyślał, czy cała ta histeria wokół wybuchu elektrowni nie jest przypadkiem przesadzona.

– Nie powinny panie ich zbierać – powiedział jednak. – Trzeba poczekać, aż ziemia się oczyści.

Kobiety skinęły głowami, ale nie wyglądały na przekonane, a on z doświadczenia wiedział, że jagód pewnie nie wyrzucą. Pawliczkowa była taka sama – marnowanie jedzenia po prostu nie mieściło się jej w głowie.

Kiedy ruszył w kierunku gospodarstwa, wciąż czuł na plecach wzrok obu letniczek, nie myślał jednak o nich, tylko o innych młodych kobietach, z którymi spotkał się dziś wczesnym popołudniem. Dziewczęta z grupy oazowej, nastoletnie i trochę starsze, o błyszczących oczach i starannie wyszczotkowanych włosach, ubrane w sukienki, które pod pretekstem upału odsłaniały skrawki rozkwitających ciał. Dziewczęta, które posyłały mu nader znaczące spojrzenia i uśmiechy. Dość często spotykał się z taką reakcją – podejrzewał, że młodziutkie kobiety podrywają księży, by poćwiczyć sobie na bezpiecznym celu; ostatecznie z duchownym można było flirtować bez obaw, że później trzeba się będzie martwić o to, jak wykręcić się od łóżka. Marczewski rozumiał je i choć męczyło go odpieranie mniej lub bardziej żartobliwych zakusów na jego cnotę, nie miał do dziewczyn pretensji. Dziwne jednak, że młode oazowiczki zachowywały się tak tylko w stosunku do niego, nie do Bartka. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widział, żeby jakaś nastolatka kokietowała wikarego – i nie potrafił, a przecież często obserwował całą grupę, gdy w ciepłe dni siedzieli w ogrodzie. Może chodziło o to, że dobry Bóg poskąpił Bartkowi urody: chłopak miał twarz jak księżyc w pełni i nos przypominający kartofel. A może o coś innego, na przykład o to, że młody ksiądz wcale nie byłby bezpiecznym celem flirtu.

Pomiędzy drzewami znowu przeświecało słońce i wkrótce ksiądz Jerzy wyszedł z lasu prosto na obejście Chochołka. Kobiety miały rację, to naprawdę było blisko, a jego lęki wydały mu się teraz niemal zabawne. Idąc w stronę krzywego płotu, szybko o nich zapomniał. Do Bartka też już nie wracał myślami, skupił się na ciszy, która panowała wokół gospodarstwa. W wysokiej trawie buszowały owady, a z gałęzi starej lipy odzywał się czasem drozd, ale poza tym ksiądz Jerzy nie słyszał żadnych odgłosów krzątania, niczego, co by sugerowało, że ktoś tu mieszka. Pchnięta furtka skrzypnęła lekko. Wszedł do ogrodu i zatrzymał się niepewnie. Buda, z której powinien wybiec pies, stała pusta, luźny koniec łańcucha rdzewiał w kępie chwastów. Po podwórku rozkołysanym krokiem

chodziły kaczki i ich swojski widok trochę go uspokoił. Podeszedł bliżej, uważając, żeby nie wdepnąć w leżące na ścieżce odchody. Obejście wyglądało na znacznie bardziej zapuszczone, niż pamiętał z zimowej wizyty, ogród był zarosnięty, a drewniana chałupa równie krzywa jak płot. Zapukał do drzwi i czekał na odpowiedź – długo, w narastającym upale, patrząc na drgającą wokół jego stóp plamę cienia. Smród gnoju zatykał mu oddech, w uszach miał natrętne bzyczenie krążących w trawie trzmieli, ale całe to intensywne letnie życie ostro kontrastowało z ciszą otulającą pochylony do ziemi stary dom.

Zapukał jeszcze raz, a kiedy nie doczekał się odpowiedzi, obszedł chałupę dookoła. Znalazł wygodkę z wyciętym w drzwiach serduszkciem i oborę, a z tyłu domu, pod niewielkim zadaszeniem, drewnutnię pełną równo pociętych szczapek. Tuż obok stały ustawione jedna na drugiej klatki z królikami, które wysuwały ciekawskie noski przez siatkę. Marczewski zerwał kępę trawy i nakarmił je, potem spróbował zajrzeć przez okno, ale nie zobaczył nic oprócz pokrywającego szyby brudu. Zerknął jeszcze przez szparę w drzwiach do obory – okazała się pusta, bo krowa pewnie była na pastwisku – po czym poddał się i wrócił przed dom. Nic nie wskazywało na to, że wydarzyło się tu coś złego, Chochołek mógł pójść do sklepu albo pojechać na targ – po nowego psa, po cokolwiek. Mógł zjawić się w każdej chwili z koszem, z którego wysypywałyby się wczesne grzyby, albo z bańką na mleko pełną smakujących latem, skażonych jagód.

Ksiądz Jerzy nie zamierzał się martwić. Jeszcze nie teraz.

* * *

Kapitan pokój zastał tak, jak go zostawił, ktoś tylko starannie posłał łóżko i zmienił ręcznik w łazience na świeży. W szafie wisiały jego ubrania, niżej stały jego buty, a zasłony wciąż wydzielaly delikatną woń klubowych. Prawie jak w domu, pomyślał z lekką nutką czegoś, co miało być ironią, ale ostatecznie wcale nią nie było. Rozpakował walizeczkę, którą wziął na wyjazd, umył się pośpiesznie pod prysznicem i zszedł na dół, żeby zjeść obiad. Dziś w menu był makaron z serem, łazanki i zrazy w śmietanie – niestety, tych ostatnich zabrakło, musiał więc zadowolić się łazankami. Czekaając na posiłek, zadzwonił do żony, a potem zamówił colę. Sala barowa była zaskakująco pusta, żadnych brodatych hippisów czy wrzeszczącej dzieciarni. Gdy zagadnął o to jasnowłosą barmankę, dziewczynie zaświeciły się oczy.

– Dzieciaki poszły na wycieczkę – wyjaśniła. – Ale reszta jest przy elektrowni. To pan nic nie wie?

– Nie. Coś mnie ominęło?

– Mnóstwo. – Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało, jakby nie wiedziała, czy jej wolno. – Oni tam dzisiaj protest robią, nawet telewizja z tego powodu przyjechała. U nas obiad jedli – oznajmiła z dumą. – A potem zaraz pojechali film

kręcić. Jeden miły pan nawet zaproponował, żebym się zabrała z nimi, ale nie mogłam. Wie pan, praca.

Tym razem w głosie dziewczyny nie było już dumy, tylko czysty żal. Witczak nie miał serca powiedzieć jej, że „film”, którym się tak ekscytowała, okaże się kilkusekundową migawką w dzienniku. Jeśli w ogóle cokolwiek pokażą. Nikomu nie zależało na nagłaśnianiu tych protestów, od początku przedstawiano je tak, jakby niewielka grupa antysystemowych elementów blokowała ważny państwowy projekt.

– Zamierza pan tam jechać? – dopytywała dziewczyna.

– Nie.

– O! – Barmance nie mieściło się to w głowie. – Ma pan coś ciekawszego do zrobienia?

– Mam za sobą jedenaście godzin w samochodzie. – Wzdrygnął się na wspomnienie podróży z Olsztyna. Specjalnie wstali o szóstej, żeby być w Rokitnicy o przyzwoitej porze, ale Synowiec po pierwsze, jechał przesadnie wolno, jakby w obecności kapitana bał się choć odrobinę przekroczyć dozwoloną prędkość, a po drugie, drogę udało mu się pomylić chyba ze trzy razy. – Zamierzam zjeść obiad i chwilę się zdrzemnąć.

Wziął swój talerz i odszedł do stolika, odprowadzony zde gustowanym spojrzeniem jasnowłosej panienki.

* * *

Ewa Chojniak siedziała w ogrodzie, przy tym samym stole, przy którym widział ją ostatnio. Na widok Marczewskiego uniosła głowę znad czytanej właśnie gazety i pomachała mu wesoło.

– A więc jednak zdecydował się ksiądz mnie odwiedzić. Zawołam męża, przyniesie nam coś do picia...

– Dziękuję, wpadłem tylko na chwilę. Byłem u Chochołka.

Zamiast zapytać, po co, patrzyła tylko swoimi dużymi niebieskimi oczami z zainteresowaniem. Dzisiaj nie było w niej nic magicznego, dziś była zwyczajną ładną dziewczyną. Możliwe, że to trzymana na kolanach gazeta dodawała jej realności. Leśną wróżkę ksiądz mógł sobie wyobrazić z książką, ale przecież nie z „Trybuną Ludu”.

– Tak?

– Nie zastałem go – powiedział proboszcz. – A dzisiaj rano nie było go w kościele. To pewnie nic takiego, nie ma się czym martwić, ale mimo to...

– Chciałby ksiądz, żeby Franek do niego za jakiś czas zajrzał?

– Tak chyba byłoby najlepiej.

– W porządku, przekażę mu.

– Nie jesteś ciekawa, po co tam poszedłem?

– Jestem – przyznała z błyskiem w oczach. – Ale z doświadczenia wiem, że ludzie nie lubią, kiedy się ich wypytuje. Wolą mówić sami.

– I tak właśnie to działa? – Rozejrzył się dookoła. – Ludzie przychodzą do ciebie i... mówią różne rzeczy?

Zachichotała.

– Jestem kaleką, a kaleka to prawie jak spowiednik, mam nadzieję, że ksiądz się nie obrazi. Bo przecież nie pójdę do wsi i niczego nie rozgam, prawda? A poza tym wszyscy się nade mną litują i uważają, że nie mam nic ciekawszego do roboty, jak tylko słuchać o ich życiu. W większości przypadków zresztą mają rację, w końcu ile można czytać czy oglądać telewizję.

– I czego się ostatnio dowiedziałaś?

Ewa przekrzywiła zabawnie głowę, patrząc na księdza Jerzego z ukosa jak ciekawski ptak.

– O nie, to ksiądz powinien mówić, nie ja. A więc nie powie mi ksiądz, po co szedł do Chochołka?

– Chciałem z nim porozmawiać.

Uśmiechnęła się, prawie zalotnie, prawie porozumiewawczo.

– Woli ksiądz być tajemniczy. W porządku, to przynajmniej coś nowego. Zastanawiam się tylko, czemu przyszedł ksiądz do nas, skoro Kurkowie mają do Chochołka bliżej.

– Wiem, po prostu... – Zakłopotał się. Nie myślał o tym wcześniej, jakoś tak zwyczajnie wyszło, że nogi same zniosły go do gospodarstwa Chojniaków.

– Chciał mnie ksiądz odwiedzić?

– Tak – przyznał, choć nie był pewien, czy naprawdę o to chodziło. Jednak to była najprostsza odpowiedź i w tej chwili, kiedy spoglądał w niebieskie oczy Ewy, także jedyna właściwa.

– I jest ksiądz pewny, że nie zostanie, żeby czegoś się napić?

– Nie, dziękuję. Muszę już iść – powiedział, ale nie ruszył się z miejsca. – Gdzie jest Franciszek?

Patrzyła na niego w sposób, którego nie potrafił rozpoznać. Badawczo? Z rozbawieniem?

– Nie wiem, pewnie robi coś przy domu.

– Nie powinien zostawiać cię samej. To nie jest...

– Bezpieczne? – Ewa uśmiechnęła się szeroko. – Niech się ksiądz nie martwi. Kiedy Franek musi wyjść na dłużej, zawsze przychodzi do mnie Jasia Kurkowa. Jestem pod dobrą opieką przez cały czas, żaden paskudny morderca nie przyjdzie mnie tu zabić.

* * *

Z poczty Hanka zadzwoniła na posterunek w Rokitnicy.

– Wygląda na to, że dzieci z tej rodziny nie kontaktowały się ze sobą po osiągnięciu pełnoletności – powiedziała, kiedy Synowiec łaskawie odebrał i przekazał słuchawkę starszemu sierżantowi Waškowiakowi. – Paweł ledwo Martę pamięta, Stefan nawet nie wiedział, że miał siostrę. Jest od Marty znacznie starszy, kiedy ona się urodziła, on już był dorosły. Z reszty rodzeństwa dwójka została adoptowana jeszcze w dzieciństwie, a jeden brat nie żyje. Chodziły jakieś dziwne plotki, że dostał nożem pod żebra, ale sprawdziłam to na tutejszej komendzie i według raportu patologa na ciele nie było żadnych śladów przemocy. Po prostu zamarł na śmierć.

– Rozmawiałaś osobiście z Pawłem i Stefanem?

– Z matką i z Pawłem osobiście. Ze Stefanem przez telefon, facet jest w więzieniu, poprosiłam, żeby go na chwilę zawołał. Jeśli pan chce, żebym tam pojechała... – Zawiesiła głos. Wizyta w zakładzie karnym oznaczałaby, że musiałaby poszukać sobie w Będzinie noclegu.

– Wolisz wracać, co? – domyślił się Waškowiak.

Starsza szeregowka milczała. Jak miała mu wytłumaczyć, że ma na tyłku ostatnią parę czystych majtek i jeśli zostanie, będzie czekało ją nie tylko szukanie noclegu, lecz także pranie w hotelowej umywalce?

– Nie sędzę, żeby Marta kiedykolwiek interesowała się swoją rodziną – powiedziała wreszcie. – Wszystko wskazuje na to, że nie miała z nimi nic wspólnego. I nie chciała mieć. A Eliza Sterczewska jest na urlopie w Bułgarii. To była dyrektorka domu dziecka – wyjaśniła.

– W porządku, możesz wracać.

– Może powinien pan spytać kapitana...

– Witczak poszedł do Stokrotki. Wracaj, nie ma sensu, żebyś tam marnowała czas. Jak się pośpieszysz, będziesz w Żywcu jeszcze przed północą. Wyślę po ciebie Jaśka.

– Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i poszła w stronę dworca PKS, by złapać autobus do Katowic, a stamtąd pociąg do Żywca.

* * *

Witczakowi śniły się dzieci biegające pomiędzy drzewami w zachodzącym słońcu. „Jestem wilkołakiem! – krzycało jedno, wymachując patykiem. – Mam siekiere, zaraz zabiję was i zjem”, a pozostałe rozpryskiwały się na wszystkie strony jak krople rtęci. Piszczwały i chichotały, ale śmiech kończył się, kiedy dopadał je wilkołak. Wtedy patyk zmieniał się w prawdziwą siekiere, a prawdziwa czerwona krew bryzgała na czarną ziemię i zielone liście.

Kapitan obudził się, cały rozbity, z bolącą głową i nieprzyjemnym uczuciem suchości w ustach. Spanie w dzień nigdy mu nie służyło. Na zewnątrz zapadał już

mrok, w chłodnym powietrzu śmigwały jasne dziecięce głosy. Jego sen.
Raz, dwa, wilkołak już ich ma.

Trzy, cztery, brat zginął od siekiery,

Pięć, sześć, mamę zabił i chciał zjeść,

Siedem, osiem, siostrze mózg wypłynął nosem.

Podszedł do okna. Pomiędzy drzewami goniła się grupka kolonistów. Nie było oczywiście prawdziwej siekiery ani prawdziwej krwi, ale było za to sporo dziecinnej zawziętości, mnóstwo krzyków, pisków, szarpania się i przewracania na ziemię.

– Co wy wyprawiacie? – W parku pojawiła się zirytowana wychowawczyni. – Do swoich pokoi marsz! Umyć się i spać!

Dzieci wracały niechętnie, potrącając się, popychając i szepcząc sobie nawzajem do uszu straszne tajemnice. Witczak patrzył za nimi, dopóki nie zniknęły w drzwiach domu wczasowego. Dopiero wtedy poszedł do łazienki, odświeżył się, przebrał w czystą koszulę i zszedł na dół.

W barze przy jednym ze stolików siedziała grupa hippisów. Rozpoznał dwóch z tych, których widział pierwszego dnia, ale pozostali byli nowi. Albo po prostu wcześniej ich nie zapamiętał. Tym razem były też z nimi trzy dziewczyny, wszystkie długowłose, ubrane w rzeczy, które żona Witczaka nazwałaby „jakimiś kolorowymi szmatami”. Nachylali się do siebie, konferując zaciekle nad butelkami piwa, i od czasu do czasu rzucali pełne niechęci spojrzenia na kogoś, kto siedział na tarasie. Starszy sierżant Stefan Waškowiak, samotny ze swoim kuflem, najwyraźniej był nieświadomy narastającej za jego plecami nienawiści. Albo już tak pijany, że nic go to nie obchodziło.

Witczak zamówił colę, zbierając swoją porcję niechętnych spojrzeń, i wyszedł na taras.

– Nie boisz się? – zapytał, kiedy usiadł obok Waškowiaka. – Tamto towarzystwo wygląda, jakby chcieli utopić cię w łyżce wody.

Sierżant wzruszył ramionami i pociągnął łyk piwa. Ruchy miał sztywne, przesadnie precyzyjne, oczy lekko już zamglone. Kapitan miał rację – Waškowiak pił tu od dłuższego czasu.

– Mam ich w dupie – oznajmił. – Za napaść na funkcjonariusza pójda siedzieć i dobrze o tym wiedzą. Nic mi nie zrobią.

Witczak zapalił papierosa.

– Podobno była jakaś awantura przy elektrowni?

– Była. Przyjechała ekipa z Żywca i trochę ich pogoniliśmy. Nic wielkiego.

– Zatrzymaliście kogoś?
– Jednego, który najgłośniej krzyczał. Posiedzi trochę, to się uspokoi.
– Taki wysoki, dobrze zbudowany i rudy? – Kapitan uświadomił sobie, że nie widział go przy stoliku.

– Taa, właśnie on. Zna go pan?
– Rzucił mi się raz w oczy.
– To student z Katowic, Dariusz Laskowski, ale oni mówią na niego Diabeł. Kurwa, co za czasy. Jak ja byłem młody, to ludzie nie ubierali się jak banda obszarpańców i nie wrzeszczeli jak stado małąp. Czekaj. – Waškowiak był już na tyle pijany, że gładko przeszedł na „ty”. – Muszę do kibla.

Nim jednak zdążył wstać, do stolika podeszła jedna z hippisek. Miała długą, furkoczącą przy każdym ruchu spódnicę i koraliki wplecione w ciemne włosy. Była drobna, ale wyglądała na waleczną, jak odważna mysz. Całkiem ładna mysz, pomyślał Witczak.

– Zadowoleni jesteście z siebie? – zapytała agresywnym tonem, unosząc podbródek. – Nie obchodzi was, że chcą nam tutaj zrobić drugi Czarnobyl? Zdrowie waszych dzieci też macie gdzieś? Świnie!

Splunęła na stolik. Witczak poderwał się i chwycił ją za ramię. Było cienkie jak patyczek, gdyby teraz zaczęli się szarpać, bez trudu mógłby je złamać. Oczy dziewczyny płonęły gniewem, który w świetle wiszącej nad tarasem lampy miał kolor płynnego złota.

– Mnie też chcecie pobić i aresztować? Za to, że mówię prawdę? No dalej, na co czekacie? Przecież to właśnie robicie, nie? Bijecie słabszych, którzy nie mogą się bronić.

Witczak puścił ją. Dziewczyna odsunęła się i rozmasowała ramię.

– Powinna pani już iść – powiedział.

– Zapłacicie za te wszystkie świństwa, które robicie – mruknęła. – Prędzej czy później za wszystko zapłacicie.

– Koleżanki i koledzy czekają na panią.

Zacisnęła usta. Przez chwilę wyglądało na to, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Jej oczy wciąż płonęły złotem, kiedy odwracała się, żeby wrócić do stolika.

– Kurwa mać. – Waškowiak wyraził swoje uczucia, gdy za dziewczyną zamknęły się szklane drzwi. – Sam bym tę pierdoloną elektrownię wysadził, jakbym mógł. No ale przecież nie mogę, nie? Czekaj. – Przypomniał sobie, że chciało mu się sikać. – Zaraz wracam.

Wrócił nie zaraz, tylko dziesięć minut później, z kolejnym piwem. Witczak zdążył przez ten czas zamówić drugą colę i zapalić następnego papierosa. Starszy sierżant usiadł ciężko.

– Po co przyszedłeś? – zapytał kapitan, uznając, że skoro już zaczęli mówić

sobie po imieniu, mogą się tego trzymać. – Bo rozumiem, że czekałeś tu na mnie?

– A, tak. Jasne, że tak. Powiedzieli, że śpisz, to pomyślałem, że zaczekam i przy okazji się napiję, co mi tam. Dasz papierosa?

Witczak wyciągnął w jego stronę paczkę klubowych. Waškowiak wziął jednego i zapalił. Ręce lekko mu drżały, a kiedy się odezwał, mówił nienaturalnie opanowanym tonem kogoś, kto desperacko trzyma się ostatniej granicy trzeźwości.

– Hanka dzwoniła. Powiedziałem jej, żeby wracała, bo i tak niczego sensownego się nie dowiedziała. Poza tym Jasiak ustalił trasę, którą szła nasza ofiara. Zwardoń, Rycerka, Ujsoły... Zresztą sam zobacz. – Sięgnął do kieszeni i wyjął zmiętą kartkę. Witczak musiał pochylić się do światła, żeby odczytać to, co było na niej napisane.

– Wygląda na sporo kilometrów. Czasem pewnie podjeżdżała miejscowymi autobusami, ale i tak musiała się nachodzić.

– To jest sporo kilometrów. – Waškowiak wydmuchnął dym i sięgnął po piwo. – Zwłaszcza jak na kogoś, kto nie lubił pieszych wycieczek. A chyba ona nie lubiła, co?

Witczak skinął głową.

– Woląca odpoczywać na plaży, przynajmniej jeśli wierzyć zdjęciom z wakacji.

– No to w czerwcu za bardzo sobie nie poodpoczywała. I dziwna ta jej trasa była...

– Czemu dziwna?

– Bo ona właściwie nie chodziła po górach. Nie tak jak normalni turyści, tacy, co to włączą na szczyt, żeby podziwiać widoki. Nie była na Wielkiej Raczy ani Pilsku. Owszem, spała w schroniskach, ale tylko tych niżej położonych. Trzymała się dolin, łąziła po jakichś wioskach, gdzie psy dupami szczekają.

– Szukała czegoś – uznał Witczak. – Albo kogoś.

– Taa... – Starszy sierżant sięgnął po kufel. – Na to wygląda. Na pewno się nie napijesz?

– Nie.

– Dziwny z ciebie człowiek.

Witczak nie skomentował. Pomyślał, że będą musieli sprawdzić, czy Jaczyk nocowała w tych schroniskach sama, czy z kimś. Może ktoś ją zapamiętał.

Milczeli przez chwilę, podczas gdy za ich plecami dom wczasowy szykował się do snu. Hippisi zniknęli, bar został zamknięty, bufetowa leniwymi ruchami przecierała stoliki. Tylko z balkonu na piętrze dobiegały jeszcze szepty małych kolonistów, którzy w tę ciepłą lipcową noc wcale nie chcieli spać.

– Słyszałem dziś bawiące się dzieciaki. – Witczak uznał, że pora na zmianę tematu. – Mówiły wierszyk o wilkołaku z siekierą, który zabije wszystkich i zje. O co im chodziło?

W oczach Waškowiaka zamigotało coś, czego Witczak nie potrafił rozpoznać, może żal albo gniew.

– Stara sprawa – mruknął, pocierając zarośnięty policzek. – Jezu, dawno już tego nie słyszałem. Dzieciaki bawiły się tak jeszcze dziesięć lat temu... Teraz, przy tej dziewczynie, komuś musiało się przypomnieć.

– To nie były miejscowe dzieci, tylko te z kolonii.

Starszy sierżant wzruszył ramionami.

– Pewnie ktoś im powiedział. Szczyle szybko łapią takie rzeczy.

Z tym Witczak musiał się zgodzić. A więc mali koloniści wiedzieli nie tylko o Marcie Jaczyk, lecz także o morderstwie, które zdarzyło się dawno temu. Prawdopodobnie tym samym, o którym w pewnym momencie wspomniała Hanka.

– Opowiesz mi?

– O czym?

– O tej starej sprawie z wilkołakiem.

– Wilkołak to bzdury wymyślone przez dzieciaki, zjadanie zwłok też. Tylko siekiera jest prawdziwa. To było zwyczajne morderstwo. I nie miało nic wspólnego z tą dziewczyną na torach. – Waškowiak wyraźnie unikał nazywania ofiary po imieniu.

– Pewnie nie – zgodził się Witczak. – Ale żaden z nas i tak nie ma nic lepszego do roboty. Postawię ci jeszcze jedno piwo, chcesz?

* * *

– To było dwadzieścia lat temu... – zaczął starszy sierżant, obracając w palcach pełny kufel. – Nie, więcej... Latem sześćdziesiątego roku. Dopiero zacząłem pracę. Młody byłem i głupi. Moja pierwsza sprawa i od razu taka...

– Brutalne morderstwo?

– Taa, trzy osoby, dwie załatwione na dobre. Rodzina Kozłów: matka i dwójka młodszych dzieciaków, chłopak plus dziewczyna. Starszy pewnego ranka wziął siekierę i zarał nią matkę i młodszego brata. Siostrę próbował, ale przeżyła, chociaż wiele nie brakowało.

– To było tutaj? W Rokitnicy?

– W Brzozówce. Nie ma już tego domu, bo wszystko zalali wodą. Ale dokładnie pamiętam, gdzie stał... Kiedy przyjechałem, rowerem, bo samochodu wtedy nie mieliśmy, wyglądało tam jak w rzeźni. I śmierdziało. Krew była wszędzie: na podłodze, na ścianach, nawet na suficie... Tamto lato też było gorące i pamiętam, jak nad tym wszystkim krążyły muchy, wielkie i tłuste. Jedna z nich łażyła po twarzy młodszego brata. Po tym, co zostało z jego twarzy. Siostra leżała w kącie jak kłębek zakrwawionych szmat, który ktoś wyrzucił na śmietnik. Matka miała prawie odrąbaną głowę. Prawie, bo trzymała się szyi na wąskim pasku skóry. Jakbym nie widział tego na własne oczy, w życiu bym nie uwierzył, że jeden

niezbyt silny chłopak może coś takiego zrobić. Musiał być wściekły, kiedy... kiedy ich zabijał. Wszedłem i zaraz musiałem wyjść, żeby się wyrzygać w krzakach. Chyba z kwadrans trwało, zanim zdobyłem się na odwagę i wróciłem. Wtedy zobaczyłem, że siostra jeszcze żyje. Kucnąłem obok, podniosłem ją. Nie żeby jej pomóc, nawet o tym wtedy nie pomyślałem. Chciałem tylko, żeby mi powiedziała, kto to zrobił. Niezłym byłem skurwysynem, co?

– Powiedziała? – Witczak pominął pytanie milczeniem.

– Powiedziała. Że brat zaatakował ją siekierą, że uciekł potem do lasu. Wszystko. Zorganizowałem pośpiesznie grupę i zaczęliśmy go ścigać.

A więc nie było żadnego rozwiązywania zagadki, żadnego dedukowania jak z książek o Sherlocku Holmesie. Hankę ewidentnie poniosła romantyczna wyobraźnia. A może po prostu wolała nie myśleć o tym, co naprawdę się wydarzyło, o leżącej w kałuży własnej krwi dziewczynie, która oskarżyła brata, i o człowieku ściganym w lesie jak wściekłe zwierzę.

– Wiesz, w jaki sposób go znaleźliśmy? Dzięki jego psom. Miał dwa kundle, nie z tych przy budzie, tylko biegające wolno po podwórku. Oba bardzo go lubiły. Kiedy uciekał, zamknął psy w stodole, żeby za nim nie poszły. A my je wypuściliśmy.

– I wytropiły go?

Waškowiak skinął głową.

– Kilka godzin nam to zajęło. Dopadliśmy go, kiedy zaczynało się ściemniać. Próbował chyba przejść na czechosłowacką stronę, ale stracił kierunek i kręcił się w kółko. I był już za bardzo zmęczony, żeby dalej uciekać. Kiedy go zobaczyłem, siedział po prostu na ziemi, oparty o pień. I patrzył. Psy podbiegły, żeby polizać go po twarzy, a on je pogłaskał. I dalej na nas patrzył. Jakby... Nie wiem, nie potrafię opisać tego wzroku. Jakby nie należał już do tego świata, jakby dotarł w miejsce, gdzie nikt nie mógł za nim pójść. Jezu, bzdury gadam, wiem, ale tamten dzień... Wtedy wszystko się zmieniło, rozumiesz?

– Tak.

– Myślałem wcześniej, że kiedy ludzie go dopadną, dojdzie do samosądu. Że zwyczajnie powieszą chłopaka na gałęzi albo zatłuką na śmierć. Wszyscy byli niesamowicie nakręceny, ja zresztą też. Ale potem... Po prostu się zatrzymaliśmy. Patrzyliśmy na niego, a on patrzył na nas, prawie jakby wszystkich zahipnotyzował. Nikt nie odważył się podejść. Dopiero ja. Byłem przecież przywódcą całego tego pościgu i niczego się nie bałem. Miałem dwadzieścia parę lat, a do tego właśnie złapałem mojego pierwszego mordercę. Byłem, kurwa, bogiem i tak się czułem. Gdybym kiedykolwiek miał jeszcze raz żyć, to tylko dla tamtej chwili. Wtedy... mogłem wszystko, cały świat miałem u stóp, kiedy prowadziłem tego chłopaka na posterunek. A on poszedł za mną grzecznie, bez słowa. Nigdy już się nie odezwał.

Waškowiak ucichł i siedział tak przez dłuższą chwilę, paląc papierosa. Kapitan czekał cierpliwie. Wiedział, że starszy sierżant prędzej czy później znowu zacznie mówić. I zaczął.

– Przesłuchiwałem go całą noc, sam, bo do pomocy miałem wtedy tylko starego Kopcia, który tamtego lata leżał w szpitalu. Kilka godzin, od północy do świtu. Romek nie odpowiedział na żadne pytanie, nie chciał nawet podać swojego nazwiska. Skinął głową, kiedy zapytałem go, czy on zabił, ale poza tym przez cały czas tylko patrzył. Uważałem to wtedy... sam nie wiem, chyba za coś w rodzaju złośliwości skierowanej przeciwko mnie. Jakby chłopak odmawiał mi tego, co mi się należało, bo przecież złapałem mordercę. To miał być mój triumf, moja pierwsza idealna sprawa zakończona ładnym, czystym wyznaniem. A on nie chciał mi tego dać. Niby to nie miało znaczenia, już wtedy wiedziałem, że jeśli dziewczyna przeżyje, jej zeznania wystarczą, żeby go skazać. Poza tym było mnóstwo innych dowodów: Romek miał na sobie koszulę całą we krwi, na siekierze pewnie zostawił odciski palców. Jego milczenie niczego nie zmieniało, dalej mogłem uważać tę sprawę za sukces. Ale nagle już nie potrafiłem. Na początku starałem się być spokojny, później zacząłem krzyczeć, jeszcze później chłopaka uderzyłem. Najpierw lekko, tak żeby tylko przemówić mu do rozumu, potem mocniej. Straciłem panowanie nad sobą, po raz pierwszy w życiu. Rano, kiedy po niego przyjechali z Żywca... Jezu, nikt niczego nie powiedział, w końcu to był morderca, ale pamiętam, jak na mnie patrzyli, ze strachem i obrzydzeniem. Nie z szacunkiem, chociaż wtedy bardzo chciałem w to wierzyć.

– Nigdy się nie przyznał?

– Nie. Myślałem, że skażą go na śmierć, zasługiwał w końcu na to, ale dali go tylko do psychiatryka, że niby źle w głowie miał. Chyba po prostu doktorkom zrobiło się żal, bo młody był, ledwo dwadzieścia lat wtedy skończył i wyglądał jak niewiniątko, taki słodki blondynek. Do dziś u wariatów w Lublińcu siedzi.

– I nie wiesz, czemu zabił swoją rodzinę? Mieli jakieś problemy?

Waškowiak wzruszył ramionami.

– To jest pytanie, co? Niedługo wcześniej umarł stary Kozioł, a Romek chyba poczuł się w obowiązku, żeby go zastąpić. Wcześniej dogadywał się z rodzeństwem, potem nagle zaczął ich ustawiać, pokrzykiwać, wymyślać jakieś kary. Starał się być jak ojciec, ale nie bardzo mu to wychodziło. Poza tym miał lekką obsesję, wydawało mu się, że teraz, kiedy starego zabrakło, gospodarka popadnie w ruinę i takie tam.

– Miał rację z tą ruiną?

– Nie, skąd. Radzili sobie nieźle, może nie idealnie, ale nieźle. Zresztą to było niewielkie gospodarstwo, cztery osoby spokojnie wystarczyły, żeby wszystko ogarnąć. A Romek ciągle gonił ich do roboty. Dwójka młodszych pomagała, ale też trochę się migała, wakacje były, a oni mieli wtedy piętnaście i czternaście lat, nic

dziwnego, że woleli włóczyć się po lesie, niż pracować w polu czy przy świniach. Matka stała za nimi murem, ci młodszy to były zdolne dzieciaki, inteligentne, w szkole same piątki, książki nawet czytały. Kozłowa chyba sobie wyobrażała, że szkoda ich na wieś marnować, że jak podrosną, to do miasta pójda...

– A więc w domu był konflikt.

– Był, owszem. Ale mimo wszystko... Żeby zarząbać siekierą dwójkę dzieciaków, bo za mało pracowały? I matkę, bo w kłótniach brała ich stronę?

– A co powiedziała siostra? Jak ona się nazywała?

– Agnieszka. Najpierw nie mówiła nic. Do szpitala ją zabrali, straciła sporo krwi i przez jakiś czas wyglądało, że jej z tego nie wyciągną. Potem też nie była zbyt rozmowna. Nie tak jak Romek, on był... świadomy, cały czas świetnie wiedział, co zrobił i co mu za to grozi. I zdecydował się milczeć. Ona... Raz tylko ją widziałem, jeszcze w szpitalu. Wyglądała na kompletnie oszołomioną, jak ktoś, kto obudził się, ale wciąż nie może uwierzyć, że koszmar się skończył. Tłumaczyli jej jak dziecku, co się stało, ale dziewczyna patrzyła tylko tymi swoimi wielkimi oczyskami. „Romek bardzo się zdenerwował”, tyle udało się z niej wydusić. Szybko dali spokój. Jak mówiłem, jej zeznania i tak nie miały większego znaczenia, a chłopak nigdy nie stanął przed sądem.

Zgasił papierosa. W kuflu skończyło się piwo, dom wczasowy wreszcie zapadł w sen. Lampa nad tarasem nie zgasła zupełnie, ale pociemniała, tak że twarz siedzącego obok Waškowiaka majaczyła teraz w mroku niewyraźną białą plamą. Umilkły świerszcze, w parku słyhać było już tylko szelest poruszanych delikatnym wiatrem krzewów i szum strumyka. I kiedy Witczak myślał już, że starszy sierżant niczego więcej nie powie, mężczyzna odezwał się bełkotliwym głosem:

– Czasem myślę, że on mnie wtedy przeklął. Tamtego dnia, kiedy go przesłuchiwałem. Zamienił mój największy triumf w klęskę i mnie... mnie przeklął. Potem już wszystko szło źle. Dostałem pochwałę i awans i pojechałem do Żywca. Ale to był koniec mojej kariery. Radziłem sobie jeszcze w drobiazgach, ale nigdy więcej nie rozwiązałem żadnej grub... grubszej sprawy. I praca mnie w cholerę nudziła, wszystko było blade w porównaniu z tamtą chałupą całą we krwi i posig... pościgiem przez las. Aresztowanie kurew i melinarzy, co to za robota dla człowieka, który kiedyś, przez parę minut, był bogiem? Miałem wtedy narzeszco... narzeczoną, miłą dziewczynę, której jakimś cudem spodobał się taki chłop ze wsi jak ja. Jej rodzice też mnie lubili. Ale nic z tego nie wyszło. To ja powiedziałem Kaśce, żeby sobie znalazła kogoś lepsz... lepszego. Już wtedy trochę za dużo piłem i za późno wracałem do domu. Wiedziałem, dokąd to z... zmierza, i nie chciałem skończyć jak ci wszyscy gliniarze, których ossserwo... wowałem. A potem fróssiłem tutaj i... – Waškowiak zamilkł bezradnie, kiedy wreszcie zawiódł go język.

Witczaka przez chwilę kusiło, żeby opowiedzieć o sobie, o swoim nieszczęściu – miałyby to niewątpliwie tę zaletę, że jego rozmówca nazajutrz niczego by nie pamiętał. Ostatecznie jednak nic nie powiedział.

Waškowiak wstał. Twarz w świetle lampy miał bladą, spoconą, o niezdrowym odcieniu. Zatoczył się, a kapitana przeraziła myśl, że facet lada moment dostanie zawału, ale starszy sierżant jakimś cudem zdołał utrzymać się na nogach.

– Dlatego go nie złapiemy, rozu... rozumiesz? – wybełkotał. – Tego, kto zadź...żgał tę dziew... dziewczynę na torach. Bo jesss... jestem przeklęty. Wszystko, czego się tknę, zaraz się sss... sypie. Nigdy go nie złapiemy. Nigdy.

czwartek, 17 lipca

Rano ksiądz Jerzy Marczewski zamknął się w kancelarii i udawał, że pracuje, a tak naprawdę patrzył w telefon i zastanawiał się, czy jeszcze raz zadzwonić do Trzebnicy, czy może lepiej dać sobie spokój. Przez okno widział gospodynię okopującą groszek i przez chwilę nawet rozważał, czy nie zaproponować jej pomocy – dzięki temu mógłby odwlec moment decyzji, zrezygnował jednak. Siedział tak od kwadransa, ze zmarszczonymi brwiami, kiedy rozległo się dyskretne pukanie i Pawliczkowa wsunęła głowę do gabinetu.

– Przyszedł ten nowy z milicji – oznajmiła takim tonem, jakby mówiła: „W kuchni załęgły się karaluchy”. – Powiedzieć, że ksiądz proboszcza nie ma?

– Nie, porozmawiam z nim. – Darował sobie uwagę na temat ósmego przykazania, sam zresztą zastanawiał się, czy nie warto skorzystać z takiej furtki. Ale instynkt podpowiadał mu, że tak łatwo się kapitana Witczaka nie pozbędzie.

Milicjant czekał grzecznie przy drzwiach – Pawliczkowa najwyraźniej nie pozwoliła mu wejść dalej, a on nie nalegał. Proboszcz chciał zaprowadzić go do kancelarii, ale kapitan zaprotestował.

– W taki piękny poranek nie warto kisić się w domu – powiedział. – Może usiądziemy w ogrodzie?

Ksiądz Jerzy zgodził się, że owszem, dzień jest piękny, po czym wyniósł na ganek dwa krzesła. Ustawił je tak, żeby mieli dobry widok na rabatę pełną kwitnących róż. I na wikarówkę przy okazji też.

Witczak wyjął z kieszeni paczkę klubowych i zapalił.

– Nie przyszedłem księdza przesłuchiwać, jeśli tym się ksiądz martwi. Wpadłem tylko pogadać, jak z kolegą. Raz nam już ksiądz pomógł.

Proboszcz miał ochotę zauważyć, że to jeszcze nie czyni ich kumplami, uznał jednak, że lepiej będzie milczeć. Czekał cierpliwie, patrząc na milicjanta, który wystawiał twarz do słońca, mrużył oczy i leniwie wydmuchiwał dym.

– Bo widzi ksiądz – odezwał się po chwili Witczak – wygląda na to, że

utknęliśmy w martwym punkcie. Znamy już tożsamość tej dziewczyny z torów, to Marta Jaczyk z Olsztyna. Może ksiądz o niej słyszał?

Jeśli to była pułapka, to nie zadziałała, bo proboszcz mógł z czystym sumieniem pokręcić głową.

– Nie.

– W porządku, wierzę księdzu. Tak tylko pytam. W każdym razie znamy tożsamość ofiary, ale poza tym dalej nic nie wiemy. Dlatego uznałem, że może przyda mi się rozmowa z kimś inteligentnym.

– Obawiam się, że w niczym panu nie pomogę.

– Nie słyszał ksiądz ostatnio żadnych soczystych plotek? Żaden morderca nie wyznał swojej winy przy spowiedzi?

– Nie. – W głosie Marczewskiego zabrzmiało lekkie wahanie.

– Na pewno?

– Na pewno – powtórzył, tym razem z większym przekonaniem.

– Cóż, człowiek rzadko dostaje to, czego chce – powiedział Witczak pogodnie. – A może wie coś ksiądz o morderstwie, które było tu dawno temu? Jakoś tak na początku lat sześćdziesiątych. Nikt o tym księdzu nie powiedział?

– Nie. – Proboszcz miał wrażenie, że jak papuga zaczyna powtarzać jedno słowo.

– Paskudna sprawa. – Witczak zaciągnął się dymem. – Chłopak zabił matkę i brata, a siostrę porządnie okaleczył. Do dziś nie wiadomo, czemu właściwie to zrobił.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem, ale oczywiście jeśli to się wydarzyło w latach sześćdziesiątych, to na długo zanim ja objąłem parafię i pewnie dlatego... – Marczewski czuł, że zaczyna się pocić. Dlaczego właściwie się przed tym człowiekiem usprawiedliwiał?

– I dlatego ksiądz nic nie wiedział, jasne – dokończył Witczak swobodnie. – Zresztą przez lata nikt o tamtej sprawie nie pamiętał, dopiero ostatnio jakoś to znowu wypłynęło. Na przykład dzieciaki na koloniach zaczęły się bawić w wilkołaka z siekierą. Jak to szło? „Raz, dwa, wilkołak już ich ma / Trzy, cztery, brat zginął od siekiery / Pięc, sześć, mamę zabił i chciał zjeść / Siedem, osiem, siostrze mózg wypłynął nosem”. Musiały to podłapać od miejscowych, ale pytanie, czemu w ogóle ktokolwiek miałby po latach przypomnieć sobie o głupiej zabawie? Wie ksiądz coś o tym?

– O wilkołaku z siekierą? – Marczewski zaczynał się gubić.

– O tym, kto mógłby dzieciom podpowiedzieć, że można się tak bawić.

– Nie mam pojęcia. – Pomyślał o Bartku, który zajmował się najmłodszymi parafianami. Czy kiedykolwiek bawił się z nimi w wilkołaka z siekierą? Pomyśl wydawał się absurdalny: wikary grał dzieciakom na gitarze, zabierał je na wycieczki i organizował mecze piłki nożnej, ale z pewnością nie wymyślał takich

krwawych i okrutnych zabaw.

– Rozumiem. – Witczak rzucił papierosa na trawę i przydepnął go. – Nie będę zabierał księdzu więcej czasu. -Z -Bogiem.

– Z Bogiem. – Proboszcz pożegnał się, tym razem przyjmując słowa milicjanta bez zdziwienia.

* * *

Hanka wietrzyła posterunek przez cały ranek i zamknęła okno, dopiero gdy przyszedł spóźniony Witczak. Mimo to odór gnijącego mięsa był wciąż wyczuwalny. Kapitan skrzywił się, wchodząc, ale nic nie powiedział, nie kazał też z powrotem otworzyć okna. Położył tylko na stole zapisaną ołówkiem kartkę i spojrzął na Synowca, który jako jedyny chyba nie czuł żadnego smrodu.

– Dobra robota z tą trasą Marty Jaczyk – powiedział, a chłopak wyprostował się dumnie. – Teraz musimy jeszcze się dowiedzieć, czy dziewczyna szła sama, czy może z kimś. Jeśli będziemy mieć szczęście, ktoś zapamiętał ją w jakimś schronisku czy gdzie tam spała.

– Chce pan, żebyśmy się przeszli po miejscach, w których Jaczyk mogła nocować? – domyśliła się Hanka. – To nie będzie takie proste, dziewczyna musiała wypstrykać ze trzy rolki filmu, a przecież nie fotografowała wszystkiego...

– Jeśli coś pominiecie, trudno. Zresztą wystarczy, że chociaż jedna osoba ją sobie przypomni.

Starsza szeregowca spojrzała na Synowca, który miał wyjątkowo nieszczęśliwą minę – najwyraźniej on też nie był wielbicielem górskich wycieczek.

– Weźmiemy samochód – powiedziała pocieszająco. – Jeśli Jaczyk nie chodziła nigdzie wysoko, to w większość miejsc damy radę dojechać, najwyżej potem pójdziemy pieszo.

– Mogę spakować wam termos z herbatą i kanapki z jajkiem – zaproponował Witczak uprzejmie. – Zdaje się, że takie właśnie rzeczy zabiera się na wycieczki.

Synowiec otrząsnął się i chyba postanowił stawić czoła rzeczywistości.

– M...mogę to zrobić sam – powiedział. – B...bez Hanki. Dam sobie radę. Ja p...przeglądałem te zdjęcia i najlepiej znam t...trasę. Dam radę.

– Pojedziesz z Hanką, najwyżej potem się rozdzielicie i dzięki temu szybciej wam pójdzie – zdecydował Witczak, po czym spojrzął na zegarek. – Waškowiak dzisiaj nie zamierza się pojawić? Odsypia kaca?

Kapral wzruszył ramionami, Hanka miała ochotę przypomnieć, że kapitan też przyszedł później, niż się umawiali, rozsądnie jednak postanowiła milczeć.

– Mniejsza z tym – uznał Witczak. – Możecie jechać, ja mam tu parę rzeczy do zrobienia.

Synowiec zabrał leżącą na stole kartkę i wyszedł bez słowa. Hanka poszła za nim, ale w progu zatrzymała się jeszcze na chwilę i odwróciła w stronę Witczaka.

Lepiej od razu mieć to za sobą, pomyślała.

– Moja ciotka zaprasza pana na kawę – powiedziała z determinacją. – I domowe ciasto. Chciałaby pana poznać i...

– Wypytać o soczyste szczegóły morderstwa?

Starsza szeregowka ku swojej irytacji poczuła, że się rumieni. Domyślił się, jasne, że tak. Mogła się tego spodziewać.

– To znaczy, że pan nie przyjdzie? – bąknęła. – Co mam jej powiedzieć?

– Że jestem bardzo nietowarzystki. Albo cokolwiek.

Kiedy wychodziła, kapitan stał nieruchomo na środku posterunku. Miał zmarszczone brwi i węszył dyskretnie w powietrzu.

* * *

Większość ranka, a potem wczesne popołudnie Witczak spędził, polując na mysz, która zdechła gdzieś za meblami i teraz rozkładała się w upale. Zaczął od opróżnienia półek i przesunięcia szafki – najpierw jednej, potem drugiej i trzeciej. Nic. Sprawdził za rurami w maciupieńkiej łazience i pod stołem, na którym stała dwupalnikowa gazowa kuchenka. Znalazł mnóstwo kurzu i pajęczyn, zgubiony guzik z munduru, a także resztki zaschniętej kanapki, ale żadnej myszy.

Poddał się wreszcie koło drugiej, powkładał z powrotem zakurzone akta na półki – byle jak, nie dbając o porządek, bo w końcu i tak nikt nie zamierzał ich czytać. Zostawił na wierzchu tylko jedną teczkę, z czerwca 1960 roku. Potem umył ręce i przeglądając się w pękniętym lustrze, zdjął z ucha malowniczo zwisającą pajęczynę. W łazience śmierdziało rdzą, środkami czyszczącymi i moczem, a w pokoju zdechłą myszą. Witczak miał tego dość. Wziął teczkę i wyszedł, zamykając posterunek kluczem, który dostał od Waškowiaka – nie miał pojęcia, czy to duplikat, czy nie, ale nie zamierzał się tym martwić. Starszy sierżant, gdy w końcu raczy przywlec swój tyłek, sam będzie musiał sobie poradzić.

W Stokrotce kapitan zjadł obiad i wyszedł do parku. Przez chwilę krążył między drzewami, kierując się słuchem, aż wreszcie znalazł strumyk, którego szemranie słyszał każdego wieczoru z tarasu. Usiadł na rozgrzanej słońcem ziemi. Po błękitnym niebie żeglowały białe strzępiaste obłoczki, leciutki wiaterek szeleścił w długich żdźbłach trawy. Witczak podwinął rękawy koszuli, zdjął buty i skarpetki, po czym włożył stopy do wody. Była lodowata, zupełnie jakby strumyk płynął w cieniu pod drzewami, a nie na otwartej przestrzeni. Może wszystkie górskie potoki tak miały, kapitan się na tym nie znał. Wyjął stopy, ułożył je na kępie niezapominajek i zabrał się do czytania akt.

Wtedy, w czerwcu, też było gorąco, przynajmniej tak powiedział Waškowiak, a kapitan był skłonny mu wierzyć. I doskonale potrafił to wszystko sobie wyobrazić.

* * *

O jedenastej rano na posterunek w Jaworkach – w latach sześćdziesiątych w tej okolicy tylko tam była milicja – przybiega spanikowany nastolatek. Jest błądy i ledwo potrafi wykrztusić z siebie kilka sensownych słów. U Kozłów stało się coś złego, tak właśnie mówi, a Waškowiak bez słowa bierze rower i jedzie na miejsce. O czym wtedy myśli? Może przypuszcza, że chodzi o pijacką bójkę, może wyobraża sobie któryś z tych zwyczajnych wiejskich wypadków – palce obcięte sieczkarnią, kosę wbitą w stopę. Może przychodzi mu do głowy, że gdyby coś takiego się wydarzyło, chłopak biegłby raczej po lekarza, a może nie. Waškowiak ma wtedy dwadzieścia parę lat, a w tym wieku nie myśli się za dużo – dla niego jest to okazja, żeby się wykazać, i przerwa w nudnej pracy na wiejskim posterunku.

Gdy docierają do gospodarstwa Kozłów, jest prawie południe i ciepło poranka przechodzi właśnie w morderczy upał pełni dnia. Waškowiak ociera pot z twarzy, w płucach pali go żar, a zmęczone mięśnie łydek drżą od wysiłku. Zeskakuje z roweru i mruży oczy, czekając, aż po półmroku lasu z powrotem przyzwyczajają się do światła. Po chwili obraz wyostrza się i w ciemnej dotąd sylwetce młody milicjant rozpoznaje siedzącego na studni Janickiego, który dziś rano wraz z synem przyszedł do Kozłów dogadać kwestię koszenia łąki. Tak przynajmniej Waškowiak zrozumiał z mętnych wyjaśnień nastolatka. Mężczyzna pali papierosa w milczeniu. Twarz ma szarą, w kolorze wygarniętego z pieca popiołu, a kiedy w końcu patrzy na milicjanta, przez chwilę sprawia wrażenie, jakby go nie poznawał.

– Co się stało? – pyta Waškowiak, starając się przybrać jak najbardziej profesjonalny ton. Przeczuwa już, że to, co wydarzyło się w tej samotnej chacie, może go przerosnąć, ale na razie nie dopuszcza tej myśli do świadomości.

Janicki potrząsa głową i kilka razy powtarza „Jezus Maria” na zmianę z „kurwa mać”. Waškowiak daje mu spokój i wchodzi do wnętrza domu, wciąż jeszcze nie zdając sobie w pełni sprawy z rozmiaru tragedii, wciąż wierząc, że nawet jeśli za chwilę spojrzy w oczy prawdziwemu złu, to będzie to zło, z którym potrafi sobie poradzić.

„Jak w rzeźni”, tak powie później, i tak właśnie wygląda w chacie. Krew jest wszędzie, Waškowiak widzi czerwone zacieki na białych firankach i białym obrusie. Z obrazka Matki Boskiej Częstochowskiej zwisa zakrzepła kropla, która drży lekko, gdy milicjant otwiera drzwi i w kuchni porusza się zastygłe dotąd powietrze. To duża kuchnia, jedna z tych przytulnych, gdzie domownicy zbierają się wokół stołu w ciepłe buzującego ognia. Teraz piec jest zimny, ale Kozłowa zabierała się widocznie do przygotowywania posiłku, bo w zlewie leżą na wpół obrane ziemniaki. Cokolwiek się tu zdarzyło, musiało zajść tuż przed przyjściem Janickich, koło dziesiątej. Nie wcześniej. Na wsi obiad je się bliżej południa niż pierwszej, ale przecież nie o świcie.

Na ziemniakach też jest krew, tak samo jak na nożu – Waškowiak sądzi nawet przez chwilę, że to narzędzie zbrodni – jak w zlewie i na żółtych kafelkach pieca. A pod piecem leży mięso. Tak właśnie myśli młody milicjant. Nie człowiek, tylko mięso. Tak jest łatwiej, zresztą w porąbanym ciele Kozłowej niewiele zostało ludzkich cech.

Milicjant wycofuje się powoli, przechodząc przez drzwi z wyłamanym zamkiem. Naprzeciwko kuchni znajduje się pokój i tam natyka się na kolejne ciało – młody chłopak leży obok łóżka, wciąż jeszcze osłaniając głowę dłońmi. Ma zmiażdżoną czaszkę i odrąbane palce lewej ręki. Na dziewczynę w sieni, skuloną pod prowadzącą na strych drabiną, Waškowiak nawet już nie patrzy – zakłada po prostu, że ona też nie żyje. Wychodzi chwiejnym krokiem i kiedy upała na zewnątrz uderza go w twarz, biegnie niezgrabnie w krzaki, żeby zwymiotować. Potem siada obok Janickiego na pokrywie studni i obaj milczą. Nie ma nic do powiedzenia, a przynajmniej nic, co miałoby jakikolwiek sens. W ogrodzie panuje cisza, słychać tylko ujadanie psów zamkniętych w stodole. Już po tym szczekaniu, rozpaczliwym, pełnym wściekłości i strachu, Waškowiak powinien się być domyślić, że stało się coś bardzo złego. Nie domyślił się jednak i teraz przez krótką chwilę żałuje, że w ogóle tu przyszedł, że dyżuru nie pełnił dziś kapral Kopeć, tylko on.

Janicki częstuje milicjanta papierosem – Waškowiak zaciąga się głęboko, żeby zabić paskudny smak w ustach. Pali, patrząc na chłopca, który siedzi na trawie i kołysze się w ostrym słońcu do przodu i do tyłu, podczas gdy jego maleńki cień kołysze się wraz z nim.

Chwila słabości mija, Waškowiak rzuca papierosa w trawę i wstaje. Pora wziąć byka za rogi, myśli, i dodaje mu to odwagi, choć porównanie wydaje się mało stosowne. Wchodzi ponownie do domu, tym razem przygotowany na to, co tam zastanie. Widział już przecież trupy, co prawda dawno temu, bo w czasie wojny, widział też ciało młodszej siostry, którą przyniesiono do domu po tym, jak zapomniana mina urwała jej obie stopy. Nie boi się krwi ani mięsa.

Ale jedno z tych mięs się rusza.

Zastyga w sieni na pełne grozy kilka sekund, potem dopiero schyla się i unosi głowę dziewczyny. Ranna mruga sennie, z trudem koncentrując wzrok.

– Kto ci to zrobił? – pyta milicjant natarczywie, bez współczucia. Nie myśli w tej chwili o ratowaniu nastolatki – gdyby ktoś go zapytał, powiedziałby pewnie, że i tak nic jej już nie pomoże – tylko o ściganiu mordercy.

Dziewczyna zamyka oczy i kiedy wydaje się, że już ich nie otworzy, powieki unoszą się wolno, jakby nawet tak drobny ruch wymagał nieskończonego wielkiego wysiłku.

– Romek – mówi. – Uciekł... do lasu...

– Znajdę go – oznajmia Waškowiak i przez moment czuje się jak bohater filmu. To dobre uczucie, takie, które przepłasza strach i sprawia, że nawet woń

rzeźni staje się mniej obrzydliwa, a bzyczenie otumanionych upałem i krwią much brzmi ciszej, jakby dobiegało zza ściany. – Znajdę, a potem go powieszę na jego własnych jajach.

Wstaje, gotów spełnić swoją obietnicę.

* * *

Wszystko to Witczak mógł sobie wyobrazić, jakby oglądał obraz w technikolorze, tyle tylko że nic z tego nie przybliżało go do odpowiedzi na pytanie, co morderstwo sprzed lat ma wspólnego z martwą dziewczyną na torach i czy w ogóle coś. Z jednej strony statystyka podpowiadała, że mogło mieć – w tak niewielkich miejscowościach zabójstwa, zwłaszcza brutalne, zdarzały się na tyle rzadko, że śledczy odruchowo szukali powiązań. Z drugiej – masakra w domu Kozłów miała miejsce dawno temu, a nawet na kompletnym zadupiu mogą się zdarzyć dwa niezależne od siebie morderstwa w ciągu trzydziestu lat. Nie, Witczak nie sądził, żeby jedno związane było z drugim, lecz ponieważ i tak nie miał lepszego pomysłu na spędzenie popołudnia, zaczął rozważać taką wersję. Wtedy musiałby przyjąć, że Jaczyk przyjechała tutaj w maju czy czerwcu i... co właściwie? Dowiedziała się czegoś o tamtej starej sprawie? Nonsens, przecież wszystko z wyjątkiem motywu zabójcy zostało wyjaśnione. Roman sam się przyznał, choćby tamtym skinieniem głowy. Nie było wątpliwości.

A jeśli były? Jeśli chłopak przytaknął, żeby chronić prawdziwego mordercę? Kogoś, kogo kochał? Witczak pomyślał o dziewczynie, która leżała pod drabiną, podobna do kłęбка zakrwawionych szmat. Dziewczynie, która oskarżyła brata. Milicja jej nie podejrzewała, przecież mało brakowało, by Agnieszka też umarła. I nikt nie zdołałby sam zadać sobie takich ran. Przynajmniej tak wszyscy sądzili, lecz Witczak nie takie rzeczy już widział. Teoretycznie było możliwe, że nastolatka zarąbała siekierą matkę i brata, a potem próbowała zabić siebie. Bardzo mało prawdopodobne, ale możliwe. Tylko dlaczego miałyby to zrobić? Romek miał motyw, choćby i błąh. Zabił, bo brat i siostra woleli się bawić zamiast pracować, a matka w kłótniach brała ich stronę. Witczak, w przeciwieństwie do Waškowiaka, doskonale potrafił sobie wyobrazić, że coś takiego mogłoby popchnąć chłopaka do morderstwa. Znał ludzi, którzy zginęli za znacznie mniejsze przewinienia.

Jaki motyw mogłaby mieć Agnieszka?

Kapitana zastanawiało jeszcze jedno: drzwi z wyłamanym zamkiem. Wyglądało na to, że kiedy zaczęła się rzeź, matka nie pobiegła na pomoc ukochanej dwójce młodszych dzieci, których zawsze broniła. Zamiast tego zamknęła się w kuchni na klucz, co i tak nie ocaliło jej życia.

To też do niczego nie pasowało.

– Proszę pana... – Cieniutki głosik wyrwał go z zamyślenia.

Odwrócił się. Za nim stał może dziesięcioletni chłopiec w spodenkach

odsłaniających chude, podrapane kolana.

– Proszę pana, czy mogę wziąć jedną kartkę? – Brudnym palcem pokazał teczkę z aktami. – Stateczek bym sobie zrobił.

– Możesz, pod warunkiem że powiesz mi, kto was nauczył bawić się w wilkołaka z siekierą. – Witczak dostrzegł swoją szansę. Pytał już o to wcześniej, ale dzieci w towarzystwie wychowawczyni nagle doznały całkowitej amnezji.

Chłopiec przestąpił z nogi na nogę, a kapitan pomachał zachęcająco plikiem pożółkłych kartek. Miał szczerą nadzieję, że nie ma w tych aktach niczego bardzo ważnego.

– Powiesz?

– Pani z ogrodu – wypaliło dziecko, patrząc łakomym wzrokiem na kartki. – Mogę już?

– Nie. Jaka pani?

– Taka jedna. Zawołała nas, kiedy przechodziliśmy koło jej domu, i powiedziała, że możemy wpaść, jak chcemy. Była miła, chociaż nie umie chodzić.

Ewa Chojniak, pomyślał Witczak.

– Masz. – Rzucił kartkę. Dziecko chwyciło ją zgrabnym ruchem, po czym kucnęło i z przejęciem zaczęło składać papierowy statek. Witczak wstał. Najwyższa pora się zbierać, zanim chłopak odkryje, że jeden statek to mało i przydałoby się puścić na strumień całą flotyllę.

* * *

– To byłaś ty – oznajmił ksiądz Jerzy, zaciskając palce wokół szklanki z kompotem. – Ty nauczyłaś dzieci wierszyka o wilkołaku.

Zgadywał, bo przecież nie miał żadnych dowodów, ale instynkt podpowiadał mu, że się nie myli. To było jak błysk, jak nagłe olśnienie – w końcu kto inny mógłby coś takiego zrobić? Ewa sama wspominała, że na miejsce zbrodni wybrała się grupka kolonistów, a skoro dzieci tędy przechodziły, równie dobrze mogły też z nią rozmawiać.

Dochodziła piąta, godzinę temu Franciszek wyruszył, by po raz drugi sprawdzić, czy Chochołek wrócił do domu. Wczoraj wieczorem wciąż go nie było, ale Chojniakowie zgodnie uznali, że jeszcze za wcześnie na alarmowanie milicji.

Ewa przez chwilę wyglądała, jakby miała zamiar zaprzeczyć, ostatecznie jednak zrezygnowała.

– Ja – przyznała, zabawnie przekrzywiając głowę i patrząc na proboszcza z ukosa. – Co z tego?

– Czemu to zrobiłaś?

– Bez powodu. To wyliczanka z czasów, kiedy sama byłam małą dziewczynką. Miło było ją sobie przypomnieć.

– I nie chodziło o nic więcej? Na przykład o to, żeby zwrócić uwagę milicji

na tę starą sprawę?

Uśmiechnęła się.

– Mam wrażenie, że ksiądz mnie przecenia. Naprawdę myśli ksiądz, że siedzę tutaj w ogrodzie i cały czas tylko snuję intrygi?

– Nie, oczywiście, że nie. – Zakłopotał się, choć prawdę powiedziawszy, coś takiego przemknęło mu przez głowę. Ewa Chojniak coś wiedziała i wyglądało na to, że świetnie się tą wiedzą bawi.

Napił się kompotu, prawie nie rejestrując jego smaku. Franciszek powinien już wrócić, ale jego żona nie wyglądała na zaniepokojoną. Albo dobrze to ukrywała.

– Myślisz, że Chochołkowi stało się coś złego? – Zmienił temat. – Miał zwyczaj zostawać na noc poza domem?

Ewa bawiła się szklanką.

– Nie wiem, chyba nie. Ale ma siostrzeńca gdzieś pod Krakowem. Może pojechał do niego.

– Zostawiając zwierzęta?

Wzruszyła ramionami.

– Chochołek trzyma tylko króliki i kaczki, a one przeżyją dzień bez opieki.

– Krowy nie ma? Widziałem oborę.

– Miał, ale sprzedał. Mówił, że więcej z nią kłopotu niż pożytku. I pies mu zdechł jakiś czas temu... – Musiała się zorientować, jak to zabrzmiało, bo przez jej twarz przemknął cień poczucia winy. – Powinnam wysłać tam Franka już wcześniej, wiem. W końcu to stary, schorowany człowiek, nie ma nikogo do pomocy. Ale z Chochołka zawsze był odludek, to chłop przyzwyczajony do samotności. Nie wydawało się, żeby kogoś potrzebował.

– Ja też powinienem pomyśleć, żeby go odwiedzić – przyznał proboszcz, a dziewczyna zmrużyła oczy.

– Przecież właśnie po to ksiądz wczoraj przyszedł, prawda? Żeby odwiedzić biednego starego człowieka?

Poruszył się niespokojnie. Wciąż nie miał pewności, czy Ewa sobie z niego kpi, czy tylko próbuje wyciągnąć informacje – a może jedno i drugie?

– Przyszedłem, bo miałem do niego sprawę. – Zamilkł, a potem dodał pod wpływem nagłego impulsu: – Podobno Chochołek widział, jak poprzedni proboszcz, ten, który popełnił samobójstwo, pali na plebanii jakieś rzeczy. Chciałem o to zapytać.

– Po co?

– Nie wiem. – Zirytowany przetarł dłonią spoconą twarz. – Bo mam wrażenie, że dzieje się tu coś dziwnego, a ja nie wiem co. Bo wszyscy coś przede mną ukrywają.

– Włącznie ze mną?

– Włącznie z tobą. Wiesz, że Rokitnicę nazywają przeklętą parafią? Jeden proboszcz zginął w wypadku, drugi się powiesił, a trzeci został odwołany w nietypowych okolicznościach. Trochę za dużo tych zbiegów okoliczności.

Czekał, licząc, że Ewa odpłaci mu szczerością za szczerość. Dziewczyna pochyliła się. W niebieskich oczach tańczyły słoneczne rozbłyski, jej twarz znalazła się tak blisko, że czuł na policzku słodki oddech.

– W porządku, powiem księdzu, co wiem, ale musi ksiądz obiecać, że nikomu tego nie powtórzy...

Oszołomiony Marczewski obiecał, jednak nim otworzyła usta, furtka za jej plecami skrzypnęła i Ewa wyprostowała się gwałtownie. Do ogrodu wszedł Franciszek, a zaraz za nim Waškowiak i stara Kurkowa.

– Rozmawiacie sobie? – Chojniak podszedł do żony i pocałował ją w czubek głowy, a potem, nie czekając na odpowiedź, przeniósł spojrzenie na proboszcza. – Lepiej niech ksiądz pójdzie z nami. Ewa zostanie z panią Jasią.

– Chochołek się nie znalazł? – zapytała Ewa.

– Nie, ale nie musisz się tym martwić. – Wzrok mężczyzny mówił coś dokładnie przeciwnego. – Pewnie gdzieś zabalował i niedługo wróci. My tylko trochę się rozejrzemy, tak na wszelki wypadek. Potrzebujesz czegoś, kochanie? Może chcesz wejść na chwilę do środka?

Ksiądz Jerzy domyślił się, że Franciszek mówi o skorzystaniu z toalety, i grzecznie udął zainteresowanie kolorowym motylem, który przysiadł na pustej już szklance.

– Nie, wszystko w porządku.

– Na pewno?

– Na pewno. Idźcie już. Ja i pani Jasia będziemy się świetnie bawić.

* * *

Hanka otworzyła drzwiczki samochodu i wsunęła się do środka. We wnętrzu poloneza panował nieznośny zaduch, nagrzanе słońcem siedzenie parzyło nagie uda. Dziewczyna poczuła, jak między łopatkami spływa jej kropla potu. Drzwi zostawiła otwarte i przez chwilę oddychała ciężko. Tuż obok łapał powietrze oparty o maskę kapral. Wyglądał jeszcze gorzej niż ona: czerwony na twarzy, z mokrymi włosami lepiącymi się do czoła i wielkimi plamami potu pod pachami.

– Masz kiepską kondycję. – Starsza szeregową, która odzyskała już oddech, uśmiechnęła się lekko. – Może powinienes częściej chodzić w góry.

Zacisnął usta.

– Z moją k...kondycją jest wszystko w p...porządku. Ćwiczę codziennie, t...tylko t...ten cholerny upał mnie w...wykańcza.

– Przepraszam...

– Jezu, Hanka, zamkniesz się na chwilę?

Chciałam tylko zażartować, pomyślała urażona. Jasne, może nie wyszło zbyt zręcznie, ale przecież nie miała niczego złego na myśli. Od rana krążyli po różnych schroniskach i już kilka razy próbowała nawiązać rozmowę, ale kapral zawsze zbywał ją półsłówkami.

Zacisnęła palce na kościstych kolanach i spróbowała skupić się na sprawie. Pytali już w kilkunastu schroniskach, jednak tylko w dwóch gospodarze niejasno przypominali sobie Martę Jaczyk – zdaniem jednego dziewczyna wędrowała sama, zdaniem drugiego była w towarzystwie chłopaka, ale żaden z przepytanych mężczyzn nie miał pewności. Nie było w tym nic dziwnego: czerwiec to początek sezonu turystycznego, a Jaczyk nocowała w najniższej położonych, najpopularniejszych schroniskach. I prawdo-podobnie tylko tam – na jej zdjęciach nie pojawiał się żaden dom wczasowy czy hotel, zresztą dziewczyna chyba nawet nie miała pieniędzy, żeby wynająć pokój. Materac we wspólnej sali to wszystko, na co było ją stać.

Hanka miała ochotę podjechać do schroniska w Zwardoniu i przepytała gospodarza jeszcze raz, tym razem osobiście, bo wcześniej był tam tylko Synowiec, podejrzewała jednak, że jeśli coś takiego zaproponuje, kapral obrazi się jeszcze bardziej. Zresztą pewnie i tak niczego nowego by się nie dowiedzieli. „Chłopak w jej wieku, może trochę starszy” mógł być kimkolwiek, choćby i poznanym przypadkiem na szlaku turystą, z którym dziewczyna zjadła w schronisku kolację.

Starsza szeregowca sięgnęła do schowka i wyjęła kopertę ze zrobionymi przez ofiarę zdjęciami. Były to fotografie tylko z ostatniego wyjazdu, reszta została w albumie, ale i tak Hanka trzymała w rękach całkiem pokaźny stosik. Marta Jaczyk niewątpliwie lubiła bawić się aparatem. I niewątpliwie miała do tego talent. Zdjęcia nie były doskonałe, do tych publikowanych w magazynach podróżniczych trochę im jeszcze brakowało, ale nie były to też typowe fotki z wakacji. Zachód słońca nad Wielką Raczą, rozkwitłe mlecze na zboczu Rachowca, stado gęsi przechodzące drogą gdzieś w okolicach Soli. Jaczyk, jeśli tylko mogła, unikała fotografowania ludzi, zdecydowanie wołała naturę.

Hanka zatrzymała się przy ostatniej fotografii przedstawiającej zwyczajny wiejski widok: łąka, na niej pasąca się łaciata krowa, za łąką ciemna ściana lasu. Nawet tak banalne ujęcie miało w sobie jakiś nieuchwytny urok, jakby Jaczyk udało się dostrzec poezję w tym, co na pozór najbardziej prozaiczne.

A poza tym Hanka uświadomiła sobie, że widziała już wcześniej tę krowę.

* * *

Ksiądz Jerzy pochylił się, żeby wiechciem trawy wytrzeć ubabrany kaczym łajnem but, a kiedy wyprostował plecy, zimny podmuch uderzył go w rozgrzaną twarz. Spojrzał w niebo: od wschodu nadciągały ciemne, skłębione chmury,

niosące w sobie zapowiedź deszczu, w gęstym i lepkim powietrzu krążyły roje komarów. Odgonił je niecierpliwym gestem. Jeśli chciał zdążyć na plebanie przed burzą, powinien się zbierać.

– Muszę iść, przykro mi – powiedział do Waškowiaka, który naciągnął właśnie wody ze studni, a potem napił się, zanurzając dłoń w wiadrze. Resztę wylał sobie na głowę i przeczesał palcami mokre włosy.

– Dobra, niech ksiądz proboszcz idzie – zgodził się starszy sierżant. – Ja zaczekam na Chojniaka i też się będziemy zbierać. Jak stary nie zjawi się do jutra, trzeba będzie to wszystko gdzieś zabrać... – Czubkiem buta trącił kaczkę, która odfrunęła niezgrabnie z oburzonym kwaknięciem.

– Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Proboszcz zanurzył się w las. Tu było już wyraźnie ciemniej i chłodniej, a w koronach drzew szeleściły coraz silniejsze podmuchy wiatru. Przyśpieszył kroku, potykając się o wystające korzenie. Za plecami usłyszał pierwszy pomruk burzy. Naelektryzowane powietrze pachniało mchem i leśnym próchnem – oszałamiająca, intensywna woń, która uderzała do głowy jak wino. Marczewski otarł krople potu ściekające mu z czoła. Drzewa wokół rozmywały się w gęstniejącej z każdą chwilą ciemności i ksiądz przez chwilę bał się, że znowu zmylił drogę, ale nie, szedł tędy tyle razy, że nie mógł się zgubić, nawet kiedy świat zniknął pochłaniany przez nadciągającą nawałnicę. Zieleń liści i czerwień dojrzałych malin migotały w półmroku, kiedy biegł coraz szybciej, czując na plecach oddech ścigającej go burzy. Kolejny podmuch wiatru był jak długie westchnienie, które na kilka sekund położyło płasko czubki świerków. Ksiądz Jerzy przewrócił się i zaklął zupełnie nie po chrześcijańsku, a kiedy gramolił się z ziemi, w gałęziach zaszemrały pierwsze krople ulewy. Otrzeptał spodnie z igliwia. Może powinienem przeczekać, pomyślał, ale szedł dalej z uporem kogoś, kto chce już tylko usiąść w ulubionym fotelu z filiżanką kawy w rękach.

Gdy wychodził z lasu, pojedyncze krople zmieniły się w ścianę deszczu łączącą ziemię z nabrzmiętym chmurami niebem. Ksiądz Jerzy zanurzył się w niej, jakby nurkował w wodospadzie, ulewa błyskawicznie przemoczyła mu sutannę, a mokry chłód dotarł aż do bielizny. Marczewski biegł, pochylony, pocieszając się myślą, że niedaleko gospodarstwa Chojniaków zostawił samochód. Nawałnica zatykała mu oddech, uszy wypełniał odgłos ciężkich strug uderzających o ziemię, rozpryskujących się bańkami powietrza w strumyczkach, które wartko płynęły ścieżką.

Zbiegł ze zbocza i zmęczony, zwolnił trochę. Szedł teraz przez łąkę przylegającą do elektrowni, ślizgając się w błocie i z trudem utrzymując równowagę. Szum deszczu był tu cichszy, strugi wody znikwały, szemrząc w gęstych zaroślach. Widział już nasyp kolejowy, a nawet sylwetkę krzyża,

odsłoniętą, gdy nawałnica położyła pokotem wybujale chwasty. Obok ktoś stał, szczupła postać odcinająca się czernią od szarości deszczu. Dziewczyna. Przez krótką chwilę proboszcz myślał, że widzi ducha, ale oczywiście to nie była zmarła Marta, tylko jakaś obca młoda kobieta, pewnie turystka, bo nie rozpoznawał jej twarzy.

– Proszę księdza! – zawołała, przekrzykując ulewę. Niebo nad nimi rozjarzyło się w gwałtownym błysku, wypalając na siatkówce proboszcza obraz ciemnowłosej dziewczyny z uniesioną dłonią i otwartymi ustami. – Proszę księdza!! Musi mi ksiądz pomóc!

* * *

Hanka i Synowiec zdążyli w ostatniej chwili przed deszczem i siedzieli teraz na posterunku, pijąc gorącą herbatę i słuchając uderzającej o szyby ulewy. Witczak stał przy uchylonym oknie, przez które wpadała osiadająca na rzęsach mgiełka. Świeżość burzy przegnała, przynajmniej chwilowo, woń zdechłej myszy – dobre i to.

– To jest krowa Chojniaka – upierała się Hanka, na co kapral równie uparcie kręcił głową.

– T...to może być k...każda krowa.

Jest wkurzony, bo przeglądał te zdjęcia tyle razy i niczego nie zauważył, a mnie wystarczyło spojrzeć raz, pomyślała. I Witczak czasem w ogóle pomija go w rozmowie, mówi tylko do mnie, zupełnie jakby chłopak nie istniał.

– Nieprawda – powiedziała najłagodniej, jak potrafiła. – Popatrz. Jest prawie całkiem biała, z brązowym łbem i brązowymi nogami. Taki układ łat rzadko się zdarza. Poza tym ta łąka też wygląda zupełnie jak ta Chojniaków.

Kapral otworzył usta – pewnie, żeby powiedzieć, że to też może być każda łąka, ale szybko je zamknął. Kapitan odwrócił się od okna.

– Jak tylko przestanie padać, przejdziemy się do Chojniaków i popatrzymy na tę ich krowę. Jeśli to ta sama, trzeba będzie faceta zatrzymać. I z jego żoną też chciałbym pogadać. Gdzie Waškowiak? Był tu w ogóle dzisiaj?

– Pewnie tak, bo na półkach jest straszny bałagan...

Kapitan chrząknął.

– Bałagan to akurat ja zrobiłem. Czekaście, chyba idzie.

Za drzwiami rozległo się intensywnie tupanie kogoś, kto próbuje strząsnąć z butów nadmiar wody, i chwilę później do pomieszczenia wszedł starszy sierżant, wnosząc ze sobą wilgotne zimno i zapach burzy. Krople wody ściekały na linoleum z długiej zielonej peleryny, która wyglądała, jakby Waškowiak odziedziczył ją po ojcu żołnierzu.

– Ale leje – powiedział.

– Chcemy zatrzymać Chojniaka, bo wygląda na to, że Jaczyk była wcześniej

w jego domu – wyrwała się Hanka. – Albo przynajmniej w pobliżu domu.

– Zatrzymać Chojniaka możemy później. – Waškowiak zdjął płaszcz i powiesił go w kącie. Na podłodze pod nim zaczęła się tworzyć niewielka kałuża. – Najpierw trzeba się zająć Antonim Chochołkiem. Znaleźliśmy faceta w lesie, sztywny już jest. Chojniak powiedział, że zaprzęgnie konia i spróbuje podjechać, jak daleko da radę, a ten kawałek przez las to już się ciało jakoś przeniesie.

– C...co się stało? Następne m...morderstwo?

– Gdzie tam, po mojemu serce staremu nie wytrzymało. Chociaż pewnie i tak trzeba będzie sprawdzić.

– Ta peleryna to Chochołka? – Hanka uświadomiła sobie, że widziała już to charakterystyczne wojskowe okrycie w kościele, pewnego deszczowego dnia na wiosnę, gdy przyjechała odwiedzić ciotkę.

– Chochołka – przyznał Waškowiak. – Jemu już nie będzie potrzebna, a że stary zostawiał otwarte drzwi, to mogliśmy wejść do środka. Pomożecie? Chochołek chudy był, ale jeszcze jedna osoba do niesienia by się przydała, bo Chojniak koni będzie pilnował.

– Kaprał pójdzie z tobą, a ja i Hanka wpadniemy na chwilę do Chojniaków – zdecydował Witczak, po czym spojrzał w okno, o które z wściekłością uderzały kolejne fale deszczu. – To znaczy za chwilę, teraz nie ma sensu wychodzić. Zwłoki nam nie uciekną.

– Nie uciekną – zgodził się gorliwie i chyba z ulgą starszy sierżant. Grzebał przez chwilę w szafce pod kuchenką gazową, aż wreszcie wyjął do połowy pełną butelkę. – Odrobinę wódeczki do herbaty? Na rozgrzewkę będzie jak znalazł.

* * *

Gdyby ksiądz Jerzy miał więcej czasu, żeby się zastanowić, być może znalazłby jakieś sensowne rozwiązanie. Miał jednak tylko chwilę i nie przyszło mu do głowy nic poza zaprowadzeniem dziewczyny do Chojniaków – a tego nie powinien robić, kiedy w domu była jedynie sparaliżowana Ewa i pilnująca jej staruszka. Zwalanie tym dwóm kobietom na głowę dodatkowego kłopotu nie wydawało się w porządku. Dlatego wpuścił dziewczynę do samochodu, a potem ruszył w stronę plebanii.

Nie było innego wyjścia, tak przynajmniej tłumaczył się później sam przed sobą.

Kiedy jechali w zacinającym deszczu, dziewczyna siedziała na przednim siedzeniu, dygocząc z zimna, cała przemoczona, z kroplami spływającymi z krótkich włosów, które oblepiały kształtną czaszkę jak brązowa czapeczka. Jakim cudem choć przez chwilę sądził, że to może być zmartwychwstała Marta? Poza tym, że obie były brunetkami, dziewczyn nic nie łączyło. Nieznajoma miała

wielkie ciemne oczy i bladą twarz. Była szczupłą, niemal wychudzona, i ładna jakąś niespokojną, intensywną urodą, która księdzu Jerzemu kojarzyła się z pięknem umierających na gruźlicę filmowych bohaterów.

– Jestem Dorota – powiedziała cicho. – I naprawdę potrzebuję księdza pomocy.

– Co się stało? Uciekłaś z domu? – Dziewczyna wyglądała na tyle młodo, że mogła być nastolatką.

– Jestem pełnoletnia, jeśli o to księdzu chodzi – parsknęła. – Nie musi się ksiądz bać. Ale tak, moi rodzice nie wiedzą, że tu jestem. I szczerze mówiąc, wolałabym, żeby tak zostało.

– Masz jakichś przyjaciół? Kogoś, do kogo mógłbym cię podrzucić?

Pokręciła głową.

– Żadnych przyjaciół, jestem sama jak palec. – Zabrzmiało to dziwnie dramatycznie, ale dziewczyna zaraz się uśmiechnęła i ten uśmiech też był dziwny, gorączkowy, zbyt nagły i szeroki. Oczy jej błyszczały, w ruchach wyczuwało się nerwowość. Marczewski zastanawiał się nawet przez moment, czy Dorota nie jest przypadkiem pod wpływem jakichś środków, ale to chyba nie było to. Sprawiała wrażenie osoby, której emocje płyną bardzo płytko, tuż pod skórą, gotowe w każdej chwili wytrysnąć na zewnątrz. Niespokojna, to słowo najlepiej ją charakteryzowało. Albo rozedrgana. – Ale ksiądz mi pomoże, prawda? Nie wyrzuci mnie ksiądz teraz na deszcz? Potrzebuję miejsca, gdzie mogłabym zostać do rana, potem zaraz sobie pójdę.

– Możesz przenocować w domu wczasowym.

– Nie mam pieniędzy.

– Albo zawiozę cię do mojej gospodyni, ona na pewno...

– Nie, proszę, nie! – Złapała go za rękaw, samochód zatańczył po śliskiej drodze, a proboszczowi z trudem udało się utrzymać kierownicę. – Nie!

– Uspokój się.

– Zabierze mnie ksiądz do siebie, prawda? Będę grzeczna, obiecuję. – Przerazenie zniknęło jak zdmuchnięty płomień świecy, dziewczyna uśmiechnęła się słodko, a ksiądz Jerzy z nagłym uczuciem grozy i litości jednocześnie pomyślał, że Dorota ma nierówno pod sufitem.

– Zabiorę – skapitulował, postanawiając sobie solennie, że rano odwiezie ją do rodziny, niezależnie od tego, jak bardzo dziewczyna będzie protestować. I niezależnie od tego, co ktoś mógłby pomyśleć o niezrównoważonej pannie nocującej na plebanii.

Zatrzymali się przed otwartą bramą – nikt nigdy jej nie zamykał.

– Biegnij schować się pod dachem – powiedział. – Ja wprowadzę samochód do garażu.

Pobiegła, a on patrzył za nią, nie mogąc oderwać oczu. Była w tej chwili

piękna, kiedy pędziła w deszczu, przeskakując krzewy róż, zupełnie jakby nic nie ważyła. Ucieleśnienie zwinności i wdzięku. A gdy dotarła na ganek i odwróciła się, żeby wesoło pomachać, pomyślał ze smutkiem równie nagłym jak wcześniejsze groza i litość, że to wszystko w żaden sposób nie może skończyć się dobrze.

Część V: Dziewczyna na drzewie

piątek, 18 lipca

Maliny zaszeleściły, a ksiądz Jerzy odwrócił się gwałtownie. Z krzewów wyszedł wikary. Patrzyli przez chwilę na siebie, obaj zaskoczeni. Proboszcz opanował się szybciej.

– Wybrałeś się na spacer?

– Ładna pogoda jest – bąknął Bartek. – Szkoda w domu siedzieć.

Nie wyglądał na kogoś, kto spacerował, bardziej na człowieka, który biegł – był czerwony na twarzy i zdyszany, a ubranie miał w nieładzie od przedzierania się przez krzaki. Proboszcz wyglądał lepiej, choć on również nie wybrał się tego ranka do lasu, żeby pooddychać świeżym powietrzem czy podziwiać naturę.

– Idzie ksiądz proboszcz na plebanię?

Marczewski po chwili wahania przytaknął.

Młody kapłan miał chyba ochotę spytać, skąd proboszcz wraca o tak wczesnej porze, ale zrezygnował – być może dlatego, że mogłoby się to wiązać z niewygodnymi pytaniami, które z kolei ksiądz Jerzy mógłby zadać jemu. Pozostali więc przy bezpiecznych tematach.

– Jak się czujesz? – zapytał Marczewski. – Mam nadzieję, że już lepiej.

– Tak, dziękuję. Wszystko w porządku. To była tylko chwilowa niedyspozycja. Czasem mi się zdarza. Ale już jest dobrze. Mogę odprawić dziś za księdza mszę, jeśli ksiądz proboszcz chce.

Wikary mówił za dużo, zbyt nerwowo, ale ksiądz Jerzy nie dopytywał – skinął tylko głową i podziękował. Bartek zniknął w wikarówce, a Marczewski poszedł w kierunku plebanii, do kuchni, w której unosił się zapach jajecznicy i świeżo upieczonego ciasta.

– Wcześniej ksiądz proboszcz wstał – powiedziała gospodyni. – Słońce księdza obudziło?

– Tak.

Jeśli skłamał, to przynajmniej nie do końca.

Pawliczkowa zamieszała jajecznicę na patelni. Ostre słoneczne światło podkreślało cienie pod jej oczami i zmarszczki wokół zaciśniętych ust.

– Ja też źle spałam – przyznała. – Wszyscy są dzisiaj nie w sosie, bo i ksiądz wikary kiepsko wyglądał, jak go rano widziałam. A wie ksiądz proboszcz, że wczoraj, tuż przed tą burzą, znaleźli starego Chochołka? Był już martwy.

Drgnął, ale udało mu się utrzymać neutralny wyraz twarzy.

– Nie. Biedny człowiek... Co się stało?

– Podobno poszedł do lasu zbierać grzyby i zawału dostał.

– To była śmierć naturalna?

Spojrzała na niego czujnie, odrywając się na chwilę od przygotowywania posiłku.

– Pewnie tak, Chochołek stary już był. Czemu miałyby nie być? Niech ksiądz proboszcz do stołu siada, zaraz śniadanie przyniosę.

– Zje pani ze mną? – Spróbował jeszcze raz, bez większych nadziei na sukces. Ale rozpaczliwie dziś potrzebował towarzystwa, choćby i posępnej gospodyni.

– Już jadłam.

– Wygląda pani, jakby wiatr miał panią przewrócić. – Próba żartu wypadła kiepsko.

– O mnie niech się ksiądz proboszcz nie martwi. Poza tym mam swoją robotę. No już, niech ksiądz nie gada tyle, tylko je, bo wystygnie. Księdzu wikaremu zostawiłam na piecu trochę klusek z wczoraj, jak przyjdzie, to sobie odgrzeje.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że Bartek jest ulubieńcem gospodyni – Pawliczkowa miała swoją hierarchię, zgodnie z którą najlepsze kęski należały się oczywiście proboszczowi, ale chyłkiem zawsze starała się odłożyć dla młodszego księdza coś, za czym ten szczególnie przepadał.

Ksiądz Jerzy zjadł śniadanie, po czym poszedł do wikarówki. Zapukał, potem zadzwonił – dzwonek rzadko używał, bo ten miał nieprzyjemny terkotliwy dźwięk, który umarłego poderwałby na nogi. Żadnego efektu. Zadzwonił jeszcze raz i nadal nie doczekał się odpowiedzi. Mógł-by wejść do środka tak czy inaczej, miał przecież własny klucz, i przez chwilę nawet to rozważał, ostatecznie jednak stchórzył. Nie był pewien, czy naprawdę chce ponownie spotkać się z księdzem Bartkiem, bo tym razem ich rozmowa mogłaby się skończyć zupełnie inaczej.

Może tak będzie lepiej, może powinien zostawić sprawy własnemu biegowi. W końcu Bóg jest miłosierny i nie zsyła na ludzi więcej nieszczęść, niż ci są w stanie znieść. Ksiądz Jerzy zawsze w to wierzył.

Wrócił na probostwo i znalazł Pawliczkową, która kończyła właśnie szorować wannę w łazience dla gości. Zdaniem proboszcza wanna była czysta, ale kobieta wciąż tarła, jakby od tego zależało jej życie.

– Wyjeżdżam dzisiaj – powiedział do jej pleców. – Ksiądz Bartek wszystkim się zajmie. Wrócę wieczorem.

Pawliczkowa nawet na niego nie spojrzała. Skinęła tylko głową, po czym wróciła do szorowania.

Wycofał się cicho. Gdy wsiadał do samochodu, nie był pewien, czy rzeczywiście jedzie załatwić ważną sprawę, czy może zwyczajnie ucieka.

* * *

Jarek obudził się, kiedy w nagrzanym namiocie nie dało się już oddychać. A przynajmniej on nie potrafił, bo Zośce najwyraźniej to nie przeszkadzało – spała obok w swoim śpiworze, zawinięta aż po czubek brody, jakby znajdowali się na Syberii. Zawsze była zmarzluchem, ale coś takiego wydawało się chłopakowi lekką przesadą. Wygrzebał się ze śpiwora i zerknął na zegarek – dochodziła dziesiąta, co oznaczało, że przespali jakieś sześć godzin. Klnąc pod nosem, na czworakach wyszedł z namiotu – przy Zośce starałby się udawać zadowolonego, ale na szczęście teraz nie musiał tego robić. Wstał i nie kłopotując się zakładaniem kłapek, poczłapał w krzaki załatwić pierwszą poranną potrzebę. Ziemia była jeszcze trochę wilgotna, ale trawa zdążyła wyschnąć, a z otaczających polankę świerków nie kapiała już woda. Jakby nie było wczorajszej burzy i późniejszego deszczu. Jakby o jedenastej wieczorem nie zaczęło podmywać im namiotu i jakby nie spędzili całej nocy najpierw na ratowaniu ich niewielkiego dobytku, a potem na kuleniu się pod nędzną osłoną jakiegoś drzewa.

Wakacje jego życia, kurwa mać.

Zośka twierdziła, że mieli szczęście, w końcu udało im się ocalić przed zamknięciem część rzeczy, dzięki czemu nad ranem, kiedy wreszcie rozjaśniło się na tyle, że mogli postawić namiot od nowa, poszli spać w suchych śpiworach. On nie był tego taki pewien – jeśli ulewa raz niemal zmyła ich namiot, równie dobrze mogła to zrobić ponownie, tym razem na dobre. Ale Zośka zawsze była optymistką. Jarek zdecydowanie wołał twardy realizm, jednak kochał też swoją narzeczoną, dlatego był gotów uśmiechnąć się, kiedy dziewczyna wyjdzie z namiotu. Uśmiechnąć się i dalej odgrywać rolę miłośnika natury, któremu żadna burza niestraszna.

Jeszcze tylko trzy dni, pomyślał. Potem wrócą do Chrzanowa, a za dwa tygodnie wezmą ślub. I wyjadą na Śląsk, bo kumpel Jarka obiecywał, że załatwi mu tam robotę. Nad Zośką trzeba będzie popracować, dziewczyna jest mocno przywiązana do rodziny, ale jak chłopak przedstawi jej odpowiednie argumenty, to da się przekonać. Ostatecznie oboje mieli po dwadzieścia lat – najwyższa pora, żeby przestać się trzymać mamusinej spódnicy. A za rok, kiedy tylko Jarek zacznie porządnie zarabiać, zabierze Zośkę na prawdziwe wczasy, do hotelu, a nie pod namiot, bez komarów, konieczności sikania i srania w krzakach i bez przykrych niespodzianek w postaci nagłych kaprysów natury. Najlepiej nad morze. On zawsze wołał morze od gór.

Poczuł skurcz żołądka i zgiął się wpół. To tylko nerwy, pomyślał. Zawsze za dużo się martwił. W tym roku on i Zośka skończyli technikum. Ostatnie prawdziwe wakacje, koniec dzieciństwa, koniec radosnego braku odpowiedzialności. Dalej czekało ich już dorosłe życie, które momentami cholernie Jarka przerażało. Czasem żałował, że nie potrafi być taki jak Zośka, która powtarzała: „Wszystko będzie

dobrze”, i chyba naprawdę w to wierzyła.

Żołądek znowu się skurczył – może to jednak nie nerwy, a ta paskudna woda z jeziora. Miała lekko mulisty posmak, ale Zośka twierdziła, że jeśli ją przegotują, będzie dobra.

Myśl o wodzie sprawiła, że pomyślał też o śniadaniu. Najwyższa pora zrobić coś do jedzenia, bo gdy Zośka się obudzi, pewnie będzie głodna. Wyobraził ją sobie wychodzącą z namiotu, rozspaną jeszcze i słodką. Jej zaskoczenie, gdy poczuje smakowity zapach i dostrzeże narzeczonego smażącego jajecznicę.

Spodobał mu się ten obraz.

Zanurkował z powrotem do namiotu, odnalazł kuchenkę gazową i wyciągnął ją na zewnątrz. Palniki były lekko wilgotne, ale chyba powinna się zapalić. Znalazł jeszcze puszkę konserwy turystycznej i drugą z sardynkami, zamkniętą torebkę ryżu i jajka, które w czasie nocnej przygody zmieniły się w glutowatą masę pełną rozbitych skorupki. Butelka z olejem zniknęła – pewnie zostawili ją przy poprzednim obozowisku albo zgubili gdzieś po drodze. A więc ze śniadania nici, mógł co najwyżej zaparzyć herbaty, bo ta jakimś cudem ocalała. Kiedy Zośka się obudzi, pójdą razem do sklepu, na razie jednak musiał radzić sobie sam.

Włożył buty, wziął menażkę i powędrował w stronę, gdzie powinno być jezioro. Powinno, bo Jarek wcale nie miał pewności – o świcie, gdy wreszcie przestało padać, przeszli spory kawałek z bagażami, szukając miejsca, w którym dałoby się od nowa rozbić namiot. Tym jednak Jarek jakoś specjalnie się nie przejmował: zawsze miał dobrą orientację w terenie i wierzył, że prędzej czy później to cholerne jezioro znajdzie. Dziś rano taka woda będzie musiała wystarczyć, potem może uda im się trafić na jakieś źródło.

Między drzewami widział już wyłożony słońcem błękit. Przyspieszył kroku, lekki wiaterek niósł ze sobą zapach mułu i wodorostów. Jarek zsunął się po zarośniętej drzewami skarpie i zaklął, kiedy zamiast urokliwego wakacyjnego widoku zobaczył elektrownię wznoszącą się po drugiej stronie wąskiej odnogi jeziora. Budynek odbijał się w wodzie marszczoną delikatnymi podmuchami, potężny i groźny ze swoimi betonowymi ścianami i kominami. Chłopak na dobre stracił humor. Wiedział, że Zośka wkurzy się, gdy to zobaczy, i znowu będą musieli się przenieść. Nie ma mowy, żeby spędzili resztę wakacji w cieniu elektrowni, choćby jeszcze niedziałającej.

Trudno. Napiją się herbaty, a potem razem pomyślą nad tym, gdzie się przeprowadzić.

Gdy pochylił się, żeby nabrać wody, odbity obraz elektrowni zafalował. Słońce zapalało złote błyski na powierzchni jeziora, ale nie docierało głębiej, tam gdzie była jedynie czerń. Wylał wodę, znowu mącąc niemal idealny obraz, a potem pochylił się jeszcze niżej, tak nisko, że zobaczył własną twarz, czerwoną i spoconą. Wykrzywił się do odbicia, które odpowiedziało identycznym grymasem. Mulista

woń gnijących wodorostów była w tym miejscu szczególnie intensywna. Coś zamigotało na granicy pola widzenia, biel i czerwień, której nie powinno tu być. Jarek obserwował, jak jego bliźniacza twarz odbija niepokój, który znowu boleśnie skurczył mu żołądek. Pochylił się tym razem pod nieco innym kątem, próbując uchwycić to, co umknęło mu wcześniej. I wtedy ją zobaczył – odbitą w jeziorze drugą twarz, białą jak gipsowa maska, z zamkniętymi oczami, bezkrwistymi wargami i raną poniżej otwierającą się szeroko niczym groteskowe usta. Zgodnie z najlepszą tradycją filmowych horrorów powinien teraz odskoczyć i wrzasnąć, ale nie zrobił nic takiego. Obrócił się tylko bardzo powoli, w bok i do góry.

Na skraju skarpy rósł rozłożysty buk z konarami grubymi jak ramię dorosłego mężczyzny. Na jednym z nich, wysoko nad brzegiem jeziora wisiała przywiązana za obie ręce dziewczyna w zielonej spódnicy. Martwa dziewczyna – co do tego Jarek, który nigdy wcześniej nie widział żadnego trupa, nie miał wątpliwości. Nikt nie przeżyłby z tak głęboko poderżniętym gardłem. Wstał, odwrócił się i odszedł, myśląc o tym, że to już definitywny koniec beztrudnych wakacji, i zastanawiając się, jak przekazać nowinę Zośce. „Kochanie, znalazłem w lesie zwłoki”? Prawie się roześmiał na ten pomysł. Zawsze dbał o to, żeby ją chronić, trzymać z dala od prawdziwych kłopotów, tak aby mogła patrzeć na życie przez różowe okulary. Teraz odkrył, że ma tego dość. Dlaczego tylko on miał się martwić? W końcu to był pomysł Zośki, żeby tu przyjechać.

Kiedy z powrotem znalazł się na polance, dziewczyna siedziała już przed namiotem. Wyglądała tak, jak ją sobie wcześniej wyobrażał, rozszpana, w krótkiej koszulce odsłaniającej nagie ramię, z potarganymi jasnymi włosami. Śliczna.

– Gdzie byłeś? – zapytała, przecierając oczy gestem, który zawsze go wzruszał. – Rany, jaka jestem głodna...

– Znalazłem w lesie trupa – powiedział szybko, nie dając sobie chwili do namysłu. Szybko, zanim jej widok go zmiękczy i znowu weźmie na siebie odpowiedzialność za wszystkie ich problemy.

– Co? – zapytała, zastygając z otwartymi ustami. W innych okolicznościach byłoby to zabawne, teraz wyglądało tylko głupio.

– W lesie jest trup kobiety – powtórzył. – Musimy zawiadomić milicję.

– Nie rozumiem. – Patrzyła na niego niepewnie. – O czym ty mówisz? Ktoś miał wypadek? Może powinniśmy wezwać lekarza?

– Ona jest martwa, żaden lekarz jej nie pomoże. Ma poderżnięte gardło – dodał brutalnie.

Usta Zośki zadrżały, dziewczyna zamrugnęła i po chwili po jej krągłych policzkach potoczyły się łzy.

– W porządku, chodźmy na milicję – powiedziała, wycierając twarz. – Moment, znajdę tylko buty... Jezu, taka tragedia... Kto mógł coś takiego zrobić?

– Zośka, zaczekaj...

– Gdzie moje buty?

Chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

– Zostań, jeśli chcesz. Nie musimy tam iść oboje, wystarczy, jeśli pójde sam.

Ty możesz...

– Mogę co? Siedzieć tu i cieszyć się wakacjami tuż obok trupa jakiejś kobiety? – Odepchnęła go gwałtownie. – Idiota!

Chwilę później szli w stronę wioski. Milczeli oboje – nie byli na siebie obrażeni, po prostu żadne z nich nie miało nic do powiedzenia.

* * *

Ciało zostało ostrożnie zdjęte z drzewa i położone na ziemi, trzasnęła zwalniana migawka aparatu. Lekarz sądowy pochylił się nad zwłokami, a dwóch milicjantów przysłanych wraz z technikami z Żywca bez większego powodzenia odganiało grupkę gapiów, którzy zebrali się na brzegu jeziora. Witczak zapalił papierosa. Słoneczne refleksy odbijały się od wody i raziły w oczy, upał otumaniał, jakby ktoś zarzucił kapitanowi na głowę ciężki koc. Za nim muchy z połyskującymi zielonkawo odwłokami włączyły do otwartej rany na szyi dziewczyny, siadały na wciąż lepkich gałkach ocznych i próbowały wpełznąć do ust. Witczak tego wszystkiego nie widział. Palił, starając się zabić woń gnijących na brzegu wodorostów i słuchając toczonych za jego plecami rozmów.

– Jak pan myśli? – zapytał Waškowiak. – Ten sam morderca?

– Nie mam pojęcia – burknął doktor Ziętka. – Ten wygląda na pewniejszego, niech pan zobaczy, poderżnął jej gardło prawie bez wahania.

– Może się uczy.

– Może. Więcej powiem, jak ją dokładnie obejrzę.

Hanka usiadła na brzegu obok Witczaka. Twarz miała zielonkawą, na czole perliły się grube krople potu. Kapitan wyjął z kieszeni chusteczkę, zmoczył ją w wodzie i podał dziewczynie. Przetarła policzki i szyję.

– Dziękuję, już mi lepiej – wymamrotała. – To tylko... Jezu... Niech mi pan da chwilę, zaraz wezmę się w garść. Widziałam wcześniej tamtą, ale wtedy...

Wtedy było inaczej, dokończył w myślach Witczak. Ciało w kostnicy ma w sobie coś anonimowego, łatwiej w takich okolicznościach uwierzyć, że to tylko obiekt badań, nie coś, co jeszcze niedawno było żywym człowiekiem.

– Już mi lepiej – powtórzyła Hanka z uporem, po czym pozieleniała jeszcze bardziej i zwymiotowała do jeziora.

Witczak poklepał ją po plecach i odwrócił się w stronę ekipy zajmującej się zwłokami. Jeden z techników fotografował właśnie drzewo, z którego zwisała dziewczyna, na grubym konarze został jeszcze kawałek cienkiego sznurka. Drugi kawałek oplatał związane razem nadgarstki ofiary. Witczak przyjrzał jej się uważnie. Była ładna, niewątpliwie ładniejsza niż Marta, szczuplejsza, lepiej

ubrana, z włosami obciętymi u droższego fryzjera. Kogoś takiego można by się spodziewać na deptaku w Sopocie, a nie w beskidzkiej wiosce.

Przyjechała tu, żeby umrzeć, pomyślał. Tak samo jak Marta.

Odwrócił się i podszedł do gapiów, którzy wciąż tkwili na brzegu jeziora, zbici w ciasną gromadkę niczym stado wystraszonych kurcząt. Witczak rozpoznał dwie miejscowe kobiety, ale większość to chyba byli przyjezdni.

– Ktoś zna tę dziewczynę? – zapytał. – Chcecie podejść i przyjrzeć się bliżej? Zabezpieczyliśmy już ślady.

Kilka osób cofnęło się, nerwowo potrząsając głowami. Jeden młody mężczyzna wysunął się do przodu.

– Ja mogę zerknąć – powiedział prowokacyjnie.

Sądził chyba, że Witczak żartuje, bo kiedy kapitan chwycił go za ramię i pociągnął pod drzewo, wyglądał na szczerze zdziwionego. Spojrzał na ciało i zadrżał lekko, ale w przeciwieństwie do Hanki udało mu się nie zwymiotować.

– Widziałem ją – oznajmił już znacznie ciszej i bardziej pokornie. – Jakies trzy dni temu, we wsi.

– Gdzie konkretnie?

– Nie pamiętam, chyba w sklepie przy kościele. A potem jeszcze raz w kawiarni, jak kupowała lody. Zwróciłem na nią uwagę, bo była, no wie pan, niczego sobie babka. Elegancka. Mogę już iść? Żona na mnie czeka, mieliśmy na Przegibek iść...

– Pójdziecie jutro. Jasiek, zabierz pana na posterunek, spisz jego dane i zeznania.

Mężczyzna powędrował za kapralem, zwłoki zostały umieszczone na noszach i przykryte, a gapie nareszcie zaczęli się rozchodzić.

– To co, po piwku? – Waškowiak splunął na ziemię. – Trzeba splukać ten zapach.

– Ja się chętnie przyłączę. – Ziętka poklepał zapadnięty brzuch. – I wrzuciłbym coś na ruszt, bo śniadania zjeść nie zdążyłem.

– Możemy usiąść w domu wczasowym, mają tam taką jedną salkę, która służy jako graciarnia – zaproponował Witczak. – Jak ładnie poprosimy, to ją dla nas otworzą.

– Tak. – Ziętka uśmiechnął się szeroko. Był chudy, spalony na brąz podczas egzotycznych wakacji, zęby miał bardzo białe, ewidentnie sztuczne. – Nie mogą odmówić, jeśli naprawdę ładnie poprosimy.

* * *

Za Krapkowicami się zgubił. Musiał zjechać na pobocze, rozłożyć mapę i jeszcze raz dokładnie sprawdzić trasę, a potem wrócić do skrzyżowania na Opole, który minął dziesięć minut wcześniej. Dotąd jeździł tylko do sąsiednich parafii i czasem

do Krakowa, gdy musiał coś załatwić w kurii. Nie czuł się pewnie za kółkiem. W Brzegu zatrzymał się, żeby zatankować, potem zjadł wczesny obiad w przydrożnej karczmie, która z jakichś powodów nazywała się Góralska, choć podawali tam tylko bigos i flaczki. Oczywiście kiedy siedział przy stoliku, ludzie na niego patrzyli – przystojnego księdza trudno jest przegapić. Rozwahał nawet, czy nie zdjąć koloratki, ale wtedy nadal zwracałby na siebie uwagę, a czułby się jak oszust. Poza tym zdradzała go już sama koszula z charakterystycznym kołnierzem, w który koloratkę się wkładało. Nikt prócz księży takich nie nosił.

Zjadł, zapłacił, nie zwracając uwagi na uwodzicielskie spojrzenia kobiety za ladą, i pojechał dalej. Do Trzebnicy dotarł przed drugą i od razu skierował się w stronę klasztoru. Nie sposób było przeoczyć wielkiego kompleksu budynków z białą wieżą bazyliki górującą nad czerwonymi dachami.

Tym razem koloratka działała na korzyść proboszcza, bo młodziutka siostra wpuściła go bez problemu. Dalej jednak skończyło się jego szczęście – został zaprowadzony przed oblicze chudej starszej zakonnicy. Instykt podpowiedział mu, że to pewnie siostra Augustyna, z którą rozmawiał przez telefon. Przywitali się uprzejmym „niech będzie pochwalony”, Marczewski przedstawił się i już miał wyłuszczyć swoją prośbę, kiedy siostra go uprzedziła.

– Mówiłam, że ksiądz Zielnik nie chce się z nikim widzieć. To stary, schorowany człowiek, który zasługuje na odrobinę spokoju.

– Nie zajmę mu dużo czasu. Chciałem się tylko przywitać i zamienić parę zdań. Będę wdzięczny, jeśli siostra da mi choćby pięć minut. Przejechałem trzysta kilometrów, żeby się z nim zobaczyć.

Był przygotowany na dalsze negocjacje, jednak siostra Augustyna poddała się zaskakująco szybko.

– Dobrze – powiedziała z westchnieniem. – Skoro ksiądz się upiera, proszę iść za mną.

Prowadziła go korytarzami, w których unosił się kredowy zapach nagranych słońcem starych murów. Zapach czystych serc i dusz, pomyślał ksiądz Jerzy. W tym miejscu wszystko było przewidywalne, każda zakonnica wiedziała z góry, co będzie robić o tej samej porze jutro, pojutrze, za miesiąc i za rok. Wszystkie minuty wypełnione pracą albo modlitwą, żadnej chwili tylko dla siebie. Przez moment zastanawiał się, czy sam potrafiłby tak żyć. Jeszcze wczoraj odpowiedziałby, że nie, ale teraz nie był pewien. Teraz pomysł odcięcia się od świata wydawał się dziwnie pociągający.

Gdy wyszli na zewnątrz, w pierwszej chwili oślepiło go słońce. Zamrugał, a kiedy oczy na powrót przyzwyczyły się do światła, ujrzał ogród równie uporządkowany jak klasztorna codzienność. Po prawej rabatki z kolorowymi kwiatami, po lewej warzywnik, wszystko idealnie wypielęgnowane, przycięte i podlane. Pośrodku trawnika na słomianym krześle siedział starszy mężczyzna,

mimo upału otulony kocem. I koc, i cała jego postawa mówiły: oto inwalida, któremu nie zostało wiele życia. Nie wyglądał jednak na schorowanego – cerę, choć pomarszczoną, miał zdrową, a kiedy się odezwał, jego głos brzmiał mocno.

– Niech będzie pochwalony – odpowiedział na powitanie. – Co księdza do mnie sprowadza?

Marczewski zrozumiał, że znalazł się w pułapce. Siostra Augustyna wciąż stała za jego plecami, milcząca, lecz czujna. Nie mógł poprosić, żeby sobie poszła, i nie mógł też rozmawiać swobodnie w jej obecności.

– Przejąłem po księdzu parafię w Rokitnicy – zaczął ostrożnie.

– Ach tak, Rokitnica. – Konstanty Zielnik uśmiechnął się, ukazując resztki zębów. – Piękna okolica. Szkoda, że nie zdążyłem przyjąć księdza i przekazać parafii zgodnie z przepisami. Mam nadzieję, że ksiądz mi wybaczy.

– Niech ksiądz się nie martwi, ksiądz dziekan wszystko mi pokazał.

– To się cieszę, jedno zaniedbanie mniej ciężące sumieniu na starość. Ksiądz przyjechał w sprawie tych plotek o przekłętej parafii?

Tak bezpośrednio zadane pytanie lekko proboszcza skonfundowało. Za plecami wyczuł ruch siostry Augustyny i usłyszał ciche sapnięcie. Ksiądz Zielnik patrzył na niego uważnie, oczami zadziwiająco jasnymi w poorly zmarszczkami twarzy.

– Jeśli tak – kontynuował z uśmiechem – to niepotrzebnie przejechał ksiądz całą tę drogę. Wiem, co się mówi o Rokitnicy, do mnie też plotki dotarły. Ale to wszystko bzdury. Ma ksiądz wikarego?

– Od trzech lat.

– Cóż, w takim razie jest ksiądz szczęściarzem. Teraz zresztą Rokitnica to pewnie spora wieś, za moich czasów dopiero zaczynała się rozrastać. Ale do niedawna, jeszcze w Brzozówce, to była maleńka samotna parafia, a w takiej łatwo o tragedię. Czasem wystarczy dłuższa zima albo paskudny jesienny dzień, żeby człowiek przestał słyszeć głos Boga i zaczął myśleć o rzeczach, o których myśleć nie powinien. Dlatego niech ksiądz nie osądza zbyt surowo naszych poprzedników. Ja sam nie jestem w tym wszystkim bez winy. Zawsze chciałem wyjechać na misję, ale jakoś się nie złożyło. Dopiero na starość, jak zdrowie zaczęło szwankować, pomyślałem sobie, że to ostatnia okazja, jeśli teraz nie wyjadę, już nigdy tego nie zrobię. Dlatego zniknąłem tak nagle. Gdybym wiedział, że ten mój wyjazd spowoduje nowe plotki, pewnie dwa razy bym się zastanowił. Mam nadzieję, że i to mi ksiądz wybaczy...

– Wybaczam, oczywiście – bąknął Marczewski, bo nic innego nie mógł w takiej sytuacji powiedzieć.

Zielnik obdarzył go kolejnym szczerbatym uśmiechem.

– A jeśli martwi się ksiądz, że niepotrzebnie przejechał tyle kilometrów, proszę przejść się po naszym miasteczku, a potem usiąść na rynku i napić się kawy.

Mają tam naprawdę dobrą kawę. I niektóre kamieniczki zdecydowanie warte są zobaczenia.

– Oczywiście, z pewnością skorzystam z księdza rady. Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Proboszcz odwrócił się, mając świadomość, że został pokonany, jeszcze zanim walka się zaczęła. Siostra od-prowadziła go do wyjścia. Szła z pochyloną głową, sunąc cicho w swoich sandałach, jak przystało na pokorną zakonnice, nic jednak nie potrafiło ukryć triumfu bijącego z całej jej sylwetki.

* * *

Tak jak Witczak przewidywał, kierownik Stokrotki zgodził się opróżnić dla nich graciarnię, a potem zagonił do sprzątania pracujące w kuchni kobiety. Piętnaście minut później siedzieli już wokół stołu poskładanego naprędce z kilku mniejszych, w salce wielkości połowy szkolnej klasy. Pod sufitem wciąż zwisały festony pajęczyn, a ściany znaczyły resztki spłowiałych plakatów propagandowych z lat pięćdziesiątych, ale i tak było tu zdecydowanie wygodniej niż na małym posterunku.

Kapitan rozejrzał się. Waškowiak kończył właśnie piwo, Ziętka z apetytem wsuwał parówki w sosie pomidorowym, a dwóch milicjantów z Żywca cierpliwie czekało na dalsze instrukcje. Obaj niedawno chyba skończyli trzydziestkę – wystarczająco dojrzały, by mieć już jakieś doświadczenie, i wystarczająco młodzi, by jeszcze nie groziło im wypalenie. Najlepszy dla gliny wiek. Ten jasnowłosy i szczuplejszy nazywa się Tomasz Mazur, przypomniał sobie Witczak. A łysiejący kluchowaty brunet to Jakub Zalewski.

Drzwi skrzypnęły i do salki wsunął się Synowiec.

– Piwo sobie przynieś, młody – poradził mu serdecznie Ziętka, ale kapral potrząsnął głową. Lekarz wyjął paczkę ekstramocnych i zapalił, dołączając tym samym do Waškowiaka, Witczaka i Zalewskiego. W pomieszczeniu dym zgęstniał już w szarą mgłę, która ukrywała odrapane ściany i brązowe plamy na czymś, co dawno temu było chyba beżową wykładziną.

Witczak chrząknął, zwracając na siebie uwagę.

– A więc mamy drugiego trupa – powiedział. – Być może ofiarę tego samego mordercy, a może nie, to już powie nam doktor Ziętka po badaniu. Na razie musimy się skupić na ewentualnych podejrzanych. Dzisiaj rano zatrzymaliśmy Franciszka Chojniaka. Mamy dowody, że wcześniejsza ofiara, Marta Jaczyk, była w czerwcu w pobliżu jego domu.

– Myślicie, że to on? – zapytał Zalewski.

Witczak wzruszył ramionami.

– Możliwe, chociaż facet do niczego się nie przyznaje. Ale mógł zabić Jaczyk i tę dzisiejszą dziewczynę też, jeśli zginęła wcześniej rano. Zginęła?

Ziętka skinął głową, a kapitan kontynuował:

– Rozmawialiśmy też z Ewą Chojniak, która upiera się, że niczego nie wie, dokładnie tak samo jak jej mąż. W sumie nic na nią nie mamy z wyjątkiem tego, że nauczyła dzieciaki starego wierszyka o mordercy, który zabił tu rodzinę jakieś dwadzieścia lat temu, ale to mogła zrobić z zupełnie niewinnych powodów. Teraz trzeba się zastanowić, czy dzisiejszą ofiarę i Martę Jaczyk coś łączyło.

Spojrzał po osobach siedzących wokół stołu, w myślach zakładając się sam ze sobą, kto pierwszy zabierze głos. Stawiał na Hankę, ale zamiast niej odezwał się Mazur.

– Moim zdaniem mamy do czynienia z jednym mordercą – powiedział. – Dwie młode dziewczyny bez dokumentów, zostawione po śmierci w widocznym miejscu, jedna na nasypie kolejowym, a druga na drzewie, obie zabite za pomocą noża. Trudno, żeby to zrobiło dwóch różnych facetów.

– Bo ja wiem? – Hanka zdążyła już dojść do siebie i wyglądała teraz tak jak zawsze, czyli niczym pilna uczennica, nieco zdenerwowana, pod okiem surowego nauczyciela. – Te miejsca wcale nie są do siebie podobne. Nasyp kolejowy jest widoczny, owszem, zabójca musiał zdawać sobie sprawę, że nawet jeśli nikt nie zauważy samego morderstwa, to zwłoki szybko zostaną odkryte. Może zresztą tego właśnie chciał. Ale koło tej skarpy nikt nie obozuje ani nie chodzi się kąpać. Za blisko elektrowni. Para, która znalazła ciało, była w tym miejscu tylko dlatego, że uciekając przed burzą, trochę się zgubili. Gdyby nie oni, zwłoki mogłyby wisieć jeszcze długo.

– Może morderca myślał, że ktoś z elektrowni je zauważy? – wtrącił się Zalewski, ale Hanka z uporem potrząsnęła głową.

– Nie wiem jak, skoro od tej strony nie ma żadnych okien, tylko gładka ściana.

Witczak musiał przyznać, że dziewczyna trochę mu zaimponowała – on sam nie miał pojęcia, czy w budynku były od strony lasu jakieś okna, czy nie.

– Z robotnikami z elektrowni tak czy inaczej trzeba będzie pogadać, może jednak któryś coś widział – powiedział. – A teraz założmy na chwilę, że mamy do czynienia z tym samym mordercą. Co o nim wiemy?

– Skurwysyn na pewno nie jest cherlakiem. – Waškowiak dopił piwo, drugie, bo na wszelki wypadek przyniósł od razu dwa. – Pierwszą ofiarę mógł zabić ktokolwiek, choćby jakiś knypek albo i baba. A do tej już trzeba było sporo siły. Znaczący, do samego poderżnięcia gardła to nie, tylko potem, kiedy wciągał ciało na drzewo. Ta dziewczyna to co prawda chuchro, ale jednak z pięćdziesiąt kilo ważyła. No i jest zręczny, bo żeby przerzucić sznur przez gałąź, musiał przecież najpierw na to drzewo wleźć.

– Szkoda, że nie zleciał i k...karku sobie nie p...połamał, mielibyśmy p...przynajmniej p...problem z głowy – odezwał się Synowiec.

Mazur i Zalewski skwitowali dowcip uprzejmymi uśmiechami. Waškowiak wyglądał na zakłopotanego, ale równie dobrze to mogło być zwyczajne zmęczenie. Ziętka wycierał chlebem resztki sosu, Hanka Gieras udawała, że zainteresowała ją widok za oknem.

Nie minęła jeszcze połowa dnia, a Witczak już miał wszystkiego dość.

* * *

Postąpił zgodnie z radą księdza Zielnika – nie dlatego, że miał na to jakąś szczególną ochotę, ale dlatego, że nie chciał jeszcze wracać do Rokitnicy. Wiedział oczywiście, że prędzej czy później będzie musiał wsiąść w samochód i przejechać z powrotem te trzysta kilometrów, jednak odwlekał decyzję, jak tylko mógł. Pół godziny, pomyślał, to przecież bez różnicy, czy dotrze na plebanię o dziewiątej, czy o wpół do dziesiątej. Pół godziny nikogo nie uratuje, a on potrzebował kilku chwil spokoju.

Jakby naprawdę wierzył, że pod jego nieobecność wszystkie problemy same się rozwiążą.

Znalazł na rynku kawiarnię, usiadł pod parasolem i zamówił kawę. Wokół spacerowały rodziny z dziećmi, jakiś chłopczyk puszczał mydlane bańki, a na ławce siedziała obejmująca się para. Zwyczajne życie w miłym małym miasteczku, przypominającym nieco to, w którym urodził się i wychował ksiądz Jerzy. Pamiętał z dzieciństwa bardzo podobny rynecek, kwadratowy, z dawno wyschniętą fontanną, na której cembrowinie grał z kolegami w kapsle. Kilka zapyziałych sklepików, odrapane, ale wciąż urokliwe stare kamieniczki wymieszane z brzydkimi nowymi blokami. Miasteczko, gdzie wszyscy wszystkich znają i żaden grzech nie zdoła się ukryć przed wścibskim wzrokiem sąsiadów.

Kelner przyniósł wreszcie zamówioną kawę i Marczewski upił łyk. Naprawdę była dobra, znacznie lepsza niż ta, do której przywykł na probostwie. Siedział więc pod parasolem, cieszył się smakiem, jakiego nie pamiętał od czasów młodości, i obserwował rynek. Tuż obok usiadła para w średnim wieku. On wyglądał jak prawdziwy turysta przygotowany na każdą niespodziankę: miał kamizelkę z mnóstwem kieszeni, solidne buty i przypiętą do paska pochwę z nożem. Ona ubrała się jak na plażę, w klapki i przewiewną sukienkę. Rozmawiali o tym, czy zatrzymać się jeszcze we Wrocławiu, czy może od razu jechać w stronę Karkonoszy.

– We Wrocławiu byliśmy pięć lat temu – argumentował mężczyzna. – Myślisz, że od tego czasu się zmienił? Poza tym co to za wypoczynek w mieście? Mielśmy chodzić po górach.

– Jak ostatnim razem szliśmy do Murowańca, to już w połowie drogi dostałeś zadyszki – wyzłośliwiła się kobieta.

Rozmowa coraz bardziej zmierzała w kierunku kłótni, a ksiądz zazdrościł

parze problemów.

Mijały leniwe minuty, w filiżance skończyła się kawa. Rozważał właśnie, czy zamówić następną, czy może raczej pozwiedzać miasteczko. Skoro był tu duży stary klasztor i parę zabytkowych kamieniczek, może trafiłby się też jakiś ładny kościółek, w którym mógłby się pomodlić. Jednak nim zdążył podjąć decyzję, zobaczył idącego przez rynek księdza. Proboszcz patrzył pod słońce, w pierwszym momencie zobaczył więc tylko ciemną sylwetkę w sutannie, dopiero po chwili rozpoznał twarz. Ksiądz Zielnik, który poruszał się dziarskim krokiem i zdecydowanie nie wyglądał już na bliskiego śmierci starca.

Podszedł do Marczewskiego i z westchnieniem opadł na krzesło pod parasolem.

– A więc domyślił się ksiądz i zaczekał – powiedział. – Brawo.

Proboszcz był zbyt zdziwiony, by wyprowadzić go z błędu. Ksiądz Konstanty skinął na kelnera i zamówił filiżankę kawy.

– Przychodzę tu codziennie, zazwyczaj koło szóstej, ale dziś udało mi się wyrwać trochę wcześniej. Na szczęście niczego się nie domyśliła.

– Siostra Augustyna?

Stary kapłan wzruszył ramionami.

– A kto inny? Na szczęście nie jest przesadnie bystra. Gdyby to była siostra Franciszka, o, ta to miała umysł jak brzytwa, ale zmarło się biedaczce na wiosnę, świeć Panie nad jej duszą.

– Chce ksiądz powiedzieć, że siostry księdza szpiegują?

– Oczywiście. – Zachichotał radośnie na widok miny proboszcza. – Teraz wychodzę na starego paranoika, co? Ale tak, szpiegują mnie wszystkie, nawet te najmłodsze. Nie żebym miał do nich pretensje, ostatecznie i tak nie mają biedactwa żadnych rozrywek. Nie wiem, co powiedział im biskup, pewnie coś o diable, to zawsze je przekonuje.

– I to wszystko... z powodu Rokitnicy?

– A jakże. A wie ksiądz, co jest w tym najlepsze?

– Nie.

Zielnik upił łyk kawy i przymknął z lubością oczy.

– Że tak naprawdę nadal niczego nie wiem. Próbowałem, owszem, ale zanim zdążyłem ludzi porządnie wypytać, przyszło pismo z kurii i musiałem się pakować. Inna rzecz, że nie wiem, czy kiedykolwiek udałoby mi się czegoś dowiedzieć. Tam u was chłopci są zamknięci jak ostrygi.

– Ale to wszystko prawda, tak? Te plotki o przeklętej parafii?

Ksiądz Konstanty wzruszył ramionami.

– Coś tam się stało dawno temu i myślę, że wie o tym większość starszych mieszkańców, a pewnie i część młodszych. Zwłaszcza ci, których przesiedlili z Brzozówki, bo cokolwiek się wydarzyło, miało miejsce na starej parafii.

– Coś związanego ze śmiercią pierwszego proboszcza? Tego, który się utopił?

– Też się nad tym zastanawiałem. W każdym razie wtedy pojawił się krzyż przy nasypie kolejowym, kojarzy go ksiądz?

Marczewski drgnął lekko.

– Tak, oczywiście.

– Tyle udało mi się dowiedzieć: że ktoś postawił krzyż mniej więcej w tym samym czasie, kiedy umarł proboszcz Brzozówki. I co roku w czerwcu pojawiały się na nim świeże kwiaty. To właśnie mnie zaintrygowało, więc zacząłem trochę pytać. Ludzie reagowali dziwnie, zamykali się w sobie, więc zacząłem interesować się jeszcze bardziej. Raz ktoś mi powiedział, że jeszcze za proboszcza Kubiaka znalazł na tym krzyżu kartę z imionami.

– Jakimi imionami? – Mimo upału księdzu Jerzemu nagle zrobiło się zimno.

– Józia i Rózia. Pytałem o nie, ale reakcja była dokładnie taka sama. Jakbym gadał do ściany. Potem próbowałem trochę podpytywać o poprzedniego proboszcza. To też ciekawa sprawa. Wygląda na to, że z księdza Kubiaka był trochę wariat, wie ksiądz, z tych, których ciągnie do mistycyzmu. Widział twarz Chrystusa w chmurach i słyszał Maryję w śpiewie ptaków. Nic groźnego, taki tam sympatyczny, może odrobinę depresyjny ekscentryk i przy okazji całkiem niezły kapłan. Ale po przeniesieniu parafii z Brzozówki do Rokitnicy nagle zupełnie mu odbiło, zaczął słyszeć głosy, aż wreszcie... – Zielnik wzruszył ramionami. – Wie ksiądz, jak to się skończyło. Zastanawiałem się nad tym i wyszło mi, że proboszcz Kubiak musiał znaleźć podczas przeprowadzki coś, co do reszty namieszało mu w głowie.

– On spalił jakieś rzeczy w ogrodzie na plebanii – powiedział Marczewski. – Tuż przed śmiercią. Kościelny to widział i zwierzył się proboszczowi Wójcikowi z Jaworków, a ten z kolei powiedział mnie.

W uśmiechu Zielnika była tym razem odrobina smutku.

– Ja też próbowałem proboszcza Wójcika wypytywać, ale ze mną nie chciał w ogóle rozmawiać. Widać budzi ksiądz większe zaufanie. Nie żebym się mieszkańcom Rokitnicy jakoś szczególnie dziwił, byłem tam ledwo od paru miesięcy, a już zacząłem zadawać niewygodne pytania. Człowiek stary jest, a ciągle głupi. Teraz też zresztą nie powinienem z księdzem rozmawiać. Nie wsypie mnie ksiądz, co? Nie chciałbym jeszcze raz poczuć powołania do wyjazdu na jakąś zapomnianą przez Boga misję, dość mam -brudu, gorąca i piasku.

– Nie pisnę ani słówka – obiecał Marczewski, choć nie był pewien, czy uda mu się tej obietnicy dotrzymać.

Ksiądz Zielnik wyglądał na zadowolonego. Dopił kawę, po czym wstał, pogrzebał w kieszeni sutanny i rzucił na stół garść zmiętych banknotów.

– Będę się zbierał, siostra Augustyna pewnie już się zastanawia, czy nie

dostałem tu zawału albo coś w tym rodzaju. Traktuje mnie jak inwalidę, Bóg jeden wie dlaczego. Albo jak upośledzone dziecko. Mniejsza z tym, muszę iść. Chyba że ksiądz chce jeszcze porozmawiać? W Rokitnicy znowu wydarzyło się coś złego, tak? Inaczej nie przyjechałby tu ksiądz po tych wszystkich latach.

– Tak, znowu zdarzyło się coś złego.

Emerytowany proboszcz skrzywił się lekko.

– Teraz powinienem zapytać co, ale niech ksiądz wybaczy, że nie zapytam. Nie chcę do tego wszystkiego wracać. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, jak to mówią, i może chociaż tyle się w życiu nauczyłem. No, idę, zanim mnie zacznie kusić. Każdy z nas ma swoje wady, a moją zawsze było to, że lubiłem wściubiać nos w nie swoje sprawy. Niech ksiądz nie popełni tego samego błędu. I proszę na siebie uważać. – Położył dłoń na ramieniu Marczewskiego i ścisnął je zaskakująco mocno. – Rokitnica to złe miejsce. Ale to już ksiądz wie, prawda?

* * *

Kierownik hotelu robotniczego był chudy, niski i spalony na brąz, jakby praca na świeżym powietrzu zamarynowała go w słońcu. W lewej ręce trzymał śmierdzącego papierosa, a prawą gestykułował gwałtownie. Za jego plecami wisiał kalendarz na rok 1986 z obrazkiem przedstawiającym sielski krajobraz polskiej wsi. Do widoczku przypięto pinezką obrazek nieco mniej sielski, bo przedstawiający wygiętą w kuszącej pozie blondynkę, nieco już wytartą i wygniecioną, jakby wiele przeszła. Hanka wyobraziła sobie tego chudego mężczyznę podróżującego z budowy na budowę w towarzystwie wyciętej z jakiegoś zachodniego pisma panienki i poczuła coś w rodzaju litości wymieszanej pół na pół z obrzydzeniem.

– Moi ludzie nie chodzą do wioski – mówił kierownik Krawczyk. – Po co mieliby to robić? Na miejscu mamy wszystko, czego nam trzeba.

– Wódkę też? – zapytał z głupia frant Witczak, na co Krawczyk przybrał minę oburzonego świętoszka.

– Moi ludzie nie piją podczas pracy, wypraszam sobie takie sugestie. Powinniście się raczej zająć tymi tam, z długimi kudłami. Hippisi, tak na nich mówią, po zachodniemu. Założę się, że to któryś z nich.

– Czemu hippisi mieliby mordować przyjezdną dziewczynę? – Tym razem pytanie kapitana zabrzmiało zwodniczo niewinnie.

Krawczyk odpalił jednego papierosa od drugiego i zaciągnął się łapczywie, jakby od tygodni nie miał w płucach dymu.

– Bo nie chcą, żeby ta elektrownia została zbudowana, to proste.

– A nie sądzi pan, że zabicie i powieszenie dziewczyny jest trochę zbyt drastyczną metodą, żeby osiągnąć cel?

Krawczyk wzruszył ramionami.

– To banda wariatów, kto wie, co takim może strzelić do głowy. Mówił pan, że dziewczyna została zabita wcześniej rano, tak?

– Nie wiemy jeszcze dokładnie o której.

– Jak przed siódmą, to nie ma szans, żeby to był ktoś z naszych. Od dziesiątej wieczór do siódmej rano brama jest zamknięta, a dwóch strażników patroluje teren. Mieliśmy już problem ze skurwysynami, którzy wrzucali nam przez ogrodzenie butelki z benzyną i inne takie. Sam pan kapitan widzi, że ci kudłaci są zdolni do wszystkiego.

– Chciałbym porozmawiać ze strażnikami i z wszystkimi, którzy w tej chwili przebywają na terenie elektrowni.

Krawczyk skrzywił się.

– Panie, to będzie z pięćdziesięciu chłopów. Tydzień będziecie ich przesłuchiwać.

– To już nasz problem, prawda?

* * *

– Naprawdę chce pan przesłuchać pięćdziesiąt osób? – zapytała Hanka, kiedy wyszli z biura Krawczyka. Było po piątej, ale wciąż panował upał. Robotnicy kończyli dniówkę i schodzili z rusztowań, zdejmując po drodze kaski i przeczesując mokre od potu włosy. Niektórzy mijali milicjantów obojętnie, ale większość patrzyła na nich z ciekawością – wieść o znalezieniu zwłok musiała się już rozejść. Od strony stołówki pracowniczej dolatywał zapach zupy kalafiorowej i Hanka, która jeszcze parę godzin temu mogłaby przysiąc, że przez tydzień nie weźmie niczego do ust, zrobiła się głodna.

– Nie przesłuchać, po prostu szybko przepytac. Spiszemy ich dane, zapytamy, czy ktoś tu nie ma przypadkiem zwyczajem wychodzić nocą lub nad ranem z hotelu albo czy nie zauważyli ostatnio czegoś podejrzanego. Takie tam.

– Myśli pan, że to coś da?

Witczak wzruszył ramionami.

– Myślę, że jest szansa. Nie wierzę, że pięćdziesięciu facetów spało przez całą noc grzecznie jak leżakujące przedszkolaki. I pewnie większość z tych, co mają coś na sumieniu, będzie łągać, ale prędzej czy później ktoś kogoś sypnie. W takich miejscach raczej nie kwitnie braterska miłość.

– Myślałam... – Zawahała się.

– Co myślałaś? Że to jedna wielka szczęśliwa rodzina? Nie bądź naiwna. Mamy tu kilkudziesięciu mężczyzn z dala od domów, skazanych przez długie tygodnie tylko na swoje towarzystwo. W ramach rozrywki chleją i gadają o dupach albo jeśli mają szczęście i program akurat odbiera, oglądają telewizję. Nawet do wsi nie mogą za bardzo iść, bo nikt ich tam nie lubi. Musi tu być mnóstwo konfliktów, ktoś komuś dał w mordę, ktoś obraził czyjąś panienkę... Jak trochę

poskrobiemy, wszystko to wylezie na wierzch.

Hanka musiała mieć wyjątkowo niepewną minę, bo kapitan wreszcie się zlitował.

– Nie musisz tego robić ze mną. Wracaj do wsi i przyślij mi tu Mazura albo Zalewskiego. Przy okazji zjedz coś, a potem zadzwoń jeszcze do Ziętka. Może mają już wyniki sekcji. Doktor miał ją robić na już, wszystkie inne umarlaki poszły w odstawkę, jak znalazła się nasza dziewczyna.

– Zadzwonię – obiecała Hanka z ulgą. Nie była pewna, czy dałaby radę przycisnąć robotników tak, jak Witczak to sobie wyobrażał.

Gdy szła w stronę bramy, obejrzała się jeszcze za siebie. Elektrownia, choć niewykończona, już robiła wrażenie. Wszystko tu było gigantyczne: cztery walcowate kominy, zwieńczony kopułą budynek reaktora i dwa podłużne bloki, których przeznaczenia nawet nie знаła. I wszystko miało szary, martwy kolor – barwę betonu i deszczowego dnia, kontrastującą z błękitem jeziora i zielenią otaczających je drzew. Starsza szeregową pomyślała, że miejscowi mieli rację: elektrownia była tu czymś obcym, czymś, co nigdy nie powinno było powstać.

* * *

– Zdejme prani, bo zaś pewni idzie burza. – Kurkowa zerwała się z ławki przed domem. Była drobną, chudziutką staruszką, która nie potrafiła usiedzieć spokojnie, ciągle dokądś biegła, coś sprzątała, poprawiała. I przy okazji była też przesądna, a burze darzyła czymś w rodzaju lęku pomieszanego z fascynacją.

– Przejdzie bokiem. – Ewa wyciągnęła rękę i schwytała na nią promień słońca. Podmuch wiatru zaszeleścił w liściach jabłoni. Na ogród padł cień, jakby wysoko nad nimi przelatywał wielki ptak – przesunął się po trawniku i zniknął, po czym dziewczyna znów zanurzyła dłoń w blasku.

– Lepiej zdjoneć – upierała się Kurkowa. – Nigdy nic nye wiadomo. I krowe przyprowadze.

Ewa wiedziała, że dyskusja nie ma sensu, skinęła więc tylko głową. W głębi duszy liczyła na to, że znowu zacznie padać. Chciałaby poczuć jeszcze choć raz krople rozpryskujące się na nagiej skórze i wilgotne zimno docierające w najgłębsze zakamarki ciała. Prawie już zapomniała, jak to jest biegać w deszczu. To było tak dawno temu, niemal w innym życiu. Obserwowała Kurkową, która walczyła z łopoczącą na wietrze pościelą, i liczyła na to, że staruszka walkę przegra – może poszewka na poduszkę spadnie jej w błoto albo jedno prześcieradło zapłacze się w drugie. Może starsza pani zajmie się praniem tak bardzo, że zapomni o podopiecznej. Dziewczyna wiedziała jednak, że nie ma na to szans. Kurkowa była z pokolenia, które dorastało przed wojną i wydawało się zrobione z żelaza – nigdy nie chorowała, nie traciła sił i o niczym nie zapominała. Szybko i sprawnie składała pranie, prześcieradło po prześcieradle i poszewka po poszewce,

po czym wrzucała wszystko do wiklinowego kosza. Za chwilę przyjdzie i nie zwracając uwagi na protesty Ewy, przesadzi ją na wózek i wepchnie do domu.

Przyszła, przesadziła i wepchnęła, a dziewczyna uznała, że tym razem nie będzie protestować. Przynajmniej tyle godności mogła zachować.

– To ide wartko po krowe – oznajmiła Kurkowa. Wysilek zaróżowił jej zwiędłe policzki i rozświetlił oczy. – Dać ci cosik do cytania?

– Tak, tę książkę, która leży na stole.

Kurkowa podniosła ze stołu tom w twardej oprawie i przyjrzała mu się nieufnie. Sama ledwo umiała czytać i wszystko, co zadrukowane, traktowała z podejrzliwością. Przewróciła kilka kartek.

– Jes brudno – powiedziała. – I wyglondo, jakby ktosik próbował zapalić niem w piecu.

Z tonu jej głosu wynikało, że nie był to taki zły pomysł. Kurkowa chętnie spaliłaby większość książek, zostawiłaby tylko Biblię i kalendarz rolniczy.

– Nie szkodzi. – Ewa wyciągnęła rękę.

– A rób, co kces. No, jo idem.

Gdy za Kurkową zamknęły się drzwi, dziewczyna strzepnęła resztki popiołu i otworzyła książkę. Pierwsza strona była poźółkła, ze śladami ognia, który zwęglił dół, ale na szczęście nie sięgnął druku. *Baśnie*, głosił tytuł. Wyżej wytłuszczony autor: Hans Christian Andersen, niżej dwa imiona dopisane chwiejnym dziecięcym pismem:

Józia

Rózia

Ewa pogłaskała je ostrożnie, jakby dotykała małego kotka albo najcenniejszych wspomnień z młodości. Przymknęła oczy, czekając na odgłos pierwszych kropel deszczu uderzających o szybę. Nie doczekała się, wiatr w ogrodzie przycichł, po niebie przetoczył się grzmot, gdzieś daleko, na granicy słuchu. Burza chyba rzeczywiście przechodziła bokiem.

Dziewczyna czekała, wsłuchana w miarowe tykanie zegara odmierzającego kolejne minuty jej życia. Tik-tak, tik-tak. W ciszy i ciemności. Tik-tak. Uśmiechając się do własnych myśli. Tik-tak. Byłoby miło, gdyby dziś po południu wpadł jeszcze ten przystojny proboszcz, w końcu miała mu do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Kurkowa długo nie wracała. Może krowa jej uciekła albo kobieta potknęła się na polu i skręciła kostkę. Ewa ucieszyłaby się, gdyby staruszka okazała się nie tak sprawna, jak się wszystkim wydawało. W głębi duszy nigdy jej nie lubiła. Nie dlatego, że kobiecina wciąż potrafiła chodzić, że mogła w każdej chwili wsiąść w pociąg albo w autobus i wyjechać, podczas gdy Ewa tkwiła w tym domu jak w pułapce, ale dlatego, że Kurkowa nazywała Ewę „kochaniem” i traktowała ją jak dziecko, a dziewczyna musiała się na to godzić i nawet udawać wdzięczność –

gdyby tego nie robiła, staruszka już nigdy nie przyszłaby im pomóc. Potrzebujemy jej, tłumaczył łagodnie Franciszek, przecież wiesz, że nie mogę zajmować się tobą przez cały czas. Rozumiesz to, prawda?

Ewa kiwała głową, tak, rozumie.

Na myśl o Franku poczuła nagłą tęsknotę, tak silną, że prawie przestała oddychać. Nie martwiła się o niego, wiedziała, że mąż sobie poradzi, a poza tym milicja i tak nic na niego nie miała. Po prostu chciała, żeby wrócił już do domu.

Drzwi skrzypnęły, Ewa otworzyła oczy i uśmiechnęła się niewinnie. Do pokoju weszła Kurkowa, wnosząc ze sobą zapach wiatru i niepokoju. Była wystraszona, ale też podekscytowana, jak dziecko, które poznało właśnie tajemnicę. I aż płonęła chęcią podzielenia się tym -sekretem. Dziewczyna milczała. Wiedziała przecież, że ludzie prędzej czy później sami zaczynają mówić. Tacy już byli. A w przypadku Kurkowej następowało to zdecydowanie prędzej niż później.

– Nye uwierzysz, co uwidziałak – wysapała staruszka. – Jak zek posła po krowę, to uważyłak, zeby na ten nasyp, no wiesz, kaj to dziewczce zginęło. Pomyślałak se, ze zmówię wieczny łodpocynek...

Ewa mruknęła coś niezobowiązująco. W chęć modlitwy nie uwierzyła ani przez chwilę, podejrzewała raczej, że starsza pani chciała jeszcze raz zerknąć na miejsce zbrodni. I nie zamierzała jej za to potępiać – sama by tam poszła, gdyby tylko miała sprawne nogi.

– Wtedy uwidziałak, ze na krzyżu wisi nowy wionek z kwiotków, swieziutki. No, kapke to dziwne, jak myślis?

– Pewnie ktoś go powiesił na pamiątkę po tej dziewczynie, co w tym dziwnego?

Kurkowa energicznie potrząsnęła głową.

– Nye wydoje mi sie. Ludziska kłodli kwiotki na torach, a byli i tacy, co zapolili łobok znice, ale krzyza do tej pory nikt nye tykoł, no. Cemu miołby to kto robić teraz?

– W takim razie – powiedziała podstępnie Ewa – powinna pani iść z tym na milicję.

– Tak radzis? – Pomysł niewątpliwie wydał się Kurkowej kuszący. – Nale, przecież nye moge zostawić cie samom...

– Poradzę sobie. – Dziewczyna uśmiechnęła się dzielnie. – Zostawałam już sama w domu, a to przecież nie potrwa dłużej niż godzinę.

– Jak tak godos, to ide, warciutko, zeby sie wrócić, zanim sie zećmi. Moze ta burza nos łobejdzie. – Staruszka spojrzała w okno z powątpiewaniem.

– Moze. – Ewa nie chciała już, żeby zaczęło padać. Jeśli Kurkowa teraz wyjdzie i nie zawróci wystraszona przez deszcz, dziewczyna będzie miała godzinę tylko dla siebie. Sześćdziesiąt minut wolności, w czasie których posiedzi sobie spokojnie w fotelu, nie słuchając paplania staruszki i odgłosów jej krzątania. Całe

cztery kwadransy na dokładne przemyślenie tego, co powinna zrobić w naj-bliższych dniach. A to było ważne, może nawet najważniejsze w całym jej krótkim życiu.

* * *

Hanka zjadła późny obiad i poszła prosto na posterunek. Powinna zastać tam Synowca, jednak kaprała gdzieś wywiało. Pewnie poszedł z Mazurem czy Zalewskim, a starsza szeregowka nie potrafiła mu mieć tego za złe. Nic dziwnego, że w samym środku śledztwa w sprawie podwójnego morderstwa nie chciał tkwić na dyżurze. Hanka czuła się podobnie: wystraszona, zagubiona i podekscytowana jednocześnie. A może przyczyna nieobecności chłopaka była znacznie bardziej prozaiczna, może wyszedł, bo nie mógł znieść smrodu zdechłej myszy?

Kiedy zadzwonił telefon, dziewczyna drgnęła i chwyciła za słuchawkę.

– Starsza szeregowka Hanna Gieras, słucham.

– Ziętka z tej strony.

– Macie już wyniki? – Ścisnęła słuchawkę tak mocno, aż zabolęły ją palce.

– Zależy, co pani ma na myśli. Odpowiedź z laboratorium zajmie jeszcze trochę czasu. Ale wstępnie sobie tę dziewczynę obejrzałem i mogę co nieco powiedzieć.

– Tak?

– Moim zdaniem zmarła gdzieś koło szóstej rano, może trochę później. Była zdrowa, chociaż bardzo chuda. Porządnie ubrana i zadbana, a więc nie chodziło o niedożywienie z biedy. Może po prostu tak miała, a może jakiś czas temu chorowała i nie zdążyła odzyskać wagi. Morderca zaatakował ją od przodu, prawą ręką.

– Nożem? Jak Martę Jaczyk?

– Tak, choć oczywiście nie mam pewności, że to ten sam nóż. Mogę tylko powiedzieć, że narzędzie zbrodni było bardzo podobne. Dziewczyna próbowała mordercę odepchnąć i zasłonić się, ale biedaczka nie miała szans. Była taka chuda, że wystarczająco silny facet mógł złapać obie jej ręce jedną swoją. A drugą poderznął jej gardło.

– Rozumiem.

– I kolejna rzecz: na ramionach i na udach znalazłem blizny, niektóre stare, inne dość świeże. Poprzeczne cięcia, zadane ewidentnie ręką ofiary.

– Próbowwała popełnić samobójstwo?

– To swoją drogą, ale poza tym chyba lubiła zadawać sobie ból. I jeszcze jedno. – Ziętka zachichotał radośnie. – Coś, co wszyscy mogliście zauważyć.

– Co takiego?

– Pierścionek. Dziewczyna miała na palcu dokładnie taki sam pierścionek, jak ta wcześniejsza. Obejrzyjcie sobie zdjęcia. Nie mam pojęcia, czy to ma jakieś

znaczenie, to już wasza robota.

Hanka musiała się z nim zgodzić. Pierścionek? Mętnie przypomniała sobie, że druga ofiara miała na palcu jakąś błyskotkę. Coś srebrnego, chyba z błękitnym oczkiem. Rzeczywiście trzeba będzie przejrzeć fotografie z miejsca zbrodni.

– A ten drugi trup na razie może poczekać, co? Z tym się nie pali?

– Drugi trup? – Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że Ziętka mówi o Chochółku. – Nie, z tym nie ma pośpiechu. Dziękuję za informacje.

– Odezwę się, jak tylko będę wiedział coś więcej. A wy odbierajcie telefony, trzy razy już dzwoniłem, zanim się pani odezwała.

– Tak, wiem. – Hanka postarała się, żeby w jej głosie zabrzmiała stosowna skrucha. – Może lepiej będzie, jeśli następnym razem zadzwoni pan do Stokrotki? Tam teraz ciągle ktoś z naszych się kręci. Podam panu numer.

Przedyktowała ciąg cyfr, pożegnała się, a potem poszukała na półce teczek ze sprawą Marty Jaczyk. Nie znalazła, pewnie ktoś wyniósł ją do Stokrotki i tam zostawił.

Po chwili namysłu zamknęła posterunek na klucz i poszła w stronę domu wczasowego.

* * *

Chorąży Tomasz Mazur spojrział z niepokojem w ciemniejące niebo, po czym nacisnął klamkę i otworzył furtkę. Wisiała na niej tabliczka z napisem UWAGA, ZŁY PIES!, ale po ogrodzie kręcił się tylko merdający ogonem jamniczek. Mazur schylił się, pogłaskał go, otrzymując w zamian przyjacielskie liźnięcie, po czym udał się w kierunku, skąd dobiegały odgłosy audycji *Lato z Radiem*. Dom, który obchodził dookoła, był piętrowy, murowany, najwyraźniej niedawno postawiony. Chorąży wyczuwał tu zapach pieniędzy, tak jak czuł woń nadciągającego deszczu i gnijących w trawie wczesnych jabłek.

Z tyłu ogrodu leżała na kocu wysmarowana olejkami do opalania blondynka w kostiumie kąpielowym. Czytała książkę, a obok niej na trawie stało włączone na pełny regulator radio. Mazur chrząknął, blondynka poderwała wzrok.

– Milicja Obywatelska, chciałem z panią porozmawiać.

– O! – Kobieta wstała. Była zgrabna, spalona na brąz, z tlenionymi włosami. Ładna, jeśli ktoś lubił ten typ.

– Może wejdziemy do środka? – zasugerował.

– Tak, jasne. – Spojrzała w górę. – Chyba znowu będzie padać. A może przejdzie bokiem? Jak pan myśli?

– Nie mam pojęcia.

– Myślałam, że ludzie ze wsi wiedzą takie rzeczy.

Nie kłopotał się, żeby odpowiedzieć, a kobiecie chyba nawet nie przyszło do głowy, że powiedziała coś niestosownego. Zabrała radio, ścisząc je przy okazji,

i zaprowadziła gościa do domu. Chorąży miał rację – widać tu było pieniądze. Nowy telewizor, nowe meble, skórzana kanapa. Niezbyt duże pieniądze – Mazur zakładał, że naprawdę bogaci ludzie budowali domy w Zakopanem albo nad morzem – ale jednak pieniądze. Uderzył go też kontrast między tym domem a chałupą, którą odwiedził przed chwilą. Tam wychodek stał na zewnątrz, nie było telewizora ani nawet radia, a w całym obejściu śmierdziało gnojem. Jakby nagle przeskoczył w czasie o pięćdziesiąt lat. I takie wiejskie domy zawsze wydawały mu się bardziej naturalne, do takich był przyzwyczajony. Kobieta miała rację – wychował się na wsi, maleńkiej i zadupiaстей tak bardzo, że kiedy ktoś przyjeżdżał tam samochodem, dzieciaki z okolicy zbiegały się, żeby zobaczyć cud techniki. Jego matka w czasie burzy zapalała dla ochrony gromnicę przed obrazkiem Matki Boskiej, a sąsiadką była osiem-dziesięcioletnia Gościowa, która ubierała się zawsze na czarno, w sięgające kostek warstwy sukien jak z dziewiętnastego wieku. Dzieciaki mówiły, że nie nosi majtek, bo w jej czasach takiego wynalazku nie było, i kiedy chce jej się sikać, po prostu przykuca na podwórku i leje pod siebie.

Blondynka zapaliła papierosa.

– Napije się pan czegoś? – zaproponowała. – Mogę zrobić kawę, chociaż na taki gorąc chyba lepsza będzie lemoniada. A może woli pan piwo?

– Nie, dziękuję. – Obszedł już kilkanaście domów i w każdym proponowano „coś do picia”. W żołądku bulgotały mu wszystkie te kawy, herbaty i lemoniady, a pęcherz dawał o sobie znać nieprzyjemnym uciskiem. Chorąży mógłby spytać kobietę o możliwość skorzystania z toalety, ale jego zdaniem jakoś nie licowało to z powagą śledztwa.

– Chciałem zapytać, czy widziała pani tę osobę? – Podsunął jej pod nos zdjęcie, jedno z pierwszych, które zrobili. Nie wyszło najlepiej: dziewczyna miała na nim bladą, stęziałą twarz, ale przynajmniej nie było widać podejrzanego gardła.

Blondynka wzięła fotografię w dwa palce, z obrzydzeniem, i rzuciła pośpieszne spojrzenie.

– To jej ciało znaleźliście w lesie, tak? Mąż dowiedział się dzisiaj w sklepie, że była nowa ofiara. Jezu, jakby było mało tej elektrowni, to jeszcze teraz morderstwa.

– Elektrownia państwu przeszkadza?

– Nie, jakoś szczególnie to nie. Jest za drzewami, po drugiej stronie jeziora, więc nie psuje krajobrazu. No i nikt z nas tak naprawdę nie wierzy, że ją uruchomią. Ale jeśli tutaj mają się dziać takie rzeczy, to może faktycznie lepiej będzie sprzedać dom...

– To jak, widziała ją pani? – Zostawił w spokoju elektrownię i wrócił do właściwego tematu. Jeśli anonimowa dziewczyna przebywała w Rokitnicy już od wtorku, musiała przecież gdzieś nocować. – Proszę przyjrzeć się dokładnie.

Blondynka zrobiła to z mieszaniną ciekawości i wstrętu. Potem oddała

zdjęcie.

– Tak, chyba ją widziałam – powiedziała, zaciągając się papierosem. Bosa stopa z polakierowanymi paznokciami stuknęła nerwowo w podłogę, na nagich ramionach pojawiła się gęsia skórka.

– Była u pani?

Parsknęła krótkim śmiechem, który przypominał szczeknięcie.

– U mnie? Po co miałaby tu przychodzić? Przy kościele ją widziałam dziś rano, jak wychodziła z plebanii.

Tego Mazur się nie spodziewał.

– Niech pani opowie dokładnie, jak to było. O której godzinie ją pani widziała?

– Przed szóstą, jak szliśmy z mężem i dziećmiakami w góry.

Musiał mieć sceptyczną minę, bo kobieta znowu parsknęła, tym razem zdecydowanie bardziej szczerym śmiechem.

– Nie wyglądam na amatorkę wycieczek, co? Ale moi chłopcy bardzo to polubili. Mamy dwójkę, dwanaście i dziesięć lat. Zbierają odznaki i takie tam. No więc pomyśleliśmy, że skoro są wakacje, to pójdziemy z nimi na Wielką Raczę. Wcześniej wyszliśmy, żeby nie iść w najgorszym upale, no i żeby na obiad do domu wrócić.

– I wtedy zobaczyła pani tę dziewczynę? – To by się zgadzało: żeby wejść na szlak prowadzący na Wielką Raczę, trzeba było najpierw przejść przez centrum wsi. I minąć kościół.

– Tak. Jak wychodziła z plebanii, mówiłam.

– Pani rodzina to potwierdzi?

Potrząsnęła głową.

– Chłopcy raczej nie, bo biegli przodem i chyba nawet nie zwrócili na nią uwagi. Ale mąż też ją zauważył. Żartowaliśmy nawet, że ksiądz sobie kochankę znalazł. Na wsiach takie rzeczy się zdarzają, wie pan sam.

Chorąży kolejny raz postanowił pominąć uwagę milczeniem.

– Gdzie teraz jest pani mąż?

– Nad jeziorem, z chłopcami. Pewnie zaraz wrócą, jak znowu ma zacząć padać.

– Będę potrzebował zeznań pani i pani męża.

– Jasne. – Zgasiała papierosa w ciężkiej kryształowej popielniczce, po czym spojrzała w okno, za którym wciąż świeciło słońce. – To jak pan myśli, będzie ta burza czy nie?

– Nie będzie. – Nerwowo przestąpił z nogi na nogę. – My, wieśniacy, się na tym znamy. A tak przy okazji, mogę skorzystać z toalety?

* * *

Witczak nie czekał, aż Hanka mu kogoś podeśle, tylko od razu zabrał się do przesłuchiwania robotników. Przychodzili pojedynczo do biura kierownika, które kapitan zajął, i siadali po drugiej stronie biurka, niektórzy zdenerwowani, inni ciekawi albo zwyczajnie wkurzeni, że odrywa się ich od zasłużonego wypoczynku. Fizycznie prezentowali głównie dwa typy: zwalistych, obrośniętych solidną warstwą tłuszczu mięśniaków i chudzielców składających się głównie z poskręcanych niczym powrozy ścięgien. Niektórzy mieli rodziny i wspominali je z sentymentem niczym marynarze podczas długiego rejsu, inni byli samotni. Część, jak podejrzewał Witczak, popadła już wcześniej w konflikt z prawem. Wśród przemierzających się po kraju robotników sporo było takich, którzy uciekali przed karzącą ręką sprawiedliwości – złodziei, awanturników, melinarzy. Jednak kapitana nie obchodziły drobne przestępstwa, on szukał mordercy. Pół godziny później dołączył do niego Zalewski i dalej pracowali razem, w dwóch pokojach obok siebie. Mijały kolejne minuty, burza pomrukująca na zewnątrz powędrowała dalej w kierunku Czechosłowacji, a kapitan miał dość wysłuchiwania bajek o tym, jak to nad ranem wszyscy spali grzecznie w swoich łóżeczkach. Sądził już, że nic z tego nie będzie, kiedy drzwi się otworzyły i Zalewski wsunął głowę do środka.

– Chyba mamy naszego człowieka – powiedział.

„Nasz człowiek” miał koło czterdziestki i należał do tych zwalistych – duży, łysiejący facet z opadającym brzuszyskiem i dłońmi jak dwa bochny chleba. Nazywał się Jacek Krzysztofiak i był zameldowany na stałe w niewielkim miasteczku pod Poznaniem.

– Tak, wychodziłem nad ranem – powiedział zaczepnym tonem. – Szósta była, może trochę po. Wolno mi, nie? To nie więzienie, brama jest po to, żeby nie wpuszczać nikogo z zewnątrz, a nie żeby nie wypuszczać nas.

– A jednak żaden ze strażników nie wiedział o pana małej wycieczce. Ciekawe czemu?

Krzysztofiak wzruszył ramionami.

– Poprosiłem Staśka o małą przysługę, co mają wszyscy wiedzieć, że mnie nie było.

– I po co wychodził pan tak wcześniej?

Spojrzał na nich z wyzywającym uśmiechem.

– Bo spać nie mogłem, a co? To też jest zabronione? Na spacer poszedłem, nad jezioro. Tam ją zobaczyłem. Tę dziewczynę, co ją później martwą znaleźliście. Wtedy jeszcze żyła. I była z jakimś gościem. Wyglądał jak jeden z tych hippisów. Jakąś chustę miał na łbie.

– Niech pan zostawi na razie w spokoju mężczyznę i opisz dziewczynę.

– Chuda, ciemne włosy. Ubrana w zieloną spódnicę i bluzkę z długim rękawem, też zieloną, tylko jaśniejszą. Taki kolor się chyba nazywa seledynowy, nie? Białe sandały, brązowa torebka, niezłe nogi.

– Czemu nie powiedział pan o tym od razu, jak tylko zaczęliśmy przesłuchania?

Krzysztofiak zaserwował im kolejne wzruszenie ramion.

– Bo mnie nie pytaliście, nie? To nie moja sprawa.

– I co tamci robili?

– Nic, rozmawiali. Nie słyszałem, o czym, za daleko byli.

– Kłócili się?

– Nie, zwyczajnie gadali. Wyglądało na to, że dobrze się znają. W pewnym momencie ten hippis nawet ją przytulił. Wtedy sobie pomyślałem, że przyszli tam na małe bara-bara, więc sobie poszedłem. Nie mam zwyczaju podglądać par w lesie.

– Niech pan tu zaczeka. – Witczak skinął na Zalewskiego. Na zewnątrz kapitan wyciągnął paczkę klubowych i poczęstował młodego milicjanta. Ten odmówił, kręcąc głową.

– Wierzy mu pan? – zapytał Witczak.

– W to, że nie mógł spać i dlatego poszedł na spacer? W życiu. Pewnie chciał kupić od kogoś z miejscowych bimber albo wódkę na imprezę wieczorem. Ale reszta może być prawdą. Tę dziewczynę opisał dobrze.

– Ktoś mógł mu powiedzieć, jak wyglądała – przypomniał Witczak. – Teraz już cała wieś plotkuje.

– Pewnie tak, ale nie wydaje mi się, żeby ludzie opowiadali sobie takie szczegóły jak kolor jej spódnicy czy butów. No i po co miałby zmyślać, że rozmawiali i się przytulali? Gdyby chciał tylko wsypać hippisów, mógłby powiedzieć, że się kłócili, że on jej groził albo ciągnął ją w stronę drzewa. O drzewie to już wszyscy w tej chwili wiedzą.

– Dobra. – Witczak rzucił papierosa na ziemię i przydepnął. – Trzeba będzie mu pokazać tych hippisów. Zobaczymy, czy kogoś rozpozna.

* * *

Na wysokości Kędzierzyna-Koźła zaczęło padać, najpierw rozpryskujące się o szybę samochodu drobne krople, potem grube jak warkocze strugi i bębniący o dach grad. Wycieraczki pracowały z pełną mocą, ale i tak nie nadążały z usuwaniem wody. Droga rozmazywała się w deszczu. Ksiądz Jerzy zjechał na pobocze i zatrzymał samochód, nie wyłączając jednak silnika. Podkręcił ogrzewanie, bo zaczynało się robić chłodno, i odmówił wieczorny brewiarz. Do Rokitnicy zostało jeszcze sto pięćdziesiąt kilometrów – jeśli będzie miał szczęście, dotrze tam przed dziesiątą.

Pytanie, czy chciał mieć takie szczęście. Kusila go myśl, by przeczekać deszcz, a potem pojechać gdzieś daleko, gdzie nikt by go nie znał. Ukryć się, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na kilka dni. Nie był pewien, czy poradziłby sobie

w świeckim życiu, ale mógłby spróbować. Może biskup wybaczyłby mu tę rejteradę, może nawet w głębi duszy uznałby, że proboszcz podjął najlepszą w tym momencie decyzję, bo jego obecność w Rokitnicy tylko wszystko komplikowała.

Może.

* * *

Spotkali się ponownie wieczorem, kiedy upał już zelżał, a niebo zaczynało ciemnieć. Znużona Hanka usiadła niedaleko okna, obok zajęli miejsca Zalewski i Synowiec. Witczak stanął przy szkolnej tablicy, którą po południu wyprosił od dyrektorki miejscowej szkoły, zmęczony, w przepoconej koszuli z podwiniętymi rękawami. Przez chwilę dziewczyna miała absurdalne wrażenie, że kapitan zaraz zacznie tłumaczyć im geografię albo zasady pisowni „ó”, ale on tylko postukał palcem w stół.

– Wiem, że macie dość, dlatego postaramy się uwinąć szybko. Możemy zaczynać.

– Nie czekamy na resztę? – zapytał Zalewski.

– Nie, nie czekamy. Mamy do omówienia parę kwestii. Zaczniemy może od drobiazgów. Na krzyżu przy nasypie pojawił się świeży wieniec z kwiatów. Hanka?

Dziewczyna chrząknęła.

– Janina Kurkowa przyszła, kiedy byłam na posterunku. – Nie wspomniała, że tak naprawdę właśnie ten posterunek zamknęła i kierowała się w stronę Stokrotki. – Powiedziała, że na krzyżu są nowe kwiaty, więc poszłam tam, sfotografowałam je, a potem przyniosłam tutaj. Nie wiem, czy dobrze zrobiłam...

– Dlaczego wieniec miałby mieć znaczenie? – wtrącił się Zalewski. – Ludzie zawsze zostawiają kwiaty na miejscu zbrodni i zapalają znicze. Taki zwyczaj.

– Tak, ale ten krzyż jest trochę z boku, zarośnięty chaszczami – tłumaczyła. – Można go przegapić, jeśli ktoś nie wie, na co patrzeć. A ludzie wcześniej zostawiali kwiaty zwyczajnie, na torach albo tuż obok. Na krzyżu za to wieniec pojawił się raz, po poprzednim morderstwie, i teraz, kiedy zginęła druga dziewczyna. To może mieć związek.

– Ale niekoniecznie musi – upierał się Zalewski. – Równie dobrze ktoś mógł zauważyć krzyż i uznać, że to całkiem niezły pomysł na upamiętnienie ofiary.

– Weźmiemy to pod uwagę – powiedział Witczak. – Ale jeśli wieniec zostawił sprawca, to znaczy, po pierwsze, że oba zabójstwa są ze sobą powiązane, a po drugie, że morderca prawdopodobnie czuje się winny.

– Czy można zdjąć odciski palców z kwiatków? – zainteresowała się Hanka.

Witczak skrzywił się.

– Wątpię, zwłaszcza że te kwiatki niedługo zwiędną. Ale obfotografowaliśmy je porządnie i zobaczymy, co się da zrobić. Poza tym mamy

dwa ciekawe zeznania. Jedno robotnika z elektrowni, Krzysztofiaka, który powiedział, że wyszedł koło szóstej rano na spacer i widział, jak brunetka w zielonej spódnicy rozmawia z jakimś hippisem. Potem podobno się obejmowali. Co nam to mówi, zakładając, że facet nie zmyśla?

– Że ofiara знаła mordercę? – zaryzykowała Hanka. – To nie była zbrodnia z premedytacją, może spotkali się po prostu, żeby pogadać, może nawet byli kochankami, ale z jakiegoś powodu doszło do kłótni i on ją zabił? Nie, bez sensu – zreflektowała się. – Gdyby to była kłótnia kochanków, nie wieszaliby potem ciała na drzewie... Chociaż może jednak? Zabił w afekcie, wystraszył się i chciał upozorować zabójstwo na to, o którym wcześniej słyszał? Wtedy mielibyśmy do czynienia z dwoma mordercami, nie jednym.

– W czasie kłótni można dźgnąć kogoś nożem, ale raczej nie podrzyna mu się gardła – zwrócił jej uwagę Witczak. – Ale całkowicie nie możemy wykluczyć tej teorii. Jakies inne pomysły?

– Udaje miłego – powiedział Zalewski. – Uwodzi te dziewczyny, zabiera w jakieś odosobnione miejsce i tam najpierw przytula, a potem zabija.

– M...może j...jak ją p...przytulał, t...to tak naprawdę dziabnął ją n...nożem w szyję? – Synowiec wreszcie odważył się odezwać, jednak pełne niechęci spojrzenie Witczaka nie wróżyło niczego dobrego.

– Byłoby to trudne w takiej pozycji, ale mniejsza z tym.

Synowiec zamilkł i skulił się, jakby próbował zniknąć. Hance było go żal, młody kapral wyraźnie znalazł się dziś na cenzurowanym. Posłała mu przyjacielskie spojrzenie, ale odwrócił głowę, udając, że nie zauważa.

– Jest jeszcze jedna kwestia – kontynuował Witczak. – Uznaliśmy, że nasz morderca musiał być dobrze zbudowany, jednak Krzysztofiak widział mężczyznę raczej szczupłego, średniego wzrostu. To się nie zgadza.

– Może to któryś z robotników – zasugerował Zalewski. – Niektórzy z nich to kurduple, ale parę w rękach mają taką, że tylko pozazdrościć.

– Sądzi pan, że Krzysztofiak nie rozpoznał swojego kolegi?

– Albo rozpoznał, ale z jakiegoś powodu nie chciał nam o tym powiedzieć. – Zalewski napił się kawy. – Trudno powiedzieć.

– Mamy też wyniki sekcji. – Witczak streścił to, co wcześniej powiedziała mu Hanka. – Najciekawsza wydaje mi się sprawa pierścionków. – Magnesami przypiął do tablicy dwa powiększone zdjęcia kobiecych dłoni. Jedno zostało zrobione pod takim kątem, że ozdoba na palcu była lekko rozmazana, ale i tak dało się dostrzec, że pierścionki wyglądają identycznie: oba srebrne, z niebieskimi oczkami. – Możliwe, że to nie jest przypadek, ofiary nie ubierały się podobnie, trudno więc podejrzewać, żeby miały ten sam gust w kwestii biżuterii. Musimy się dowiedzieć, skąd są te pierścionki: czy to masowa produkcja, czy może wyrób jakiegoś lokalnego jubilera. Hanka, coś ci przychodzi do głowy? Widziałaś gdzieś

coś -takiego?

– Nie, przykro mi. – Nie dodała, że ona w ogóle nie nosi ozdób. Miała tylko kolczyki, które dostała od ciotki na pierwszą komunię i czasem zakładała na szczególnie ważne okazje, oraz odziedziczoną po babci mewę z bursztynu na rzemyku.

– Poza tym cały czas zostaje problem, gdzie nasza dziewczyna nocowała. Z drugiego zeznania wynika, że wyszła dziś rano z plebanii, ale raczej nie spała tam przez cały czas, bo ktoś musiałby ją wcześniej zauważyć, zwłaszcza że u księdza pracuje przecież gospodyni. Moim zdaniem panna miała gdzieś bezpieczną metę, a do księdza wpadła tylko na jedną noc i zamierzała wymknąć się rano, zanim ktoś się połapie. Wcześniej wcale się nie ukrywała, co najmniej kilkanaście osób widziało ją od wtorku we wsi: w kawiarni, w sklepie czy po prostu kręcącą się po centrum. Z nikim dłużej nie rozmawiała, a przynajmniej my nikogo takiego nie znaleźliśmy. Nikomu nie przedstawiła się z imienia i nazwiska i nie powiedziała, po co tu przyjechała. Zakładamy jednak, że miała w Rokitnicy znajomych, u kogoś spała, gdzieś zostały jej rzeczy, bo przecież skoro przyjechała na kilka dni, musiała wziąć ze sobą ubranie na zmianę, piżamę czy szczoneczkę do zębów. Na plebanii ich nie ma, sprawdziliśmy.

– A co z tym starym, jak mu tam, Chochołek? – zapytał Zalewski.

– Na razie nie wiadomo, czekamy na wyniki sekcji. Bardzo możliwe, że to była naturalna śmierć, zupełnie niezwiązana z morderstwami. Ale jest jedna ciekawostka: otóż Chochołkiem interesował się proboszcz. To właśnie on przyszedł do Chojniaków i powiedział, że starego nie ma w domu. I nie chciał się przyznać, po co właściwie staruszka szuka.

– Czyli ksiądz jest teraz naszym podejrzanym numer jeden, tak?

Witczak skinął głową, a Hanka nagle coś zrozumiała.

– To dlatego nie czekaliśmy na Mazura i Waškowiaka? Bo posłał ich pan, żeby zatrzymali proboszcza?

– Posłałem Mazura, bo uznałem, że sobie na to zasłużył. Waškowiak sam chciał iść. Nie wiemy, kiedy ksiądz wróci, ale obaj na wszelki wypadek czekają na plebanii. A jeśli klecha zniknął na dobre, jutro będziemy się tym martwić. Jutro też pokażemy Krzysztofowi hippisów. Zastanawiałem się, jak to zrobić, jeśli spróbujemy spędzić ich w jedno miejsce, to będzie awantura. Dlatego Hanka wpadła na pomysł, żeby pokazać Krzysztofowi zdjęcia, mamy trochę fotek z demonstracji i parę z ostatniego aresztowania. Może facet kogoś rozpozna.

– Niezły pomysł. – Zalewski ziewnął, nawet się z tym nie kryjąc. – To wszystko?

– Tak, to wszystko. Jasiek, ty zostań na chwilę.

Wychodząc, Hanka rzuciła kapralowi jeszcze jedno współczujące spojrzenie, jednak chłopak i tym razem nie zareagował. Mimo to postanowiła na niego

zaczekać. Usiadła na schodach przed domem wczasowym. Od strony tarasu dobiegały jeszcze głosy hippisów, ale poza tym panowała cisza. Uświadomiła sobie, że nie słyszy dzieci, które o tej porze powinny być zapędzane do łóżek. Wyjechały? Jeśli tak, dobrze się złożyło. Rokitnica w tej chwili nie była dobrym miejscem na wakacje.

Hanka też ziewnęła. Dochodziła dziesiąta wieczorem, pora niezbyt późna, ale jednak męcząca dla kogoś, kto wstał o szóstej i właściwie przez cały dzień był na nogach. Dziewczyna miała wrażenie, jakby od wczorajszego wieczoru minęły lata. Jeszcze dwadzieścia cztery godziny temu sądzili, że mają do czynienia tylko z jednym morderstwem, a Hanka, myśląc o zabójcy, wyobrażała sobie kogoś z zewnątrz. Kogoś, kto przyjechał tu za Martą Jaczyk, zabił ją, a potem wyjechał. Nie dopuszczała do siebie myśli, że to mógłby być ktoś z Rokitnicy, nie na serio. Teraz musiała się z tą hipotezą zmierzyć: mówiła mu „dzień dobry”, kupowała od niego mleko w sklepie albo gazetę w kiosku. Podawała mu rękę, знаła imiona jego żony i dzieci. Rozmawiała z nim, wymieniała plotki i banalne uwagi o pogodzie.

Człowiek, który miał w sobie wystarczająco dużo uroku, żeby zwabić w ustronne miejsca dwie dziewczyny. Silny na tyle, by powiesić na drzewie martwe ciało. Na przykład ktoś taki jak Franciszek Chojniak.

Starsza szeregowa wzdrygnęła się lekko. Lubiła Franka i zdecydowanie wolałaby, żeby to był któryś z hippisów. Zalewski zdawał się wierzyć w ich winę. Ona nie miała pewności – robotnik miał za dużo powodów, żeby w tym przypadku kłamać. Albo przynajmniej trochę koloryzować.

Drzwi za Hanką otworzyły się i dziewczyna podskoczyła nerwowo. Ale oczywiście to był tylko Jasiek, nie skradający się morderca. Idiotka, pomyślała, wstając. Chłopak miał zmęczone spojrzenie i wyraz twarzy jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. Niż ostatnio, poprawiła się w myślach. Zanim zaczęła się cała ta paskudna sprawa, Janek potrafił się śmiać, naprawdę śmiać, a nie rzucać wysilone, mało zabawne żarty.

– Dostałeś opieprz od Witczaka? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Przepraszam, że cię wsypałam. Witczak zapytał, czemu to ja odebrałam telefon od Ziętki, a potem rozmawiałam z Kurkową, i jakoś nie potrafiłam nic sensownego wymyślić, więc powiedziałam mu, że ciebie nie było. Przepraszam. Do dupy ze mnie koleżanka, co?

Synowiec wyminął ją i poszedł dalej, zgarbiony, z rękami w kieszeniach. Zawahała się, ale podążyła za nim. W końcu i tak szli w tę samą stronę.

– N...nie z...zrobiłem n...nic złego – powiedział wreszcie, jękając się bardziej niż zwykle. – M...musiałem wyjść t...tylko na chwilę, m...moja k...kuzynka Róża p...prosiła...

– Nie musisz się przede mną tłumaczyć, naprawdę.

– I nie j...ja zabrałem tę t...teczkę...

– Jasne, wierzę ci. – Teczka z aktami sprawy Marty Jaczyk znalazła się w Stokrotce, co gorsza, w niezamkniętej sali. Każdy mógł ją tam przynieść. Po morderstwie było mnóstwo zamieszania, biegania z posterunku do domu wczasowego i z powrotem. Ktoś teczkę wziął, a potem o niej zapomniał i teraz bał się przyznać. Hanka na miejscu anonimowego ktosia też wolałaby siedzieć cicho.

Światło domu wczasowego zostało za ich plecami, przed nimi rozciągała się teraz ciemność parku. Kaprał wyjął z kieszeni latarkę i zapalił ją. Jasny krąg blasku wyłowił z mroku splątane krzewy jałowca. Coś szurnęło na drodze i umknęło Hance spod nóg – tym razem udało jej się opanować i tylko drgnęła lekko. Była przyzwyczajona do wiejskich nocy, nieraz przecież chodziła po polach, kierując się tylko światłem księżyca. Ale to było dawno, zanim na drzewie znaleziono martwą dziewczynę z krwią spływającą z przeciętego gardła. Zanim starsza szeregowka uświadomiła sobie, jakie potwory czają się w ciemności.

Myślała już, że chłopak będzie milczał przez całą drogę, ale na skrzyżowaniu obok kapliczki, skąd odchodziła ścieżka do domu Hanka, Synowiec nagle się odwrócił.

– M...musisz k...koniecznie być tak cholernie d...doskonała? J...jakbyś nigdy nie popełniała b...błędów. Jesteś p...pewna, że masz czyste s...sumienie?

– Popełniam mnóstwo błędów, na przykład...

– Z...zamknij się i d...daj mi wreszcie spokój. – Odwrócił się i odszedł, a Hanka została sama w mroku, z sercem tłukącym się w piersi jak uwięziony za szybą ptak. Po raz pierwszy pomyślała, że Synowiec jej nienawidzi. Bo była dziewczyną, ale radziła sobie lepiej niż on, bo Witczak bardziej ją cenił i kiedy cała ta paskudna sprawa się skończy, ona będzie miała większe szanse na awans.

Nie zwyczajnie nie lubi, co jeszcze byłoby zrozumiałe, ale właśnie nienawidzi.

* * *

Kapitan Witczak próbował jeszcze czytać, ale był zbyt zmęczony, odłożył więc książkę i wyjął z szuflady niewielki przedmiot. Przyglądał mu się przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami, a potem postawił na szafce obok książki. Zgasił światło.

Kiedy zasypiał, poczerniała od ognia laleczka wielkości dłoni patrzyła na niego w ciemności.

* * *

Proboszcz wysiadł z samochodu, trzaśnięcie zamykanych drzwiczek rozległo się głośno w mroku. W wikarówce paliło się jeszcze światło, ale okna plebanii były ciemne – nic dziwnego, bo kto miałby czekać na niego o tej porze? Mimo to

bardziej wyczuł, niż usłyszał, czyjaś obecność w ogrodzie.

Pawliczkowa? Martwiła się o niego i dlatego została?

Wiedział, że to nieprawda, ale przez chwilę grzał się przyjemnie tą myślą. Niewiele więcej mu zostało.

Szedł ostrożnie, starając się nie potknąć o gałąź wciąż leżącą w trawie i żałując, że nie zabrał latarki. Róże pachniały intensywniej niż za dnia, a z jabłoni spoglądały płonące złotem oczy jakiegoś nocnego ptaka. Chwilę później rozległ się łopot skrzydeł i nad księdzem Jerzym bezszelestnie przepłynął ciemniejszy niż mrok cień. Przed nim coś się poruszyło, widział już połyskujący w czerni ogienek papierosa.

– Kto to? – zapytał, chociaż właściwie znał odpowiedź.

Wysoka, chuda postać wstała ze schodków, za nią podniosła się druga, nieco niższa. Tej Marczewski nie znał, ale pierwszą rozpoznał bez trudu. Stefan Waškowiak, komendant miejscowego posterunku, ten, który zawsze nazywał go „obywatelem” i witał się świeckim „dzień dobry” zamiast zwyczajowego „niech będzie pochwalony”. Ksiądz Jerzy wołałby, żeby to był ktoś inny, na przykład kapitan Witczak, ta dziewczyna z Żywca albo nawet kapral Synowiec ze swoimi dziwacznymi żartami.

Milicjant rzucił papierosa na ziemię. Pstryknął włącznik mocnej latarki i strumień światła na moment oślepił proboszcza.

– Obywatelu Jerzy Marczewski, jest pan zatrzymany do wyjaśnienia – powiedział Waškowiak zaskakująco łagodnym głosem. – Mam nadzieję, że obywatel nie ma zamiaru stawiać oporu ani uciekać?

– Nie mam. – Ksiądz Jerzy zatrzymał się z ulgą. Wszystko okazało się łatwiejsze, niż sądził. – Spodziewałem się was.

Część VI: Niespokojna dziewczyna

sobota, 19 lipca

– Imię i nazwisko?

– Franciszek Chojniak. Przesłuchiwaliście mnie już przecież. Nie mam nic więcej do dodania.

– A my mamy dowody, zgodnie z którymi zmarła Marta Jaczyk przebywała na przelomie maja i czerwca w pobliżu pana domu.

– Jakie dowody? – Dwadzieścia cztery godziny spędzone w areszcie bynajmniej nie sprawiły, że Chojniak spokorniał. Mężczyzna był wyraźnie zmęczony, miał tłuste włosy i cienie pod intensywnie zielonymi oczami, ale patrzył na Witczaka tak samo arogancko jak podczas poprzedniego przesłuchania.

– Zdjęcie.

– Zdjęcie przedstawiające tę całą Martę w moim domu?

Hanka, która siedziała w kącie przy maszynie do pisania, chrząknęła.

– Przedstawiające twoją krowę.

Franciszek parsknął śmiechem, a dziewczyna spojrzała na niego urażona.

– Zrobione przez ofiarę.

– To ma być ten dowód? Że jakaś panna z miasta sfotografowała krowę? Zresztą jesteście pewni, że to moja Mućka? Większość krów wygląda podobnie.

– Jesteśmy pewni. – Tym razem odezwał się Witczak. – A zdjęcie świadczy o tym, że Marta Jaczyk była niedaleko pana domu pod koniec maja albo na początku czerwca i miesiąc później w tym samym miejscu zginęła. Nie uważa pan, że to trochę dziwny zbieg okoliczności? Zwłaszcza że tamtędy nie przebiega żaden ważny szlak turystyczny, poza miejscowymi mało kto wie o tej ścieżce. A pan się upiera, że dziewczyna tak po prostu... przechodziła obok?

Chojniak wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, co robiła. W życiu jej na oczy nie widziałem. Może spodobała jej się okolica, to sobie spacerowała. Wolno jej było, nie?

– Może zauważył ją pan, jak przechodziła ścieżką, i zagadał do niej?

– Mam lepsze rzeczy do roboty niż podrywanie obcych dziewczyn. I nie siedzę cały czas w ogrodzie, obserwując ścieżkę.

– Ale pana żona siedzi, prawda? I lubi rozmawiać z ludźmi, nawet nieznanymi.

Coś drgnęło w twarzy Chojniaka. Lęk? Niepokój? W każdym razie mężczyzna nie sprawiał już wrażenia tak pewnego siebie.

– O to powinniście pytać moją żonę.

– Zapytamy, może pan być pewien – skłamał Witczak. Tak naprawdę już ją pytali, ale kobieta milczała uparcie. Pod pewnymi względami Ewa Chojniak wydawała się tward-szym orzechem do zgryzienia niż jej mąż.

– Kiedy to było? – zapytał Franciszek.

– Co kiedy było? Zdjęcie? Mówiłem panu, koniec maja albo początek czerwca.

– Pytam o dokładną datę. Bo od szóstego do ósmego czerwca mam alibi. Pojechałem wtedy do rodziny pod Rzeszowem. Ewa została z Jaśką Kurkową.

– W porządku, sprawdzimy to.

* * *

– Imię i nazwisko?

– Adam Krupa.

– Zawód?

– Jestem studentem. To znaczy teraz przerwałem, ale zamierzam od października znowu zacząć. Wie pan, to...

– Miejsce zameldowania?

Krupa podał warszawski adres, po czym zamilkł, splatając i rozplatając dłonie. Kiedy po niego przyszli, próbował jeszcze udawać kozaka, ale teraz, pozbawiony towarzystwa kolegów, wyraźnie spuścił z tonu. Nie wygląda na mordercę, pomyślała Hanka, choć z drugiej strony, czy mordercy naprawdę wyglądali na morderców? Krupa miał dwadzieścia sześć lat, był średniego wzrostu, szczupły. Włosy jak na hippisa nosił krótkie, bo sięgające tylko uszu, za to na głowie zawiązał sobie barwną chustkę, której rogi zabawnie sterczały mu nad czołem. Mimo tej chustki wyglądał... nijako. Po prostu młody człowiek z długim nosem i twarzą z gatunku tych, które trudno zapamiętać. Zwyczajny. Tylko dłonie miał charakterystyczne, nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała i niezgrabne. Takimi dłońmi łatwo byłoby kogoś udusić, pomyślała Hanka. Tylko że druga ofiara nie zginęła uduszona – zabójca poderznął jej gardło, a potem powiesił na drzewie. Adam Krupa nie wydawał się na tyle silny, żeby móc to zrobić.

– To z powodu tej demonstracji, tak? – zapytał. Wysunął przy tym agresywnie podbródek, ale wcale nie wyglądał dzięki temu bardziej męsko. – Dlatego mnie aresztowaliście? Nie możecie, nie wolno wam! To pokojowe protesty i mamy do nich prawo!

– My będziemy decydować, co nam wolno, a czego nie. – Witczak bawił się długopisem. Przetrzywał chłopaka jeszcze przez chwilę, patrząc, jak tamten się poci, a potem rzucił od niechcienia: – Poza tym jest pan podejrzany o morderstwo.

– O co? – Chłopak wybałuszył oczy. Albo był doskonałym aktorem, albo słowa kapitana rzeczywiście go zaskoczyły. – Nie rozumiem...

– Czego pan nie rozumie? Morderstwo, w lesie, nad jeziorem. Wszyscy o tym słyszeli. A my mamy świadka, który widział, jak nad ranem rozmawiał pan z ofiarą.

– Ja nie... O Boże... – Chłopak zbladł tak gwałtownie, jakby miał zaraz zemdleć. Hanka podała mu szklanę wody. Podziękował, a kiedy pił, zęby dzwoniły mu o szkło.

– Może przydałaby się mała przerwa? – zasugerowała starsza szeregową, ale Witczak pokręcił głową.

– Nic mu nie będzie. I jak? – Spojrzał na Krupę. – Lepiej?

Chłopak przytaknął. Wciąż był blady, a ręce mu drżały, ale przynajmniej nie sprawiał już wrażenia kogoś, kto lada moment się przewróci.

– Zaczniemy może od początku. Gdzie pan był wczoraj rano koło szóstej?

* * *

– Imię i nazwisko?

– Jerzy Marczewski.

– Zawód?

– Jestem kapłanem Kościoła rzymskokatolickiego.

W przeciwieństwie do dwóch pozostałych podejrzanych proboszcz nie był ani arogancki, ani wystraszony. Odpowiadał na pytania spokojnie i dokładnie, czekając, aż Hanka wszystko zanotuje, choć jego dane przecież też już mieli. Jakby nie przejmował się tym, że spędził noc w areszcie, jakby nie obchodziło go, za co właściwie został zatrzymany. Nawet nie zapytał. Może wie, pomyślała Hanka. W pierwszej chwili uznała, że ksiądz Jerzy sprawia wrażenie pewnego siebie, ale to nie było to. Wyglądał na pogodzonego z losem, właśnie tak. Jakby wyjechał gdzieś daleko, pozostawiając na krześle przy biurku tylko swoje obojętne ciało. Rozmawiał z nimi, ale tak naprawdę wcale go tu nie było.

– Słyszał ksiądz o tym, że w Rokitnicy doszło do kolejnego morderstwa?

Zawahał się.

– Tak.

– Od kogo?

– Nie pamiętam.

– Naprawdę? Taka ważna informacja, a ksiądz nie pamięta, od kogo o tym usłyszał? Zresztą rozmawialiśmy z księdza gospodynią: podobno wyjechał ksiądz wcześniej rano, zanim plotki się rozeszły. Pani Pawliczek sama wtedy jeszcze nie miała pojęcia, że ktoś znowu zginął.

– W takim razie widocznie dowiedziałem się od kogoś innego później. Jaka to różnica?

– Przecież ksiądz nie było w Rokitnicy przez cały dzień, prawda?

Wzruszył ramionami, nie kłopotząc się nawet, żeby wymyślić jakieś

kłamstwo. Witczak czekał. Zazwyczaj podejrzani nie mogli znieść ciszy i sami zaczęli mówić, ale na proboszcza ta metoda nie działała. Ksiądz siedział spokojnie, z rękoma na biurku. Ręce Chojniaka były spracowane, z brudem za paznokciami, a Krupa miał duże, niezgrabne dłonie nastolatka. Ręce Marczewskiego były wąskie i białe. Dłonie kogoś, kto nigdy nie musiał pracować fizycznie. Hanka nie miała pojęcia, co z tego wynika i czy w ogóle coś.

Ksiądz Jerzy też czekał i wyglądało na to, że może tak siedzieć aż do dnia Sądu Ostatecznego.

– W porządku. – Witczak poddał się pierwszy. – Mamy świadka, który twierdzi, że widział nad ranem dziewczynę wychodzącą z plebanii, rysopis zgadza się z ofiarą morderstwa.

Tym razem ksiądz drgnął lekko, ale nie wyglądał na bardzo zaskoczonego.

– Jeśli ma pan na myśli Dorotę, to owszem, nocowała u mnie. Nie miała dokąd pójść, więc zabrałem ją do siebie. Padało, a ona sprawiała wrażenie dość... niespokojnej, więc uznałem, że nie ma sensu szukać dla niej innego noclegu. Spała w pokoju gościnnym na parterze, jeśli to pana interesuje.

– Dorota jaka?

– Nie wiem, nie przedstawiła mi się z nazwiska. Wspomniała tylko, że pochodzi z Katowic.

– Coś jeszcze o sobie mówiła?

Pokręcił głową.

– Nie była przesadnie rozmowna.

– I rano tak po prostu sobie poszła?

– Tak, rano tak po prostu sobie poszła. Wyszedłem nawet, żeby jej poszukać, bo trochę się martwiłem, ale dziewczyna zniknęła, więc dałem sobie spokój.

Witczak sięgnął po leżącą na biurku paczkę papierosów i zapalił.

– A czemu powiedział ksiądz, że się tego zatrzymania spodziewał?

Marczewski uśmiechnął się bez śladu prawdziwej wesołości.

– Może dlatego, że przy poprzedniej sprawie też braliście mnie pod uwagę? Ostatecznie to ja znalazłem zwłoki, a teraz następna ofiara spała pod moim dachem. Wiem, jak to dla was musi wyglądać, na waszym miejscu też bym siebie aresztował.

* * *

Obiad zjedli w restauracji niedaleko żywieckiej komendy, w trójkę, bo Waškowiak pełnił dyżur na posterunku w Rokitnicy, a Mazur i Zalewski wrócili do innych obowiązków. Hanka pogodziła się już z tym, że towarzyszenie kapitanowi w posiłkach nadwyręza jej kieszeń, Synowiec trochę marudził – w domu u rodziców mógłby zjeść za darmo – ale ostatecznie też został.

– Wierzycie mu? – zapytał Witczak, odsuwając talerz z niedojedzonym

kotletem mielonym, po czym natychmiast się poprawił: – Któremukolwiek z nich?

Tym razem jako pierwszy odezwał się kapral Synowiec.

– Nie w...wydaje mi się, żeby to b...był ksiądz.

– Czemu nie?

– No wiecie, t...to ksiądz przecież. B...byłem kiedyś ministrantem – spojrział na Witczaka niemal wyzywająco – i oni... oni...

– Są w porządku? – dokończyła Hanka. Chłopak skinął głową, a dziewczyna powstrzymała się od dodania, że ona należała do Dzieci Maryi, ale z tego powodu wcale nie uważa, że mordercą nie może być duchowny.

– T...to p...pewnie ten hippis – upierał się kapral. – W k...końcu świadek go rozpoznał...

Chciałbyś, żeby to był on, pomyślała Hanka. Wszyscy byśmy chcieli, bo tak byłoby najwygodniej. Ktoś z zewnątrz, kogo nie znamy. Tylko że rzeczywistość nie zawsze jest taka uprzejma, żeby dostosowywać się do naszych życzeń.

– Hanka? Jeśli miałabyś wybierać, który z nich jest mordercą, na kogo byś postawiła?

Zacisnęła palce na szklance z wodą mineralną.

– Nie jestem pewna – przyznała. – Chojniak najbardziej pasuje pod względem fizycznym, on chyba jako jedyny nie miałby problemów, żeby powiesić ciało na drzewie. Ale Krzysztofiak rozpoznał Krupę, nie Chojniaka, a ci dwaj nie są do siebie podobni. Chojniak jest wysoki i przystojny, gdyby robotnik go widział, to nie pomyliłby go z kimś takim jak ten student. To samo dotyczy księdza: on jest trochę niższy, ale też ma charakterystyczną urodę. Jeśli więc przyjmujemy, że Krzysztofiak mówi prawdę, to mógł widzieć w lesie kogoś podobnego do Krupy, ale nie Chojniaka czy Marczewskiego.

– W takim razie proboszcz jest niewinny?

– Nie wiem, naprawdę... To, co mówi, nawet trzyma się kupy, ale on jest taki spokojny... Prawie zbyt spokojny, nie uważacie? Jakby coś się za tym kryło. Ktoś niewinnie podejrzany o morderstwo powinien chyba być bardziej zdenerwowany.

– Ludzie są różni. – Witczak wzruszył ramionami. – A co z alibi Chojniaka? Damy radę ustalić, kiedy dokładnie Marta sfotografowała tę krowę?

– Raczej tak, jej zdjęcia były ułożone po kolei, a my mamy spis, kiedy nocowała w którym schronisku. No, mniej więcej, ale chyba wystarczy.

– W porządku, usiądźcie dziś nad tym i dajcie znać, co wam wyszło. Jeśli facet rzeczywiście ma alibi, to przynajmniej jednego podejrzanego wyeliminujemy, bo trzech to jak na mój gust zdecydowanie za dużo.

* * *

Ksiądz Jerzy odmówił brewiarz, a potem różaniec. Zazwyczaj modlitwa

przynosiła mu ukojenie, ale nie dzisiaj. Za maleńkim zakratowanym oknem powoli zapadał zmrok, z sąsiedniej celi ksiądz słyszał głosy Franciszka Chojniaka i drugiego mężczyzny, którego nie znał. Rozmawiali cicho, czasem nawet jakimś cudem udawało im się zaśmiać – choć był to mocno nerwowy śmiech. Marczewski zazdrościł im. Towarzystwa, możliwości pogadania z kimś, nawet tego nerwowego śmiechu. Zwłaszcza śmiechu. Jego umieszczono w pojedynczej celi. Z powodu szacunku? Możliwe – milicjanci, choć oficjalnie udawali mniej lub bardziej niewierzących, ukradkiem chodzili do kościoła i nawet chrzcili dzieci. A jeśli nie, to i tak mieli wyniesiony z domu respekt dla osób duchownych. A może Marczewskiego uznano za wyjątkowo niebezpiecznego? Bawił się przez chwilę tą myślą, ale jedyne, na co go było stać, to smutny uśmiech. Tak czy inaczej, nie miał na co narzekać, pozwolono mu przecież zabrać do aresztu brewiarz i różaniec, którego paciorki przesuwiał teraz między palcami. Były śliskie i nagrzane od ciepła jego ciała. Różaniec dostał od matki w prezencie z okazji bierzmowania. Ćwierć wieku temu – jak ten czas leci... Spróbował przywołać w pamięci twarz ojca, który zmarł, gdy Jerzy miał dwa lata, i nie potrafił. Siostra Jerzego, Teresa, tęskniła za tatą, ale on nie, bo czy można tęsknić za czymś, czego nigdy się nie znało? Miał przecież matkę i to mu wystarczało. Miał też dobre życie, bez żadnych tragedii i wstrząsów, z wyjątkiem ojca nigdy nikogo bliskiego nie stracił, sam nie chorował, w szkole radził sobie dobrze, był lubiany przez kolegów. Jasna, prosta droga prowadząca do wyboru jedyne go możliwego dla niego zawodu.

Głosy za ścianą ucichły, a ksiądz Jerzy wrócił do modlitwy.

* * *

– Siódmego czerwca – powiedziała Hanka, zgarniając rozłożone na stole zdjęcia. – Wychodzi na to, że Marta była w pobliżu gospodarstwa Chojniaków w piątek siódmego czerwca.

Kapral zgodził się z nią krótkim skinieniem głowy. Dziewczyna zapisała na wszelki wypadek datę – choć była pewna, że jej nie zapomni – i wsunęła notesik do kieszeni.

– Pójdę już. Chyba że chcesz, żebym została? Moglibyśmy pogadać albo zagrać w karty... – Nocne dyżury najczęściej były nudne, Hanka świetnie o tym wiedziała.

– Nie, dzięki. Chyba się trochę p...prześpię. Waškowiak jak zostawał na d...dyżurach, to zawsze spał. „Jak k...ktoś zadzwoni, t...to się obudzę”, t...tak mówił.

– Jasne. Otwórz sobie okno, bo nie zaśniesz w tym zaduchu. To chyba mysz, musiała zdechnąć gdzieś za szafką. Jak to wszystko się skończy, odsuniemy meble i jej poszukamy. – Hanka zawahała się. – Myślisz, że w poniedziałek któryś z nich się przyzna?

To był pomysł Witczaka – przetrzymać podejrzanych przez weekend, żeby skruszeli, a w poniedziałek przesłuchać ponownie.

– M...musi, nie?

– A jeśli to żaden z nich? – Pytanie dręczyło ją już od jakiegoś czasu, ale dopiero teraz odważyła się sformułować je na głos. Kapral skrzywił się w odpowiedzi i dziewczyna pośpiesznie porzuciła niebezpieczny temat.

– W poniedziałek pewnie odezwą się z Katowic. Jeśli ktoś zgłosił zaginięcie tej dziewczyny, to będziemy znać jej tożsamość.

– A jak nie zgłosił?

O tym Hanka też wolała nie myśleć. Od śmierci nieznanym nie minęło czterdzieści osiem godzin i w normalnych warunkach nikt nie zgłaszałby jeszcze zaginięcia dorosłej kobiety. Jednak według słów księdza dziewczyna była niezrównoważona psychicznie, może nawet chora, i na to właśnie liczyli, bo takich osób poszukiwano zdecydowanie szybciej.

– Wtedy będziemy się tym martwić – powiedziała energicznie, starając się zdusić strach. – Do jutra.

– Do jutra.

Kiedy wychodziła, Synowiec rozkładał łóżko polowe w ciasnej przestrzeni między biurkiem a ścianą. Patrzył na nie przy tym tak niepewnie, jakby zastanawiał się, do czego właściwie ten mebel służy. I czy w ogóle da się na nim zasnąć.

Będzie dobrze, powtarzała Hanka uparcie, idąc w kierunku kościoła. Noc była chłodna, na ramionach dziewczyny pojawiła się gęsia skórka. W domach, które mijala, paliły się jeszcze światła, ale dalej rozciągała się pachnąca koniczyną ciemność. Hanka mogłaby pójść skrótem przez las, dzięki czemu zaoszczędziłaby jakieś dziesięć minut. Zdecydowała jednak, że nadłoży drogi i pójdzie ścieżką koło domu wczasowego. Po prostu na wszelki wypadek.

niedziela, 20 lipca

Niedziela była leniwym dniem. Trzej podejrzani siedzieli w areszcie, Witczak czekał na telefon z Katowic, a Hanka i Synowiec obchodzili ze zdjęciem nieznanym dziewczyny ostatnie domy. Zostało ich jeszcze kilka, głównie położonych na obrzeżach wsi. On poszedł w stronę Łączek, ona na Kamionkę, bez szczególnego przekonania, bo nie wierzyła, by zmarła nocowała tak daleko. Jeśli codziennie widywano ją w centrum Rokitnicy, to musiała spać gdzieś bliżej, a to oznaczało, że ktoś z tych, których przepytawali wcześniej, kłamał. Zwyczajnie ze strachu przed milicją albo z poważniejszych powodów – na przykład takich, że w piątek rano dziewczynę zamordował.

– Nye, nye widziołak jij. – Kolejna osoba pokręciła nad zdjęciem głową. – Tu jij nye było. To ta, co umarła?

Nawet na Kamionkę dotarły już wieści.

Hanka mruknęła coś, co od biedy można by uznać za potwierdzenie, i pożegnała się. Gdy otwierała furtkę, goniło ją szczekanie uwiązane do budy psa, który miotał się w napadach wściekłości, podzwaniając długim łańcuchem. Ostatni dom, ostatnia szansa na dowiedzenie się czegoś o nieznanym dziewczynie. Chyba że Synowcowi udało się zdobyć jakieś informacje.

Starsza szeregową schodziła ścieżką w dół zbocza. O tej porze, w pogodny lipcowy popołudnie las nie wydawał się już groźny, tylko piękny i przyjazny. Plamy przesianego przez korony drzew słońca tańczyły na brązowym dywanie opadłych igieł, wiewiórki śmigły po gałęziach, machając rudymi kitami, a w krzewach malin czerwieniły się wyrosłe w cieniu owoce, kwaśne i tak drobne, że rozpadały się w palcach, zanim człowiek zdążył je zerwać.

Schyliła się po borowika, który wyrósł po ostatnim deszczu pod korzeniem sosny. Grzyb był wilgotny, ze śladami ślimaczego śluzu na kapeluszu, i pachniał czymś pierwotnym, co Hance kojarzyło się z ziemią. Pamiętała ten zapach z dzieciństwa, z czasów, kiedy przyjeżdżała latem do ciotki. Bawiła się wtedy z miejscowymi dzieciakami, choć nigdy tak do końca nie była „swoja”.

Odłożyła borowika na ściółkę.

Myśl o wakacjach sprawiła, że Hanka pod wpływem nagłego impulsu skręciła w ścieżkę prowadzącą do gospodarstwa Chojniaków. Przeszła przez łąkę, minęła krzyż i wspięła się na nasyp kolejowy. Położone na torach kwiaty zaczynały więdnąć, obok stało kilka zniczy wypełnionych po brzegi brudną deszczową wodą. Na drewnianych podkładach prawie nie było widać krwi. Jeszcze jedna burza, pomyślała Hanka, i zniknie ostatni ślad, ludzie też prędzej czy później zapomną. Już zapominali – gdy była tu ostatnim razem, by zabrać wiszący na krzyżu wieniec, kwiatów było zdecydowanie więcej.

Zeszła z nasypu, minęła słynną już na posterunku łaciatą krowę, która nie zaszczyciła jej nawet spojrzeniem, i pchnęła furtkę. Ewa siedziała przed domem, tak jak Hanka się spodziewała. Było coś niewymownie smutnego w tym, że jasnowłosą dziewczynę zawsze można było zastać w tym samym miejscu.

– Cześć..

– Cześć. – Ewa uniosła głowę znad czytanej właśnie książki. Hanka odruchowo zerknęła na tytuł: *Baśnie*, autor: Hans Christian Andersen. – Siadaj, a jak chcesz coś do picia, to możesz sobie wziąć z kuchni. Jaśka Kurkowa jest przy kurach.

– Wpadłam tylko na chwilę – usprawiedliwiła się starsza szeregową. – Powiedzieć ci, że Franek ma alibi i jutro pewnie wróci do domu.

Ewa nie zapytała, dlaczego nie dzisiaj, skinęła tylko krótko głową. W jej oczach coś błysnęło, jak odbity słoneczny refleks.

– Nie podejrzewacie już jego, ale ze mną wciąż chcecie rozmawiać?

– Ta dziewczyna, Marta Jaczyk, przechodziła tędy siódmego czerwca. Franek wtedy wyjechał do Rzeszowa, ale ty byłeś w domu. Mogłaś ją spotkać.

– I sądzisz, że zapomniałam wspomnieć o tym milicji? – Ewa opuszką palca głaskała nadpaloną okładkę książki, powolnym, niemal hipnotyzującym ruchem.

– Nie wiem, czy zapomniałaś, czy raczej po prostu nie chciałaś. Podobno mówiłaś księdzu, że masz mu coś ważnego do powiedzenia, to pamiętasz?

Skinęła głową, krótko, wciąż uważna i czujna, jakby rozważała, jaką strategię obrać. Hanka i Ewa nigdy tak naprawdę się nie przyjaźniły, dzieliła je przepaść całych czterech lat i kiedy Hanka wciąż łąziła po drzewach, przysłała żona Franciszka Chojniaka rozglądała się już za chłopakami. Starsza szeregową pamiętała ją z tamtych czasów bardziej jak zjawisko niż żywego człowieka. Piękna jasno-włosa dziewczyna, dowcipna, inteligentna, z wielkimi planami na życie – chciała wyjechać do Warszawy, zostać aktorką. Teraz Hanka próbowała przyłożyć tamtą postać do siedzącej przed nią kobiety i nie potrafiła. Ewa była dla niej obcą osobą. Możliwe zresztą, że szesnastolatka, którą Hanka pamiętała, nigdy tak naprawdę nie istniała, może była tylko wytworem wyobraźni brzydkiej dziewczynki z podrapanymi kolanami.

– Jeśli to prawda, równie dobrze możesz powiedzieć to coś ważnego mnie.

Ewa pokręciła głową tym samym powolnym, sennym ruchem, jakim głaskała książkę, a który dziwnie kontrastował z czujnością w jej oczach.

– Obiecałam, że powiem księdzu Jerzemu, nie tobie.

– Ewa, Jezu. – Hanka zaczynała się irytować. – To nie jest zabawa...

– Tak myślisz? Że to dla mnie zabawa?

– Myślę, że lubisz odgrywać kogoś ważnego. No wiesz, kogoś, kto zna tajemnicę i zdradzi ją, jeśli się go odpowiednio długo będzie prosić. A ty chcesz, żeby ludzie tu przychodzili i cię prosili, bo dzięki temu jesteś w centrum uwagi. Nie mam ci tego za złe, wiem, że musisz się tu nudzić, ale cholera, to jest niebezpieczna zabawa. Jeśli naprawdę wiesz coś, co może nam pomóc w schwytaniu mordercy...

Hanka umilkła gwałtownie. Popełniła błąd, wiedziała o tym już w chwili, kiedy zaczynała mówić.

– Przepraszam – wymamrotała. – Nie powinnam...

– Powinnaś już iść – powiedziała Ewa łagodnym głosem, a potem dodała, znowu z błyskiem w oczach, który równie dobrze mógł być złośliwością, jak i odbitym refleksem słońca. – Przyślij tu Janka Synowca, może z nim porozmawiam. Jeśli będzie mnie odpowiednio długo prosić, oczywiście.

poniedziałek, 21 lipca

Witczak obudził się z bólem głowy. Znow miał paskudny sen, jeden z tych,

które ledwo pamiętał. Marta stała na tle nadciągającej od wschodu ciemnej chmury i coś mówiła, ale on nie słyszał jej słów. Zresztą dziewczyna nie mogła mówić wyraźnie – miała przecież poderżnięte gardło, krew spływała po pniu drzewa i zbierała się w zakrzepniętych soplach na gałęziach.

Spojrzał na zegarek, który wskazywał prawie dziewiątą rano, zaklął i poczłapał do łazienki. Potrzebował kawy, tylko ona mogła go w takiej sytuacji uratować. Chwilę później zszedł do baru i zamówił śniadanie. Sala była pusta, oprócz starszej pary jedzącej przy sąsiednim stoliku śniadanie był jedynym gościem. Koloniści wyjechali, ekipa telewizyjna też – dzięki Bogu, jeszcze przed morderstwem. Gdyby dowiedzieli się, że w Rokitnicy znaleziono drugie zwłoki, prawdopodobnie zechcieliby zostać, a Witczak nie miał pojęcia, czy dałby radę pracować w sytuacji, gdy ktoś celuje w niego kamerą. Hippisów też nie było – może znowu kręcili się przy elektrowni, a może dziś zrobili sobie wolne, poszli nad rzekę albo nad jezioro. Wszystko jedno.

Panienska za barem skinęła na niego ręką, a kiedy podszedł, przysunęła w jego stronę szklankę z kawą i zniżyła głos.

– Dzwonił do pana ktoś z Katowic – powiedziała. – A ja zapisałam numer. Chce pan oddzwonić?

– Tak, jasne.

Przysunęła do niego telefon i podała kartkę z rzędem schludnych cyfr.

Witczak w jednej ręce trzymał szklankę w wiklinowym koszyczku, a drugą wykręcił numer. Słuchawkę włożył między ucho a ramię. Brakowało mu trzeciej ręki do trzymania papierosa, ale cóż, nie można mieć wszystkiego.

– Porucznik Socha, komenda wojewódzka w Katowicach. – Witczak rozpoznał znajomy głos.

– Kapitan Witczak z tej strony. Podobno pan do mnie dzwonił?

– Tak. Przejrzeliśmy zgłoszenia i mamy jedno, które odpowiada rysopisowi waszej denatki – powiedział Socha. – Zaginioną jest Dorota Lewandowska, lat dwadzieścia sześć, ciemne włosy, szczupła budowa ciała, znaków charakterystycznych brak. Wyszła z domu we wtorek po południu, a jej rodzice w środę zgłosili zaginięcie. Dziewczyna miała już kłopoty, była leczona w szpitalu psychiatrycznym, dwa razy próbowała popełnić samobójstwo. Nasi chłopcy szukali jej po różnych melinach, bo panna była co prawda z bogatego domu, ale miała zwyczaj zadawać się z niewłaściwymi facetami. Nawiasem mówiąc, jej rodzice już do was jadą.

– Co takiego?

– Daliśmy dupy, wiem. – Socha westchnął po drugiej stronie linii. – Pojawili się jakieś piętnaście minut temu z pytaniem, jak tam postępy w poszukiwaniu córeczki, i jeden z naszych się wygadał, że w Rokitnicy znaleźli ciało odpowiadające rysopisowi dziewczyny. Próbowałem ich zatrzymać, mówiłem, że

to jeszcze nic pewnego, ale nie chcieli słuchać. Po prostu wsiedli do samochodu i odjechali, aż się za nimi kurzyło.

Witczak przeliczył w głowie trasę.

– Czyli powinni tu być za jakąś godzinę, tak?

– Owszem, jeśli po drodze nie rozbiją się na jakimś drzewie. Facet wyglądał na niezłe roztrzęsionego, zresztą nic dziwnego w takiej sytuacji. Mam nadzieję, że jakoś sobie poradzicie.

– Jasne, pewnie.

Witczak pożegnał się i wrócił do kawy. Pił ją małymi łydkami przy barze, ściągając na siebie uwagę jasnowłosej pani, która przez ostatnie kilka minut udawała, że ustawia na półce ozdobne kufle.

– To jak, będzie ten koniec świata? – zapytała, opierając się łokciami o ladę naprzeciwko Witczaka.

Spodziewał się wielu pytań, ale na pewno nie takiego.

– Koniec świata? – Musiał mieć wyjątkowo zdziwioną minę, bo barmanka parsknęła śmiechem.

– Babcia mi mówiła – wyjaśniła. – Podobno zło ma przyjść ze wschodu w postaci czarnej chmury, a potem świat się skończy.

– Czarnej chmury?

– Uhm. Myśli pan, że zostaną po nas tylko cienie na ścianie?

Miał ochotę powtórzyć pytanie, ale zrezygnował – za trzecim razem brzmiałoby to już naprawdę głupio. Ograniczył się więc do uniesienia brwi, a blondynka pośpieszyła z tłumaczeniem.

– No wie pan, jak w Hiroszimie, po wybuchu bomby. – Wyglądała na wystraszoną i podnieconą jednocześnie. Nic dziwnego, miała najwyżej osiemnaście lat, a w tym wieku nawet perspektywa końca świata wydaje się czymś ekscytującym. – Skoro wybuchło w Czarnobylu, to u nas też może.

– Wybuch bomby to nie to samo, co awaria elektrowni – powiedział, choć nie był do końca pewny, czym jedno różni się od drugiego. – Może pani spać spokojnie.

– Moja babcia mówi...

– Mogę jeszcze raz zadzwonić?

– Tak, oczywiście. – Pani, która speszyla się i wróciła do ustawiania kufli.

Wykręcił numer mieszkania na Osiedlu Grunwaldzkim w Bielsku. Czekał, ze słuchawką przyciśniętą do ucha, licząc przeciągłe buczące sygnały. Nie miał pojęcia, co powie, kiedy żona wreszcie odbierze – jeśli odbierze. Zapewni ją, że wszystko będzie dobrze? Zapyta, czy jej też śniła się nadciągająca ze wschodu chmura? Bo mogła się śnić, nie trzeba było do tego żadnych babcinych przepowiedni, wystarczyły same informacje o skażeniu.

Renia nie odebrała i Witczak odłożył słuchawkę – sam nie wiedział, czy

bardziej z żalem, czy z ulgą.

Przed domem wczasowym czekał już polonez z Hanką za kierownicą. Starsza szeregowca nie skomentowała w żaden sposób spóźnienia kapitana, a on nie zamierzał się usprawiedliwiać. Wsiadł i ruszyli w kierunku Żywca. Po drodze streścił dziewczynie rozmowę telefoniczną z Katowicami. Kiedy skończył, Hanka milczała przez chwilę, skupiona na prowadzeniu. Odezwała się, dopiero gdy minęli tabliczkę z nazwą miasta.

– Myśli pan, że druga ofiara to właśnie Dorota Lewandowska? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. Ale imię i rysopis się zgadzają.

– Jeśli to pomyłka, jej rodzice przejadą na darmo prawie sto kilometrów, i to w potwornym stresie...

– A jeśli nie, przynajmniej będziemy ich mieć na miejscu.

Znowu nie skomentowała. Przed nimi wlokła się ciężarówka ze zwirem i dziewczyna musiała zwolnić. Drobnny kamyczek uderzył w szybę, starsza szeregowca mruknęła coś pod nosem i wyprzedziła – w niebezpiecznym miejscu, bo tuż przed zakrętem. Witczak też postanowił nie komentować.

– Przyszło mi jeszcze do głowy... – zaczęła Hanka.

– Tak?

– Marta Jaczyk była spokojna i rozsądna, nie miała chłopaka, pracowała. Dorota Lewandowska, jeśli wierzyć temu porucznikowi, dokładnie odwrotnie: zadawała się z niewłaściwymi facetami, wpadała w kłopoty, była niestabilna emocjonalnie i nieprzewidywalna.

– Dwie różne dziewczyny, owszem.

– Właśnie się zastanawiam, czy naprawdę tak różne. Pomyślałam... Sama nie wiem. Może jednak miały ze sobą coś wspólnego?

– Na przykład co?

– Nadawały się na ofiary? Samotnica, wychowana w domu dziecka, praktycznie nieznająca życia i imprezowiczka na tyle naiwna, żeby nawiązywać niewłaściwe relacje. Mam wrażenie...

– Że obie łatwo było zbajerować?

– Tak, chyba tak. – Zacisnęła dłonie na kierownicy. – Oczywiście przy założeniu, że druga ofiara to naprawdę Lewandowska.

– Kiedy przyjadą jej rodzice, o ile to faktycznie oni, wypytamy ich dokładnie o córkę.

– Może do tego czasu ktoś już się przyzna? To znaczy Krupa albo ksiądz, bo Chojniaka chyba pan puści? – Hanka zaparkowała przed żywiecką komendą.

– Chcę go jeszcze raz przesłuchać.

– Po co?

– Bo lubię symetrię – burknął Witczak, wysiadając z auta.

* * *

– Tym razem nie muszę podawać swojego nazwiska?

– Nie musi pan. – Witczak zignorował ironię w głosie przesłuchiwanego. – Porozmawiajmy o Antonim Chochołku.

Franciszek Chojniak zmarszczył brwi. Hanka, równie zdziwiona, uniosła głowę znad maszyny do pisania.

– Co z nim? – zapytał Chojniak.

– W środę szesnastego lipca zjawił się u pana proboszcz Jerzy Marczewski z informacją, że chciał odwiedzić Chochołka, ale go nie zastał. Poprosił, żeby przeszedł się pan za jakiś czas do jego domu i sprawdził, czy stary wrócił. Zgadza się?

Chojniak wzruszył ramionami.

– To żadna tajemnica.

– W czwartek poszedł pan w towarzystwie księdza i starszego sierżanta Waškowiaka szukać Chochołka. Ksiądz szybko się zniechęcił i wrócił na probostwo jeszcze przed burzą, pan i Waškowiak zaczęliście przetrząsać las i tam, w krzakach, znaleźliście martwego staruszka. Też się zgadza?

– Mniej więcej, owszem. Ciało sam znalazłem.

– Świetnie. Potem Waškowiak zabrał z domu płaszcz przeciwdeszczowy i pobiegł na posterunek zebrać ludzi, a pan poszedł do siebie, żeby zaprząć konia i podjechać wozem pod dom Chochołka. Ja i kapral Synowiec zjawiliśmy się trochę później, kiedy burza już przeszła, i zastaliśmy pana w kuchni zmarłego.

– Co z tego? Cały czas padało, trudno przecież, żebym siedział w deszczu na wozie.

Witczak wyjął coś z kieszeni. Z perspektywy Hanki wyglądało to jak zwyczajna laleczka w kraciastej sukience – nic szczególnego, po prostu zabawka, którą kapitan przekładał między palcami. Jednak Chojniak poruszył się niespokojnie, a w całym jego ciele pojawiło się napięcie, którego wcześniej nie było.

– Wie pan – kontynuował Witczak swobodnym tonem – jak tak pana słucham, to właściwie do niczego nie mogę się przyczepić. Na wszystko ma pan odpowiedź. Dlaczego w takim razie jakoś nie mogę panu uwierzyć?

– Nie zabiłem tej dziewczyny, jeśli o to panu chodzi. Mogę nawet mieć alibi. Mielicie sprawdzić...

– I sprawdziliśmy. Marta Jaczyk po raz pierwszy pojawiła się w okolicy pana domu siódmego czerwca, akurat wtedy, gdy wybrał się pan z wizytą do rodziny. Ale to nic nie znaczy. Mógł pan się spotkać z dziewczyną kiedy indziej, mogła panu opowiedzieć o niej żona. Powiedzmy, że Jaczyk przyszła wtedy do pana domu i rozmawiała z Ewą, a żona powtórzyła panu całą tę rozmowę. Pan doszedł do wniosku, że dziewczyna z jakiegoś powodu jest niebezpieczna, i postanowił ją

zabić...

– Co za bzdury – zirytował się Chojniak. – Poza tym moja żona nie była wtedy sama, tylko w towarzystwie Janiny Kurkowej. Ją możecie zapytać, czy przyszła do nas jakaś Marta.

– Pytaliśmy, owszem. – Witeczak wciąż przekładał w palcach laleczkę. – Problem w tym, że pani Kurkowa nie przebywała przez cały czas z Ewą. Tamtego dnia wyszła do sklepu na jakieś pół godziny między trzecią a czwartą, a sądząc z kąta padania światła na zdjęciu, to była mniej więcej pora, kiedy Marta Jaczyk mogła pojawić się w pana domu. Pana żona oczywiście zaprzecza, ale jej jakoś też nie wierzę. A pan nie ma alibi na rano, kiedy dziewczyna zginęła. Ani na drugi, kiedy została zabita kolejna ofiara.

– Rano zazwyczaj pracuję przy domu, to też już mó-wiłem.

– I nikt pana przy tej pracy nie widział, prawda? Jaczyk została zabita przed dziewiątą, pana żona siedziała wtedy w ogrodzie, a pan zajmował się rąbaniem drewna z tyłu domu. Druga ofiara zmarła wcześniej, koło szóstej. Pan karmił wtedy świnię, a żona jeszcze spała.

– Co z tego? – Chojniak irytował się coraz bardziej. Jest zmęczony, pomyślała Hanka, stara się to ukryć, ale dwa dni w areszcie jednak dały mu w kość. Zmęczony i wystra-szony.

– Kocha pan swoją żonę, panie Chojniak? – zapytał Witeczak. W twarzy przesłuchiwanego coś drgnęło i Hanka zrozumiała, że to nie tylko fizyczne wyczerpanie i strach. Franciszek był na granicy wybuchu.

– To raczej normalne w małżeństwie, nie sądzi pan?

– Większość mężczyzn by się z panem nie zgodziła. – Witeczak uśmiechnął się. – Ale oczywiście podziwiam pana podejście. Rozumiem, że chce pan chronić żonę za wszelką cenę? Że zrobiłby pan dla niej wszystko?

– Jeśli ma pan na myśli, że mógłbym...

– Zabić? Zrobiłby to pan? Dla żony, gdyby zaistniała taka konieczność?

Chojniak zacisnął usta, dłonie Hanki zawisły nad maszyną do pisania. Dziewczyna ledwo powstrzymała się przed ściskaniem kciuków. Miała nadzieję, że mordercą nie okaże się Franciszek, znała go przecież od dziecka. Niezbyt dobrze, ale znała. Kiedyś, gdy spadła z roweru, pomógł jej wstać, a potem odprowadził do ciotki. Innym razem dał jej kubek zebranych w lesie poziomek, tak po prostu. „Zjedz, ja i tak ich nie lubię”, powiedział. Nie było to nic szczególnego czy ważnego, ale Hanka nie chciała, żeby nawet tak nieliczne dobre wspomnienia z dzieciństwa zostały splamione.

– Tak, zabiłbym dla mojej żony. Gdybym z jakiegoś powodu musiał. Dokładnie tak, jak pan powiedział. Ale tego nie zrobiłem, bo nie musiałem. Ta cała Marta, czy jak jej tam, była dla nas obcą osobą i nie miałem żadnego powodu, żeby życzyć jej śmierci. Ma pan jakikolwiek dowód, że było inaczej?

Witczak milczał, prawdopodobnie dlatego, że gdyby się odezwał, musiałby przyznać, że nie. Chwilę później pchnął w stronę Chojniaka laleczkę. Hanka dopiero teraz mogła się jej przyjrzeć. Lewa strona plastikowej twarzy była poczerniała i stopiona od żaru, sukienka w zielono-czerwoną kratę nosiła wyraźne ślady ognia.

– Może mi pan powiedzieć, co to jest? – zapytał Witczak.

– Nie mam pojęcia.

– Naprawdę? Bo kiedy przenosiliśmy zwłoki Chochółka na wóz, to właśnie wypadło z pana kieszeni. Często nosi pan przy sobie zabawki, panie Chojniak?

Franciszek uśmiechnął się, prawie naturalnie.

– A tak, już wiem. Znalazłem tę lalkę u Chochółka na stole i jakoś tak odruchowo włożyłem do kieszeni. Może mnie pan oskarżyć o kradzież, ale nie sądzę, żeby to było wiele warte.

Witczak zacisnął usta i Hanka zrozumiała, że Franciszek tym razem wygrał.

* * *

– Co pan robił w piątek rano o godzinie szóstej?

– Spałem, już mówiłem... – Po czterdziestu ośmiu godzinach w areszcie Adam Krupa wyglądał jak wrak, ręce mu się trzęsły, głos drżał, jakby chłopak lada moment miał wybuchnąć płaczem. Hance prawie było go żal – prawie, bo wciąż pamiętała, że student mógł być zabójcą. Że wszyscy chcieli, by tym zabójcą się okazał.

– Zajmuje pan trzyosobowy pokój w Domu Wczasowym Stokrotka, z obywatelami Jackowskim i Więckiewiczem, tak?

– Tak, ja...

– Zdaje pan sobie sprawę z tego, że obaj pana współ-lokatorzy nie potwierdzają tych zeznań? Według ich wersji wyszedł pan wieczorem koło dziesiątej i wrócił dopiero po ósmej rano. Gdzie pan był przez całą noc?

Krupa chwycił się brzegu biurka i przez chwilę poruszał bezgłośnie ustami jak wyrzucona na brzeg ryba. Cerę miał już nie tyle bladą, ile zielonkawą i Hanka zaczęła się obawiać, że chłopak, zamiast uprzejmie zemdleć, zamierza raczej zwymiotować.

– Poza tym mamy świadków, którzy widzieli, jak we wsi rozmawiał pan z ofiarą – wypalił Witczak.

Krupa przymknął oczy i kiedy Hanka była już pewna, że chłopak zaraz osunie się pod biurko, szepnął:

– Pytała o drogę...

– Głośniej, proszę.

– Pytała o drogę, we wtorek po południu. To jej powiedziałem. Tylko tyle, przysięgam... Zamieniłem z nią dwa zdania i więcej jej nie widziałem.

– Drogę do czego?

– Na plebanię. I jeszcze na miejsce tego wcześniejszego morderstwa. Myślałem... No wie pan, że ona tak zwyczajnie ciekawa jest. Sporo osób tam chodziło z ciekawości. Nie przyszło mi do głowy, że ona... Że ją też mogą zabić.

– Oni?

– On. Ten morderca. Nie ja, przysięgam.

– Ale alibi na noc, kiedy zginęła, nadal pan nie ma.

Krupa pokręcił głową. Po jego policzku spłynęły dwie grube łzy, które wytarł rękawem jak dziecko.

– Byłem u dziewczyny – chlipnął. – Nazywa się Ola Nachorek i pracuje na poczcie. Wszedłem wieczorem do jej pokoju przez okno i zostałem do rana.

– Czemu nie powiedział pan o tym wcześniej?

– Jej ojciec... widział nas kiedyś razem i strasznie się wściekł, dlatego nie chciałem robić Oli kłopotu. Ale jak ją zapytacie, to potwierdzi. Czy on musi o tym wiedzieć? Proszę, ostatnim razem powiedział, że jak jeszcze raz zobaczy, że kręcę się koło jego córki, to weźmie widły i mnie pogoni. To wariat. Ola mówiła, że ją też bije. Błagam, możecie mu o niczym nie mówić?

* * *

– Romeo i Julia ze wsi, niech to szlag – skrzywił się Witczak. – On hippis, ona panienka z pocztowego okienka. Życie czasem zaskakuje mnie swoją banalnością.

– Nie wierzy mu pan? – Hanka oparła się o poręcz przed komendą. Kapitan wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem i przy okazji zapalić papierosa, a starsza szeregowca poszła za nim, żeby pogadać.

– Bo ja wiem? To jest tak typowe, że może i być prawdziwe.

– Nachorek ma ciężką rękę, wszyscy we wsi to wiedzą, a Olka to jedyna córka jest. No wie pan, ojciec zamierza jej całą gospodarkę zostawić i w ogóle.

– I staremu się nie podoba, że ta wychuchana dziedziczka trzech krów i dziesięciu kur zadaje się z jakimś łachudrą z miasta, bez zawodu, wciąż żyjącym na garnuszku ro-dziców?

– Czterech krów – poprawiła odruchowo Hanka. – Kur nie wiem, ile mają. Ale tak, Nachorkowi pewnie to się nie podoba.

– Pogadaj z tą dziewczyną, zapytaj o noc z czwartku na piątek. Czy chłopak był u niej, a jeśli tak, to czy mógł wyleźć z wyrka nad ranem tak, żeby nie zauważyła. Ojcu na razie nie musisz nic mówić.

Skinęła głową. Witczak zaciągnął się papierosem i dyskretnie zerknął na zegarek. Dochodziła jedenasta, co oznaczało, że rodzice drugiej ofiary prawdopodobnie dotarli już do Rokitnicy. Kapitan miał nadzieję, że Waškowiak się nimi zajmie.

– To ze świadkami pan zmyślił, tak? – zapytała dziewczyna. – Oprócz Krzysztofiaka nikt nie widział Krupy z Dorotą?

– Nie widział – przyznał Witczak. – Ale ta dziewczyna tak często kręciła się po wsi, że nie zaszkodziło spróbować. I udało się. Pytała o drogę na miejsce morderstwa, jeśli wierzyć chłopakowi.

– O czym to świadczy?

– Nie wiem, ty mi powiedz. – Zgasił papierosa w przepelnionym słoiku, który stał na zewnętrznym parapecie.

– Że te dwa morderstwa są dziełem jednej osoby? Dorota zginęła dlatego, że wiedziała coś o śmierci Marty?

Witczak wzruszył ramionami.

– Albo była ciekawa, dokładnie tak, jak Krupa powiedział. Chodź, pogadamy jeszcze z proboszczem. Może on powie nam coś interesującego.

* * *

– Czemu szukał ksiądz Antoniego Chochołka?

Proboszcz spojrział na Witczaka zdziwiony.

– Trochę się o staruszka martwiłem. Nie było go na porannej mszy, a zawsze przychodził.

– Godna podziwu troskliwość. O wszystkich ksiądz się tak martwi?

Marczewski uśmiechnął się smutno.

– Nie. Obawiam się, że nie byłem... nie jestem zbyt dobrym pasterzem. Tym razem jednak zrobiłem wyjątek. Sam nie wiem czemu. Poza tym myślałem, że chce pan rozmawiać o tej dziewczynie w lesie? Czy w śmierci Chochołka jest coś podejrzanego?

– Zostawmy staruszka na razie w spokoju i wróćmy do dziewczyny, jeśli tego ksiądz chce. Mówił ksiądz, że spotkał ją przy krzyżu i zabrał do siebie, tak?

– Tak.

– Dziewczyna, która przedstawiła się jako Dorota, przebywała u księdza aż do piątkowego poranka, kiedy to wyszła koło godziny szóstej?

Ksiądz milczał. Siedział dokładnie tak, jak Hanka zapamiętała z poprzedniego przesłuchania, z rękoma na biurku. Miał nieco wymiętą sutannę, ale poza tym wyglądał, jakby weekend spędzony w celi nie zrobił na nim wrażenia. Nie wydawał się wystraszony, zdenerwowany ani znudzony. Starsza szeregową nie umiała odgadnąć wyrazu jego twarzy i bała się momentu, kiedy będzie potrafiła to zrobić.

– Zgadza się? – Witczak ponaglił księdza.

Strużka potu spłynęła Hance po obojczyku w zagłębienie między piersiami. W przeznaczonym do przesłuchań pokoju żywieckiej komendy nagle zrobiło się cicho, jedynym dźwiękiem było teraz bzyczenie otumanionej upałem muchy, która

objała się o szybę, i dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia odgłosy rozmowy. Ktoś chyba opowiedział dowcip, bo nagle wszyscy się roześmiali. To właśnie Hanka miała z tej chwili zapamiętać: że za ścianą żywieccy milicjanci rechotali z jakiegoś żartu, podczas gdy ona wstrzymywała oddech, z nerwami napiętymi do granicy wytrzymałości.

– Proszę odpowiedzieć.

Hanka wystukała pytanie na maszynie do pisania – a przynajmniej próbowała to zrobić, bo palce ześlizgnęły się jej po klawiszach i szczipione ze sobą czcionki pofrunęły w stronę kartki. Zajęta była właśnie ich rozdzielaniem, kiedy Jerzy Marczewski odezwał się spokojnym głosem:

– Czy jeśli się przyznam, będę musiał powiedzieć, dlaczego ją zabiłem?

Dziewczyna oderwała ręce od maszyny. Powinna dalej spisywać protokół, ale na chwilę zupełnie o nim zapomniała. Gapiła się na księdza, podczas gdy jej serce biło w nierównym rytmie. Jezu, on nie żartuje, myślała.

Na Witczaku pytanie nie zrobiło większego wrażenia.

– Mam rozumieć, że ksiądz się właśnie przyznaje?

– Tak, chyba tak. – Marczewski pomasaował nasadą dłoni czoło, po raz pierwszy zdradzając oznaki zmęczenia. – Chyba nie myślę dziś jasno. Ale możecie to zaprotokołować: przyznaję się do zabójstwa dziewczyny o imieniu Dorota, w dniu osiemnastego lipca rano. Motywy wolałbym zachować dla siebie.

Hanka przemogła się i pośpiesznie zaczęła klepać w maszynę do pisania. Stukot klawiszy zagłuszył na chwilę uparte bzyczenie muchy.

– W porządku, zostawmy na razie motyw. Gdzie ją ksiądz zabił? Na plebanii?

Proboszcz pokręcił głową.

– W lesie, nad jeziorem.

– W jaki sposób?

– Nożem.

– Często ksiądz nosi przy sobie nóż?

– To nie był mój nóż, tylko jej. Nosiła go ze sobą, podobno do obrony. A ja go wyrwałem i poderżnąłem jej gardło.

– Doszło do kłótni? Szarpaliście się, a dziewczyna wyjęła nóż?

– Coś w tym rodzaju.

– A potem? Co ksiądz zrobił z ciałem?

– Spanikowałem – przyznał. – Myślałem... Boże, to wszystko wydaje się teraz takie absurdalne...

– Co ksiądz myślał?

– Że jeśli powieszę ją na drzewie, to będzie wyglądało trochę tak, jak przy morderstwie tej dziewczyny na torach, i nie będziecie szukać drugiego zabójcy.

– Skąd ksiądz wziął sznur?

– Miałem kawałek w kieszeni spodni. Poprzedniego dnia chciałem pomóc naszej gospodyni i podwiązać groszek.

– Ale ostatecznie ksiądz nie pomógł?

– Nie, jakoś wypadło mi to z głowy.

– Wydaje się ksiądz zaskakująco spokojny jak na kogoś, kto właśnie przyznał się do morderstwa. I zaraz po zabójstwie wyjechał ksiądz nie wiadomo dokąd. Próbował ksiądz uciec?

– Nie. Tak. Sam nie wiem. – Proboszcz przymknął na moment oczy. – Jakie to ma znaczenie? Wróciłem przecież i jestem gotów się przyznać.

– Ale nie powie nam ksiądz, czemu właściwie tę dziewczynę zabił?

Marczewski zgarbił się, ramiona mu opadły, jakby wraz z wyznaniem uszło z niego całe napięcie. Był teraz zwyczajnym, zmęczonym mężczyzną. Mężczyzną, po którym zaczynało być widać nieuchronne zbliżanie się do wieku średniego.

– Rokitnica to złe miejsce – powiedział cicho. – Wiem, że to mnie nie usprawiedliwia, ale... To złe miejsce. Bardzo złe.

* * *

– Nie wierzę, że to on – powtarzała uparcie Hanka, kiedy wracali z Żywca. – Nie wierzę.

– Bo jest księdzem, a księża nie zabijają? – mruknął Witczak. – Mówisz jak Synowiec. Uważaj!

W ostatniej chwili skręciła przed nadjeżdżającą z naprzeciwka ciężarówką i wjechała na właściwy pas.

– Przepraszam...

– Jeśli jesteś za bardzo roztrzęsiona, oddaj mi kierownicę.

– Myślałam, że pan nie ma prawa jazdy.

– Mam, po prostu nie lubię prowadzić.

Nie jestem roztrzęsiona, pomyślała, choć oczywiście była. Po raz pierwszy znalazła się tak blisko kogoś, kto zabił drugiego człowieka. Jerzy Marczewski wydawał się taki spokojny, taki... cywilizowany? Trudno było wyobrazić go sobie podrzynającego gardło niewinnej dziewczynie, a potem wieszającego jej ciało na drzewie.

– Tam musiało się coś stać – powiedziała. – Na plebanii, w nocy z czwartku na piątek. Coś, co sprawiło, że ksiądz poszedł za dziewczyną rano do lasu i ją zabił. Bo przecież nie zrobiłby tego bez powodu.

– Czyli jednak dopuszczasz możliwość, że to on?

Hanka zawahała się.

– Zgadza się mnóstwo szczegółów, nawet to, że według doktora Ziętka dziewczyna została zaatakowana od przodu. Może więc faktycznie ksiądz wyrwał jej ten nóż z ręki w czasie kłótni i czystym przypadkiem miał akurat w kieszeni

sznurek. – Oboje wiedzieli już, że to był najpopularniejszy w okolicy rodzaj cienkiej, ale mocnej konopnej linki, którą kupowało się w miejscowym sklepiku. Wszyscy w Rokitnicy takiej używali, ciotka Hanka też trzymała w szufladzie szpulę. – Ale nie wiem, czy dałby radę powiesić ciało na drzewie. Nie wygląda na silnego.

Witczak wzruszył ramionami.

– Siłę czasem trudno jest ocenić na podstawie wyglądu. Poza tym pamiętaj, że działał pod wpływem adrenaliny, a to dużo zmienia.

– Czyli myśli pan...

– Nic nie myślę. Zatrzymaj się.

– Tutaj?

– Tak.

Zaparkowała przy niewielkim budynku rokitnickiej poczty. Trzydzieści metrów dalej przed posterunkiem milicji stał czerwony samochód. Obok kręcił się wyraźnie zdenerwowany korpulentny mężczyzna. Lewandowski, Hanka nie miała wątpliwości, że to właśnie ojciec drugiej ofiary.

Witczak wysiadł.

– Idę pogadać z Olą Nachorek – powiedział.

– Myślałam...

– Nie myśl za dużo, tylko zajmij się swoją pracą. Mogę na ciebie liczyć?

– Tak, oczywiście, może pan.

Zamknął z trzaskiem drzwi i poszedł w kierunku poczty. Hanka czekała jeszcze przez chwilę w samochodzie, z rękoma zaciśniętymi na kierownicy tak bardzo, że zbielały jej palce, ale kapitan nie obejrzał się za siebie.

* * *

Para turystów w szortach i z wielkimi plecakami kupowała właśnie znaczki, Witczak ustawił się więc grzecznie w kolejce i czekał. Przy okazji obejrzał przyklejone na szybie widokówki. Były to w większości banalne widoczki okolicznych gór albo równie banalne składanki zdjęć: kościół w Rokitnicy, Dom Wczasowy Stokrotka, grupa dzieciaków bawiących się nad rzeką. Nic szczególnego, ale kapitan musiał przyznać, że Rokitnica ma w sobie pewien urok. A w każdym razie zdecydowanie nie wyglądała na „złe miejsce”, cokolwiek ksiądz Marczewski mógł mieć na myśli.

Tymczasem turystka nalepiła na kopercie ostatni znaczek i wsunęła głowę przez okienko.

– A na tory, gdzie tę dziewczynę zabili, to którądy? – zapytała.

Urzędniczka mówiła tak cichym głosem, że Witczak nie usłyszał jej odpowiedzi – nie wiedział więc, czy kobieta poinformowała przyjezdnych, że ofiar jest już więcej, czy nie. Może powinni drukować pocztówki z miejscami zbrodni,

pomyślał. To by się sprzedawało.

Turyści wrzucili listy do skrzynki i ruszyli w stronę wyjścia, posapując i garbiąc się pod ciężarem plecaków, które wyglądały, jakby para zabrała ze sobą pół domu. Kiedy szli, zawieszona przy kieszeniach menażki podzwaniały miarowo.

Witczak zbliżył się do okienka i machnął odznaką.

– Aleksandra Nachorek? – zapytał, choć był już pewny, że to właśnie ona. Dziewczyna miała jakieś dwadzieścia lat, jasne włosy i załzawione oczy, które ocierała chusteczką. Była ładna, choć raczej w spokojnym stylu. Bardziej miła niż seksowna. – Chciałem porozmawiać z panią o Adamie Krupie. Zna pani człowieka o tym nazwisku?

– Znam. – Na samo wspomnienie chłopaka łzy znowu polały się z jej oczu. – Aresz... Aresztowaliście go, a on niczego złego nie zrobił!

– Obywatel Krupa twierdzi, że przebywał w pani domu w nocy z czwartku na piątek. To prawda?

– Prawda. Jak mój ojciec...

– Mniejsza o pani ojca. O której Krupa przyszedł?

– O pierwszej, jak mój ojciec położył się spać. Wszedł przez okno. – Spojrzała na Witczaka wyzywająco, jakby chciała powiedzieć: w porządku, może się pan śmiać.

– I został do której?

– Do ósmej.

– Nie musiał wyjść wcześniej, żeby pani ojciec go nie zobaczył?

Pokręciła głową.

– Nie, w piątki mam na popołudnie i wtedy rano sama się wszystkim zajmuję, a tatko lubi sobie dłużej pospać. Adam pomógł mi nawet kury nakarmić. Krowy sama wydoiłam, bo on z miasta jest i się boi – dodała z absurdalną dumą, jakby strach przed krowami był szczególną zaletą.

– Nie bała się pani, że ojciec się obudzi?

– Nie. W czwartek pije z kolegami i potem śpi jak zabity.

– I jest pani pewna, że obywatel Krupa przez całą noc był z panią w łóżku? Nie uciekł pani na godzinkę czy dwie?

– Jestem pewna. – Dziewczyna zarumieniła się lekko. – Czy teraz już go puścicie? Proszę...

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecał Witczak. Alibi zapewnione przez zakochaną dziewczynę nie było najlepszym z możliwych, coś jednak chłopakowi dawało, a w tym przypadku kapitan skłaniał się ku temu, żeby Oli uwierzyć.

* * *

Hanka powinna wysiąść, podejść do zdenerwowanego mężczyzny i powiedzieć coś uspokajającego. Znaleźć właściwe słowa, o ile takie w ogóle

istniały. Zamiast tego siedziała za kierownicą jak sparaliżowana, czując, jak pod powiekami zbierają jej się łzy wściekłości. Była zła na Witczaka, że zostawił ją samą, i przede wszystkim na siebie, bo nie potrafiła dać sobie rady z tak prostym zadaniem. Nie chciała wysiadać z auta, nie miała jednak wyjścia, zresztą Lewandowski już ją zauważył, już do niej biegł. Był to niski, pulchny mężczyzna z siwiejącymi włosami zaczesanymi na pożyczkę, w eleganckim garniturze – teraz nieco wymiętym – jakby zjawił się tu prosto z biura. Za nim z czerwonego samochodu gramoliła się kobieta, nieco wyższa i szczuplejsza, ale w dość podobnym typie. Miała szarą twarz bez wyrazu i niepewne, rozedrgane ruchy ofiary wypadku, do której jeszcze nie dotarło, że zderzyła się z autobusem i nie powinna nawet próbować wstawać.

Hanka wysiadła.

– Czy pani jest z milicji?! – wołał mężczyzna. – Czy pani jest z milicji?!

– Tak, jestem z milicji. Starsza szeregową Hanna...

– Czekamy ponad godzinę, to niedopuszczalne! Podobno jest tu nasza córka, czy pani coś o niej wie? Nazywa się Dorota Lewandowska. Czy pani coś wie? – Ojciec dziewczyny chwycił Hankę za rękaw i zaczął szarpać. Twarz miał czerwoną, spojrzenie rozbiegane. Rano musiał wylać na siebie sporo wody kolońskiej, niewątpliwie dobrej marki, ale teraz przez ten zapach przebijała wyraźnie wyczuwalna kwaśna woń potu i rozpacz.

– Proszę za mną, lepiej porozmawiajmy w środku.

Poniewczasie przypomniała sobie o zdechłej myszy, było jednak za późno, żeby zawrócić. Rodzice zmarłej – Hanka tak o nich myślała, choć dziewczyna wciąż nie została oficjalnie zidentyfikowana – weszli na posterunek. Na twarzy mężczyzny odbiło się najpierw niedowierzanie, a potem obrzydzenie. Kobieta stanęła przy drzwiach z założonymi na piersiach rękoma i rozejrzała się. Przesunęła wzrokiem po zakurzonych półkach, dawno niemytych oknach i bałaganie na stole, bardziej zdziwiona niż potępiająca. Hanka z każdym jej spojrzeniem coraz mocniej odczuwała całą nędzę rokitnickiego posterunku, która do nieszczęścia przybyłej pary dodawała jeszcze upokorzenie.

– Przepraszam za nieporządek – bąknęła.

– Możemy zobaczyć ciało? – Lewandowska odezwała się chrapliwym głosem, jakby zdartym od płaczu, choć oczy miała suche.

– Nie jestem pewna... Nie wiem, czy to dobry pomysł. Może zechcą państwo zidentyfikować ją ze zdjęcia?

Nerwowo zaczęła przeszukiwać szufladę. Lewandowski kręcił się za jej plecami, wciąż na granicy wybuchu. Jego żona przeciwnie, stała spokojnie, ale Hanka wyczuwała promieniującą od niej rezygnację.

– Proszę dać mi chwilę...

Znalazła zdjęcia dziewczyny, wybrała na chybił trafił jedno z nich i położyła

je na stole, zbyt późno zauważając, że na fotografii widoczna jest w całej okazałości głęboka, purpurowa rana gardła. Kobieta zbladła gwałtownie, a mężczyzna skoczył w kierunku milicjantki.

– Co pani wyprawia? – wrzasnął, plując jej w twarz drobinkami śliny. – Nie widzi pani, że żona źle się czuje?

– Czy to jest pana córka? – zapytała Hanka, choć wiedziała już, że nie powinna tego robić.

Za jej plecami rozległ się łoskot – to Lewandowska osunęła się na podłogę, przewracając przy okazji krzesło.

– Co pani zrobiła? Co pani zrobiła?! – zawodził mężczyzna, popychając bezradną, znieruchomiałą Hankę na stół. Czują już, jak krawędź boleśnie wrzyna jej się w pośladek, kiedy drzwi się otworzyły i wszedł Waškowiak.

Starsza szeregową nigdy jeszcze nie ucieszyła się tak na widok żadnego człowieka.

* * *

Waškowiak w parę minut opanował sytuację. Beata Lewandowska została ocucona, a Ryszard Lewandowski spacyfikowany na tyle, że zdołał się przedstawić i oficjalnie rozpoznać na zdjęciu swoją córkę Dorotę. Starszy sierżant odwiózł małżeństwo do Stokrotki, gdzie wynajęli pokój: ona połknęła środek nasenny i została w łóżku, on zjął marynarkę i zszedł na dół do sali, w której czekali na niego Hanka i Waškowiak.

– Poczęstuje się pan? – Starszy sierżant podsunął mężczyźnie paczkę giewontów.

Lewandowski podziękował skinieniem, zapalił i rozkaszał się gwałtownie, aż oczy zaszyły mu łzami.

– Nie jestem przyzwyczajony – wymamrotał.

Ręce mu drżały, gdy unosił papierosa do ust, ale wyglądał na zdecydowanie spokojniejszego, niemal sennego, jakby tamten wybuch wyczerpał resztkę jego sił. Czerwień zniknęła z jego twarzy, miał teraz bladą skórę o niezdrowym odcieniu i obwisłe rysy człowieka pokonanego przez los. Dopalił papierosa do połowy, zgasił i spojrzął na Waškowiaka.

– Życie jest do dupy, prawda? – zapytał, a starszy sierżant potwierdził ruchem głowy. – Człowiek stara się jak ostatni idiota, a potem i tak gównem z tego wychodzi.

– Mówi pan o Dorocie?

Hanka siedziała w kącie i starała się nie rzucać w oczy – w normalnych warunkach sięgnęłaby po maszynę do pisania, ale Waškowiak uprzedził ją, żeby nie notować, bo dzięki temu Lewandowski może poczuje się lepiej. „Zwyczajna rozmowa, nie przesłuchanie”, powiedział, a ona przyznała mu rację – zaraz po tym,

jak przepelniona wstydem przeprosiła za swoje zachowanie na posterunku.

Skupiła się na słowach Lewandowskiego.

– Tak, o Dorocie.

– Dziewczyna miała problemy?

– Od początku. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Staraliśmy się z żoną, naprawdę, ale... Na Dorotę po prostu nic nie działało. Była... Jezu, trudno to opisać komuś, kto tego nie przeżył. Jednego dnia budziła się radosna jak skowronek, biegła pomagać matce w kuchni, a do mnie mówiła „tatku” i szła ze mną na ryby. Następnego dnia była wściekła jak osa, wrzeszczała, jeśli próbowało się do niej podejść, i groziła samobójstwem. Nikt nigdy nie wiedział, co jej strzeli do głowy, czasem nawet baliśmy się ją zostawiać samą w domu, bo człowiek nie był pewien, co zastanie po powrocie.

– Próbowala odebrać sobie życie?

Skinął głową.

– Pierwszy raz jeszcze w podstawówce, drugi w liceum. Za każdym razem udało nam się zdążyć, dzięki Bogu. Załatwiliśmy jej pobyt w szpitalu, a potem terapię u psychiatry, jednego, później drugiego i trzeciego.

– Nie pomogło?

– Wręcz przeciwnie, bardzo pomogło. Dorota przez jakiś czas była jak odrodzona. „Jestem zupełnie innym człowiekiem, tatku, mówiła. Nareszcie zrozumiałam wszystkie swoje błędy”. Tyle że to trwało do zakończenia terapii, a dwa–trzy tygodnie później cały cyrk zaczynał się od nowa. Do dziś nie wiem, czy ona wtedy oszukiwała nas, czy siebie.

– Nikt nie wiedział, co właściwie jej jest?

– Różne rzeczy mówili, ale nic konkretnego. Zresztą ona właściwie była normalna, nie widywała kosmitów, nie uważała się za Maryję ani nie sikała w łóżko. Tyle że czasami sprawiała wrażenie, jakby siedział w niej diabeł. Myślę, że ją to też męczyło. Czasami mówiła, że tylko wszystkim sprawia kłopot, że podjęliśmy złą decyzję, a ona nie powinna żyć... Wtedy trzeba było ją uspokajać, mówić, że jest kochana, a my niczego nie żałujemy. Dorota obiecywała poprawę i przez jakiś czas była naprawdę słodkim dzieckiem, a potem...

– Znowu wstępował w nią diabeł?

– Taa... – Lewandowski uśmiechnął się krzywym i smutnym jednocześnie uśmiechem. – Beata raz zaproponowała, żeby spróbować egzorcyzmów, wie pan, niby żartem, ale po jej oczach widziałem, że przynajmniej przez chwilę myślała o tym serio. Szkoda, że wtedy się nie zdecydowaliśmy, może nasza córka by dziś żyła.

– Miała wrogów?

– Całe mnóstwo. – Znowu się skrzywił, tyle że tym razem to nie był uśmiech.

Hanka wyłapała błysk w oczach Waškowiaka.

– Poda nam pan nazwiska?

– Nie znam nazwisk. – Lewandowski ostudził zapał starszego sierżanta. – Dorota rzadko przedstawiała mi swoich znajomych. Niektórych znam z twarzy, ale to i tak pewnie mniejszość.

– Z czego w takim razie pan wnioskuje, że to jej wrogowie, a nie zwyczajni znajomi?

– Z tego, jak się zachowywała. Dorota... Nie znał jej pan, to pan nie zrozumie. Łatwo ją było pokochać, ale też łatwo zniechęcić.

– Miała chłopaka?

– Ostatnio nie. Na wiosnę mówiła, że kogoś poznała, ale prawdę powiedziawszy, nie słuchałem za bardzo. Dorota ciągle kogoś poznawała, ciągle coś miało zmienić jej życie. Tyle że dziwnym trafem i tak zawsze zostawało po staremu.

Waškowiak i Hanka porozumieli się wzrokiem, pewnie myśląc o tym samym. Na wiosnę Marta Jaczyk też kogoś poznała.

– A co z jej ucieczkami z domu? Często się zdarzały?

– Różnie, jak miała gorszy okres, to i dwa razy w miesiącu, jak lepszy, to rzadziej. Najczęściej znikła na noc, mimo że wyraźnie jej tego zabranialiśmy, i wracała na drugi dzień. Jeśli nie, zawiadamialiśmy milicję. I trochę przy tym zmyślaliśmy.

– W jakim sensie?

– Robiliśmy z niej większą wariatkę, niż naprawdę była, no wie pan, żeby szybciej szukali. Jak skończyła osiemnaście lat, oczywiście, bo do szukania małoletnich się przykładają. Z dorosłymi jest inaczej, zawsze mówią, że dziewczyna poszła pewnie do chłopaka i wystarczy poczekać, aż sama wróci. Takie tam. Tym razem też próbowali nas spławić, ale się uparliśmy.

– Dorota nie mówiła, dokąd się wybiera?

– Nie. We wtorek miała posprzątać mieszkanie i czekać na nas z obiadem, aż wrócimy. Wie pan, dwa razy nie zdała na studia, a z pracy ją zwolnili, więc umówiliśmy się, że przynajmniej w ten sposób będzie nam pomagać. Ale jak wróciliśmy, nie było ani obiadu, ani Doroty. Nie zdziwiło nas to, najpierw myśleliśmy, że to jeden z jej normalnych wyskoków. Dopiero w środę zawiadomiliśmy milicję i nawet wtedy... Jezu, myślałem, że znajdą ją nieprzytomną w jakiejś melinie, ale nie... nie że...

– Potrzebuje pan chwili przerwy?

Lewandowski gwałtownie potrząsnął głową.

– Nie. Niech pan pyta.

– Dorota zabrała jakieś rzeczy?

– Trochę drobiazgów, kosmetyki, jakieś dziewczynskie fatalaszki. Niewiele,

do jednej małej torby by się zmieściło.

Czyli te rzeczy muszą wciąż gdzieś być, pomyślała Hanka. Chyba że morderca je zniszczył.

– Jeszcze jedno. – Waškowiak sięgnął do kieszeni i wyjął pierścionek. – Poznaje pan to?

Lewandowski obrócił świecidełko w palcach.

– Nie, a powinienem?

– To pierścionek Doroty.

– Możliwe, ona miała mnóstwo błyskotek. – Mężczyzna oddał ozdobę. – Pójdę już, jeśli nie ma pan więcej pytań. Chcę być przy żonie, kiedy się obudzi.

– Niech pan idzie. Rozumiem, że na razie zostajecie państwo w Rokitnicy?

– A gdzie mielibyśmy się wybierać? – Lewandowski zatrzymał się jeszcze w progu. – Powiecie nam wszystko, co trzeba, prawda? Kiedy będziemy mogli zabrać ciało? I chcielibyśmy... żona by chciała zobaczyć jeszcze raz Dorotę. To będzie możliwe?

– Tak, oczywiście, będziemy potrzebować jeszcze formalnego rozpoznania.

Kiedy za mężczyzną zamknęły się drzwi, Waškowiak rzucił Hance pierścionek.

– Jak Lewandowska dojdzie do siebie, zapytaj ją, skąd Dorota to miała. Założę się, że będzie wiedziała.

– Dobrze. A poza tym...

– Jeśli zamierzasz znowu przeproszać, to sobie daruj. Spieprzyłaś sprawę i trudno. Zdarza się. Następnym razem będzie lepiej. Co myślisz o tym gościu?

– Nie lubił córki – odparła po namyśle. – Pewnie ją kochał, skoro była jego dzieckiem, ale myślę, że wcale jej nie lubił.

* * *

Witczak zjawił się po drugiej w towarzystwie Synowca, który wracał właśnie od Ewy Chojniak. Widząc ponurą minę kaprała, Hanka nawet nie musiała pytać. Wiedziała, że wizyta nie przyniosła żadnych rezultatów i dziewczyna nadal milczy, zresztą starsza szeregową niczego innego się nie spodziewała.

Zjedli w stołówce obiad, a potem przenieśli się z powrotem do dawnej graciarni.

– Trzeba będzie zabrać Lewandowskich do kostnicy – powiedział kapitan. – Najlepiej jeszcze dzisiaj, jak tylko kobieta się obudzi. Wolałbym, żeby to on identyfikował zwłoki, ale jeśli się uprą, to trudno. Jutro Janek wsiądzie z nim w samochód i pojedzie do Katowic. Trzeba przejrzeć rzeczy Doroty. Hanka, ty jedź do Krakowa pogadać z matką Marczewskiego. I z jego była dziewczyną, jeśli jakąś miał. I nie mówcie mi, że księża nie miewają dziewczyn.

– Czyli zakładamy, że ksiądz Jerzy jest naszym zabójcą? – zapytała Hanka,

ostrożnie dmuchając w herbatę.

– Powiedzmy, że tego nie wykluczamy.

– W jednym przypadku czy w dwóch?

– Jeśli zabił obie dziewczyny, czemu przyznał się tylko do jednej? –

Waškowiak wygrzebał z paczki ostatniego giewonta.

– M...moim zdaniem ksiądz z...zabił Dorotę, ale nie M...martę.

– W takim razie dlaczego Krzysztofiak rozpoznał Krupę, a nie Marczewskiego? – Starsza szeregowca wciąż miała wątpliwości.

– Krzysztofiaka zostawmy na razie w spokoju – powiedział Witeczak. – Jutro wcześniej rano chciałbym zrobić pewien eksperyment i będę do tego potrzebował waszej pomocy. Hanka, masz może zieloną spódnicę?

wtorek, 22 lipca

Witeczak pochylił się nad taflą jeziora i wykrzywił do własnego odbicia, a potem, ponieważ nikt go nie widział, nie pokazał mu języka. Było w pół do szóstej rano, pora tak wczesna, że powietrze miało w sobie jeszcze szarawą przejrzystość świtu. Wstające słońce wychylało się zza chmur, czerwone jak wrzucona w żar moneta. Mimo porannego chłodu kapitan zdjął marynarkę i podwinął rękawy koszuli – na ramionach miał teraz gęsią skórę, a wiejący od strony jeziora wiatr ciskał mu w twarz drobinki wody. Witeczak usiadł, wyjął książkę i zaczął czytać, zanim jednak dotarł do ulubionego fragmentu, kiedy Pan Samochodzik tłumaczy, jak rozwiązał zagadkę Niesamowitego Dworu, zjawił się Krzysztofiak, a zaraz po nim Hanka i Synowiec. Kapitan wstał i otrzepał spodnie.

– Spóźniliście się – powiedział, choć byli punktualni. To on przyszedł zbyt wcześnie.

– Co robimy? – zapytała starsza szeregowca.

Zgodnie z poleceniem miała na sobie zieloną spódnicę, niezbyt elegancką, z grubego materiału. Stary zimowy ciuch, zapewne należący do ciotki, zupełnie nie przypominał zwiewnej spódniczki Doroty, nie mówiąc już o tym, że absurdalnie kontrastował z letnimi sandałkami. Trudno, nie chodziło przecież o to, żeby Hanka ładnie wyglądała.

– Gdzie pan widział ofiarę i podejrzanego? – Witeczak zwrócił się do Krzysztofiaka, który, przejęty swoją rolą, poprowadził ich w głąb lasu. Hanka zwolniła, zrównując swój krok z krokiem kapitana.

– Wczoraj... – zaczęła. – Nie wiem, czy starszy sierżant Waškowiak panu powiedział, ale zawałam. Nie potrafiłam sobie poradzić z Lewandowskimi, ona zemdląca, a on się wściekł. Dopiero starszy sierżant przyszedł i uspokoił całą sytuację.

– Po co mi to mówisz?

Zarumieniła się.

– Wydawało mi się, że powinien pan wiedzieć. No wie pan, czy się nadaję.

– Do pracy w milicji? A twoim zdaniem się nie nadajesz?

– Nie wiem, pan to powinien ocenić. Staram się, ale...

– Nie martwi mnie to, że zawałaś. Martwi mnie, że przejmujesz się tym, jakbyś miała dwanaście lat i musiała koniecznie przyznać się nauczycielowi, że nie odrobiłaś lekcji. Rozumiesz?

– Rozumiem – odparła dziewczyna sztywno.

– Tutaj – powiedział Krzysztofiak. – Ja stałem pod sosną, o tam, a oni w tym miejscu.

– W porządku. Hanka, Janek, ustawcie się tak, jak obywatel Krzysztofiak mówi.

Spełnili jego polecenie, oboje zakłopotani i niepewni, niczym para uczniów, których ktoś zmusił do udziału w szkolnym przedstawieniu. Boże, z kim ja muszę pracować, pomyślał Witczak. Choć z dwojga złego i tak wolał tych młodziaków niż wiecznie znikającego Waškowiaka – z Hanki przynajmniej od czasu do czasu dawało się coś wykrzesać.

– Bliżej – instruował Krzysztofiak, a kapitan mógłby przysiąc, że sprawa mu to sporo złośliwej przyjemności. – Stali obok siebie tak, że prawie dotykali się twarzami. Dziewczyna plecami do mnie, facet w cieniu. On trzymał ją za ramię, a potem się przytulili.

– Połóż rękę na jej ramieniu – nakazał Witczak Synowcowi. – Przytulanie możecie sobie darować. Rozmawiali?

– Tak, rozmawiali. Cicho, dlatego nie słyszałem, o czym.

– W porządku, pogadajcie sobie, a my się przejdziemy.

Poszedł z Krzysztofiakiem pod sosnę.

– Tu?

– Taa.

Witczak spojrział w kierunku Hanki i Synowca. Ona stała w plamie światła, on odwrotnie, w głębokim cieniu pod drzewem, przesłonięty dodatkowo ciałem dziewczyny. Z tej odległości Krzysztofiak mógł zobaczyć najwyżej fragment sylwetki i majaczący w półmroku zarys głowy z charakterystycznym nakryciem – Witczak widział milicyjną czapkę Synowca, więc robotnik równie dobrze mógł zauważyć hippisowską chustkę. I niewiele więcej.

– Proszę się dokładnie przyjrzeć. Tak właśnie to wyglądało tamtego ranka?

Robotnik milczał, ze zmarszczonymi brwiami, zniknęła gdzieś cała jego złośliwa radość.

– Panie Krzysztofiak?

Drgnął gwałtownie, jakby Witczak huknął mu nagle nad uchem.

– Tak to wyglądało? Zobaczył pan kogoś podobnego?

– Nie. Kurwa, teraz dopiero to widzę. Tamten był wyższy. Nie średniego wzrostu, tylko więcej, z metr osiemdziesiąt.

* * *

Z daleka Anna Marczevska wyglądała jak archetypiczna babuleńka: drobna i siwa. Z bliska okazało się, że matka Jerzego ma zaskakująco młodą twarz, niemal pozbawioną zmarszczek, z dużymi, łagodnymi oczami w kolorze chabrów. Musiała mieć koło sześćdziesiątki, ale wciąż była piękna. Siedziała na krakowskich Plantach i obficie sypała ziarno gołębim, które kłębiły się wokół jej nóg. Nie odwróciła się, kiedy Hanka usiadła obok.

– Mogę się dosiąść? – zapytała dziewczyna.

– Przecież już pani to zrobiła. – Starsza pani sypnęła jeszcze jedną garść ziarna, tym razem trochę dalej, a gołębie ruszyły w jej stronę szarą, trzepoczącą chmarą.

– Jestem...

– Wiem, kim pani jest. Byłam w więzieniu po wojnie i zawsze was poznaję, nawet bez mundurów. Przyjechała pani w sprawie Jurka?

– Tak. Kontaktował się z panią?

– Zadzwoił dzisiaj rano. – Marczevska skinęła głową. Gołębie dziobały zapamiętałe ziarno, niedaleko grupka dziewczynek grała w klasy wyrysowane kredą na kostce brukowej. Dzień był piękny, słoneczny, choć niezbyt gorący, jakby stworzony do spacerów, więc krakowianie tłumnie wylegli na Planty.

– A więc już pani wie.

– Że mój syn przyznał się do morderstwa? Tak, wiem.

Hanka przez dłuższą chwilę zastanawiała się, co powinna w takiej sytuacji powiedzieć. Na szczęście Marczevska ją wyręczyła.

– Chce pani zapytać, czy w to wierzę?

– A wierzy pani?

Starsza pani ledwo dostrzegalnie wzruszyła ramionami.

– A czy moje słowa będą miały dla pani jakiegokolwiek znaczenie? Każda matka na moim miejscu powiedziałaaby, że nie.

Hanka była wystarczająco bystra, by zauważyć, że odpowiedź Marczevskiej niezupełnie znaczy to samo, co proste „nie”.

– Czy pani syn miał kiedyś dziewczynę?

Kobieta zacisnęła usta. Nie powie, pomyślała Hanka, nagle bardzo zmęczona, nie tylko dlatego, że wstała dziś o czwartej rano. Nie powie, a ja nie będę umiała jej przekonać.

Gołębie wydziobały już całe ziarno i kręciły się teraz, gruchając, między nogami Marczevskiej. Starsza pani siedziała wyprostowana z rękoma na kolanach. Przypominała kobietą, drobniejszą i bardziej pomarszczoną kopię syna. Ten sam

spokój, ta sama twarz, której wyraz trudno było odgadnąć.

– Miał dziewczynę w liceum, nazywała się Kasia. Katarzyna Korczewska – powiedziała, kiedy Hanka była już pewna, że kobieta się nie odezwie. – Jurek poznał ją tuż po tym, jak przeprowadziliśmy się do Krakowa, na początku liceum. Wtedy mieszkała na Krowodrzy, a dzisiaj to nie wiem, ale może pani poszukać w książce telefonicznej. To była taka stara krakowska rodzina, a tacy rzadko się przeprowadzają.

– Dziękuję.

– Chce pani o coś jeszcze zapytać?

– Czy pani syn... Czy on kiedykolwiek...?

– Wykazywał mordercze cechy? – Usta Marczewskiej drgnęły lekko, a starsza szeregową nie była pewna, czy miał to być gorzki uśmiech, czy zwyczajne skrzywienie.

– T...tak. – Hanka poczuła się głupio. To ona powinna panować nad rozmową, nie ta siwowłosa kobieta o zaskakująco łagodnym spojrzeniu błękitnych oczu.

– Jurek żył jak święty – powiedziała Marczewska. – Nie znając grzechu. Czasem to potrafi człowieka zgubić. A teraz niech pani już idzie. Muszę wrócić do domu, spakować torbę i pojechać do syna.

– Czemu nie pojechała pani wcześniej?

– Przychodzę tu codziennie od dwudziestu lat. Jeśli Jurek nie zabił tej kobiety, poczeka parę godzin. A jeśli zabił, niech Bóg zlituje się nad jego duszą, bo nie będzie już więcej moim synem.

Część VII: Dziewczyna, której nie było w ogrodzie

W Katowicach padał deszcz. Synowiec kulił się, kiedy biegli ścieżką przez ogród w stronę jednorodzinnego domu, ciężkie strugi biły go chłodem po głowie i ramionach. Lewandowski pośpiesznie wygrzebał z kieszeni klucze i otworzył drzwi. Za progiem kapral wyprostował się, strząsając z włosów wodę, i przetarł mokrym rękawem mokną twarz.

– Nie musi pan ściągać butów – powiedział ojciec Doroty.

Zostawiając błotniste ślady, poszli schodami na piętro. Dom był wymuskany, podłoga i poręcz lśniły w świetle zawieszanej pod sufitem lampy. Kapral zastanowił się, czy Lewandowscy mieli kogoś do pomocy, czy może matka Doroty sama zajmowała się czyszczeniem tego wszystkiego. Niewiele wiedział o bogatych ludziach, na sprzątanii zresztą też się nie znał. Czuł się tylko nieswojo, kiedy patrzył na ubrudzoną błotem wykładzinę.

– To jej pokój.

Synowiec wszedł do środka, a Lewandowski zatrzymał się w drzwiach. Kapral spodziewał się, że mężczyzna za chwilę sobie pójdzie, ale on tkwił w progu z zagubionym wyrazem twarzy, jakby nagle zapomniał, gdzie się znajduje. Wczoraj zidentyfikował ciało córki w kostnicy. Nie miał ochoty tego robić, ale ostatecznie poszedł z żoną. Jak na człowieka wpływa widok martwego dziecka? Synowiec nie chciał o tym myśleć.

– Może pan p...poczekać na dole – powiedział.

Lewandowski skinął głową i wreszcie ruszył się z miejsca, a kapral mógł spokojnie przeszukać pokój. W pogodny dzień musiało to być jasne, radosne pomieszczenie, ale teraz, kiedy o szyby monotonnie dzwoniła ulewa, wszystko wyglądało ponuro. Na tapecie w różyczki drgał deszczowy światłocień, jakby znajdowali się pod wodą, w kątach zalegał mrok. Kapral zapalił lampę i łagodny pomarańczowy blask zalał pokój. Wszędzie panował bałagan, z szafy wysypywały się dziewczęce ubrania, pościel na łóżku była skotłowana, a na poduszce leżały zmięte w kulkę różowe majteczki. Synowiec, przemagając w sobie niechęć, zaczął przeszukiwać szafki. Sprawdził szuflady, wiszące w szafie ubrania i zawaloną kosmetykami toaletkę. Znalazł mnóstwo kobiecych drobiazgów, parę podręczników jeszcze z czasów liceum – nie wyglądały na często używane – i pusty zeszyt w kratkę. Czy Dorota miała zamiar prowadzić w nim pamiętnik? Jeśli tak, nigdy nie napisała ani słowa, możliwe zresztą, że zeszyt znalazł się tu przypadkiem albo też był spadkiem po szkolnych czasach. Kapral włożył go z powrotem do szuflady. Przez chwilę patrzył na oprawione w ramkę zdjęcie, które wisało obok lustra. Była na nim Dorota w towarzystwie rodziców. Stali wszyscy na tle morza, obejmując się ciasno ramionami, jakby bali się, że ktoś ich rozdzieli.

Matka i ojciec uśmiechali się do obiektywu, dziewczyna uciekała spojrzeniem w bok, a jej uśmiech wyglądał na nieco wymuszony. Choć może kapralowi tylko się wydawało.

Zdjął zdjęcie ze ściany, myśląc, że pora się zbierać.

Lewandowski czekał w salonie na dole, siedząc w fotelu, wciąż w ubłoconych butach i ociekającej wodą koszuli.

– Mogę p...pożyczyć to zdjęcie? – zapytał Synowiec.

– Tak.

– I mam pytanie. Czy do p...pana córki ktoś może dzwonił? Albo pisał?

Lewandowski zmarszczył brwi.

– Pisał to nie. Ale było parę telefonów, nie wiem od kogo. Do Doroty często dzwoniли różni ludzie.

– Jeszcze jedno muszę załatwić. Wie p...pan, gdzie jest ulica Słowackiego?

– Wiem. Podrzucić tam pana?

– Nie chciałby się pan p...przebrać? Albo coś zjeść?

– Nie jestem głodny. – Lewandowski ruszył w głąb domu i wrócił po chwili w suchej sportowej koszulce, która nijak nie pasowała do wciąż mokrych spodni od garnituru. – Znalazł pan coś ciekawego? – zapytał kaprała.

– Nie.

Lewandowski skinął głową, jakby się tego spodziewał, i ruszył w stronę drzwi. Synowiec poszedł za nim.

* * *

Hanka przeszła przez bramę i znalazła się na przypominającym studnię wewnętrznym podwórku otoczonym z czterech stron kamienicami. Suszyło się na nim pranie, a pośrodku na zarośniętym trawniku stał samotny dąb. Do najniższej gałęzi przywiązana była stara opona, na której huśtał się spalony na brąz chłopiec z jasnymi włosami. Dziewczyna rozejrzała się, szukając drzwi, o których mówiła jej sympatyczna sprzedawczyni. To nie mogły być te z zatartym napisem USŁUGI SZEWSKIE, skierowała się więc do drugich. Weszła po osypujących się schodkach i zapukała. Nikt nie odpowiedział. Gałąź za jej plecami poskrzypywała monotennie, z wnętrza piekarni Hanka słyszała odgłosy krzątania, a napływające przez zakratowane okienko zapachy sprawiły, że przypomniała sobie o śniadaniu – z Rokitnicy wyjechała tak wcześnie, że nie zdążyła nawet nic zjeść. Zapukała jeszcze raz, mocniej, a potem nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się otwarte i starsza szeregowa wsunęła głowę w duszne gorąco.

– Czego? – Kobieta w białym fartuchu podeszła do niej, dźwigając tacę pełną bladych jeszcze pączków. – Do piekarni to od przodu trzeba.

– Wiem, z milicji jestem. Chciałam porozmawiać z Katarzyną Korczewską.

– A od niej czego chcecie?

– Nie pani sprawa. – Hanka znacznie lepiej radziła sobie z arogancją niż z rozpaczą.

– Korczewska za dziesięć minut kończy zmianę. – Kobieta wyraźnie spuściła z tonu. – Zawołać ją?

– Nie trzeba, jak dziesięć minut, to poczekam.

Wróciła do piekarni od przodu, kupiła pączka z marmoladą, którego zaraz zjadła, potem stała jeszcze przez chwilę, gapiąc się w wystawę małej księgarni. Dziesięć minut później znalazła się znowu na podwórku pod odrapanymi drzwiami. Pracownicy właśnie wychodzili – mężczyzna zapalił papierosa, dwie kobiety ściągnęły siatki z włosów. Jedna z nich od razu skierowała się do bramy, druga przystanąła i niepewnie spojrzała na milicjantkę.

– Katarzyna Korczewska? – zapytała starsza szeregowca. Kobieta była średniego wzrostu, pulchna, z miłą, pyzată twarzą. Ładna, owszem, ale kobiet w podobnym typie widywało się na ulicach mnóstwo. Hanka, która oczekiwała pasującej do przystojnego księdza piękności, poczuła się odrobinę rozczarowana.

– Tak. Podobno chce pani porozmawiać?

– Owszem. Możemy gdzieś usiąść?

– Za pół godziny muszę odebrać dzieciaki od mamy... – Korczewska zerknęła na zegarek.

– Nie zajmę pani dużo czasu.

– W porządku, tu niedaleko jest takie jedno miejsce, możemy wejść na chwilę. W sumie trochę głodna jestem.

Takie jedno miejsce okazało się maleńkim barem, w którym sprzedawano pieczone kiełbaski i frytki podawane na papierowych tackach. W środku śmierdziało starym olejem, ale Hanka nie zamierzała narzekać. Kupiła Korczewskiej dużą porcję – na własny koszt, bo wątpiła, by ktokolwiek zwrócił jej ten wydatek – a kobieta sięgnęła po słoik z dziurami wybitymi w pokrywie i posypała frytki solą. Usiadły przy jednym z dwóch stolików. Oba były wolne, ale tylko jeden w miarę czysty; na drugim walały się zużyte papierowe tacki, a blat usmarowany był musztardą.

– O czym pani chciała rozmawiać? O moim ojcu? On te defraudacje dawno robił, teraz...

– O Jerzym Marczewskim.

– O! – Między brwiami kobiety pojawiła się zmarszczka. – Czemu o nim? Jurek księdzem przecież został, jak się ostatnio widzieliśmy, to do seminarium szedł. Nie wyszło mu?

– Jest teraz proboszczem w miejscowości Rokitnica, może pani słyszała?

Korczewska potrząsnęła głową – albo w ogóle nie czytała gazet, albo czytała, ale nie interesowały jej wzmianki o podwójnym morderstwie.

Hanka pochyliła się, choć nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Przyznał się tam do zabicia pewnej kobiety.
– Kurwa. – Przekleństwo zabrzmiało dziwnie w ustach Korczewskiej. – Pani tak serio?

– Całkiem serio.

– To znaczy, że znałam kiedyś prawdziwego mordercę? – Nie wiadomo, czy ta perspektywa kobietę przeraziła, czy wręcz przeciwnie, raczej ucieszyła.

– Tego właśnie chcemy się dowiedzieć. Czy pani i Jerzy Marczewski byliście kiedyś... blisko?

– Pyta pani, czy byliśmy parą? – Wsunęła do ust frytkę i zastanowiła się. – W sumie trudno powiedzieć. Byliśmy wtedy dziećmi, to był początek liceum, człowiek jeszcze miał pstro w głowie. Chodziliśmy nad Wisłę i czasem trzymaliśmy się za ręce. Wszystkie moje koleżanki uważały go za mojego chłopaka i strasznie mi zazdrościły. Ale teraz sama nie wiem, czy on też tak na to patrzył.

– Czemu się rozstaliście?

Wzruszyła ramionami.

– Tak jakoś wyszło.

– Zrobił coś, co się pani nie podobało?

– Czy mnie napastował? O to pani pyta? Nie, nigdy. Jurek nie był z takich, którzy od razu pchają się z łapami. Wręcz przeciwnie, jak raz go chciałam pocałować, to mnie odsunął i powiedział, że nie wypada. Był taki strasznie... – szukała właściwego słowa – staroświecki.

– Pani z nim zerwała czy on z panią?

– Nie pamiętam, chyba ani to, ani to. Po prostu przestaliśmy się spotykać. Oczywiście widywaliśmy się ciągle, bo chodziliśmy do równoległych klas, ale to tyle. Potem on zdał maturę, a ja nie, i tak jakoś rozeszły nam się drogi.

– I nigdy nie miał innej dziewczyny?

– Nie, chociaż wszystkie do niego zarywały. Może to przez powołanie na księdza? A może... – Urwała, po czym w roztargnieniu zjadła ostatnią frytkę.

– Tak?

– Jurek już wtedy był dziwaczny – powiedziała.

– W jakim sensie dziwaczny?

– Nie wiem. Po prostu dziwaczny. Wyczuwało się, że nie jest taki jak inni. Może potem zrobił się jeszcze bardziej dziwny? Bo tę kobietę to pewnie jakiś zboczeniec zabił, co? Inaczej nie pytałaby pani, czy mnie napastował.

– Sądzi pani, że on mógł to zrobić?

– Kiedyś powiedziałabym, że nie. Jurek naprawdę był bardzo miłym chłopakiem. Ale teraz to nie jestem pewna. – Obliznęła palce.

* * *

– Wie ksiądz, co to jest?

Jerzy Marczewski wziął od Witczaka drobny błyszczący przedmiot i obrócił go w palcach. Światło padające z zakratowanego okna ześlizgnęło się po srebrnej obrączce i odbiło w niebieskim oczku.

Proboszcz wzruszył ramionami.

– Pierścionek. Po co mi pan go pokazuje?

– Bo to jeden z drobiazgów, które mogą uratować księdzu życie. No, może nie życie – zreflektował się milicjant. – Powiesić księdza, raczej nie powieszą. Ale ten pierścionek może oszczędzić księdzu dwudziestu pięciu lat więzienia. Proszę się rozejrzeć. Naprawdę chce ksiądz spędzić resztę życia w takim miejscu?

Marczewski nie musiał się rozglądać, bo znał już każdy centymetr kwadratowy swojej celi. Ściany, niegdyś białe, a teraz poznaczone odciskami brudnych palców. Napis LUŚKA TO KURWA, który ktoś wydrapał w kącie, prawdopodobnie paznokciami, bo aresztantom zabierano ostre przedmioty. Dwie prycze zasłane cienkimi szarymi kocami i wąskie okienko umieszczone wysoko pod sufitem. Nienawidził tej celi. Nie dlatego, że była ciasna i brzydka – do tego mógłby się przyzwycząić – ale dlatego, że nie było tu niczego, co mogłoby stymulować umysł. Gdyby nie to, że zostawiono mu brewiarz, po dwóch dniach patrzenia na wciąż te same plamy i ten sam wulgarny napis oszalałby z nudów. Już teraz tęsknił za świeżym powietrzem, za zielenią lasu i szumem wiatru.

– Myślałem, że przeniosą mnie do więzienia... – mruknął.

Witczak rozsiadł się wygodniej na drugiej pryczy.

– I myśli ksiądz, że tam będzie lepiej? To księdza rozczaruję: będzie gorzej. A ja próbuję księdzu pomóc. Ten pierścionek nosiła Dorota, dziewczyna, do której zabójstwa ksiądz się przyznał.

– Być może, nie zwróciłem uwagi. Co z tego?

– To, że dokładnie taki sam pierścionek miała Marta Jaczyk, którą z kolei znalazł ksiądz na torach. Zapytaliśmy matkę Doroty, gdzie córka go kupiła. Wie ksiądz, co odpowiedziała?

– Nie mam pojęcia.

– Że takie ozdoby ze srebra i lapis-lazuli robi pewien katowicki jubiler. Artysta czy może rzemieślnik, nie wiem, jak oni się tam określają. W każdym razie to nie żaden masowy wyrób, dostępny w każdym sklepie – żeby go kupić, trzeba pojechać do Katowic i wejść do niewielkiego sklepiku przy ulicy Słowackiego. Jak ksiądz sądzi, duża jest szansa, że dwie nieznaną się dziewczyny, które zostały zamordowane w Rokitnicy, będą miały takie same pierścionki?

– Nie mam pojęcia, nie znam się na biżuterii. I nadal nie wiem, dokąd ta rozmowa zmierza.

– Przyznał się ksiądz do zabicia Doroty i sporo wskazuje na to, że mówi ksiądz prawdę. Ale nie wszystko, zostało parę drobiazgów, które nie dają mi spokoju. Jak te pierścionki na przykład. Albo pytanie, co ksiądz zrobił

z zakrwawionym ubraniem. Bo musiało być na nim dużo krwi, prawda?

– Spaliłem je w piecu.

– W porządku, to ma sens. Tylko, widzi ksiądz, pytaliśmy panią Pawliczek i ona twierdzi, że nie brakuje księdzu żadnej sutanny, koszuli czy pary spodni. I jeszcze ten dziwaczny wyjazd księdza, nie wiadomo dokąd, zaraz po morderstwie.

– To nie miało nic wspólnego ze sprawą, mówiłem już.

– I nie powie mi ksiądz, dokąd ani po co pojechał, tak samo jak nie chce ksiądz zdradzić, dlaczego szukał Antoniego Chochołka. Może chciał ksiądz zabrać z chałupy jakąś zabawkę? Na przykład taką? – Kapitan wyjął nadpaloną laleczkę w kraciastej, zielono-czerwonej sukience. Marczewski zamrugał.

– To było w domu Chochołka?

– Owszem, Chojniak wpakował tę lalkę do kieszeni i próbował wynieść. Nawiasem mówiąc, dostaliśmy dziś rano wyniki sekcji zwłok. Chochołek zmarł śmiercią naturalną, na rozległy zawał serca. Czyli przynajmniej w tym przypadku ksiądz jest niewinny. Ale za to obciąża księdza zeznanie robotnika z elektrowni, który rozpoznał księdza jako człowieka, który w dzień morderstwa wcześniej rano rozmawiał w lesie z ofiarą.

– Czy to zeznanie nie jest ostatecznym dowodem, że mówię prawdę?

– Byłoby nim, gdyby nie fakt, że Krzysztofiak poprzednim razem wskazał inną osobę, zupełnie do księdza niepodobną, i to też mnie męczy. Pewnie, świadkowie czasem się mylą i zmieniają zeznania. W śledztwie rzadko kiedy wszystko się wyjaśnia. W filmach czy książkach wygląda to tak, że przychodzi detektyw i tłumaczy każdy szczegół, w prawdziwym życiu sporo rzeczy zostaje do końca zagadką. Zawsze są jakieś luki czy wątpliwości. Dlatego każdy z tych drobiazków, które wymieniłem, byłby nieważny albo przynajmniej mało ważny, ale wszystkie razem sprawiły, że zacząłem się zastanawiać.

– Nad tym, czy jestem mordercą?

– Aha.

Ksiądz uśmiechnął się gorzko.

– Wie pan, tyle się mówi o brutalności milicji i wsadzaniu niewinnych ludzi do więzień, a tu, zdaje się, jest odwrotnie: człowiek przychodzi do was, przyznaje się do zabójstwa, a wy mu nie wierzycie?

– Do morderstw, zwłaszcza tych najbardziej brutalnych i głośnych, zawsze przyznaje się mnóstwo wariatów.

– Sądzi pan, że jestem szalony?

– Sądzę, że ksiądz kogoś chroni. Franciszka Chojniaka? Bo ma ksiądz słabość do jego żony, prawda? Jeśli tak, może ksiądz być spokojny, Chojniaka już puściliśmy do domu. Nadal podtrzymuje ksiądz swoje zeznanie?

Proboszcz skinął głową.

– Zabiłem tę dziewczynę, niezależnie od tego, czy pan mi wierzy, czy nie.
– I nie powie mi ksiądz, czemu to zrobił? Może wtedy łatwiej byłoby mi uwierzyć.

Duchowny uciekł spojrzeniem w bok.

– Miałem powody. Zresztą jakie to właściwie ma znaczenie? Nie wrócę tej dziewczynie życia, choćbym chciał.

– A chciałby ksiądz?

Marczewski pochylił głowę, walcząc z napływającymi do oczu łzami. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem płakał – chyba jeszcze w podstawówce, kiedy zdechł mu ukochany króliczek. Teraz tamta dziecięca tragedia wydawała się tak odległa i nieważna, że prawie uśmiechnął się na jej wspomnienie.

– Tak – powiedział cicho.

Witeczak westchnął.

– Uparty ksiądz jest, co? Dobrze, niech ksiądz sobie tu jeszcze posiedzi. Wrócę za jakiś czas i wtedy pogadamy.

Kapitan wstał, podszedł do drzwi, ale nie wyszedł. Zawahał się, wreszcie zawrócił i usiadł z powrotem na pryczy. Milczał przez dłuższą chwilę, podczas gdy Marczewski patrzył na niego bez ciekawości.

– Mam córkę, wie ksiądz? Trzynaście lat, długie blond włosy, siano w głowie. Słodka dziewczuszka, choć nie naj-mądrzejsza. Dwa lata temu mało brakowało, a bym ją zabił.

Proboszcz milczał.

– To był wypadek, a ja byłem pijany. Na szczęście nic bardzo poważnego się nie stało, tyle tylko, że zafundowałem własnemu dziecku połamane nogi i cztery miesiące spędzone w szpitalu. Musiała powtarzać przez to piątą klasę. Teraz jest już dobrze: Karolinka będzie kuleć do końca życia, ale chodzi i ma nowe koleżanki, a żona mi wybaczyła. Tylko że nie da się naprawić raz pękniętego garnka. Nawet jeśli spróbuje się go skleić, i tak zostanie rysa. Na naszej rodzinie została taka właśnie rysa, niby jest jak dawniej, a jednak nie do końca. A wybaczenie mojej żony potrafi być większą karą niż nienawiść. Zna ksiądz tych chrześcijan, którzy wybaczą tak, jakby wsadzali człowiekowi w bebechy nóż?

Ksiądz Jerzy skinął głową.

– Moja żona taka właśnie jest. Trzy lata temu, przed wypadkiem, myślałem o rozwodzie. Teraz wiem, że już jej nie zostawię. Jak mógłbym po tym, co zrobiłem, i po tym, jak ona mi wybaczyła? Kiedy wychodziłem ze szpitala, wiedziałem, że już nigdy nie usiądę za kierownicą. Nie mogłem, na samą myśl robiło mi się niedobrze. Mimo to wróciłem do pracy w milicji: dziwak, który nie pije, bo pić też przestałem, i nie prowadzi samochodu. Zacząłem czytać książki dla dzieci. Wie ksiądz, po co?

– Nie mam pojęcia.

– Żeby uważali mnie za ekscentryka zamiast litować się nade mną. Żeby odciągnąć uwagę od tego, co naprawdę ważne. Wszystkie moje ekscentryczne cechy miały przesłaniać tę jedną, która wcale z ekscentryzmu nie wynika: że nie potrafię już usiąść za kółkiem. Tak naprawdę żaden ze mnie dziwak. Jestem zwyczajnym facetem, którego życie w pewnym momencie kopnęło w dupę.

– Dlaczego pan mi to wszystko mówi?

Witczak wzruszył ramionami.

– Może dlatego, że liczę na rewanż. Każdy z nas ma jakieś brudne sekrety. Ja zdradziłem księdzu swój jak na spowiedzi. Może teraz ksiądz będzie ze mną szczery?

Marczewski splótł i rozplótł palce. Przez chwilę uciekał wzrokiem w bok, wreszcie spojrzął na Witczaka i westchnął, przecierając dłonią czoło.

– Po co to panu? I tak pan nie zrozumie.

– Niech mnie ksiądz wypróbuj. Obiecuję, że jeśli to, co ksiądz powie, naprawdę nie będzie miało żadnego związku ze śledztwem, nikomu tego nie powtórzę.

– Nie interesują mnie kobiety. Ani mężczyźni, jeśli już o to chodzi.

Na twarzy Witczaka nie drgnął ani jeden mięsień.

– Chce ksiądz powiedzieć, że jest impotentem?

– Nie, chcę powiedzieć, że nie potrafię odczuwać pociągu fizycznego. Do żadnej płci. Zawsze tak miałem. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze bardzo młody i moi koledzy zaczynali oglądać się za dziewczynami, uważałem to za dziwactwo. Potem uznałem, że to raczej błogosławieństwo, znak, że Bóg wybrał mnie do innych celów niż małżeństwo. W końcu ktoś taki jak ja idealnie powinien nadawać się na księdza...

– I nadawał się ksiądz?

– Nie. Co to za kapłan, który nigdy nie musiał walczyć z grzechem, bo po prostu go nie zna? Ludzie przychodzili do mnie ze swoimi problemami, a ja nie potrafiłem ich zrozumieć, jedyne, co mogłem im powiedzieć, to jakieś banały. Wtedy rozumiałem, że to nie jest żaden dar, tylko przekleństwo.

– Dlatego zabił ksiądz tę dziewczynę?

Proboszcz skinął głową.

– Przyszła do mnie w nocy, a ja zamiast zamknąć drzwi, wpuściłem ją. To był mój pierwszy błąd. Wyglądała na zagubioną, ja też czułem się samotny. Przez jakiś czas rozmawialiśmy, a potem...

– Potem zaczęła się do księdza dobierać.

Skrzywił się.

– Tak, może pan to tak nazwać. Wtedy miałem jeszcze szansę wyrzucić ją z pokoju, ale tego nie zrobiłem. Drugi błąd. Myślałem... To wydaje się teraz tak bardzo głupie... Myślałem, że jeśli się z nią prześpię, poznam grzech i będę

wiedział, o czym ci wszyscy ludzie na spowiedzi mówią. Ale i tak nic z tego nie wyszło.

– Zabił ją ksiądz, bo nie sprawdził się jako mężczyzna?

– Tak. I nie. Zabiłem ją, bo ona mnie zobaczyła, rozumie pan? Zobaczyła mnie takim, jakim jestem naprawdę, a nie takim, jakiego udaję. Patrzyłem w nią jak w lustro i nie mogłem znieść tego, co ujrzałem.

* * *

Wikary wytarł sos kawałkiem chleba i włożył go do ust.

– Bardzo dobre – pochwalił. – Naprawdę pyszny obiad.

Pawliczkowa skinęła głową, co równie dobrze mogło być zdawkowym podziękowaniem, jak i przyznaniem racji.

– Skończył ksiądz?

– Tak, dziękuję.

Gospodyni zabrała talerze, a wikary poszedł za nią do kuchni. Odkąd milicja przyszła po proboszcza, Bartek większość czasu spędzał na plebanii, nie w wikarówce. Nie zrażało go nawet to, że gospodyni, dawniej i tak mało-mówna, stała się jeszcze bardziej milcząca i zamknięta w sobie. Na szczęście gotowała równie dobrze jak wcześniej, a może nawet lepiej, jakby chciała wynagrodzić młodemu kapłanowi i zabranie proboszcza, i swoją własną oschłość.

– Myśli pani, że go puszczą? – zapytał.

– Nie wiem. – Pawliczkowa wrzuciła naczynia do zlewu, zakasała rękawy i puściła wodę. – Każdy musi dźwigać swój krzyż.

– Ale on tej dziewczyny przecież nie zabił. Ksiądz proboszcz to dobry człowiek... Nie mógłby.... Musimy coś z tym zrobić.

– Na przykład co? – Gospodyni szorowała talerz tak intensywnie, że na twarz wikarego pryskały krople ciepłej, pachnącej mydłem wody.

– Może pani da mu alibi? Powie pani, że był na plebanii z panią przez całe rano...

– Mam skłamać?

– To grzech, wiem. – Młody kapłan zaczerwienił się lekko. – Ale czasem trzeba, rozumie pani? Czasem to, co wydaje się złe, jest tak naprawdę dobre. Przecież oboje wiemy, że ksiądz proboszcz nie mógłby nikogo skrzywdzić.

– Mam jeszcze sporo pracy.

Cała plebania lśniła już czystością, ale wikary aluzję pojął.

– Posiedzę trochę w kancelarii na wszelki wypadek, gdyby ktoś przyszedł.

Wycofał się, słuchając trzaskania talerzy i szumu wody. W kancelarii usiadł za biurkiem, na fotelu, w którym zazwyczaj siadywał proboszcz. Ksiądz Bartek wciąż nie wiedział, czy to wypada – kiedyś nie miał takich obiekcji, bo był zwyczajnie kimś w rodzaju zastępcy, ale teraz zaczął się wahać. Czy to nie

wyglądało, jakby wykorzystując sytuację, próbował zająć miejsce proboszcza? Nie, chyba nie, uznał, ostatecznie i tak nie miał szans na objęcie własnej parafii w tak młodym wieku. Niedługo biskup przyśle tu nowego proboszcza, a chłopak wróci do wikarówki.

Siedział przez chwilę bez ruchu, patrząc na drgającą na biurku płamę słońca i wdychając zapach płynu do czyszczenia. Wszystko tu lśniło, świeżo wypolerowane, wyprane i wypastowane. A jednak ta czystość jeszcze bardziej podkreślała pustkę. Księdza Marczewskiego nie było i może nigdy już tu nie będzie, proboszcz nie usiądzie więcej w ulubionym fotelu, nie wysunie szuflady biurka, żeby znaleźć pióro, kartkę papieru czy kopertę.

Boże, co ja mam zrobić? To przecież niemożliwe, żeby ksiądz Jerzy był zdolny do zabójstwa. Bartek znał kiedyś jednego mordercę – mężczyznę, który zadźgał żonę podczas pijackiej burdy i poszedł na dziesięć lat do więzienia. To był zupełnie inny człowiek, brzydki, brutalny i odpychający. Naznaczony od początku piętnem zła. A w proboszczu zła nie było, bo w przeciwnym przypadku wikary by je zauważył – wtedy, w dzieciństwie, wiedział od razu, że sąsiadkę zabił jej mąż. Nikt mu nie wierzył, ale on wiedział.

Co mam zrobić?, powtórzył w myślach, tym razem nie zwracając się do nikogo konkretnego.

Wstał i wyszedł z kancelarii, a potem cicho, na palcach, wspiał się na piętro. Nie powinien tam iść. Mógł siedzieć w fotelu proboszcza, ale wchodzenie do jego sypialni to była już zdecydowana przesada. A jednak poszedł, uważając tylko, żeby nie przyłapała go gospodyni, która kręciła się teraz z odkurzaczem po jadalni.

Na górze pustka była jeszcze bardziej odczuwalna. Starannie zasłane łóżko, złożone w kostkę ubrania na półkach w szafie. Zapach płynu czyszczącego mieszał się z ciepłą wonią drewna i świeżo wypranej pościeli. Nawet wpadające przez okna promienie słońca wydawały się tu czyste, bez śladu drgających w świetle drobinek kurzu. Ksiądz Bartek, pełny poczucia winy, wysunął szufladę nocnego stolika. Była tam chusteczka, też wyprana i złożona w zgrabny trójkąt, oraz kartka, która wyglądała, jakby wypadła z książki. *Mała księżniczka*, a pod tytułem imiona wypisane niezgrabnym dziecięcym pismem:

Józia

Rózia

– Co ksiądz tu robi? – Głos za jego plecami zabrzmiał jak wystrzał. Wikary odłożył kartkę, zasunął szufladę i odwrócił się, stając twarzą w twarz z Pawliczkową. – Nie powinien ksiądz wchodzić do tego pokoju. To nie w porządku. – Nie wiedział, czy gospodyni ma na myśli, że proboszcz w każdej chwili może wrócić, czy wręcz przeciwnie, nie wróci już nigdy i w związku z tym jego mieszkanie należy traktować jak mieszkanie zmarłego.

– Wiem, przepraszam, ja tylko... Pożyczyłem jakiś czas temu księdzu

proboszczowi pióro i chciałem je odzyskać. – Wikary nie miał problemów, żeby od czasu do czasu minąć się z prawdą. – A to był prezent od mojego ojca.

– Nie znalazłam żadnego pióra, jak tu sprzątałam. – Głos Pawliczkowej wyraźnie złagodniał. – Ale jeszcze poszukam. Na razie musi ksiądz zejść na dół. Przyszła jakaś letniczka zapytać, czy jej syn może tu w wakacje służyć do mszy. Są z Gdańska. – Tym razem ton gospodyni wyrażał zdziwienie i chyba lekką dezaprobatę, jakby się zastanawiała, co u licha ludzie z Gdańska robią w Rokitnicy.

– Tak, oczywiście. Już idę. – Ksiądz Bartek był szczęśliwy, że wreszcie ma coś konkretnego do zrobienia.

* * *

Kapral Synowiec przyglądał się leżącym na wystawie ozdobom ze srebra i lapis-lazuli. Były tam broszki w kształcie ważek z misternie rzeźbionymi skrzydłami, pszczoły, a nawet muchy otoczone skomplikowanymi kwietnymi ornamentami. Wszystko owadzio-roślinne, pełne zawijasów, delikatne i precyzyjnie wykonane. Secesyjne – przypomniał mu się termin, o którym uczył się w szkole. Przez chwilę szukał jeszcze znajomego pierścionka, a kiedy go nie znalazł, wszedł do środka. Lewandowski powędrował za nim jak cień.

– Lepiej b...będzie, jeśli pan z...zaczeka na zewnątrz – powiedział Synowiec, jednak mężczyzna nie zareagował. Stał na środku sklepu z nieobecny wyrazem twarzy, a kapral miał do wyboru wrzasnąć albo odpuścić i nie zwracać na ojca Doroty uwagi. Wybrał to drugie, zwłaszcza że za ladą właśnie pojawił się siwowłosey, lekko łysiejący mężczyzna w zlepionych plastrem okularach.

– W czym mogę pomóc? – zapytał.

Synowiec wyjął z kieszeni pierścionek.

– Poznaje pan?

– Poznaje, to nasz wyrób. Nie spodobał się narzeczonej?

Kapral gwałtownie potrząsnął głową.

– Milicja, mamy do p...pana parę pytań.

– W porządku, niech pan pyta. – Synowcowi wydawało się, że przez twarz siwowłosego mężczyzny przemknęło lekceważenie. A może to było rozbawienie? Tak czy inaczej, kapral zdenerwował się jeszcze bardziej.

– P...poznaje p...pan tę dziewczynę? – Wyjął z kieszeni fotografię Doroty i podsunął ją pod nos mężczyźnie. Sprzedawca poprawił okulary i przyjrzał się uważnie.

– Nie. A powinienem?

– Nie kupowała u p...pana takiego pierścionka?

– Nie, chyba nie. Nie mam wielu klientów, więc większość pamiętam.

– A ktoś inny kupował? Nie t...teraz, tylko na wiosnę, d...dwa miesiące temu?

* * *

– Oczywiście, że Leszek może służyć do mszy. – Wikary uśmiechnął się sympatycznie. – Będzie nam miło, jeśli do nas dołączy.

– Ma własną komżę – zapewniła pani Tończyk z Gdańska. – To taki dobry chłopiec, bardzo zaangażowany. Czyli przysłać go jutro przed siódmą?

– Tak, jutro przed siódmą. – Ksiądz Bartek odprowadził panią Tończyk do wyjścia i pożegnał. Myślał przy tym, jak ten zaangażowany chłopiec i jego uroczą, równie zaangażowaną mamą zareagują na wiadomość, że proboszcz został zatrzymany do wyjaśnienia w sprawie morderstwa. Bo najwyraźniej jeszcze nikt ich o tym nie poinformował. Miejscowi oczywiście już wiedzieli, ale do przyjezdnych plotki zawsze docierały z opóźnieniem. Ksiądz Bartek zastanawiał się, czy któryś z letników wyjechał już z powodu tych zabójstw. Jeden chyba tak, a przynajmniej tak zapowiadał, kiedy wikary ostatnio z nim rozmawiał. Reszta prawdopodobnie została. Letnicy żyli w trochę innym świecie niż wieśniacy i rzadko miewali z miejscowymi kontakt dłuższy, niż potrzeba na kupienie piwa w knajpie czy widokówki w kiosku. Dla większości z nich te morderstwa musiały być czymś mało realnym, jak wszystko, co przydarza się obcym. Może rodzice bardziej pilnowali dzieci, może kobiety uważały, żeby nie wychodzić samotnie po zmroku, ale to wszystko.

Wrócił do kancelarii. Unosił się tu jeszcze zapach wody toaletowej i wikary zadrżał na wspomnienie zgrabnych piersi wynurzających się z dekoltu letniej sukienki. Pani Tończyk była starsza od niego o dobre dziesięć lat, ale i tak piękna. Zresztą nie miał zbyt wygórowanych wymagań, jeśli chodzi o kobiety. Lubił starsze i młodsze, grube i chude, rude, blondynki i brunetki. Oczywiście wyłącznie platonicznie, tak żeby tylko sobie popatrzeć na dary Boże.

Z trudem wyrzucił z pamięci panią Tończyk wraz z jej kształtnym biustem i zapachem konwalii miękko otulającym spoconą skórę. Spróbował skupić się na tym, co najważniejsze, czyli na kwestii proboszcza. Który był niewinny, ksiądz głęboko w to wierzył.

Usiadł za biurkiem, po czym odruchowo wysunął szufladę. Zrobił to już wcześniej i nie znalazł nic oprócz równo poukładanych kopert, ryzy papieru listowego, butelki z atramentem, paru ołówków i dwóch wiecznych piór. I oczywiście gazety, którą wyłożona była szuflada. Tym razem jednak przejrzał wszystko dokładniej. Butelka z atramentem z pewnością nie kryła w sobie żadnych tajemnic, tak samo pióra i ołówki. Podniósł plik kartek z odbitym pieczętą napisem PARAFIA ŚW. RODZINY W ROKITNICY. Też nic. Koperty były czyste. Ułożył je z powrotem w zgrabny stosik i już miał zamknąć szufladę, kiedy jego uwagę zwrócił biały rożek wystający spod gazety. Uniósł ją i wyciągnął skrawek papieru. Był na nim wypisany numer telefonu z kierunkowym do

województwa wrocławskiego – ksiądz Bartek wiedział, bo miał niedaleko Wrocławia ciotkę. Jedną z licznych ciotek, od których na święta dostał już tyle ciepłych skarpetek, że starczy mu do końca życia, i do których często dzwonił z pytaniami, co słyhać. Mniejsza z tym.

Po co księdzu Jerzemu był taki telefon? Wikary nie znał proboszcza jakoś szczególnie dobrze, wiedział jednak, że Marczewski oprócz matki i siostry nie ma żadnej rodziny. Przyjaciół też nie miał, poza tymi, których znał z seminarium, a którzy, o ile Bartek pamiętał, zostali w diecezji krakowskiej.

Zawahał się, ale w końcu przysunął sobie stojący na biurku telefon i zaczął wykręcać numer. Kiedy skończył, serce biło mu niespokojnie, a po drugiej stronie rozległ się przeciągły buczący sygnał. Wikary nie miał pojęcia, co powie, gdy ktoś odbierze. Prawdę powiedziawszy, wołałyby chyba...

– Kongregacja Sióstr Miłosierdzia, słucham. – Kobięcy głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Ja... – Zaplątał się w pierwszej chwili. – Bartłomiej Zięba z parafii w Rokitnicy. Chciałem zapytać... – Trudno, równie dobrze mógł walić prosto z mostu. – Czy kontaktował się z wami proboszcz Jerzy Marczewski?

– Znowu chodzi o księdza Zielnika? Przecież wasz proboszcz już u nas był i z księdzem rozmawiał. A ja tłumaczyłam, że to stary, schorowany człowiek jest i spokoju mu potrzeba.

– Tak, przepraszam, ja tylko...

– Będę wdzięczna, jeśli więcej nie będzie ksiądz dzwonił.

– Oczywiście.

– Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Pożegnanie wypadło wyjątkowo chłodno, jednak wikary był zadowolony. Dowiedział się nie tylko tego, że proboszcz interesował się jakimś księdzem Zielnikiem, lecz także tego, że był ostatnio w klasztorze niedaleko Wrocławia. Pewnie w piątek, kiedy zniknął na cały dzień. Zanim przyszła po niego milicja.

Nazwisko Zielnik coś wikaremu mówiło. Gdzieś już je z pewnością słyszał, tylko gdzie? Tutaj, w Rokitnicy?

Wstał zza biurka i gapił się przez chwilę na rozsloneczniony ogród. Widok zieleni zawsze dobrze na niego działał, jednocześnie uspokajając nerwy i pobudzając umysł. Wtedy go oświeciło – Zielnik! Przecież tak nazywał się poprzedni proboszcz!

Gospodynię znalazł w jej małym pokoiku, gdzie zbierała się do wyjścia. Zdjęła już fartuch i zmieniała właśnie chustkę. Na widok wikarego pośpiesznie zasłoniła głowę, ale i tak zdążył dostrzec burzę rudych loków, a także starą czerwoną bliznę na nieforemnym w tym miejscu, wgniecionym jakby czole.

– Mogę na chwileczkę? – zapytał speszony. – Nie przeszkadzam?
– Zaraz wychodzę.
– Wiem, ale chciałem tylko zapytać o parę rzeczy. Ksiądz proboszcz czegoś szukał, prawda? Tak mi powiedziała Aniela Grabkowa, wie pani, babka Staśka, ministranta.

– Wiem, kim jest Aniela Grabkowa. Staśka też znam. To moja rodzina, dalsza co prawda, ale rodzina.

– Aha – bąknął chłopak. – W każdym razie Grabkowa powiedziała, że ksiądz proboszcz czegoś szuka i że powinien przestać. I że ja mam mu to powtórzyć.

– Powtórzył ksiądz?

– Nie, jakoś nie było okazji. – Nie dodał, że wtedy polecenie wydawało mu się dość bezsensowne. – Ale teraz sobie pomyślałem, że warto się nad tym zastanowić. Może ksiądz Jerzy znalazł to, czego szukał, i to jest jakiś ważny dowód? – Nie dodał również, że już tego dowodu próbował szukać, w sypialni proboszcza i w jego biurku.

– Dowód czego?

– No, niewinności księdza. Poza tym – tu już wikary wyraźnie się zawahał – on próbował skontaktować się z poprzednim proboszczem.

– Skąd ksiądz to wie?

– Usłyszałem przypadkiem pod drzwiami, jak rozmawiał przez telefon. – Zabrzmiało to jak przyznanie się do podsłuchiwania i wikary pożałował, że zwyczajnie nie powiedział prawdy. – Może moglibyśmy, no nie wiem...

Zamilkł, niepewny, czy gospodyni nie straciła do niego całej sympatii. Kobieta jednak uśmiechnęła się ciepło. Smutno, ale jednocześnie ciepło.

– Zorganizować akcji, która udowodniłaby niewinność księdza proboszcza? Ksiądz młody jest jeszcze, niewinny, nie zna życia. A czasem po prostu nic nie można poradzić, rozumie ksiądz? Trzeba zaufać Bogu. Nie pytać o nic, nie sprzeciwiać się, tylko robić to, co należy, choćby naj-bardziej bolało.

– Ale...

– Niech ksiądz zostawi w spokoju i naszego proboszcza, i tego poprzedniego. Będzie, co Bóg da. Teraz muszę już iść. Z Bogiem.

– Z Bogiem. – Wikary pożegnał się odruchowo, a potem dodał szybko: – Odprowadzę panią, i tak muszę wpaść na chwilę do siebie.

Zamknął plebanię i razem przeszli przez ogród. Rozstali się przy furtce: Pawliczkowa poszła do domu, a ksiądz Bartek zawrócił, skręcając w stronę ukrytej za drzewami wikarówki.

Ktoś siedział przed drzwiami na schodku. Wikary zauważył go, dopiero kiedy mężczyzna zaczął się podnosić. Ksiądz Bartek, który rozpoznał już kapitana Witczaka, przystanął, a potem niepewnie ruszył naprzód.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się milicjant.

– Niech będzie pochwalony – odpowiedział skrepowany wikary. – Przyszedł pan w sprawie księdza Jerzego?

– Nie, przyszedłem zapytać, gdzie ksiądz ukrył rzeczy tej dziewczyny. Dorota, pamięta ksiądz? Zamordowana w lesie. Wcześniej spała przez dwie noce w wikarówce.

* * *

– Skąd pan wiedział? – zapytał ksiądz Bartek, kiedy już wyciągnął spod łóżka elegancką skórzaną torbę z mnóstwem kieszeni. – Nie zrobiłem jej krzywdy, przysięgam...

– O tym porozmawiamy później. A skąd wiedziałem? – Witczak uznał, że nie zaszkodzi się pochwalić. – To proste. Sporo osób widywało dziewczynę w centrum wsi, ale nikt nie chciał się przyznać do tego, że u niego nocowała. Jasne, ktoś mógł kłamać, ale potem uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie pytaliśmy we wszystkich domach. Został jeszcze jeden, właśnie wikarówka, która nie przyszła nikomu do głowy, bo ludzie uważają ją za część plebanii. Tyle że ksiądz tu mieszka całkiem sam, na uboczu. Gdyby jakaś dziewczyna u księdza spała, prawdopodobnie nie wiedziałby o tym ani proboszcz, ani gospodyni. Poza tym kiedy Dorota pojawiła się pierwszy raz w Rokitnicy, pytała o drogę na plebanię. Nie do kościoła, ale właśnie na plebanię. A teraz niech ksiądz siada i opowiada. Dokładnie, ze szczegółami, gdzie ksiądz spotkał tę dziewczynę i kiedy. Jak się zachowywała. Wszystko.

– Za kwadrans mam spotkanie grupy oazowej...

– Oaza poczeka. Zrobić księdzu herbaty, może z kropelką czegoś mocniejszego na odwagę? Ma ksiądz tutaj jakąś kuchnię?

– Tylko palnik elektryczny na dole, przy salce katechetycznej. Zaprowadzę pana.

– Nie, lepiej zostańmy na piętrze. Nie chcemy przecież, żeby ktoś nam przeszkadzał. Proszę. – Witczak wyciągnął z kieszeni spodni piersiówkę. – Może ksiądz sobie łyknąć. Ja nie piję, ale innym podobno to pomaga.

Wikary z wahaniem wziął butelkę i pociągnął solidny łyk. Alkohol zapiekł go w gardle, w oczach stanęły łzy. Zakaszłał, a kiedy się uspokoił, kapitan patrzył na niego z ciekawością.

– Lepiej? – zapytał.

– Nie.

– Trudno, obawiam się, że i tak musi mi ksiądz wszystko opowiedzieć. Zaczijmy od początku. Kiedy i gdzie ksiądz po raz pierwszy spotkał Dorotę Lewandowską?

– We wtorek wieczorem, tak gdzieś koło ósmej. Wraciałem właśnie od pani Wojnowskiej. To dobra kobieta, ale odkąd jej mąż zmarł, nie radzi sobie

z dziećmiakami, dlatego poprosiła mnie, żebym wpadł na chwilę i przemówił im do rozumu. Zwłaszcza najstarszy jest...

– Zostawmy Wojnowskich w spokoju i skupmy się na Dorocie. Wracał ksiądz na plebanie i... – Witczak zawiesił głos, a wikary podjął po chwili niechętnie.

– No, spotkałem tę dziewczynę w lesie koło plebanii. Wyszła zza krzaków tak nagle, że mało zawału nie dostałem. Potem oczywiście zobaczyłem, że wcale nie jest niebezpieczna, wyglądała raczej, jakby to ona potrzebowała pomocy. Była zdenerwowana i jakaś taka... trudno to opisać, jakby czujna? W każdym razie zapytała mnie, czy jestem księdzem z rokitnickiej parafii, ja powiedziałem, że tak, a wtedy ona opowiedziała mi jakąś okropną historię. O tym, że ją ścigają, że nie może nikomu zaufać i ja jestem jej ostatnią nadzieją. – Zaczerwienił się lekko. – Wiem, jak to teraz brzmi, ale wtedy po prostu jej uwierzyłem. Było w niej coś takiego... Po prostu się jej wierzyło, rozumie pan?

– A więc dziewczyna potrafiła być bardzo przekonująca. W porządku. Co dalej?

– Powiedziała, że nie ma gdzie spać, i błagała, żebym ją przenocował. – Młody ksiądz zaczerwienił się jeszcze bardziej. – Powiedziała, że jeśli się nie zgodzę, to będzie musiała spać na ziemi w lesie, a wtedy mogą ją dopaść ci, którzy ją ścigają...

– Dlatego ksiądz się zgodził – podpowiedział Witczak.

– Tak, właśnie tak... Jak tylko się ściemniło, przemyciłem ją do wikarówki i została do rana. Oddałem jej własne łóżko, a sam spałem na rozkładanym w drugim pokoju. – W głosie wikarego dało się wyczuć lekkie rozczarowanie.

– Do niczego między wami nie doszło?

– Nie. To znaczy... wie pan, ona chyba była chętna, ale powiedziałem jej, że nic z tego nie będzie. Nie mogłem przecież złamać ślubów.

Witczak skinął głową, choć jego zdaniem chłopak zmyślał – Dorota mogła podrywać przystojnego proboszcza, ale mało prawdopodobne, by interesowała się jednocześnie brzydkim wikarym. Zresztą wszystko jedno, uznał kapitan. To i tak nie miało teraz znaczenia.

– A potem?

– Rano wymknęła się wcześniej, jeszcze przed śniadaniem. Poprosiła, żebym przechował jej rzeczy, a ja się zgodziłem. Myślałem, że przyjdzie po nie po południu, i nawet się bałem, czy nie wpadnie na Pawliczkową albo na księdza Jerzego. Ale dziewczyny nie było cały dzień, dopiero wieczorem, kiedy się ściemniło, zauważyłem ją z okna przed wikarówką. Wtedy zszedłem i otworzyłem jej drzwi, a ona zapytała, czy może zostać na jeszcze jedną noc. Mówiła, że to ostatni raz i że rano sobie pójdzie...

– A ksiądz znowu się zgodził.

Wikary potarł nos.

– Chyba po prostu było mi jej żal – przyznał. – Poza tym, wie pan, w gruncie rzeczy przecież nie robiłem nic złego. Dlatego pozwoliłem jej zostać, a rano znowu wyszła wcześniej.

– Bez torby, jak poprzednim razem.

Ksiądz przytaknął.

– Dopiero później się zorientowałem, że jej nie wzięła, i nie wiedziałem, co robić. W końcu schowałem torbę pod łóżko i czekałem. Myślałem, że Dorota znowu pojawi się wieczorem, ale tym razem nie przyszła. Zobaczyłem ją dopiero następnego dnia rano.

– W piątek.

– Tak. – Ksiądz Bartek, o ile to możliwe, wyglądał na jeszcze bardziej nieszczęśliwego. – Zobaczyłem, jak wychodzi z plebanii i znika w lesie. Na początku byłem za bardzo skołowany, żeby coś zrobić, w końcu jednak postanowiłem, że poszukam jej i zapytam, kiedy odbierze swoje rzeczy. Dlatego poszedłem za nią, ale było za późno, bo nigdzie jej nie mogłem znaleźć. Kręciłem się tylko przez jakiś czas po lesie, aż wreszcie trafiłem na księdza Jerzego. On powiedział, że wraca na plebanię, więc ja też wróciłem. I to tyle, przysięgam. Po południu dowiedziałem się, że została zamordowana. Na początku zresztą w ogóle nie wiedziałem, że to o nią chodzi, dopiero jak ktoś wspomniał o tej zielonej spódniczce, coś mnie tknęło... Chciałem wam powiedzieć, że tu była, ale w końcu to nie miało większego znaczenia, prawda?

Witczak nie skomentował, a chłopak po chwili nerwowego wyłamywania palców kontynuował wątek.

– Sprawdziłem te jej rzeczy i tam nie ma nic ciekawego. Naprawdę. Same ubrania i trochę kosmetyków, nic, co mogłoby pomóc w śledztwie. Gdyby tam coś było, tobym wam oddał tę torbę.

– A tak zastanawiał się ksiądz, jak się jej pozbyć?

– Trochę. – Wikary zawstydział się wyraźnie. – Ale nie mogłem jej wrzucić do rzeki, bo za płytka, a w lesie bałem się zakopać, bo ktoś mógłby mnie zobaczyć. Myślałem, żeby ją spalić, ale piec jest tylko na plebanii, a tam ciągle się ktoś kręcił, dlatego zrezygnowałem.

– Ma ksiądz jakiś pomysł, dlaczego dziewczyna nagle postanowiła przenieść się z wikarówki na plebanię?

Pokręcił głową.

– Nie. Chociaż teraz...

– Tak?

– No wie pan, wcześniej o tym nie pomyślałem, ale ona jakby od początku interesowała się plebanią. Najpierw wyglądała na rozczarowaną, że wikarówka to osobny budynek, a potem parę razy pytała, czy nie mógłbym jej zabrać do

głównego. Tylko że, jak mówiłem, na plebanii zawsze ktoś był, dlatego nie chciałem...

– I nie powiedziała, czego właściwie zamierzała tam szukać?

– Nie.

– A coś innego mówiła? Na przykład po co właściwie przyjechała do Rokitnicy? W końcu spędziła u księdza dwie noce, musieliście o czymś rozmawiać.

– Raz powiedziała, że Józia nie chciała, żeby ona tu przyjeżdżała. Nie wiem, o kogo chodziło. W książce u proboszcza znalazłem takie imię, ale to chyba nie może być ta sama osoba. Poza tym powtarzała to, co panu mówiłem. Że ścigają ją jacyś ludzie, którzy zabili już jedną dziewczynę, i że ona musi coś z tym zrobić.

– Tak właśnie powiedziała? „Muszę coś z tym zrobić”?

– Może nie dokładnie. Nie pamiętam wszystkiego.

– I nie poradził jej ksiądz, żeby ze swoimi podejrzeniami poszła na milicję?

– Radziłem, naprawdę. – Wikary wierzchem dłoni otarł łzy. – Ale ona mówiła, że i tak jej nie uwierzycie, bo już wcześniej miała problemy i wszyscy uważają ją za wariatkę. A potem powiedziała jeszcze...

– Tak?

– Że to bardzo niebezpieczni ludzie. Jakaś sekta, która chciała złożyć ją w ofierze, ale ona im uciekła. Wtedy pomyślałem sobie, że jednak trochę zmyśla, i nie potraktowałem jej tak całkiem poważnie. A teraz... Myśli pan, że to wszystko była prawda?

* * *

– Sekta? – zapytała z niedowierzaniem Hanka. – Naprawdę?

Stali w gasnącym słońcu przed posterunkiem, oparci o maskę poloneza. Witczak palił papierosa, Hanka po prostu cieszyła się łagodnym ciepłem wieczoru. Od czasu do czasu mijali ich idący poboczem ludzie, a wtedy milicjanci przerywali na chwilę rozmowę albo przynajmniej zniżali głos. Tak naprawdę powinni wejść na posterunek, ale żadne nie miało na to ochoty.

– Powtarzam to, co usłyszałem. – Kapitan poprawił zsuwającą mu się z ramienia skórzaną torbę. – I nie sędzę, żeby księżulo kłamał. Raczej dziewczyna fantazjowała. Ale jakaś część tego, co mówiła, mogła być prawdą. Mam wrażenie, że ona naprawdę się kogoś bała.

Hanka zawahała się.

– Marta Jaczyk przyjechała do Rokitnicy, żeby kogoś powstrzymać. Tak powiedziała temu studentowi. „Musimy go powstrzymać”. A potem przyjeżdża Dorota Lewandowska, która też zamierza „coś z tym zrobić”...

– Brzmi zaskakująco podobnie, co? – mruknął kapitan, patrząc na parkujący na przystanku autobus, z którego wysypała się grupa nastolatków. Mieli plecaki z przytroczonymi do nich namiotami, a jeden z chłopaków niósł gitarę. Wyglądali

na zbyt młodych, by chodzić po górach bez opieki dorosłych, ale w sumie co on wiedział? Może to Witczak się zestarzał i w każdym poniżej dwudziestego roku życia widział dziecko.

– I obie dziewczyny zginęły, zabite w brutalny sposób. – Głos Hanki wyrwał go z zamyślenia. – Miały też identyczne pierścionki i podobne daty urodzenia... Zwrócił pan na nie uwagę?

– Czwarty i czternasty lipca, owszem. Deklaracja niepodległości Stanów Zjednoczonych i zdobycie Bastylji. Tylko co by to miało znaczyć?

– Pewnie to przypadek – uznała Hanka.

Witczak rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął.

– Zeznania wikarego pasują mniej więcej do tego, co powiedział nam proboszcz. Powiedzmy, że Lewandowska przyjeżdża z jakiegoś powodu do Rokitnicy i chce się dostać na plebanię. Zaczepia księdza, a ten pozwala jej u siebie przenocować. Niestety, wikarówka nie jest połączona z głównym budynkiem i dziewczyna ma problem. Kręci się przez jakiś czas po wiosce, szukając Bóg wie czego, aż wreszcie szczęście się do niej uśmiecha: spotyka przy krzyżu proboszcza i wciska mu ławą bujdę, że nie ma gdzie spać. A proboszcz, dokładnie tak samo jak wcześniej wikary, lituje się nad nią i zabiera do siebie.

– Myśli pan, że to spotkanie przy krzyżu nie było przypadkowe?

– Nie wiem. Jak sądzisz?

Zastanowiła się.

– Chyba jednak było. Marczewski wracał wtedy od Chochołka, a dziewczyna raczej nie miała możliwości dowiedzieć się, że tam poszedł. Zresztą nawet jeśli wiedziała, to i tak nie mogłaby przewidzieć, kiedy będzie wracał. To by znaczyło, że po pierwsze, ona też interesowała się krzyżem, a po drugie, że wizyta na plebanii nie była dla niej najważniejsza. Gdyby była, już wcześniej znalazłaby sposób, żeby się tam dostać.

– Czyli przyjechała tu z jakiegoś innego powodu, a zajrzeć na plebanię chciała tylko przy okazji. W porządku. To jednak nijak nie przybliży nas do odpowiedzi na pytanie, kto ją zabił. Ksiądz?

– Ma pan na myśli proboszcza?

– Przyznał się przecież. I miał powód. Urażona męska duma potrafi mocno boleć.

– Wiem, ale... – Hanka zbierała myśli.

– Ale sądzisz, że to jednak nie on?

Pokręciła głową.

– Mogłabym uwierzyć, gdyby zabił ją pod wpływem emocji na plebanii, ale nie wierzę... nie wydaje mi się, żeby z powodu urażonej dumy szedł za nią do lasu. Czy to ma sens?

– Ma. – Witczak westchnął. – Jutro rano pojedziemy do Żywca i zobaczymy,

co proboszcz nam powie. Możesz iść, ja jeszcze tylko podrzucę na posterunek torbę Lewandowskiej.

– Jest w niej coś ciekawego?

– Moim zdaniem nie, ale może Waškowiak coś znajdzie.

* * *

Starszy sierżant rozłożył na stole dziewczęce ubrania: parę dżinsowych spodenek, różową koszulkę, sukienkę w groszki, lekki sweter i trochę koronkowej bielizny – Waškowiak nie znał się na damskich fataląszkach, ale zgadywał, że wszystko to musiało być drogie, prawdopodobnie przywiezione z Zachodu, a nie kupione w zwyczajnym polskim sklepie. Do tego kosmetyki: butelka szamponu, pasta i szczoteczka do zębów, pachnące mydło i słoiczek z kremem. Rzeczy, które można zabrać ze sobą na krótki wakacyjny wypad. A przynajmniej takie, które mogłaby zabrać ze sobą niezbyt praktyczna dziewczyna, bo praktyczna dorzuciłaby do tego solidne buty, długie spodnie i kurtkę przeciwdeszczową. Dorota Lewandowska miała szczęście, że tylko raz trafiła na burzę – w Rokitnicy zdarzały się lata, kiedy przez cały miesiąc padał deszcz, a temperatura oscylowała w granicach kilkunastu stopni.

Waškowiak dotknął ostrożnie majteczek w kolorze, którego nawet nie potrafił nazwać. Seledynowy? Tak, to chyba był seledynowy. Podejrzewał, że większość dziewczyn dałaby się pokroić za coś takiego, choć on osobiście zawsze wolał kobiety w zwyczajnych ciuchach. Jego narzeczona nosiła bawełniane majtki z wyhaftowanymi nazwami dni tygodnia. Po niemiecku, bo dostała je od mieszkającej w RFN-ie ciotki. Do dziś były to jedyne słowa, jakich nauczył się w jakimkolwiek obcym języku.

Nie chciał myśleć o Irenie. O Dorocie też zresztą nie. Ani o jej mordercy. Miał szczerą nadzieję, że okaże się nim proboszcz Marczewski – wtedy zostałyby im tylko jedno zabójstwo do wyjaśnienia – ale coraz mniej w to wierzył. To był ktoś inny, pomyślał. Ktoś sprytny i przewidujący.

Ktoś, kogo prawdopodobnie nigdy nie złapiemy.

Spakował rzeczy z powrotem do torby i przez chwilę wahał się między zagraniem wody na kawę a pójściem na piwo. Jednak zanim podjął decyzję, na posterunku pojawił się Synowiec. Wszedł i cofnął się odruchowo, a Waškowiak dopiero wtedy uświadomił sobie, że w pomieszczeniu wciąż śmierdzi zdechłą myszą – on siedział tu już tak długo, że zdążył przywyknąć.

– Coś ciekawego? – zagadnął, ale kapral pokręcił głową.

– U jubilera pytałeś?

– P...pytałem, ale nic nie p...pamięta. – Spojrzenie Synowca padło na torbę. – T...to jej rzeczy? Z...znaleźliście je?

– Były u księdza. Nie u proboszcza, tylko u wikarego.

Kapral zajrzał do środka i zamknął torbę.

– Nie ma d...dokumentów i p...portfela – powiedział, unosząc głowę. – M...morderca zabrał?

Waškowiak spojrzał na niego uważnie i przytaknął w zamyśleniu.

środa, 23 lipca

– Znaleźliście rzeczy Doroty w wikarówce? – powtórzył ksiądz Jerzy, choć Hanka była przekonana, że zrozumiał doskonale za pierwszym razem i potrzebował tylko chwili do namysłu. Był czujny, skoncentrowany na tym, co zaraz powie. Inteligentny mężczyzna, tak bardzo świadomy tego, ile będzie zależało od jego słów.

– Tak, znaleźliśmy rzeczy Doroty w wikarówce – potwierdził Witczak.

Ksiądz Jerzy Marczewski zyskał jeszcze jedną cenną sekundę, poprawiając mankiety więziennej koszuli. Dziwnie wyglądał w tym stroju, bez sutanny czy choćby koloratki. Nadal sprawiał wrażenie księdza, ale tym razem przebranego, jak nieudolny oszust. Hanka nie wiedziała, czy budzi to w niej rozczenie, czy wręcz przeciwnie, lekki niepokój.

Milczenie przedłużało się. Siedzieli w sali widzeń przy stoliku niedaleko okna. Reszta miejsc była wolna, światło słońca odbijało się od blatów pustych stołów, na których zostały smugi niedokładnie wytartego kurzu, a kiedy mówili, ich głos roznosił się echem. Starsza szeregowka czuła się trochę jak na wyludnionej stołówce, wrażenie psuły jednak kraty w oknach i stłumione grubymi murami dźwięki: miarowe kroki strażników na korytarzach, zgrzyt odsuwanych i zamykanych krat, dobiegające zza okna głosy więźniów.

– Nie ma ksiądz nic do powiedzenia? – Witczak ponaglił Marczewskiego.

– Nie wiem, czego się pan spodziewa.

– Wciąż podtrzymuje ksiądz swoje zeznania?

– Chciałem ją zabić – powiedział proboszcz. – Był taki moment... Stała przede mną i śmiała się, a ja pomyślałem, że chciałbym wbić jej nóż w gardło. I nie chodziło o śmiech, tylko o to, jak na mnie patrzyła. Jakby zobaczyła całą moją nędzę i budziło to w niej rozbawienie. Nienawidziłem jej wtedy. Nigdy wcześniej do nikogo czegoś takiego nie czułem.

– Ale nie zabił jej ksiądz?

– Czasem sam nie jestem pewny.

Witczak westchnął.

– Jeśli to księdzu pomoże, nie podejrzewamy Bartłomieja Zięby. Jest mańkutem, a Lewandowską zabił ktoś praworęczny. A teraz naprawdę będę wdzięczny, jeśli ksiądz powie nam wreszcie prawdę.

* * *

– Spotkałem dziś Janinę Kurkową – powiedział wikary, grzebiąc w jajecznicy. Po raz pierwszy w całym swoim niezbyt długim życiu nie miał apetytu. – Prosiła, żebym odprawił mszę w intencji uratowania Rokitnicy.

– Z powodu elektrowni? – Pawliczkowa kręciła się wokół stołu, roznosząc kuchenne zapachy, którymi przesiąknięty był jej fartuch. Woń ciasta i zupy kalafiorowej zmieszana z delikatną nutą wietrzejącego już powoli krochmalu.

Wikary skinął głową.

– Podobno rozmawiała wcześniej z księdzem proboszczem, a on obiecał, że się zastanowi.

– Ksiądz tę mszę odprawi?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem. Może po prostu zaczekamy, aż ksiądz proboszcz wróci i niech on podejmie ostateczną decyzję. – Bartek szczerze wierzył, że po jego zeznaniach milicja nie będzie już Marczewskiego podejrzewać. Na wspomnienie tego, co powiedział Witczakowi, płonęły mu uszy, ale mimo wszystko warto było przez to przejść, żeby mieć czyste sumienie.

Spojrzał na gospodynię, choć sam nie wiedział, czego właściwie od niej oczekuje. Dobrej rady? Pocieszenia? Jednak Pawliczkowa minę miała jak zawsze nieprzeniknioną.

– Będzie ksiądz jeszcze jadł? – zapytała.

Odsunął talerz.

– Chyba nie. Jakoś nie mam dziś apetytu – dodał usprawiedliwiająco.

Zabrała talerz i sztućce, a kiedy wychodziła z jadalni, odwróciła się jeszcze w prog.

– Msza nic nie da – powiedziała. – Najpierw trzeba zmazać grzechy, dopiero potem można prosić Boga o miłosierdzie.

* * *

– Było tak, jak mówiłem – powiedział proboszcz. – Prawie wszystko się zgadza. Z wyjątkiem tego, że nie zabiłem tej dziewczyny. Chciałem, ale nie zrobiłem tego. Wyrzuciłem ją tylko z pokoju, kiedy zaczęła się śmiać, i próbo-wałem dalej spać. Była wtedy czwarta, może wpół do piątej. Nie pamiętam już. Byłem cały roztrzęsiony, ale wreszcie udało mi się zasnąć, a potem obudził mnie trzask drzwi wejściowych. Wstałem, podszedłem do okna i zobaczyłem Dorotę idącą w stronę lasu. Wtedy już złość mi przeszła i tamta myśl... ta myśl, żeby zabić, wydawała się tylko złym snem. Martwiłem się o tę dziewczynę. Większość tego, co mi powiedziała, to czyste fantazje, ale w jednym chyba mówiła prawdę: była sama i potrzebowała pomocy. Dlatego postanowiłem za nią iść. Szukałem jej przez jakiś czas, aż wreszcie trafiłem nad jezioro i tam ją zobaczyłem. Wisiała na drzewie. – Spojrzał na własne dłonie leżące na blacie stołu, splótł je ze

sobą i dopiero po chwili podniósł wzrok na Witczaka.

– Nie zamierzał jej ksiądz pomóc?

– Ona nie żyła – odparł znużonym głosem. – Widziałem wystarczająco dużo martwych ludzi, żeby potrafił rozpoznać śmierć. Nic już nie mogło jej pomóc. Dlatego zawróciłem na plebanię, żeby stamtąd zadzwonić na posterunek, ale...

– Po drodze spotkał ksiądz wikarego.

Marczewski skinął głową.

– Powiedział, że wyszedł na spacer, a ja nie uwierzyłem. To dobry chłopak i znacznie lepszy kapłan niż ja, ale od czasu do czasu mija się z prawdą. I nie umie nawet przekonująco kłamać. Poza tym wiedziałem już, że znał tę dziewczynę.

– Skąd?

Usta proboszcza drgnęły w delikatnym, smutnym uśmiechu.

– Bo widziałem wcześniej, jak wchodziła nocą do wikarówki. To znaczy, widziałem jakąś kobietę, wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że to Dorota. Ale potem, kiedy przywiozłem ją samochodem, ona wysiadła pierwsza i pobięła schronić się pod dachem, kiedy ja parkowałem. Obserwowałem ją przez chwilę. Pamięta pan tę gałąź w ogrodzie?

– Pamiętam. – Witczak skrzywił się na wspomnienie bólu wykręconej kostki.

– No właśnie, wszyscy się o nią potykają. A Dorota nawet nie spojrzała pod nogi. Po prostu przeskoczyła ją, jakby doskonale wiedziała, gdzie leży. Wtedy się domyśliłem, że dziewczyna musiała tam być już wcześniej, i połączyłem to z tamtą sylwetką, którą widziałem w ciemności. Prawdziwy ze mnie detektyw, co?

– Mógłbym księdzu oddać moją pensję – zapewnił Witczak. – Gdyby nie to, że formalnie ksiądz wciąż jest naszym głównym podejrzanym. Zresztą jestem lepszy, bo domyśliłem się, że ksiądz próbuje kogoś chronić. Najpierw stawiałem na Chojniaka. Ma ksiądz słabość do jego żony, zgadza się? Nie, nie musi ksiądz odpowiadać, tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi. W każdym razie kiedy puściliśmy Chojniaka, a ksiądz nadal upierał się przy swoim, pomyślałem o wikarym i postanowiłem wpaść do niego z wizytą. Taki ze mnie bystrzacha.

– Naprawdę ksiądz chciał wziąć na siebie winę za takie morderstwo? – Hanka odezwała się po raz pierwszy, odkąd znaleźli się w sali. – Żeby chronić zabójcę?

– Chciał się ukarać – powiedział kapitan. – Dobrze zgadłem? Nie chodziło tylko o księdza Ziębę, ale też o karę. Za to, że uważał się ksiądz za kiepskiego duchownego. Że nigdy nie rozumiał ludzi i ich problemów. Poza tym kimś takim jak ksiądz chęć zabicia niewinnej dziewczyny musiała wstrząsnąć nieproporcjonalnie mocno. Założę się, że to była pierwsza naprawdę grzeszna myśl w całym księdza życiu.

– Ta dziewczyna... – mruknął ksiądz Jerzy, nie patrząc ani na Witczaka, ani

na Hankę. – Niektórzy mają taki dar, że wydobywają z ludzi to, co najlepsze. Z Dorotą było odwrotnie: wydobywała z nich to, co najgorsze. Nigdy wcześniej nie czułem się tak mały i żalony jak wtedy, kiedy spojrzałem jej w twarz. A potem doszedłem do wniosku, że ksiądz Bartek też musiał się tak czuć, i pomyślałem... Pomyślałem, że cokolwiek się w tym lesie stało, lepiej zostawić to sumieniu tego chłopaka. Bóg wybacza, ale ludzka sprawiedliwość jest bezlitosna.

Starsza szeregową otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale kapitan wyprzedził ją, zmieniając temat:

– Naprawdę dziewczyna nosiła ze sobą nóż?

– Nie, a przynajmniej ja żadnego noża nie zauważyłem. Ale opowiadała mi, że miała kiedyś do obrony taki mały ostry sztylecik.

– Mówiła, co się z nim stało? – Witczaka niespecjalnie to interesowało. Lewandowska nie została zabita żadnym sztylecikiem, tylko czymś w rodzaju myśliwskiego noża.

– Nie.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

– O niczym szczególnym. Mówiła mi, że przyjechała tu z ważnego powodu, ale nie powiedziała jakiego. Może chciała być tajemnicza, a może zwyczajnie zmyślała. Raz wspomniała o kimś, komu nie można na coś tam pozwolić, ale też nie wiem, o co dokładnie jej chodziło. Była rozkojarzona, a jednocześnie... zdeterminowana? Tak, to chyba dobre słowo.

Hanka drgnęła. Tak samo Rafał Sałata określił Martę.

– I jeszcze jedno – ciągnął ksiądz. – Nie wiem, czy to się wam na coś przyda, ale myślę, że Dorota zaczęła mnie pod tym krzyżem nie dlatego, że nie miała gdzie spać, tylko dlatego, że chciała zajrzeć do księgi parafialnej. Rano, kiedy wróciłem z lasu, zobaczyłem, że szuflada w kancelarii jest otwarta, a nikt oprócz mnie tam nie zagląda.

– Co w tej księdze jest? Śluby, zgony, takie tam?

– Takie tam, owszem – potwierdził proboszcz i jeśli poczuł się odrobinę urażony tonem Witczaka, nie dał tego po sobie poznać.

– I nie ma ksiądz pojęcia, czego dziewczyna dokładnie szukała?

– Nie, ale mogę panu powiedzieć, który rok ją interesował. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty. Musiała się śpieszyć, kiedy zamykała księgę, bo róg się zagiął, a ja zawsze dbam, żeby wszystko było w porządku.

– Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty?

Przytaknął.

– To księga jeszcze z poprzedniej parafii, sięga połowy lat pięćdziesiątych. Wie pan, że tamtego roku latem w Brzozówce doszło do podwójnego zabójstwa? Prawie potrójnego?

– Wiem. Interesował się ksiądz tym morderstwem?

- Nie, o tym dowiedziałem się dopiero niedawno.
- W takim razie o co ksiądz tak wypytywał?
- Proboszcz zarumienił się lekko.
- Skąd pomysł, że w ogóle o coś wypytywałem?
- Po wsi chodzą plotki, że wsadza ksiądz nos w nie swoje sprawy. Hanka mi mówiła. – Witczak spojrział na starszą szeregową, która energicznie skinęła głową. – Poza tym w piątek gdzieś ksiądz pojechał, a ja nadal nie wiem gdzie. Skoro ksiądz powiedział nam już tyle, to może darujemy sobie resztę tajemnic i wreszcie będziemy wobec siebie szczerzy?

* * *

Ewa przysunęła fotel na kółkach do kuchennego stołu i zaczęła obierać marchewkę. Na obiad miała być zupa szczawiowa z ziemniakami. Franciszek ją lubił, ona nie, ale od czasu do czasu gotowa była poświęcić się dla męża. Zwłaszcza teraz, po tym wszystkim, co przeszli, zasługiwał na to, co najlepsze.

Oplukała już szczaw i zabrała się do mycia ziemniaków. Za gotowaniem też nie przepadała, ale w jej sytuacji każda odrobina samodzielności była na wagę złota. W kuchni szafki zawieszono tak, żeby mogła wszędzie sięgnąć, zaś między stołem a piecem zostawiono przejście wystarczająco szerokie, by przejechał nim wózek. Franciszek sam zaprojektował kuchnię i resztę pomieszczeń po wypadku, kiedy okazało się, że Ewa nie będzie chodzić. Wtedy kupił jej fotel na kółkach i obiecał, że nie tylko przerobi dom, lecz także zajmie się ogrodem – na wąskich, wyboistych ścieżkach miał położyć drewniane kładki, po których dziewczyna mogłaby swobodnie się poruszać. Obietnicy przerobienia domu dotrzymał, obietnicy położenia kładek – już nie. W dobre dni Ewa tłumaczyła sobie, że Franek ma sporo pracy, zwłaszcza teraz, kiedy do zajmowania się gospodarstwem został w zasadzie sam, i zwyczajnie brak mu czasu. W gorsze zastanawiała się, czy nie było innej przyczyny. Na przykład takiej, że nie chciał, by żona była za bardzo samodzielna. Wolał, kiedy siedziała w domu, całkowicie od niego zależna.

Dziś był gorszy dzień. Ewa siekała cebulę, starając się nie zwracać uwagi na szczypiące oczy. Nie chciała myśleć o tym, co było kiedyś. Jak biegła przez łąkę, podczas gdy wilgotne od rosy źdźbła trawy smagały nagą skórę jej łydek. Kiedy była dzieckiem i później, w wieku nastoletnim, uwielbiała latem chodzić boso. Czuć pod stopami miękką ziemię i szorstkie, ciepłe od słońca kamienie. Rodzice zawsze się o to wściekali – w ich pojęciu bez butów chodzili tylko biedacy, a czarne pięty przynosiły wstyd całej rodzinie. „Jakby nie było nas stać, żeby cię porządnie ubrać”, mówił ojciec, najbogatszy człowiek w całej Brzozówce. Wtedy jeszcze bardzo kochał swoją córkę. Potem, po wypadku, jeszcze kochać próbował, ale wreszcie się poddał. Zawsze był silnym, zdrowym mężczyzną i nie mógł znieść myśli, że jego córka, do niedawna tak samo zdrowa i silna, teraz przypomina

zepsuta lalkę. Ewa miała do niego odrobinę żalu, ale w inne dni nawet go rozumiała. Złe dni, takie jak ten.

Gdy Franciszek wszedł do kuchni, ocierała właśnie łzy z oczu.

– Cebula? – zapytał.

Skinęła głową. Jak zawsze na widok męża poczuła przyływ niemal bolesnej czułości zmieszanej z odrobiną irytacji, do której nie przyznawała się nawet sama przed sobą. Lubiała z nim być, ale też ta bliskość szybko zaczynała ją przytłaczać.

Franciszek pocałował żonę w czubek głowy i poczochnął jej włosy.

– Będę musiał pojechać do Żywca – powiedział. – Załatwić parę rzeczy. Może jutro?

– Czemu nie dzisiaj? – zapytała niewinnie.

– Nie chcę cię znowu zostawiać samej. Kurkowa nie może teraz przyjść.

– Poradzę sobie jakoś, przecież to tylko parę godzin. Poza tym nie będę sama.

– Spodziewasz się kogoś? – Zmarszczył brwi.

Uśmiechnęła się.

– Janek Synowiec obiecał, że wpadnie na chwilę.

Franciszek rozpogodził się. Lubił młodego kaprała, jeszcze z czasów, kiedy wszyscy bawili się w milicjantów i złodziei. Dawne czasy, pomyślała Ewa, znowu czując lekkie ukłucie w sercu.

– Robisz chłopakowi wodę z mózgu – uznał Franciszek. – Przecież niczego nie wiesz o śmierci tej dziewczyny. Tylko udajesz.

– Jesteś tego pewien? – Ewa przekrzywiła głowę.

– Gdybyś wiedziała, powiedziałaś mi, prawda?

Trzymała męża przez chwilę w niepewności, ale wreszcie parsknęła śmiechem.

– Za dobrze mnie znasz – przyznała. – Niczego nie potrafię przed tobą ukryć.

Zawtórował jej śmiechem, a potem wyciągnął rękę i pogłaskał żonę po różowym policzku.

– Moja mała, sprytna kłamczucha – powiedział z czułością.

* * *

Proboszcz przyjechał na plebanię, odwieziony osobiście przez Hankę służbowym polonezem. Wikary wyszedł mu na spotkanie i uściskał serdecznie w ogrodzie. Pawliczkowa stała w drzwiach, powściągliwa jak zwykle, ale i jej oczy błyszczały radością.

– Obiad prawie gotowy – oznajmiła. – Ksiądz proboszcz pewnie głodny jest, bo założę się, że tam was dobrze nie karmili.

Słowa „w areszcie” najwyraźniej nie potrafiły przejść jej przez usta. Dokładnie w tym momencie Marczewski zrozumiał, że nie będzie żadnych

łzawych opowieści o ciężkim losie niesłusznie oskarżonego księdza. Po prostu nie będą wspominać o tym, gdzie spędził kilka ostatnich dni. Było, minęło, nie warto roztrząsać sprawy. Jest dobrze – tego ostatniego co prawda nie był pewien, ale uznał, że nie powinien psuć humoru gospodyni i wikaremu.

Umył ręce, przebrał się i usiedli do stołu. Tego dnia Pawliczkowa przeszła samą siebie: na obiad była zupa kalafiorowa, a na drugie pieczona kaczka z jabłkami. Prawie jak święto, pomyślał proboszcz. Naprawdę był głodny, ale na więziennym wikcie żołądek mu się skurczył i nie mógł zjeść dużo.

– Już dziękuję, naprawdę. Zaraz pękne.

Wikary wziął dokładkę, ale gdzieś w połowie posiłku jego radość się ulotniła, chłopak jadł coraz wolniej, coraz bardziej markotny. Ksiądz Jerzy podejrzewał, że chodzi o Dorotę i jej nocowanie w wikarówce – prędzej czy później musieli o tym porozmawiać. I o paru innych rzeczach też. Jak się jednak okazało, młodego kapłana męczył znacznie bardziej błahy problem.

– Pani Grabkowa znowu prosiła, żeby odprawić mszę w intencji ocalenia Rokitnicy – powiedział. – A ja się zgodziłem w imieniu księdza, bo... Zna ksiądz proboszcz panią Grabkową.

Marczewski skinął głową. Znał Grabkową, owszem. Kobieta musiała wyczuć słabość Bartka i tak długo wierciła mu dziurę w brzuchu, aż się zgodził.

– Ma ksiądz coś przeciwko?

– Nie, właściwie nie. – Proboszcz, który miał większe problemy na głowie, machnął ręką. – Nie sędzę, żeby Rokitnicy cokolwiek groziło, ale jeśli msza ma ludzi uspokoić, to czemu nie.

– Wcześniej ksiądz mówił, że...

– Pamiętam, co mówiłem. – Wstał zza stołu. – Przepraszam, muszę wyjść na chwilę. Wrócę niedługo.

Poszedł do drzwi, odprowadzany rozczarowanym spojrzeniem wikarego. Kaczka z jabłkami ciążyła mu w żołądku, ale i tak wsiadł na rower i popedałował w stronę otwartej furtki, a potem skręcił w prawo, w drogę wiodącą do gospodarstwa Chojniaków.

* * *

Witczak kupił przy barze kufel zimnego, spienionego piwa i zaniósł go na taras domu wczasowego, gdzie siedział już Waškowiak.

– Na mój koszt – powiedział.

Starszy sierżant podniósł na niego niepewne spojrzenie.

– Jestem na służbie – burknął.

– Wcześniej jakoś się tym nie przejmowałeś.

– Chcesz mnie upić?

– Chcę tylko pogadać.

Waškowiak przysunął sobie kufel i upił łyk.

– Staram się ograniczać – oznajmił. – Ale jeśli stawiasz, to czemu nie. Na zdrowie.

Kapitan uniósł butelkę coca-coli.

– Na zdrowie.

Po parku kręciła się rodzina z małą dziewczynką. Ojciec szukał miejsca, żeby zrobić zdjęcie, matka goniła dziecko, które koniecznie chciało nakarmić wiewiórkę.

– Wiewióra, wiewióra! – wołała mała, choć rude zwierzątko dawno już czmychnęło na drzewo.

Ojciec wreszcie znalazł odpowiednie miejsce, uniósł aparat i cyknął fotkę, rychło w czas, bo chwilę później dziewczynka wybuchła szlochem, a matka rzuciła się ją pocieszać.

– O czym chcesz pogadać? – zapytał Waškowiak.

– O tamtej starej sprawie z sześćdziesiątego roku. Pamiętasz?

– Jasne, że pamiętam – mruknął starszy sierżant i zaraz uśmiechnął się niewesoło. – I potrafię rozmawiać o tym na trzeźwo. Ale piwo nie zaszkodzi. No to zdrówko, jeszcze raz. Czemu w ogóle cię to interesuje? Bo Lewandowska zaglądała do księgi parafialnej?

Witczak wzruszył ramionami.

– To tylko taka luźna myśl. Nie upieram się, że te dwie sprawy mają ze sobą coś wspólnego. Ale przejrzałem akta i jedna kwestia mnie zastanowiła: kiedy chłopak złapał za siekiere, matka zamknęła się w kuchni, zamiast pobiec na pomoc młodszym dzieciom. Dlaczego, skoro tak bardzo je kochała?

Waškowiak wytarł wąsy z piany.

– Może zwyczajnie się wystraszyła? Ludzie w chwilach stresu często wpadają w panikę.

– Wiem, ale to matka, i to taka, która wcześniej podobno stawiała w obronie swoich dzieci. Nie pasuje mi to.

– Sugerujesz, że źle prowadziłem śledztwo?

– Sugeruję, że może być w tej sprawie coś, czego nie wiemy. To znaczy, oprócz niezbyt przekonującego motywu mordercy. Opowiesz mi o tej ocalałej dziewczynie?

– A co tu jest do opowiadania? Nie znałem Agnieszki zbyt dobrze, jej rodziny zresztą też nie. Romka może najlepiej, bo byłem tylko kilka lat starszy, ale chłopak był zawsze porządny, poukładany, a ja za dzieciaka trochę szalałem, więc nie kumplowaliśmy się jakoś szczególnie. A Agnieszka...? Ładna z niej była dziewczyna, tyle pamiętam. Przynajmniej przed tym, co się stało. Bystra, wygadana. Książek mnóstwo czytała, ale to już mówiłem.

– Coś konkretnego?

Waškowiak dopił piwo.

– A czy ja się znam? Jakies dziewczynskie sprawy. *Ania z Zielonego Wzgórza*, chyba kiedyś ją z czymś takim widziałem. I coś o jakimś rozaczu z doliny. Bywała dziecinna jak na swój wiek, ale i tak bardzo zdolna. Wszyscy mówili, że nie zostanie w Brzozówce, tylko do miasta ucieknie, jak trochę podrośnie.

– Miała ambitne plany, co?

Waškowiak zmrużył oczy.

– Jeśli myślisz, że mogłaby zrobić krzywdę własnej rodzinie, żeby się wyrwać ze wsi, to zapomnij. Nawet gdyby założyć, że Romek się przyznał, żeby ochronić siostrę... To nie ma sensu. Po pierwsze, drugi brat, Grzesiek, był taki sam, też zdolny i ambitny. Gdyby mieli uciekać, zrobiliby to razem, dziewczyna nie miała żadnego powodu, żeby chcieć jego śmierci. Te dzieciaki za sobą przepadały. Poza tym Agnieszka też została ranna. Poważnie myślisz, że potrafiłaby najpierw zabić matkę i brata, a potem sama rąbnąć się w głowę? Nie, to nie ma sensu – powtórzył.

– Gdzie ona teraz jest?

– Nie mam pojęcia. Ostatni raz widziałem ją jeszcze w szpitalu.

– Wyjechała potem ze wsi?

– Taa, chyba zabrali ją do siebie jacyś krewni. – Waškowiak przechylił kufel i złapał na język ostatnią kroplę. – Nie wiem zresztą, wtedy już się nią nie interesowałem.

– A gdzie jest w tej chwili Romek? Przypomnisz mi?

– W jakimś psychiatryku. Mówiłem już, że nie pamiętam dokładnie, w którym.

– Szkoda. – Witczak wstał. – Napijesz się jeszcze piwa?

* * *

Ksiądz Jerzy przejechał przez las i zahamował przed furtką Chojniaków. Zeskoczył z roweru. W ogrodzie ktoś był – szczupła męska postać, niebieski mundur, milicyjna czapka. W pierwszej chwili pomyślał, że to Waškowiak, bo Witczak munduru nie nosił, ale chwilę później, kiedy chłopak się odwrócił, rozpoznał Jana Synowca.

– Niech będzie p...pochwalony – przywitał się kapral, który pod nieobecność przełożonego był dla duchownych zdecydowanie miłszy.

– Niech będzie pochwalony.

– P...pukałem, ale chyba nikogo nie ma. – Machnął w stronę domu. – Dziwne, bo Ewa p...przecież nigdy nie wychodzi.

Proboszcz oparł rower o płot i zatrzymał się niepewnie. Nie przyszło mu do głowy, że może Ewy zwyczajnie nie zastać. Jak kapral powiedział, dziewczyna

nigdy nie wychodziła. Sama przecież to przyznała, kiedy ksiądz Jerzy był tu ostatnim razem. Tak bardzo spodziewał się ją zobaczyć na swoim stałym miejscu za stolikiem, że widok pustego wózka na kółkach nim wstrząsnął. W Marczewskim obudził się niepokój, lekki na razie, ale drażniący, jak wtedy, gdy szukali Chochołka. Przeczucie nadciągającego nieszczęścia.

– Może jest w d...domu – powiedział Synowiec. – No wie ksiądz, źle się p...poczula i została w łóżku.

– Może – przyznał proboszcz. Nie dodał tego, co było oczywiste: że w takim przypadku Franciszek nie zostawiłby żony samej.

Żaden z nich nie zawrócił do furtki. Stali przez chwilę w milczeniu, wreszcie milicjant pierwszy ruszył na tył domu. Ksiądz poszedł za nim, wciąż z dziwnym *déjà vu* – już tak obchodził niedawno jedną chałupę, zaglądając do środka i pukając w szyby. Wtedy zbierało się na burzę, teraz niebo było czyste, ale upał panował podobny: ciężki, duszący zapachami rozkwitłych kwiatów i świeżego siana. Murowany dom Chojniaków w niczym nie przypominał drewnianej chaty Chochołka, ale wydawał się tak samo cichy i pusty, niemal martwy w kontraście z hałaśliwością życia czochrającego się w chlewie, kwaczącego na podwórku i bzyzcącego w trawie.

– Ewa? – zawołał ksiądz Jerzy.

– Ewa! – wrzasnął kapral, waląc w szybę tak mocno, aż zadzwoniło szkło. – Jesteś tam?

– Może po prostu spróbujemy wejść? – zaproponował ksiądz. Ostatecznie na wsi mało kto zamykał drzwi na klucz.

Synowiec skinął głową. Kiedy zawracali, na dachu stodoły wylądował bocian. Marczewski obserwował go przez kilka sekund, prawie pełnych zachwytu, prawie zapominając o niepokoju, a potem dogonił milicjanta, który wszedł właśnie na ganek. Gdy kapral nacisnął klamkę, drzwi otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Synowiec pierwszy zanurzył się w chłód i półmrok sieni.

– Ewa? – zawołał jeszcze raz, a potem odwrócił się w stronę proboszcza.

– Niech ksiądz zaczeka t...tutaj. Na wszelki wypadek.

Nie sprecyzował, jaki to miałby być wypadek, ale niepokój Marczewskiego powoli zmieniał się panikę. Wszystko to mogło mieć zupełnie zwyczajne wytłumaczenie: Franciszek postanowił pojechać gdzieś z żoną i wsadził ją na wóz, dziewczyna była przecież tak lekka, że silny mężczyzna bez trudu przeniósłby ją na rękach. Albo rzeczywiście leżała w łóżku złożona jakąś chorobą, a jej mąż wyskoczył gdzieś na chwilę i zaraz wróci.

Mogło tak być, ale ksiądz już wiedział, że żadnego zwyczajnego wyjaśnienia nie będzie. Zrozumiał to w nagłym przebłysku intuicji, jeszcze zanim kapral wrócił. Synowiec zostawił uchylone drzwi i półmrok sieni przecinał teraz wąski pas światła, w którym wirowały drobinki kurzu. Proboszcz widział w tym świetle

stojące pod ścianą ubłocone gumowce, a obok rozdeptane kapcie. Jedne i drugie musiały należeć do Franciszka, bo Ewa miała przecież drobne stopy. Drobne, bezużyteczne stopy, których nie było sensu ubierać w kalosze, bo nigdy nie dotykały mokrej ziemi. Jak stopy anioła albo skrzydlatej wróżki.

– Jest w kuchni – powiedział kapral niemal zbyt opanowanym głosem. – Niech ksiądz t...tam nie wchodzi.

Proboszcz wyminął go i wszedł.

Część VIII: Bezimienne dziewczyny

Synowiec pojawił się w Stokrotce, gdy Witczak z Hanką kończyli obiad, i już po wyrazie jego twarzy kapitan poznał, że stało się coś złego. Wysłuchał wyjąkanej przez kaprała wiadomości, potem spojrzął na dziewczynę. Starsza szeregowca wstała od stołu blada, najwyraźniej żałując zjedzonych właśnie pierogów z kapustą i kawałka rabarbarowego ciasta.

– Dzwon do Żywca – poinstruował ją Witczak. – My bierzemy samochód i jedziemy. Potem możesz do nas dołączyć.

Hanka przytaknęła z wdzięcznością. Nawet piętnaście minut opóźnienia musiało wydawać jej się łaską. Zanim zobaczy to, co znajduje się w kuchni Chojniaków.

– Gdzie jest Waškowiak? – Witczak zwrócił się do kaprała. – Powiedziałeś mu?

Chłopak pokręcił głową.

– Nie widziałem go od rana.

– Trudno, pojedziemy sami.

Podjechali samochodem pod las, zaparkowali na poboczu i dalej poszli pieszo. Witczak próbował wypytywać Synowca, ale kapral niewiele wiedział.

Przyszedł do Chojniaków, żeby jeszcze raz pogadać z Ewą, w ogrodzie spotkał księdza i razem obeszli dom, a potem weszli do środka. Tam, w kuchni, znaleźli wiszącą dziewczynę. Tyle. Wszystkie minuty nerwowego napięcia, przerażenie i panika streszczone w jednym zdaniu.

Ksiądz czekał przed domem, siedząc na schodkach. Zgarbiony, przytłoczony nieszczęściem. Twarz trzymał ukrytą w dłoniach, a kiedy uniósł głowę, kapitan zobaczył na jego policzkach ślady łez. Witczak pomyślał, że facet miał potwornego pecha – po raz trzeci znalazł się na miejscu gwałtownej śmierci. I jednocześnie miał też szczęście, bo tym razem przynajmniej pozostawał poza podejrzeniami. Prawdopodobnie.

Ewa Chojniak wisiała w kuchni na wbitym w sufit haku, z którego zdjęto żyrandol. Spod kwiecistej sukienki wystawały długie, chude nogi. Wpadający przez otwarte drzwi wiatr leciutko poruszał jasnymi włosami, twarz dziewczyny była blada, w kolorze, jakiego nie mogłaby mieć twarz żadnego żywego człowieka. Kapitan wyciągnął rękę i dotknął bosej stopy. Była chłodna, skóra ugiwała się, jakby kapitan dotykał gumowej lalki. Na palcu dziewczyny błyszczał srebrny pierścionek z niebieskim oczkiem. Lapis-lazuli, pomyślał Witczak.

Wycofał się i dołączył do czekających przed domem mężczyzn.

– Czekamy na techników i prokuratora z Żywca – powiedział, wyjmując paczkę klubowych. Poczęstował kaprała i księdza: pierwszy papierosa przyjął,

drugi odmówił. Łzy na twarzy proboszcza już zaczynały wysychać, ale nadal wyglądał źle. Gorzej niż wtedy, gdy siedział w areszcie oskarżony o zabójstwo. Witczak uznał to za dość interesujące, choć nie aż tak bardzo jak pytanie, po co, u licha, Marczewski tu przyszedł. Zadał je, ale proboszcz nie odpowiedział. Siedział tylko, patrząc przed siebie nieruchomym spojrzeniem.

– Była piękna – powiedział wreszcie, a Witczak przyjął ten banał z należytym szacunkiem. – Nie mogę uwierzyć, że nie żyje. Kiedy przyszedłem tu po pierwszym morderstwie, wydawało mi się, że trafiłem do zaczarowanego ogrodu. To głupie, prawda?

Na to Witczak też nie miał odpowiedzi. Wypuścił z ust chmurę dymu i przez chwilę obserwował, jak rozwiewa ją delikatny podmuch wiatru.

– I miała tajemnicę – ciągnął ksiądz. – Sekret, który chciała mi zdradzić. Dlatego umarła. Bo przecież to nie mogło być samobójstwo, prawda? Nie mogłaby... Nie dałaby rady sięgnąć do tego haka.

A więc ksiądz mimo szoku nadal potrafił myśleć. Też interesujące spostrzeżenie, uznał Witczak. Zastanawiał się, czy powinien mieć teraz wyrzuty sumienia i czy udałoby mu się je w sobie wzbudzić, gdyby bardzo się postarał. Ewa była młoda, bystra i piękna, a kapitan bardzo chciał żałować jej tak szczerze i naiwnie, jak żałował teraz ksiądz.

Skrzypnęła furka i do ogrodu wszedł Franciszek Chojniak. Zatrzymał się na widok siedzących przed domem mężczyzn, potem niepewnie ruszył do przodu. Witczak patrzył z ciekawością, jak Chojniak marszczy czoło, jak na jego twarzy pojawiają się najpierw niepokój, a potem zrozumienie i rozpacz. On wiedział, pomyślał kapitan. Wszyscy założyliśmy, że dziewczyna tylko udaje, że coś wie, ale jej mąż od początku zdawał sobie sprawę, że sekret Ewy jest prawdziwy.

* * *

Po obejściu Chojniaków kręciła się ekipa z Żywca. Doktor Ziętka z miną pełną obrzydzenia omijał leżące na trawniku kacze odchody, jeden z techników chciał ukradkiem cyknąć fotkę bocianowi na dachu stodoły, ale ostatecznie zrezygnował. Proboszcz siedział przed domem, potrącany przez ludzi biegnących tam i z powrotem po schodkach. Niedaleko, przy stoliku, gdzie lubiła spędzać czas Ewa, usiadł Franciszek. Ksiądz wiedział, że powinien teraz wstać, podejść i pocieszyć go w żałobie. Mijały jednak minuty, a Marczewski nie potrafił tego zrobić. Kiedy zamykał oczy, widział bladą twarz dziewczyny i sznur wrzynający się w jej szyję. Próbował zastąpić ten widok innym wspomnieniem: Ewa uśmiecha się, zabawnie przekrzywiając głowę, wiatr rozwiewa jej jasne włosy. Tego też nie potrafił. Na chwilę tak, ale nie na dłużej, bo zaraz z pamięci wyłaniał się tamten drugi, straszny obraz, o którym nie chciał myśleć. Ewa martwa i zimna zastępowała w jego wspomnieniach Ewę żywą i ciepłą, a on nic nie mógł na to poradzić.

– Zaraz się księdzem zajmiemy. – Głos Witczaka wyrwał go z odrętwienia. – Poczekaj ksiądz jeszcze chwilę?

Potwierdził skinieniem głowy. Czekał już ponad godzinę, mógł poczekać i dłużej. Jaka to różnica? Powinien przygotować kazanie, ale nie był pewien, czy w ogóle będzie w stanie odprawić jutro mszę. I jeszcze inna myśl, która wcześniej nie przyszła mu do głowy: jak wierni zareagują na księdza, którego właśnie wypuszczono z aresztu? W dodatku takiego, który znowu został zamieszany w morderstwo? Marczewski nie wiedział. Wieśniacy bywali mocno nieufni, choć z drugiej strony potrafili też stanąć murem za księdzem, którego lubili. Pod warunkiem, że go lubili.

O tym też nie chciał myśleć. Nie teraz. Wstał wreszcie i usiadł na ławie obok Franciszka. Mężczyzna nie patrzył na niego, tylko w bok, na pusty fotel. Może wciąż widział w nim żonę, taką jaka była kiedyś, a może on też miał przed oczami tamtą bladą martwą twarz z siną pręgą wokół szyi.

Jeszcze przez chwilę proboszcz myślał, że nie zdoła znaleźć właściwych słów, ale kiedy tylko otworzył usta, księzowskie komunały popłynęły z nich szeroką strugą. Ewa jest teraz w lepszym miejscu, tam gdzie nie ma już żadnego cierpienia. Bóg ma wobec nas plany, które nie zawsze rozumiemy, i choć gniew, rozpacz, a nawet zwątpienie są w takiej sytuacji najzupełniej zrozumiałe, musimy zaufać Jego mądrości. Kiedyś w to wszystko wierzył i teraz udało mu się przekonać samego siebie – na chwilę, na ulotny moment, gdy odnalazł w sobie dawną ufność. A potem Franciszek odwrócił się i ksiądz Jerzy zobaczył w jego oczach nie gniew ani nie rozpacz, tylko nienawiść. Wtedy umilkł.

– Przychodził ksiądz do niej – powiedział Chojniak. – I mącił jej w głowie, tak jak wszyscy. To przez takich jak ksiądz Ewa nie żyje. Wszyscy jesteście siebie warci, wszyscy.

– Nie rozumiem. – Proboszcz zawahał się, a potem, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy, dodał: – Ja też ją lubiłem...

Franciszek Chojniak parsknął gorzkim śmiechem.

– O tak, ksiądz ją lubił. Wszyscy ją lubili. Ten, co ją powiesił pod sufitem, pewnie też.

– Ale...

– Zejdź mi z oczu, klecho! Zejdź mi z oczu, bo Bóg mi świadkiem, wezmę siekiere i zrobię ci krzywdę. I nie udawaj, że mnie rozumiesz.

– Przepraszam. – Ksiądz Jerzy wstał. – Naprawdę bardzo mi przykro.

Usiadł z powrotem na swoim schodku, a Franciszek wrócił do obserwowania pustego fotela na kółkach. Czekał: na przesłuchanie, na powrót do domu, w którym nie ma żony, na pogrzeb i wszystko to, co dzieje się po śmierci ukochanej osoby, a co tak naprawdę nie ma już znaczenia. Nie odwrócił się nawet wtedy, gdy technicy wynosili przykryte białym prześcieradłem ciało.

* * *

Zebrali się, tak jak wcześniej, w sali Domu Wczasowego Stokrotka. I jak wcześniej – Ziętka jadł, a pozostali pili piwo. Tylko pora była późniejsza, na zewnątrz słońce chyliło się ku zachodowi, upał słabł, ustępując powoli łagodnemu ciepłu wieczoru. Kończył się kolejny idealny letni dzień. Hanka, skulona w swoim kącie, potarła oczy, by wygonić spod powiek obraz zwisającej z haka Ewy Chojniak. Wciąż wierzyła, że za chwilę obudzi się z koszmarne snu – albo przynajmniej chciała w to wierzyć. Znała przecież tę dziewczynę, nie dalej niż parę dni temu rozmawiały w ogrodzie, a Hanka zarzuciła Ewie, że lubi czuć się ważna. Teraz oddałaby jeśli nie wszystko, to przynajmniej sporo, by móc cofnąć tamte słowa.

Spróbowała skupić się na tym, co mówił stojący przed szkolną tablicą Witczak.

– ...trzecie zabójstwo. I z dużym prawdopodobieństwem możemy powiedzieć, że mamy do czynienia z tym samym mordercą.

– Skąd właściwie to wiemy? – zapytał Waškowiak, który odnalazł się przed godziną, a pytania, gdzie u licha podziewał się wcześniej, skwitował niezrozumiałym mruknięciem. – Ewa Chojniak jest miejscowa, a nie obca, zginęła powieszona, a nie zadżgana nożem, czy tam z poderżniętym gardłem. I nikt nie upozował jej ciała w widocznym miejscu. W ogóle jesteście pewni, że to nie mogło być samobójstwo?

– Nie ma mowy, żeby jeżdżąca na wózku osoba dała radę sięgnąć tego haka – wyjaśnił Ziętka między jednym kęsem odgrzanego pieroga a drugim. Stołówka była już zamknięta, jednak lekarzowi jakimś cudem udało się jeszcze wyprosić obiad. – Zdrowa dziewczyna mogłaby wejść na krzesło, ale krzesła nie znaleźliśmy, więc taka możliwość też odpada.

– A skąd założenie, że mamy do czynienia z jednym mordercą? – nie ustępował starszy sierżant.

– Bo Ewa miała na palcu pierścionek z oczkiem z lapis-lazuli, dokładnie taki sam, jaki nosiła Dorota. I Marta też. Hanka, możesz pokazać?

Starsza szeregowca zarumieniła się.

– Nie znalazłam pierścionka Doroty, przepraszam. Jeszcze go poszukam.

– Zgubił się wam dowód? – zachichotał Mazur, a Hanka poczerwieniała jeszcze bardziej.

– Było sporo zamieszania – bąknęła, starając się nie patrzeć w stronę Synowca. W końcu to on jako ostatni miał ten pierścionek w ręku. – Wszyscy biegali od posterunku do Stokrotki i z powrotem, nosili różne rzeczy. Wtedy musiał się gdzieś zapodziać. Pierścionek Marty jest w Żywcu, w magazynie dowodów, gdyby go ktoś przywiózł...

– W porządku. – Witczak skrzywił się. – Na razie możecie uwierzyć mi na słowo, że wszystkie trzy pierścionki są identyczne.

– Sądzi pan, że ktoś morduje kobiety z taką samą biżuterią? – zapytał Mazur. – Słyszałem o zabójcach, którzy lubili blondynki albo brunetki, ale żeby pierścionki?

Żart nie wypadł zbyt dobrze i na chwilę w sali zapadło milczenie. Witczak chrząknął.

– W każdym razie musimy założyć, że te pierścionki miały jakieś znaczenie albo dla ofiar, albo dla mordercy.

– Albo i dla ofiar, i dla mordercy – dodał Zalewski, a kapitan przytaknął.

– Problem w tym, że nie wiemy nawet, czy ten pierścionek należał do Ewy. Pytaliśmy jej męża: facet twierdzi, że na co dzień żona niczego takiego nie nosiła, ale co do szkatułki z biżuterią nie ma już pewności. Trzymała tam sporo różnych drobiazgów, to mogła trzymać i pierścionek. Chojniak kupował jej różne drobiazgi, ale nie miał pojęcia, czy dostawała coś od innych. – Spojrzał na Hanke, jakby spodziewał się komentarza na temat typowego męskiego braku zainteresowania, jednak dziewczyna milczała.

– O której godzinie zginęła Ewa Chojniak? – zapytał Waškowiak.

Ziętka odsunął talerz.

– Dwunasta, może trzynasta. Więcej powiem po sekcji.

– Czyli k...ksiądz jest niewinny – skomentował Synowiec. – P...puściliśmy go d...dopiero p...przed trzynastą.

– A potem jadł obiad ze swoim wikarym i z gospodynią, owszem. Nie mógłby jej zabić, nawet gdyby miał motyw. Chojniaka jeszcze sprawdzimy, ale wygląda na to, że on też ma alibi. Był w Żywcu i wrócił pociągiem o trzeciej.

Biedny człowiek, pomyślała Hanka. I biedny Jasiak, on przecież też znał Ewę.

Rzuciła mu współczujące spojrzenie, a chłopak odwrócił głowę. Zebranie powoli się kończyło, stukwały odsuwane od stołu krzesła, poszczękiwały zbierane kufle. Hanka podeszła do kaprała.

– Może skoczmy jeszcze na piwo? – zaproponowała. Nie przepadała za alkoholem, jednak była gotowa się poświęcić.

– N...nie m...musisz być dla mnie m...miła. I t...ten p...pierścionek nie j...ja zgubiłem.

– Przecież nie mówię, że ty. Proponuję tylko...

– Mam z k...kim iść dzisiaj na p...piwo.

– W porządku. Jasne. – Hanka zaczęła, aż chłopak wyjdzie, dopiero potem zgarnęła ze stołu szklankę po herbacie i poszła za nim. Za drzwiami, z kluczem w ręku, stał Witczak.

– Poczekaj na mnie – powiedział.

Skinęła głową. Kapitan zamknął drzwi i razem ruszyli w stronę wyjścia do parku.

– Coś pan tam znalazł, prawda? – zapytała dziewczyna cicho. – W domu Chojniaków. Coś, czego pan wszystkim nie pokazał.

Witczak wsadził rękę do kieszeni i wyjął *Baśnie* Andersena z nadpaloną okładką. Podał książkę Hance.

– A odciski palców? – zapytała płochliwie.

– Nie przejmuj się. Znajdziemy tylko te należące do Ewy, Franciszka i Chochołka.

– Chochołka?

– Aha. Kiedy Ewa dowiedziała się, że Chochołek gdzieś się zapodział, kazała mężowi iść do domu staruszka i sprawdzić, czy nie ma tam przypadkiem jakichś spalonych zabawek, a jeśli są, to je zabrać. Franciszek nie miał pojęcia, o co chodzi, ale grzecznie spełnił polecenie. Znalazł lalkę i tę książkę. A ksiądz już wcześniej przyznał, że szukał Chochołka, bo ten wiedział coś o rzeczach, które wrzucił do ogniska poprzedni proboszcz.

– I to są właśnie te rzeczy? Lalka i książka dla dzieci?

– Owszem.

– Czemu nie powiedział pan o tym reszcie?

– Miałem swoje powody. – Witczak wzruszył ramionami. – Powiedzmy, że w tej chwili nie ufam nikomu, kto urodził się w Rokitnicy.

– Ale mnie pan ufa? – Chciała, żeby zabrzmiało to jak żart, jednak kapitan potraktował jej pytanie poważnie.

– Ty nie jesteś stąd – powiedział. – Tak, wiem, że przyjeżdżałaś tu na wakacje, ale to nie to samo. Poza tym nie mam innego wyjścia i komuś muszę zaufać.

– Czemu?

– Bo jutro wcześniej rano potrzebuję transportu do Lublińca.

czwartek, 24 lipca

Witczaka obudził monotony stukot uderzającej o szybę ulewy. Jesień, pomyślał mętnie, jeszcze przez sen, a potem przypomniał sobie, że przecież jest środek lata, i otworzył oczy. Podszedł do okna. Drzewa w parku zniknęły za zasłoną szarej mgły i lejących się z nieba szarych strug deszczu, które rozpryskiwały się w błotnistych kałużach przed pałacykiem. Kapitan ziewnął rozdzierająco i spojrzął na zegarek. Najchętniej wpełzłby jeszcze pod kołdrę, ale za dziesięć minut i tak miał wstawać. Umył się więc i ubrał, wyjął z szafy płaszcz przeciwdeszczowy, który przezornie zabrał z Bielska, a potem wyszedł. W połowie schodów zawrócił, wziął jeszcze z pokoju plik papierów i wyszedł ponownie.

Stołówka i bar były puste – najwyraźniej dziś nie mógł liczyć nawet na kawę, nie mówiąc już o talerzu zupy mlecznej. Zapalił papierosa, doszedłszy do słusznego wniosku, że lepsze takie śniadanie niż żadne, usiadł przy jednym ze stolików i zaczął przeglądać teczkę z datą 18 lipca 1986 roku. Sprawa zabójstwa Doroty Lewandowskiej, lat dwadzieścia sześć, zamieszkałej w Katowicach przy ulicy Sosnowej. Było tam zeznanie Jacka Krzysztofiaka, zapisane na maszynie z wyskakującą ponad linię literką „z”, i zeznanie Franciszka Chojniaka – tu z kolei wszystkie litery trzymały się równo szeregu, ale za to taśmę w maszynie przydałoby się wymienić, bo czcionka była już mocno wyblakła. I raport lekarza sądowego, który Witczak znał na pamięć: stan zdrowia ofiary dobry mimo niedowagi, ślady złamań na kościach jeszcze z czasów wczesnego dzieciństwa, niewielka blizna pod obojczykiem, krew czysta, bez środków odurzających. I dwa zdjęcia. Na jednym Dorota leżała martwa na stole prosektoryjnym, na drugim, wciąż żywa, pozowała z rodzicami na tle morza. Oni obejmowali ją mocno, jakby bali się, że dziewczyna ucieknie, ona wyglądała na kogoś, kto chciałby znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu, byle nie w tym. Czy Lewandowscy byli szczęśliwą rodziną? Kapitan wątpił, jednak to nie musiało nic znaczyć. Gdyby członkowie każdej nieszczęśliwej rodziny mordowali się wzajemnie, milicja nie wychodziłaby z komend. Z drugiej strony Hanka powiedziała, że Lewandowski może i kochał swoją córkę, ale na pewno jej nie lubił, a Witczak był gotów przyznać jej rację. Mężczyzna po śmierci własnego dziecka sprawiał wrażenie, owszem, stosownie zrozpaczonego, ale też wściekłego. Może nawet przede wszystkim wściekłego.

Co z tego wynikało?

Deszcz wciąż dzwonił o szybę, Witczakowi zamykały się oczy. Miał wrażenie, że coś mu umyka, coś się nie zgadza. Coś, co teraz przeczytał, z czymś, co usłyszał albo zobaczył jakiś czas temu? Nie był pewien. A miał coraz mniej czasu. Wczoraj, po śmierci Ewy Chojniak, zdążył odebrać dwa bardzo nieprzyjemne telefony z Bielska. Tak, jest trzeci trup, powtarzał, patrząc w ścianę. Nie, nie potrzebujemy pomocy. Poradzimy sobie. Tak, śledztwo niedługo zostanie zamknięte.

Nie był pewien, na ile mu uwierzyli ani nawet na ile wierzył sam sobie.

Zmusił się do spojrzenia jeszcze raz na papiery, ale po chwili zmogła go senność, kartki wysunęły mu się z ręki i z szelestem spadły na podłogę, a on zachrapał z odchyloną do tyłu głową.

– Proszę pana? – Ktoś dotknął jego ramienia, najpierw delikatnie, a potem już solidnie szarpiąc. – Proszę pana?

Chrapnął jeszcze raz i się obudził. Ze wstydem wytarł zwisającą z kącika ust nitkę śliny i spojrzał w twarz jasnowłosej barmance – jak ona miała na imię? – która przyglądała mu się ze zmarszczonymi brwiami.

– Nie budziłabym pana, ale ktoś tu coś dla was zostawił – wyjaśniła

przepraszająco.

– Dla nas? – Zaspany Witczak nie zrozumiał w pierwszej chwili.

– No, dla milicji. Chce pan zobaczyć?

– Pewnie.

Poszedł za dziewczyną na zaplecze. Po drodze usłużna i wciąż jeszcze rozkojarzona wyobraźnia podsunęła mu obraz kolejnych zwłok, a potem nieco bardziej realistyczny widok zakrwawionego rzeźnickiego noża. Jasnowłosa dziewczyna grzebała przez chwilę w szafce, po czym odwróciła się do Witczaka z triumfalnym uśmiechem.

– Proszę.

To nie był nóż, tylko damska torebka, zwyczajna, niezbyt droga, z takich, które modne były jakieś pięć lat temu – a przynajmniej żona Witczaka nosiła wtedy podobną. Zamszowa, z frędzelkami. Była ubrudzona ziemią i wilgotna, z boku rozszedł się szew, a na podszewce widniały ślady trawy, jakby torebka przez dłuższy czas leżała gdzieś na łące.

– I jak? – dopytywała blondyneczka, najwyraźniej oczekując pochwały.

Witczak chrząknął.

– Skąd pani to ma?

– Jakiś człowiek przyniósł torebkę wczoraj wieczorem i powiedział, żeby przekazać milicji. Chciałam ją panu dać, ale nie było pana w pokoju, a ja musiałam iść do domu. Źle zrobiłam?

– Nie, wszystko w porządku. – Wczoraj do późnych godzin Witczak pił z Ziętką i Synowcem w barze Pod Sosną. A dla ścisłości, oni pili, on zaś zadowolił się oranżadą, bo coli nie było. Pamiętał, że alkohol zmienił lekarza w sentymentalnego płaksę chlapiącego nad ofiarami, zwłaszcza nad Dorotą, tak ciężko przez los doświadczoną, a Synowcowi nieoczekiwanie rozwiązał język – chłopak po dwóch kuflach nabrał śmiałości i prawie przestał się jąkać. – A co to właściwie za torebka?

– No przecież tej dziewczyny. – Blondynka wyglądała na wyjątkowo zde gustowaną niedomyślnością milicjanta. – Tej, co ją na torach znaleźli. Nazywała się Marta Jaczyk, tak?

– Zaglądała pani do środka?

Skinęła głową.

– Tam są jej dokumenty i w ogóle. A poznałam ją po zdjęciu w dowodzie, bo podobne wisiało w kościele.

Szlag, pomyślał Witczak.

– Ma pani jakąś foliową torebkę? Byle czystą.

– Mam. Przynieść?

Kapitan przytaknął i chwilę później dumna panienska pojawiła się z reklamówką jakiejś zachodniej sieci sklepów – nieco już zużyta, z wyblakłym

napisem, ale na szczęście rzeczywiście czystą.

– Może być? Był tu na wiosnę pan, który dał mi w tym bombonierkę. Ładna, prawda?

Witczak przyznał, że owszem, ładna, i zapakował starannie torebkę. Blondynka obserwowała te zabiegi z narastającym niepokojem.

– Nie powinnam jej dotykać, prawda? – zapytała. – Przepraszam, nie pomyślałam...

– Nic się nie stało – powiedział, bo panienka była sympatyczna. Choć, oczywiście, stało się całkiem dużo.

– Za to poprosiłam tego człowieka, żeby zapisał mi na kartce swoje nazwisko i adres. To panu pomoże?

– Tak, na pewno. – Dziewczyna, która przed chwilą straciła w jego oczach, teraz znowu zyskała. – Jeśli jeszcze zaparzy mi pani kawę, zostanę pani wielbicielem.

Zarumieniła się niespodziewanie i skinęła głową, a Witczak wrócił do stolika. I do przeglądania akt przy okazji, bo Hanka się spóźniła, a on nie miał ochoty wychodzić na zewnątrz i czekać w deszczu. Gdy dziewczyna przyjedzie, będzie musiała pofatygować się do baru.

Chwilę później na jego stoliku zmaterializowała się kawa. Upił łyk i przymknął oczy, rozkoszując się myślą o wypełniającej jego żyły kofeinie. A potem, choć na efekty wypitego napoju było zdecydowanie za wcześnie, zrozumiał, co mu nie pasowało. Spojrzał jeszcze raz do raportu Ziętki, wstał i podszedł do baru.

– Mogę zadzwonić? – zapytał.

– Jest wpół do siódmej – przypomniała blondynka.

– Wiem. – W rzeczywistości było dwadzieścia pięć po szóstej, przed chwilą patrzył na zegarek. – Mojemu rozmówcy nie będzie to przeszkadzało. On zawsze wstaje o świcie.

Wyrwany ze snu lekarz najpierw sklął Witczaka soczyście, potem ziewnął rozdzierająco, a wreszcie zapytał, po co kapitan dzwoni.

– Mam pytanie. Wczoraj przy piwie mówiłeś o Dorocie, że była biedną dziewczyną. Że w dzieciństwie tyle musiała przeżyć, pamiętasz?

– Pamiętam.

– Co właściwie miałeś na myśli?

– Że ktoś ją musiał tłuc, jak była mała. – Ziętka znowu ziewnął. – Napisałem to przecież w raporcie.

– Napisałeś, że miała ślady dawnych złamań. To nie to samo.

– Licznych złamań – podkreślił lekarz. – Nie wspominałem, że było ich sporo? No więc było. Za dużo, żeby mówić o przypadku. Mniej więcej do siódmego roku życia ktoś tę dziewczynę solidnie objął. Potem na szczęście

przestał.

– Jesteś pewny?

– Znam się na swojej robocie. Mogę teraz iść spać?

– W porządku, dziękuję.

Kapitan odłożył słuchawkę, zadał dziewczynie przy barze jeszcze jedno pytanie, otrzymał odpowiedź mniej więcej taką, jakiej się spodziewał, i podszedł do okna. Stał tam przez chwilę z czołem opartym o zimną szybę, obserwując spływające z drugiej strony krople deszczu. Myślał o tak nagle odnalezionej torebce i o Dorocie, którą ktoś bił we wczesnym dzieciństwie, a potem przestał. O Agnieszce Koziół, która wyjechała z Rokitnicy, ale wróciła. I wreszcie o człowieku, który czekał na nich w Lublińcu, uprzedzony przez lekarza. A może wcale nie czekał? Witczak nie miał pojęcia, czy człowiek, który ćwierć wieku temu przestał się odzywać, jeszcze na coś czeka, czy może po tylu latach wszystko jest mu obojętne.

Przez zasłonę spływającej z nieba wody dostrzegł samo-chód, który zaparkował właśnie przed bramą. Nie widział go dokładnie – w ulewie auto było tylko rozmazany granatowym kształtem – ale i tak założył, że to milicyjny polonez. O tej porze i przy takiej pogodzie nikt nie przyjeżdżałby na wczasy. Wyszedł więc, dla pewności chowając reklamówkę z torebką Marty pod płaszczem.

– Przepraszam za spóźnienie – przywitała go zakłopotana Hanka. – Narzeczony wczoraj przyjechał i...

– Masz narzeczonego? – spytał zdumiony Witczak i zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, machnął ręką. – Wszystko jedno, jedźmy już.

Gdy ruszyła, kapitan przyjrzał jej się dyskretnie. Starsza szeregowka wyglądała tak jak zawsze, czyli brzydko. Wąska twarz, mysie włosy, zęby dziwnie stłoczone w ustach. Nic, na czym mężczyzna mógłby zawiesić oko. Narzeczony, pomyślał. Dziś zdecydowanie był dzień niespodzianek.

* * *

– To było piękne kazanie – powiedział wikary przy śniadaniu. – Tak ładnie ksiądz proboszcz mówił o tych trzech dziewczynach, które ostatnio umarły. Pawliczkowa płakała, kiedy ksiądz o nich opowiadał.

– Naprawdę? – Marczewski posmarował kromkę miodem. W ostatniej chwili postanowił, że jednak sam odprawi dzisiejszą mszę. Po prostu czuł, że jeśli tego nie zrobi, jeśli nie przełamie się teraz, nigdy już nie zdobędzie się na to, żeby stanąć przed ołtarzem. Nie miał nawet napisanego kazania, mówił z serca i niespodziewanie wyszło lepiej, niż gdyby wcześniej starannie się przygotował.

– Siedziałem z przodu, to widziałem. Mnie zresztą też parę razy łyzy się w oczach zakreśliły. I sporo ludzi przyszło jak na tak wczesną porę.

– A właśnie, gdzie jest Pawliczkowa? Zostawiła rano przygotowane śniadanie i gdzieś zniknęła.

– Myślałem, że poprosiła księdza proboszcza o dzień wolny – bąknął wikary. – Mogę do niej zajrzeć, mieszka niedaleko poczty.

– Daj jej spokój, kobieta zasłużyła na odrobinę odpoczynku. Poza tym mam do ciebie pytanie.

– Tak?

– Słyszałeś kiedyś, żeby ktoś z miejscowych mówił, że to, co pozornie wydaje się złe, może tak naprawdę być dobre, jeśli widzi się cały obraz? Że grzech może być świętością?

Wikary zmarszczył brwi.

– Parę razy, zwłaszcza od starszych pań. Podobno tak mówił proboszcz z Brzozówki, ten pierwszy, który się utopił. On był... dziwny. Wie ksiądz, sporo pił i chyba nie wszystkie klepki miał w porządku.

Marczewski z roztargnieniem przytaknął. Myślał o starszych paniach, tych, które już wcześniej nie chciały odpowiadać na jego pytania. Mała szansa, żeby akurat teraz dały się przekonać.

Była jednak staruszka, która doskonale pamiętała pierwszego proboszcza Brzozówki i zawsze chętnie rozmawiała z proboszczem.

– Wychodzę na chwilę – powiedział. – Chcę odwiedzić Jadwigę Ciołkową.

– O! Znowu źle się czuje?

– Po prostu pomyślałem sobie, że wpadnę zobaczyć, jak się miewa. – Ostatnio też nauczył się mijać z prawdą. Bardzo zły nawyk, ale na razie nie zamierzał z nim walczyć. Miał ważniejsze rzeczy na głowie.

Wstał, zaniósł brudne naczynia do kuchni i wrzucił je do zlewu.

– Pozmywam – zaproponował ksiądz Bartek. – Skoro Pawliczkowej dziś nie ma...

– Nie trzeba, zajmę się tym, jak wrócę. Ty też spróbuj odpocząć. Wszyscy zasługujemy na odrobinę spokoju.

Wikary odprowadził proboszcza do drzwi, a potem do szopy, gdzie stały rowery.

– Dużo ostatnio myślałem o Dorocie, wie ksiądz. – Bartek zaczerwienił się gwałtownie. – To znaczy, nie w taki sposób...

– Rozumiem – powiedział łagodnie Marczewski. – Ja też o niej myślałem.

– Ona... nie była chyba taka zła, jak mogłoby się wydawać, prawda? Była tylko... zagubiona i nieszczęśliwa.

– Wcale nie była zła. – Proboszcz spojrzął w zachmurzone niebo. Będzie padać, pomyślał. Powinien poczekać, aż się rozpogodzi, bał się jednak, że jeśli wróci teraz na plebanie, za jakiś czas nie znajdzie w sobie wystarczająco dużo odwagi, by wyjść ponownie. – Żadna z tych dziewczyn nie zasłużyła na to, co je

spotkało.

* * *

Kiedy parkowali na terenie szpitala psychiatrycznego w Lublińcu, deszcz przestał już padać, ale niebo wciąż było zaciągnięte chmurami. Podmuchy wiatru strząsały z drzew zimne krople i marszczyły rozlewające się na trawniku wielkie kałuże. W wodzie odbijał się kanciasty budynek oddziału detencyjnego: rząd zakratowanych okien i wysokie mury z czerwonej cegły. Witczak chciał zdjąć płaszcz, ale ostatecznie uznał, że lepiej w nim zostać. Pożałował też, że nie wziął gumowców – nim z Hanką dotarli do drzwi, buty miał całe przemoczone. Strażnik w dyżurce kazał im podać nazwiska, a potem poprowadził ich do gabinetu ordynatora. Grube mury tłumiły echo kroków, przez okna wpadało mętne światło deszczowego dnia, które ledwo dawało radę rozproszyć panujący w korytarzu półmrok. Hanka nadstawiła uszu, spodziewając się usłyszeć dobiegające z głębi budynku krzyki czy jęki, ale szpital wydawał się dziwnie cichy, bo rozlegało się w nim tylko monotonne podzwanianie pęku kluczy zawieszonych u pasa strażnika.

Ordynator Wojtas okazał się chudym mężczyzną o szarej cerze kogoś, kto nadużywa tytoniu, i skwaszonej minie przedsiębiorcy pogrzebowego. Mimo to uprzejmie zaproponował gościom herbatę, a potem podsunął talerz z ciastem.

– Domowe, moja żona piekła – powiedział. – Mam dzisiaj imieniny, to wszystkich częstuję. Jedzcie, bo ja nie powinienem. Wrzody żołądka, rozumiecie.

– Wszystkiego najlepszego. – Hanka, która podobnie jak Witczak nie zdążyła zjeść śniadania, sięgnęła po kawałek ciasta. Było smaczne, ze śliwkami i kruszonką. Jej matka piekła bardzo podobne. Starsza szeregową spojrzała pytająco na kapitana, ale ten pokręcił głową.

– Może później.

– Chcecie rozmawiać o Romku, tak? – Wojtas napił się herbaty tak ciemnej, że wydawała się prawie czarna. – Możemy porozmawiać, oczywiście. Nie wiem tylko, w czym właściwie miałbym pomóc. Romek jest u nas od dwudziestu pięciu lat i przez cały ten czas jego stan się nie zmienił.

– Nadal nie mówi? – Witczak nieufnie patrzył na kawałek ciasta.

– Nie.

– Jest agresywny?

– Też nie. To jeden z najspokojniejszych pacjentów.

– Co on właściwie robi całymi dniami?

Wojtas uśmiechnął się, nawet sympatycznie, choć z lekkim odcieniem wyższości.

– Nic, w tym właśnie rzecz.

– Mam rozumieć, że gość po prostu siedzi i gapi się w ścianę?

– Mniej więcej tak – zgodził się lekarz. – Nie przyszli tu państwo na wykład

z psychiatrii, dlatego daruję wam opis jego stanu. Romek spełnia proste polecenia, potrafi na przykład podnieść ręce, kiedy pielęgniarz go przebiera, a zaprowadzony do ubikacji załatwia potrzeby fizjologiczne. Jednak poza tym nie ma z nim żadnego kontaktu. Nie odpowiada na pytania, chociaż prawdopodobnie je rozumie.

– Prawdopodobnie?

– Trudno to stwierdzić z pewnością w przypadku takiego pacjenta. – Wojtas napił się jeszcze czarnej jak smoła herbaty. Nic dziwnego, że facet ma wrzody, skoro pije takie rzeczy, pomyślała Hanka. – Ale tak na dziewięć-dziesiąt procent powiedziałbym, że Romek jest przynajmniej częściowo świadomy tego, co się do niego mówi. Po prostu odmawia nawiązania kontaktu.

– Jest normalny? – zapytała Hanka i zaraz zorientowała się, że palnęła głupstwo. – To znaczy, chciałam zapytać, czy dałoby się z nim porozumieć, gdyby Romek zdecydował się taki kontakt nawiązać?

– Być może – przyznał ordynator. – Chociaż łatwiej chyba byłoby dogadać się z nim dwadzieścia lat temu niż teraz. Długotrwały pobyt w szpitalu wbrew pozorom niekoniecznie służy zdrowiu psychicznemu, a Romek w dodatku źle reaguje na leki.

– Dlaczego w takim razie tych leków nie odstawicie?

– Mam się pani tłumaczyć ze swoich decyzji? – Wojtas nadal uśmiechał się sympatycznie, ale w jego spojrzeniu błysnęło coś, co sugerowało, że starsza szeregowa nie powinna zadawać takich pytań. Mimo to Hanka nie odwróciła wzroku, a ordynator westchnął po chwili z rezygnacją. – Zupełne odstawienie leków nie byłoby rozsądne. Podajemy w tej chwili Romkowi leki nowszej generacji, takie, które mają mniej skutków ubocznych.

– Pomagają? – zainteresował się Witczak.

Lekarz wzruszył ramionami.

– Roman Kozioł to trudny przypadek. Wciąż próbujemy do niego dotrzeć i wciąż ponosimy porażki, ale nie tracimy nadziei. Niestety, jak dotąd żadna z terapii nie poskutkowała. Niedawno wydawało się, że pacjent po latach przekonał się wreszcie do rysowania, rozumiecie, ekspresja artystyczna potrafi czasem pomóc, ale skończyło się na tym, że musieliśmy zabrać mu papier i kredki.

– Dlaczego?

Zamiast odpowiedzieć Wojtas podszedł do stojącej w rogu gabinetu szafki, znalazł w niej szkolny blok rysunkowy i podał go kapitanowi.

Na pierwszym obrazku było coś, co przypominało czarną, oleistą chmurę, jakby kłęb dymu otaczający dwie dziecięce sylwetki, naszkicowane szybkimi, nerwowymi ruchami. Też czarną kredką. Wszystko tu miało kolor węgla, tylko krew była czerwona. Bo to musiała być krew, Hanka nie miała co do tego wątpliwości. Jaskrawe rozbryzgi przecinały obie postacie jak szkarłatne błyskawice i rozlewały się plamami wokół czoł. Czerń i czerwień. Na rysunku wszystko

wydawało się groteskowo wyolbrzymione, dzieci miały wielkie głowy, puste oczy i zęby wyszczerzone w nienaturalnie szerokich uśmiechach. Starsza szeregową wzdygnęła się lekko.

Witczak przewrócił kartkę. Na drugiej było to samo: dwie sylwetki w czarnej chmurze i całe mnóstwo krwi. Trzeci obrazek wyglądał identycznie. Przy czwartym kapitan odsunął blok i spojrzał na Wojtasa.

– Tylko to rysował?

Lekarz skinął głową.

– Dlatego właśnie zabraliśmy mu w końcu kartki i kredki. Przeżywanie bez końca własnej zbrodni nie wpływa dobrze na proces zdrowienia.

– Sądzi pan, że te obrazki przedstawiają popełnione przez Romka morderstwo?

– A cóżby innego? Pacjent zabił dwójkę młodszego rodzeństwa: brata i siostrę. To właśnie te postacie na obrazku.

– Siostry nie zabił, tylko ciężko zranił – przypomniał Witczak. – I jeśli ten rysunek przedstawia scenę zbrodni, gdzie jest matka?

– Może Romek nie przeżywa swojej winy wobec matki aż tak mocno? Zabójstwo czy też próba zabójstwa dwóch niewinnych młodych istot może mu bardziej ciążyć na sumieniu.

Kapitan westchnął.

– W porządku, zostawmy to na razie. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy pana zdaniem Roman Kozioł w chwili, kiedy mordował rodzinę, był świadomy tego, co robi?

Wojtas dopił herbatę i odsunął szklanekę powolnym ruchem, jakby chciał zyskać na czasie. Witczak spodziewał się dywagacji na temat tego, że szaleństwo od normalności dzieli cienka linia, i pseudonaukowego bełkotu mającego ukryć brak konkretów. Jednak ordynator odpowiedział jasno i uczciwie.

– Moim zdaniem tak – oznajmił. – Nie należałem do zespołu biegłych, którzy orzekali o poczytalności Romka, ale dobrze pamiętam tamtą sprawę. Obaj z doktorem Zawadzkiem, moim poprzednikiem, nie mieliśmy wątpliwości, że Romek wiedział, co robi, kiedy wziął tę siekierę i zaczął zabijać.

– Czyli *de facto* cały ten pana zespół biegłych uchronił mordercę przed sprawiedliwą karą – uznał Witczak. – Czemu? Było wam żal chłopaka?

– Roman Kozioł i tak nie poszedłby do więzienia. Nie w stanie, w jakim się znalazł po morderstwie.

– Możemy się z nim zobaczyć?

– Nie widzę przeszkód. Ale uprzedzam, że niczego pan z niego nie wyciągnie. Ten człowiek ćwierć wieku temu przestał się odzywać.

– Mimo to spróbujemy. Przy okazji: czy mogę wziąć jeden z tych rysunków?

– Proszę bardzo. Mamy ich aż nadto.

Kapitan wyrwał z bloku kartkę i podał ją Hance. Dziewczyna stała przez chwilę niepewnie, nie wiedząc, co zrobić z rysunkiem. Wreszcie złożyła go na czworo, schowała do kieszeni spodni i poszła za mężczyznami, którzy wychodzili już z gabinetu.

W towarzystwie strażnika przeszli do drugiego skrzydła budynku, minęli kratę i zatrzymali się przy solidnych drzwiach. Hanka zawahała się, spoglądając niepewnie na Wojtasa.

– Możecie wejść bez obaw – uspokoił ją ordynator. – Jak mówiłem, Romek nie jest niebezpieczny. Chociaż oczywiście strażnik może pójść z wami, jeśli chcecie.

– Damy sobie radę, dziękujemy – powiedział Witczak. – I jeszcze o jedno chciałem zapytać: czy przez te wszystkie lata Romka ktoś odwiedzał?

– Ma pan na myśli kogoś z rodziny? Na przykład siostrę?

– Kogokolwiek.

– Na początku przychodził adwokat, Mróz, pamiętam nazwisko. Potem chyba już nikt. Raz tylko, jakiś miesiąc temu, był tu ksiądz.

– Ksiądz? – Hanka usłyszała w głosie Witczaka nagłe zainteresowanie.

– Tak, ksiądz, młody taki.

– Miał sutannę?

– Nie.

– To skąd pan wie, że to był ksiądz?

Wojtas obdarzył kapitana kolejnym sympatycznym uśmiechem z lekkim odcieniem wyższości.

– Miał koszulę z koloratką, a poza tym zachowywał się jak ksiądz. Połowa mojej rodziny poszła do seminarium, rozumie pan. Taka rodzinna tradycja, tylko ja się wyłamalem. Dlatego potrafię rozpoznać księdza, kiedy go zobaczę.

– I ten ksiądz pojawił się mniej więcej wtedy, kiedy Romek zainteresował się rysowaniem?

Wojtas zmarszczył brwi.

– Tak, parę dni po tej wizycie Romek sam sięgnął po blok i kredki. Uznałem, że to kwestia obudzonego na nowo poczucia winy... Skąd pan wiedział?

– Zgadywałem – powiedział Witczak, po czym otworzył drzwi.

* * *

Szpitalny pokój do złudzenia przypominał celę – nieco czystsza i może miłsza dla oka niż więzienna, ale jednak celę. Ściany miały nijaki, ni to zielony, ni żółty kolor, pod nimi stały dwa starannie zasłane łóżka. Na jednym z nich siedział człowiek w zielonej piżamie, o odcień ciemniejszej niż kolor ścian. Witczak wiedział, że Roman Kozioł ma czterdzieści sześć lat, ale mężczyzna wyglądał na młodszego, jakby pobyt w psychiatryku zatrzymał jego biologiczny zegar gdzieś

w okolicach trzydziestego roku życia. Twarz miał niemal pozbawioną zmarszczek, jasne włosy były bujne i bez śladu siwizny. Kiedy Witczak i Hanka weszli, odwrócił się w ich stronę leniwym ruchem, ale poza tym nie wykazał żadnego zainteresowania.

– Dzień dobry. – Dziewczyna przywitała się odruchowo, a Kozioł przeniósł na nią spojrzenie. Jego oczy, kiedyś chyba błękitne, teraz były wyblakłe i zmęczone. I stare, pomyślała. Roman Kozioł mógł wyglądać na młodego, ale oczy zdradzały jego prawdziwy wiek.

Witczak usiadł na drugim łóżku, Hanka, po chwili wahania, zrobiła to samo.

– Przyszliśmy porozmawiać o tym, co wydarzyło się latem sześćdziesiątego roku – powiedział kapitan. – Kiedy siekierą rozwaliłeś głowy matki i brata.

Starsza szeregowca drgnęła lekko, Kozioł przeciwnie, nawet się nie poruszył.

– Siostra na szczęście przeżyła – ciągnął Witczak. – Ciekawy jestem, czy specjalnie uderzyłeś ją lżej niż pozostałych, czy to był przypadek?

Mężczyzna nadal milczał. Patrzył przez chwilę na Witczaka, a potem odwrócił się w stronę ściany i zagapił w nią obojętnie. On nie rozumie, pomyślała Hanka. A nawet jeśli rozumie, to nie zamierza odpowiedzieć. Nieważne, ile będziemy tu siedzieć, i tak niczego się nie dowiemy.

– A może było zupełnie inaczej? Może tak naprawdę to nie ty trzymałeś tę siekierę, tylko twoja młodsza siostra Agnieszka?

Palce prawej dłoni Kozła, spoczywające dotąd luźno na udzie, zacisnęły się lekko. Poza tym Hanka nie zauważyła żadnej reakcji.

– Musiałeś ją bardzo kochać, prawda? Taka mądra, zdolna dziewczyna. Mogła wyrwać się ze wsi, pojechać do miasta. Mogła zostać, kim tylko chciała.

Cisza. O szyby zadzwoniła nowa fala deszczu, światło w pokoju zmętniało do jesiennej szarości, rysy pacjenta zatarły się w półmroku. Witczak wstał i zapalił wiszącą pod sufitem lampę. Hanka zamrugnęła, gdy ostry blask wdarł się pod jej powieki, ale Kozioł nawet nie drgnął.

Witczak westchnął, wyjął z kieszeni dwa zdjęcia i położył je na łóżku. Na jednej fotografii była kucająca w aptece Marta Jaczyk, na drugiej Dorota Lewandowska nad morzem – sama, bo jej rodziców kapitan obciął nożyczkami.

– Te dwie dziewczyny przyjechały niedawno do Rokitnicy i zostały tam brutalnie zamordowane. Przyjrzyj się im uważnie. To jest Marta, a to Dorota. Poznajesz którąś z nich? Patrz! – Witczak chwycił Kozła za kark i pochylił jego głowę tak, że mężczyzna chcąc nie chcąc musiał spojrzeć na zdjęcia. – Poznajesz?

– On niczego nie wie – zaprotestowała Hanka nerwowo. Tyle razy widziała już brutalność kolegów milicjantów – i koleżanek czasem też – że właściwie powinna się przyzwyczaić. Powinna, ale jakoś nie potrafiła. A po Witczaku w życiu nie spodziewałaby się takiego zachowania.

– Znasz je, prawda?

Hanka chciała powtórzyć, że mężczyzna niczego nie wie, ale wtedy sama zobaczyła błysk rozpoznania w oczach Romana Kozła. Nie mogło być mowy o pomyłce – widywała ten wyraz twarzy wielokrotnie podczas przesłuchań, gdy świadkom podsuwano zdjęcia: nagłe drgnienie mięśni, rozszerzone źrenice. Koziół wiedział, kim były Marta i Dorota.

– Poznajesz?!

Pacjent milczał uparcie. Kapitan poczerwieniał na twarzy i chyba był gotów wrzasnąć po raz kolejny, kiedy Hanka nieśmiało położyła mu rękę na ramieniu.

– Proszę – szepnęła. – Dajmy mu spokój. To chory człowiek.

Witczak sapnął i puścił Kozła, który powoli się wyprostował.

– Przepraszam – powiedziała starsza szeregowca. – Już wychodzimy. Wychodzimy, prawda?

Kapitan skinął głową i ruszył w stronę drzwi. Hanka odwróciła się jeszcze w progu – w samą porę, by zobaczyć, jak twarz Romana Kozła rozjaśnia szeroki, pełny satysfakcji uśmiech.

* * *

Tym razem ksiądz Jerzy postanowił pojechać okrężną drogą, omijając gospodarstwo Chojniaków. Kiedy przejeżdżał obok jeziora, zaczęło oczywiście padać, najpierw drobne krople rozchodzące się koncentrycznymi kręgami po gładkiej powierzchni, potem grube, zimne strugi, siekące wodę pośród wykwitających i pękających banieczek powietrza. Skulił się, ale nie zwolnił, teraz zresztą i tak powrót na plebanię nie miałby sensu. Za daleko już dotarł – w sensie dosłownym i metaforycznym zarazem. Pedałował więc dalej, ledwo chwilę poświęcając kołyszącej się na falach łódce. Siedział w niej zgarbiony mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym, z wędką, czekający cierpliwie, aż jakaś ryba okaże się na tyle niemądra, by złapać przynętę. A proboszcz po raz pierwszy uświadomił sobie tak dobitnie, że miejsce, w którym kołysze się łódka, leży dokładnie nad zatopioną Brzozówką, że ryby, które chce schwytać cierpliwy wędkarz, krążą wokół gnijącej wieży drewnianego kościoła, wpływają w okna chat i ciekawskimi pyszczkami dotykają resztek mebli. Cała wioska na dnie jeziora. Z wyjątkiem jednego domu, który znajdował się zbyt wysoko, by go zatopić, i który od lat należał formalnie do Rokitnicy.

Wjechał do lasu. Dalej ścieżka pięła się ostro pod górę, zsiadł więc i pchał rower, wsłuchując się w monotony szum deszczu. Do gospodarstwa Ciołków dotarł tak przemoczony, że wnuczka staruszki na jego widok załamała ręce.

– Ksienze jegomościu, pójďte dali do chałpy – mówiła. – Ciepłej herbaty ksindzu zrobie. A może kielusek jałowcówki na rozgrzewkę? Pytom piknie, niechze ksiondz przynajmni włosy wytrze, to kapać nye bydzie.

Podawała mu ręcznik, Marczewski podziękował i podszedł do buzującego

w piecu ognia. Kobieta kręciła się wokół zaaferowana. Dobiegała czterdziestki, co w opinii mieszkańców wsi czyniło ją „młodą Ciołkową”, była zaradna i energiczna. Ksiądz Jerzy lubił ją, ale dziś młoda Ciołkowa na nic by mu się nie zdała – kobieta urodziła się nie w Brzozówce, tylko na przedmieściach Żywca, a do Rokitnicy przeniosła się dopiero trzy lata temu, by zająć się słabującą staruszką.

– Do nasej babki ksiondz przyjechali? Nale łona łostatnio walnie sie miewo...

– To świetnie. – Uśmiechnął się. – Pewnie będzie jeszcze długo żyć. A ja tylko porozmawiać chciałem.

Młoda Ciołkowa oprócz energii miała jeszcze jedną ważną cechę, a mianowicie jak na żyjącą w samotności wiejską kobietę była zaskakująco mało ciekawska. Teraz też skinęła tylko głową, zupełnie niezainteresowana powodem, dla którego proboszcz przejechał w deszczu parę kilometrów.

– Babka bydom radzi – powiedziała. – Łona ksiendza rada widzi. Pockojcie kwilecke, dołozie ino w izbie do pieca. Babka pod pierzynom lezom, to jej nie zima, nale ksiondz taki przemocony, to wom zima bydzie. I herbaty przyniese, jak godałak.

Dziesięć minut później siedział już obok zakopanej w piernatach staruszki, która uśmiechała się do niego bezzębnymi ustami. W pokoju unosił się kwaskowaty zapaszek starego ciała, złamany słodką wonią polnych kwiatów, które stały w wazonie na szafce. Deszcz stukał o okno, kubek z zaprawioną sokiem malinowym herbatą przyjemnie grzał zziębnięte ręce. Marczewski zdawał sobie sprawę, że domaganie się odpowiedzi na konkretne pytania nie miałyby wiele sensu – umysł starej Ciołkowej błędził po ścieżkach przeszłości w swoim własnym tempie. Dlatego zagadnął tylko o Brzozówkę i czekał. Wiedział, że prędzej czy później kobieta powie mu to, co chce wiedzieć. A on miał czas. Podobnie jak nieznamy wędkarz w łódce, ksiądz także mógł czekać cierpliwie, aż ryba połknie haczyk.

* * *

– Jestem pewna, że się uśmiechnął – upierała się Hanka, kiedy zmierzali w stronę Katowic. Wycieraczki rozmazywały po szybie strugi deszczu, spod kół przyskała błotnista woda. Starsza szeregową zakłęła, gdy polonez wjechał w szczególnie głęboką dziurę i chlapnął na idącą poboczem kobietę w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym. Kobieta odskoczyła, niemal wpadając do rowu, a Hanka przeprosiła ją w myślach. Powinna zwolnić, ale kapitan nalegał, żeby jechali szybciej.

– I czemu mówisz o tym dopiero teraz? Bałaś się, że jeśli powiesz mi wcześniej, to wrócę i dam temu wariatowi po mordzie? Może powinniśmy tam wrócić, żeby jeszcze raz go przepytać?

– On by niczego nie powiedział. – Hanka mocno trzymała kierownicę i pochylała się do przodu, żeby lepiej widzieć. Przed chwilą omal nie wpadła na wóz, który nagle wyrósł przed nią w szarości deszczu. Naprawdę powinna zwolnić, wiedziała jednak, że jeśli to zrobi, Witczak znowu każe jej przyśpieszyć, a ona nie będzie potrafiła się sprzeciwić.

– Taka jesteś pewna?

– Nie odezwał się przez dwadzieścia sześć lat, dlaczego miałby nagle zacząć mówić do nas?

– Bo je poznał, prawda? Też to zauważyłaś.

– Może tylko nam się wydawało... – Teraz, gdy od szpitala dzieliło ją coraz więcej kilometrów, Hanka zaczynała tracić pewność.

– Daj spokój. – Witczak wyciągnął paczkę papierosów i po chwili wewnątrz poloneza wypełnił gryzący siwy dym. Starsza szeregowka uchyliła okno. Zimne krople z wściek-łością zaatakowały jej ucho i policzek, przykręciła więc szybę, zostawiając tylko wąską szparę. I tak zacinął przez nią deszcz, ale przynajmniej nie ryzykowała już, że do -Katowic dojedzie cała mokra. – Szkoda, że nie mamy rysopisu tego księdza – powiedział Witczak.

Przytaknęła. Ordynator Wojtas może i potrafił bezbłędnie rozpoznawać duchownych, ale pamięci do twarzy nie miał. Młody taki, oznajmił, kiedy kapitan go wypytywał, przeciętny z wyglądu. Niczym się nie wyróżniał.

Biorąc pod uwagę, że Wojtas miał koło sześćdziesiątki, określenie „młody” mogło oznaczać zarówno dwudziesto-, jak i czterdziestolatka, a opis pasował do większości mężczyzn. Mógł to być wikary Bartek, ale raczej nie proboszcz Marczewski, uznała Hanka. Jego ordynator by zapamiętał. Chyba.

– Pokaż ten rysunek – poprosił Witczak.

Sięgnęła do kieszeni i podała mu złożoną na czworo kartkę. Kapitan studiował ją przez chwilę ze zmarszczonymi brwiami.

– Zatrzymaj się na chwilę – powiedział wreszcie.

– Co? – Hanka, skupiona na wymijaniu rowerzysty, nie zrozumiała w pierwszej chwili.

– Zatrzymaj się.

– Przecież mieliśmy jechać jak najszybciej.

– Dwie minuty nas nie zbawią. Stań gdzieś.

Zwolniła, zjechała na pobocze i zatrzymała się. Wycieraczki wciąż pracowały, zgarniając wodę, obok na polu mokły w deszczu przykryte plandekami stogi siana, a wiatr szarpał podartą koszulę stracha na wróble.

– Przyjrzyj się uważnie – powiedział Witczak, podając dziewczynie kartkę. – Co widzisz na tym rysunku?

– No, dwoje dzieci? Zamordowanych, bo to czerwone to pewnie jest krew, nie?

– Popatrz jeszcze raz. Nie sugeruj się tym, co mówił Wojtas, tylko sama pomyśl.

Wpatrywała się w kartkę, marszcząc brwi jak wcześniej Witczak. Nic tu nie ma, myślała. Czego on właściwie ode mnie chce? Dziecięce postacie były naszkicowane prostymi, wyrazistymi kreskami, jak ze szkolnego elementarza. Groteskowego elementarza: duże głowy z wyszczerzonymi zębami, wątle młodzieńcze ciała, chude nóżki i rączki. Jak parodia rysunków dla dzieci, dziwaczna i straszna. Ale przecież rysował to wariat, czego można się spodziewać po kimś chorym psychicznie?

Nie, nadal nie widziała w tym obrazku nic ciekawego. Chciała go oddać, jednak Witczak odepchnął jej rękę.

– Patrz – powiedział, po czym uchylił okno i wyrzucił niedopałek papierosa. Razem z deszczem do wnętrza poloneza wdarło się zimne, wilgotne powietrze. Hanka odetchnęła.

– Widzisz? – zapytał Witczak.

Tak, starsza szeregową nareszcie widziała.

– To nie są chłopiec i dziewczyna – powiedziała, oddając kapitanowi kartkę. – To dwie dziewczyny. Koziół nie narysował swojego młodszego rodzeństwa, tylko jakieś dwie nastolatki.

– Taa – mruknął Witczak.

– Marta i Dorota? – Hanka zawahała się. – Roman narysował nasze ofiary?

Witczak wzruszył ramionami.

– Ale one przecież są starsze? To znaczy, były – poprawiła się zaraz. – Myśli pan, że na tym rysunku są dwudziestolatki?

– Koziół prawdopodobnie nigdy nie widział tych dziewczyn na oczy. Ksiądz mógł mu o nich opowiedzieć, a on wyobraził je sobie jako młodsze, niż były w rzeczywistości.

– Co to znaczy? Że Roman Koziół przewidział morderstwo Marty i Doroty? Że chciał, żeby umarły, skoro teraz cieszy się z ich śmierci?

Spodziewała się standardowej odpowiedzi: „Nie wiem, ty mi powiedz”. Nie doczekała się.

– Jedź dalej – powiedział Witczak, zamykając okno. – Nie mamy dużo czasu.

* * *

Kiedy wjeżdżali do Katowic, deszcz akurat przestał padać, a na niebie pojawiła się tęcza, rozpięta między mokrym polem i pierwszymi zabudowaniami miasta.

– Piękna, prawda? – powiedziała Hanka.

– Co? – Przysypiający na przednim siedzeniu Witczak otworzył oczy.

– Tęcza. Proszę spojrzeć. To dobry znak.

– Lepiej patrz na drogę – burknął kapitan. Dziewczyna poczerwieniała lekko, żałując, że w ogóle się odezwała. Dobry znak, poważnie? Zupełnie jakby była przesadną babą ze wsi.

Pół godziny zajęło im szukanie Giszowca, kolejny kwadrans poświęcili na znalezienie ulicy Sosnowej i należącego do Lewandowskich domu. Witczak milczał, ale starsza szeregowka wyczuwała jego wzrastającą irytację. Wreszcie udało im się trafić na właściwy numer, zaparkowali i wysiedli. W przygrzewającym słońcu parowały mokre trawniki, na chodnikach w kałużach deszczu leżały zerwane przez ulewę liście. Pachniało wilgotną ziemią i kwiatami, które deszcz położył pokotem na ziemi.

Beata Lewandowska pracowała w niewielkim ogródku, z motyką w ręce, wciąż ubrana w ociekającą wodą foliową pelerynę. Na widok Witczaka wyprostowała się i zdjęła kaptur, lekko zdumiona, jakby dopiero teraz zauważyła, że przestało padać. Motykę przełożyła z ręki do ręki i wreszcie ją odłożyła.

– Przepraszam – powiedziała do milicjantów. – Pomyślałam, że jeśli popracuję trochę w ogrodzie, to może łatwiej będzie to wszystko znieść. Powinam zaprosić państwa do domu... Przepraszam... – powtórzyła. Odwróciła się przy tym w stronę drzwi, machając ręką – gest, który od biedy można by uznać za zaproszenie. Witczak nie ruszył się z miejsca.

– Właściwie chcieliśmy się zobaczyć z pani mężem. Gdzie go znajdziemy?

– Rysiek jest w pracy. Wie pan, mnie pomaga kopanie w ogrodzie, a jemu praca... – Zmarszczyła brwi, nagle zaniepokojona. – Mają państwo jakieś wiadomości o śmierci Dorotki? Wiecie już, kto ją zabił?

– Niestety nie.

– W takim razie o czym chcecie rozmawiać z Ryśkiem?

– Mamy do niego parę pytań.

Odpowiedź kapitana niczego nie wyjaśniała, ale kobieta przyjęła ją tak, jak większość świadków – skinieniem głowy, jakby to było oczywiste wytłumaczenie.

– W takim razie muszą państwo pojechać do kopalni Wieczerek. To niedaleko, na pewno państwo trafią. Mąż jest tam dyrektorem. – W jej głosie zabrzmiał ślad dawnej dumy. – A, i jeszcze jedno...

– Tak?

– Wyrzucałam dzisiaj śmieci i zauważyłam w koszu zaadresowany do Doroty telegram. Zdziwiło mnie to, wie pan, córka miała mnóstwo przyjaciół, ale nie takich, którzy by do niej ślali telegramy, a poza tym ten pana kolega pytał o korespondencję, więc wyjęłam go i odłożyłam. Chcą państwo zobaczyć? Może jednak wejdziecie do domu?

– Zaczekamy tutaj – powiedział Witczak.

Lewandowska wróciła po chwili, niosąc wymiętą, wilgotną kartkę – przed

chwilą najwyraźniej próbowała doczyścić ją szmatką, ale na papierze i tak zostały ślady tłustego sosu.

– Był w śmieciach, przepraszam – bąknęła.

– Nie szkodzi. – Kapitan skinął na Hankę. Dziewczyna wzięła telegram ostrożnie w dwa palce i ponieważ innego pomysłu nie miała, zawinęła go w czystą chusteczkę.

– Dziękuję – powiedziała. – Do widzenia.

Lewandowska powinna teraz pożegnać się i ruszyć z powrotem w stronę domu – albo wrócić do przekopywania grządek czy co tam robiła, zamiast tego jednak patrzyła na Hankę tak intensywnie, że dziewczyna poczuła się nieswojo.

– Nie oszukiwalibyście mnie, prawda? – zapytała, całkowicie ignorując Witczaka. – Gdybyście wiedzieli coś o śmierci Dorotki, tobyście mi powiedzieli? Nie jesteście z tych, którzy zawsze chcą rozmawiać z mężem i uważają, że żona nie jest w stanie znieść żadnych złych wiadomości. Widziałam ciało mojej córki w kostnicy, potrafię... zniosę wszystko. Tylko muszę wiedzieć. Pani jako kobieta powinna mnie rozumieć. Matka zawsze musi wiedzieć.

– Rozumiem – zapewniła Hanka, bo wydawało jej się, że Lewandowska tego właśnie oczekuje.

Miała rację – kobieta odetchnęła z ulgą i zdobyła się nawet na blady uśmiech.

– Będę czekała – oznajmiła na pożegnanie.

* * *

Deszcz za oknem przestał padać, w kubku skończyła się herbata, a staruszka coraz częściej traciła wątek i milkła, ksiądz Jerzy zrozumiał więc, że nie powinien nadużywać gościnności pań Ciołek. Wstał, uściśnął chudą pomarszczoną dłoń i pożegnał się.

– Pogadaliście se? – Młoda Ciołkowa uśmiechnęła się radośnie, kiedy wszedł do kuchni.

Przytaknął.

– Babce troche sie juz mieso w głowie, nale duzo jesce pamiento z downych casów. No wie ksiondz, na starość tak jes, ze cłowiek lepiej pamiento to, co było dawno tymu, niz to, co było wcora. Dziwne, prowda?

Ksiądz nie uważał, że to dziwne, ale i tak skinął jeszcze raz głową. Kobieta odprowadziła go do drzwi. Na zewnątrz wisiała mżawka, która momentalnie osiadła mu na twarzy, siodełko roweru też pokryte było warstewką wilgoci. Wsiadł i pomachał Ciołkowej na pożegnanie.

– Z Bogiem – powiedział.

– Z Bogiem. – Kobieta wróciła do domu, a proboszcz popedałował w stronę lasu, zastanawiając się, co, u licha, powinien zrobić ze zdobytą właśnie wiedzą.

* * *

– Napiją się państwo koniaku? – Ryszard Lewandowski wyjął z barku butelkę.

– Nie, dziękuję. – Hanka i Witczak odezwali się jednocześnie.

Mężczyzna spojrział na trunek z żalem i schował go do szafki. Usiadł na skórzanym fotelu, za dębowym biurkiem, które wyglądało jak antyk i które prawdopodobnie rzeczywiście antykiem było. Na ścianie wisiał obraz Kossaka – to z kolei z dużym prawdopodobieństwem była kopia. Witczak nie wierzył w obecność prawdziwego Kossaka w gabinecie nawet najlepiej zarabiającego dyrektora.

– Czy wiadomo już coś w sprawie śmierci Doroty? – Lewandowski powtórzył pytanie żony.

– Niestety nie. Ale musimy porozmawiać o pana córce.

– Słucham. – Wydawał się uprzejmy i jednocześnie lekko roztargniony, jakby miał do czynienia z niezbyt ważnym petentem. – Mam nadzieję, że nie zajmie nam to dużo czasu. Za piętnaście minut mam ważne spotkanie.

Hankę uderzyło, jak bardzo dzisiejszy Lewandowski różnił się od mężczyzny, który w poniedziałek przyjechał do Rokitnicy. Tamten człowiek balansował na granicy wybuchu, ten był doskonale opanowany. Beata Lewandowska po śmierci córki wciąż pogrążona była w głębokiej żałobie, ale jej mąż jakimś cudem już zdołał pogodzić się ze stratą – albo przynajmniej sprawiał takie wrażenie.

– Czy znęcał się pan nad córką, kiedy była mała? – zapytał Witczak.

Lewandowski zamrugął.

– Słucham? To jakiś żart?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

– Czy znęcałem... To jakiś absurd! – Mężczyzna spurpurowiał ze złości i nagle zaczął przypominać Lewandowskiego sprzed kilku dni, tego, którego Hanka poznała przed posterunkiem. – Oskarża mnie pan, że miałem coś wspólnego ze śmiercią Doroty?

– Niczego takiego nie powiedziałem. Zapytałem tylko, czy znęcał się pan nad córką. Albo czy znęcała się pana żona, chociaż biorąc pod uwagę obrażenia, stawałbym raczej na mężczyznę.

– Jakie obrażenia? – Lewandowski wciąż wahał się między gniewem a oszołomieniem.

– Kiedy Dorota była małym dzieckiem, ktoś bił ją tak mocno, że kilka razy połamał jej kości.

– Ach... – O dziwo, teraz odetchnął z ulgą. – W takim razie chyba wiem, o co chodzi. Swoją drogą, powinna nam o tym powiedzieć...

– Kto powinien panu powiedzieć? – Witczak powoli tracił cierpliwość.
– Eliza, która załatwiła nam adopcję. Powinna wspomnieć, że dziecko było maltretowane. Pewnie stąd się wzięły wszystkie problemy Doroty.

Kapitan poczerwieniał.

– A pan nie uznał za stosowne poinformować nas, że Dorota była adoptowana? Nie przyszło panu do głowy, że to może mieć znaczenia dla śledztwa?

– Dlaczego miałoby mieć? Wzięliśmy Dorotę z domu dziecka, kiedy miała dziewięć lat. Jej rodzina nigdy się nią nie interesowała ani Dorota nie interesowała się nimi.

– Jest pan pewny?

Lewandowski przytaknął.

– Parę razy o tym rozmawialiśmy, ale córka zawsze mówiła nam, że jej przeszłość nie ma znaczenia. Że jest teraz naszym dzieckiem, a my jesteśmy jej rodzicami. To było miłe, nie powiem. Dorota potrafiła być miła, jeśli tylko jej na tym zależało.

– Nie lubił jej pan, co?

Mężczyzna znowu poczerwieniał i tym razem Hanka nie potrafiłaby powiedzieć, czy to rumieniec wstydu, czy gniewu.

– Staralem się ją pokochać – powiedział ostrożnie. – I na początku chyba nawet mi się udawało. Wie pan, chcieliśmy wziąć młodszą dziewczynkę, może nawet niemowlę, gdyby się dało, ale jak tylko zobaczyliśmy Dorotkę, nie było mowy o innym dziecku. Dorota... Dorota to był wcielony urok, taka słodka i śliczna czarnulka. Moja żona po prostu się w niej zakochała. Ja zresztą trochę też, przyznaję. Tylko że później...

– Później Dorota zaczęła sprawiać kłopoty?

Skinął głową.

– Im była starsza, tym gorzej to wyglądało. Zaczęły się wagary, ucieczki z domu, zadawanie się z nieodpowiednim towarzystwem. Jeszcze przez jakiś czas myśleliśmy, że to zwyczajne problemy wieku dorastania, ale potem...

– Potem się okazało, że Dorota ma wadę. Jak samochód kupiony z drugiej ręki – odpowiedział Witczak.

Lewandowski zacisnął usta, w jego oczach błysnęła złość.

– Tak, jeśli już musi pan używać takich określeń. Zresztą mogliśmy się tego przecież spodziewać. Chcieliśmy wierzyć, że Dorota jest inna, ale geny zawsze się w człowieku odezwą.

– Dziewczyna pochodziła z patologicznej rodziny? – zainteresowała się Hanka.

– Alkohol i bieda, tyle nam Eliza powiedziała. O biciu nie było mowy.

– Dorota o tym wiedziała? – Tym razem pytanie zadał Witczak.

– Nie mam pojęcia. – Lewandowski zawahał się. – Staraliśmy się nie rozmawiać z nią na temat jej rodziny, a ona nie dopytywała, ale nie zdziwiłbym się, gdyby w sierocińcu ktoś powiedział jej prawdę. Dzieci potrafią być okrutne, jeśli chcą komuś dokuczyć.

– A może było tak, że to pan wykrzyczał w kłótni coś o tej patologii?

– Możliwe, co z tego? – Mężczyzna coraz bardziej się irytował. – Nigdy nie ukrywałem, że zdarzało mi się z córką kłócić, czasem nawet ostro. Jakie to ma znaczenie?

– Może żadne – przyznał Witczak. – A może jednak jakieś ma.

* * *

Obiad zjedli w restauracji niedaleko katowickiego rynku – kapitan specjalnie wybrał droższy lokal, bo doszedł do wniosku, że tam przynajmniej będą mieli szansę w spokoju porozmawiać. Hanka na widok cen w karcie lekko zbladła, ale Witczak zaraz ją uspokoił.

– Nie przejmuj się, dzisiaj ja stawiam – powiedział. – Możesz zamówić coś porządniejszego niż naleśniki.

– Lubię naleśniki – zaprotestowała, po czym, dokładnie tak jak Witczak się spodziewał, wybrała najtańszy posiłek z całego menu.

Gdy czekali na jedzenie, kapitan położył na stole zdjęcia Doroty i Marty.

– Jak myślisz, mogłyby być siostrami? – zapytał.

Hanka przysunęła obie fotografie i przyjrzała im się uważnie.

– Nie wiem... – powiedziała niepewnie.

– Tusza potrafi zmienić rysy twarzy – przypomniał Witczak. – I fryzura też. Spróbuj sobie wyobrazić Martę szczuplejszą o dwadzieścia kilo, z grzywką taką, jaką miała Dorota.

Spróbowała.

– Mają podobne nosy... I wykrój ust. Chociaż nadal wydaje mi się, że nie są do siebie zbyt podobne.

– Nigdzie nie jest powiedziane, że siostry muszą być do siebie bardzo podobne. Poza tym to by pasowało. Lewandowski pewnego dnia mówi córce coś nieprzyjemnego o jej biologicznej rodzinie, a ona postanawia to sprawdzić. Jasne, wcześniej nie wykazywała zainteresowania, ale wiemy przecież, że dziewczyna była zmienna i impulsywna. Jedno słowo przybranego ojca mogło sprowokować ją do poszukiwań.

– I trafiła na Martę?

– Czemu nie? Założyliśmy, że Jaczyk spotykała się z jakimś mężczyzną i to z jego powodu tak się stroiła. Ale czy dziewczyna nie mogłaby pójść do fryzjera dlatego, że szykuje się na spotkanie z dawno niewidzianą siostrą? Zwłaszcza gdyby wiedziała, że siostra została adoptowana przez bogatą rodzinę i że to teraz

elegancka panna?

Hanka wolno skinęła głową.

– To by wyjaśniało też sprawę pierścionków – dodał Witczak. – Nie żebym się na tym znał, ale siostry lubią chodzić w podobnych ciuchach, prawda?

– Nie wiem, mam trójkę braci. Ale chyba tak.

– Właśnie. Marta i Dorota za bardzo różniły się figurami, żeby nosić, powiedzmy, identyczne letnie sukienki, ale mogły kupić sobie przynajmniej takie same pierścionki.

– A trzeci pierścionek? Ten należący do Ewy?

– Wiem, o co chodzi z tymi pierścionkami. – Witczak zabrał zdjęcia, by zrobić miejsce dla dwóch talerzy. – Ty też byś wiedziała, gdybyś trochę pomyślała. Później ci powiem. Teraz jedz, bo wystygnie.

Posłusznie wbiła widelec w naleśnik, po pierwszym kęsie jednak wróciła do tematu.

– Wcale nie jestem pewna, czy Marta i Dorota naprawdę mogły być siostrami. Może widzimy to, co chcemy zobaczyć?

– Możliwe, ale mamy całkiem solidne poszlaki. – Witczak odkroił kawałek sznycła i włożył go do ust. – Na przykład Stanisława Gwarek.

Hanka potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, o kim kapitan mówi.

– Ta niechlujna przyjaciółka Marty? Co z nią?

– Zastanawiałem się, co Jaczyk w niej widziała, pamiętasz? No to teraz mamy odpowiedź.

– Nie rozumiem... – Hanka zmarszczyła brwi. Znowu miała wrażenie, że za Witczakiem nie nadąża.

– Pomyśl. Gwarek jest ładniutka i na swój sposób całkiem urocza, a przy tym nieodpowiedzialna i życiowo niezaradna. Dlaczego rozsądna dziewczyna miałaby zadawać się z kimś takim?

– Bo Gwarek przypominała jej młodszą siostrę?

Witczak wzruszył ramionami.

– To możliwe. Tak czy inaczej, upewnimy się, kiedy pogadamy z dawną dyrektorką sierocińca. Mam nadzieję, że wróciła już z wczasów.

– To znaczy, że nie jedziemy teraz do Rokitnicy?

– Jeszcze nie. Zaczekaj tu chwilę, muszę zadzwonić. Jeśli chcesz, możesz zamówić deser.

Wstał i poszedł do szatni, gdzie widział zawieszony na ścianie publiczny telefon. Na półeczce pod nim leżała sfatygowana książka telefoniczna. Kapitan odszukał w niej nazwisko Gwarek i wykręcił numer. Nie miał pewności, że zostanie Stanisławę w domu ani nawet że dzwoni do właściwego mieszkania – w Olsztynie mogło być więcej osób o tym nazwisku, a Witczak nie pamiętał adresu. Nie liczył więc na zbyt wiele i dlatego przyjemnie zaskoczył go znajomy,

lekko piskliwy głosik:

– Słucham?

– Pani Stanisława Gwarek?

– Tak, a kto mówi?

– Kapitan Witczak, pamięta mnie pani? Rozmawialiśmy o pani przyjaciółce, Marcie.

– Taaak, pamiętam. – Sądząc po pełnym wahania głosie, dziewczyna właśnie desperacko usiłowała przypomnieć sobie tamtą rozmowę.

– Powiedziała pani wtedy, że Marta umiała zabijać i że to nic dziwnego. Mniej więcej, nie pamiętam dokładnych słów.

– Naprawdę tak powiedziałam? – Wciąż ten sam niepewny i ostrożny zarazem ton.

– Naprawdę. Nie pamięta pani?

– No, może i pamiętam. Co z tego?

– Mogłaby pani wyjaśnić, co właściwie miała pani wtedy na myśli?

* * *

Eliza Sterczewska okazała się energiczną starszą panią. Nie staruszką – Witczak z pewnością nie odważyłby się tak jej nazwać, choć była dyrektorka domu dziecka dobiegała osiemdziesiątki. Włosy miała starannie ułożone i zafarbowane na brązowiofioletowy odcień, cerę wypielęgowaną, paznokcie pomalowane, a na twarzy dyskretny makijaż w kolorach, które pasowały do eleganckiej różowej garsonki. Zastali ją w samym środku rozgardiaszu – na podłodze pokoju leżała walizka, z której wysypywały się letnie ubrania i bielizna w ciepłym brzoskwiniowym odcieniu, na krześle wisiał stanik i pas do pończoch. Mimo to Sterczewska nie wyglądała na zawstydzoną.

– Proszę wybaczyć bałagan – powiedziała, omiatając pomieszczenie niedbałym gestem. – Właśnie wróciłam z podróży. Może napiją się państwo herbaty?

Nie czekając na odpowiedź, poszła w głąb domu, a Witczakowi i Hance nie pozostało nic innego, jak tylko podążyć jej śladem. Szli korytarzem, na ścianach którego wisiały czarno-białe zdjęcia sprzed dwudziestu i więcej lat. Była na nich młodsza Sterczewska w towarzystwie mężczyzny w garniturze – prawdopodobnie naczelnika miasta – przecinającego wstęgę przed jakimś budynkiem i przy boku innego mężczyzny, tym razem w mundurze majora milicji. Dni minionej chwały, pomyślał Witczak, który chyba zaczynał coś rozumieć.

W staroświeckiej, dużej kuchni Sterczewska postawiła czajnik na gazie, wyjęła z szafki puszkę herbaty i pokazała ją Hance.

– Prawdziwy angielski earl grey, może być? – zapytała z uśmiechem.

Lekko oszołomiona Hanka skinęła głową, a gospodyni odwróciła się do

Witczaka.

– Pana nie pytam, bo mężczyźni się na herbatkach nie znają. Panu kapitanowi to bym koniaku dała, ale pan pewnie na służbie jest?

Witczak potwierdził.

– A może poczęstują się państwo ciastkami? Przywioz-łam trochę bakławy z Bułgarii. Dla wnuków, ale...

– Przyszliśmy tu porozmawiać o pani wychowankach, nie na podwieczorek. – Witczak przerwał jej brutalnie.

Uśmiechnęła się, zupełnie niestropiona.

– Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że wizyty państwa nie zawdzięczam względom towarzyskim. Nie ma jednak przeszkód, żebyśmy nie mogli uprzyjemnić sobie czasu, prawda?

– Czy nazwiska Marta Jaczyk i Dorota Lewandowska coś pani mówią? – Kapitan nie kłopotał się z odpowiedzią na pytanie.

Przez twarz Sterczewskiej przemknęło coś, co do złudzenia przypominało niepokój – ale może Witczakowi tylko się zdawało. W każdym razie starsza pani opanowała się zdumiewająco szybko.

– Dziewczęta Jaczyków, oczywiście, że je pamiętam. Większość tej rodziny przewinęła się przez nasz dom. Kilku chłopców i dwie dziewczynki, właśnie Marta i Dorotka. Dorotka to takie żywe srebro było, śliczne dziecko. Mieliśmy z nią trochę kłopotów, ale nie dało się długo na tę dziewczuszkę gniewać. Ciekawe, co z niej wyrosło? Marta wprost przeciwnie, od początku była bardzo odpowiedzialna i rozsądna. Opiekowała się siostrzyczką, jak tylko mogła. Żałowałam, że jej także nie udało się oddać do adopcji, ale wie pan, ludzie wolą brać ładne dzieci, a Marta, biedactwo, urodą nigdy nie grzeszyła. To była dobra dziewczyna i całkiem inteligentna, chociaż na pierwszy rzut oka mogłaby się wydawać niezbyt bystra. Za moją namową skończyła nawet studia, a niewielu naszym wychowankom się to udaje.

– Niech zgadnę. – Witczak poczuł, że albo natychmiast przerwie ten potok słów, albo w nim utonie. – To pani załatwiła Marcie mieszkanie?

– Ja. – Sterczewska przytaknęła energicznie. – Córka kuzynki wybierała się za granicę i potrzebowała kogoś, kto zająłby się mieszkaniem, dlatego poleciłam jej Martę. Farmacja to też był mój pomysł: Marta nie miała sprecyzowanych planów, a u mnie w rodzinie jest sporo farmaceutów. Sama...

Woda akurat się zagotowała, więc kobieta przerwała, by wyłączyć gaz. Wyjęła z kredensu trzy porcelanowe filiżanki w różyczki, postawiła je na tacy i zaparzyła herbatę. Witczak odruchowo wyciągnął rękę, ale starsza pani skarciła go wzrokiem.

– Proszę chwilę zaczekać, napar musi nasiąknąć.

Kapitan cofnął rękę.

– Tymczasem mogą mi państwo zdradzić, z czym przychodzą. Domyślam się, że Dorota coś zmalowała? Bo chyba nie chodzi o Martę, ona zawsze taka spokojna była...

– Marta nie żyje – oznajmił Witczak celowo brutalnie. – Dorota zresztą też.

Z ciekawością obserwował reakcję Sterczewskiej. Kobieta najpierw patrzyła na niego zdumionymi oczami, potem jej usta ułożyły się w pełne bólu „O”, wreszcie po policzkach spłynęły rzęsiste łzy, a starsza pani sięgnęła po haftowaną chusteczkę.

– Mój Boże... – wyszłochała. – Co się stało? Jakiś wypadek?

Jeszcze dekadę temu Witczak uznałby jej zachowanie za bardzo sztuczne, jednak przez te wszystkie lata zdążył się przekonać, że ludzie są różni – w tym i tacy, których najszczerze reakcje wyglądają jak wyreżyserowane. Być może Sterczewska należała do tego właśnie typu.

– Zostały zamordowane – dodał, a kobieta pochylila się jeszcze niżej, płacząc w chusteczkę. Witczak spojrział na Hanke – jeśli dziewczyna chciała się wykazać, to teraz był odpowiedni moment.

Starsza szeregową chrząknęła.

– Może napije się pani herbaty? – zaproponowała. – Pomoże pani dojść do siebie.

Nie zabrzmiało to szczególnie ciepło, ale o dziwo, pomog-ło, bo Sterczewska oderwała chusteczkę od oczu, łyknęła herbaty i spojrziała na Witczaka. I choć łzy wyłobily bruzdy w jej makijażu, jakimś cudem kobiecie wciąż udawało się wyglądać elegancko.

– Nie rozumiem... – powiedziała z wahaniem. – Ja przecież Dorotki nie widziałam od czasu, kiedy została adoptowana. Z Martą wysyłamy... wysyłałyśmy sobie kartki na święta, ale to wszystko, dlaczego w takim razie...

– Dlaczego przyszliśmy do pani? – podpowiedział Witczak.

Skinęła głową.

– Sądzi pan, że bracia Marty i Doroty mogą mieć coś wspólnego z tą tragedią? To złodzieje, owszem, ale nigdy nie było wśród nich mordercy! Zresztą dziewczyny nawet nie utrzymywały kontaktów z resztą rodziny...

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę, że Jaczykowie wcale nie byli ich rodziną. – Witczak sięgnął wreszcie po herbatę i spróbował. Była paskudna. Kobietom może takie rzeczy smakowały, ale on wołał zwyczajną, uczciwą ulung.

– Słucham? – Sterczewska patrzyła na niego niewinnymi błękitnymi oczami. Dawniej kapitan może i dałby się nabrać na ich urok, ale dzisiaj nie miał czasu ani ochoty na takie bzdury.

– Przestańmy udawać – zaproponował. – I pani, i ja wiemy, że te dwie dziewczyny nie miały nic wspólnego z Jaczykami. Nie mogły mieć. Marta na przykład świetnie radziła sobie z gotowaniem czy sprzątaniem, a przecież

wychowankowie domu dziecka mają z tym duży problem. Jasne, wielu rzeczy mogła nauczyć się już jako dorosła, była wystarczająco uporządkowana i uparta, żeby to zrobić. Ale tak czy inaczej, gdzieś w dzieciństwie musiała mieć kontakt z normalnymi domowymi obowiązkami. Nie u alkoholiczki Jaczykowej i nie w sierocińcu.

– Nie rozumiem, o czym pan mówi.

Witczak odłożył filiżankę.

– Rozumie pani doskonale. Tak, wiem, że gdybyśmy sprawdzili akty urodzenia, w obu jako matka byłaby wpisana Ilona Jaczyk. Prawdopodobnie nawet sama Ilona przyznałaby się do urodzenia dwóch dziewczynek, gdyby ją o to zapytać. Tyle że ta kobieta potwierdziłaby, że królowa angielska to jej córka, gdybym ją zapytał, więc to żaden dowód. Swoją drogą wykazała się pani dużym sprytem, wybierając akurat tę rodzinę: ograniczona umysłowo matka, wychowywani przez państwo bracia, którzy sami nie wiedzą, ile właściwie mają rodzeństwa. Mogła im pani wmówić cokolwiek.

– I sądzi pan, że akty urodzenia też sfalszowałam? – W głosie Sterczewskiej zabrzmiała twarda nuta, a Witczak nagle wyobraził sobie, jak ta kobieta musiała wyglądać – i zachowywać się – dwadzieścia lat temu, gdy nie była jeszcze uśmiechniętą starszą panią, tylko dyrektorką sierocińca, trzymającą swoich wychowanków żelazną ręką. I jeśli wcześniej miał jakieś wątpliwości, właśnie się one rozwiały.

– Nie podejrzewam, że zrobiła to pani osobiście. Ale miała pani znajomości, prawda? Naczelnik miasta, komendant milicji. Widziałem zdjęcia w przedpokoju. Wystarczyło pociągnąć za odpowiednie sznurki.

– Przecenia pan moje możliwości, panie poruczniku.

– Kapitanie, ale mniejsza o to. Nie interesują mnie pani machlojki sprzed dwudziestu lat. Chcę wiedzieć, skąd te dziewczynki wzięły się na Śląsku. I nie wyjdę stąd, dopóki mi pani nie powie.

* * *

Wikary siedział w kancelarii, przeglądając jakieś pismo.

– Siedz – powiedział ksiądz Jerzy, kiedy chłopak już zrywał się zza biurka. – Pawliczkowa się nie zjawiała?

– Nie. Myśli ksiądz, że coś jej się stało? Może zemdląca?

– Dlaczego miałyby zemdleć?

Młody ksiądz zakłopotał się lekko.

– Z powodu tej blizny. Widziałem przypadkiem, jak zdjęła chustkę. Coś w rodzaju wgłębienia w czaszce, jakby ją ktoś uderzył czymś ciężkim. Moja kuzynka tak ma po tym, jak w dzieciństwie spadła z huśtawki, i teraz zdarza się, że czasem mdleje. Może powinniśmy do niej pójść?

– Ja pójdę, ty zostań.

Ksiądz Bartek chciał chyba zaprotestować, ale posłuszeństwo wobec proboszcza zwyciężyło i chłopak wrócił do studiowania pisma. A Marczewski w drodze do wyjścia zaszedł jeszcze do pokoiku gospodyni. Był tam jej fartuch, buty na zmianę i książka Jane Austen, którą czytała w wolnych chwilach. Było też oprawione w srebrną ramkę zdjęcie przedstawiające młodą Pawliczkową – pamiątka z przeszłości, mająca uczynić bezosobowy pokój nieco bardziej swojskim. Przyglądał mu się przez chwilę. Gospodyni mogła mieć na nim jakieś czternaście–piętnaście lat. Ładna ruda dziewczyna w kraciastej sukience, z fryzurą, która z dzisiejszego punktu widzenia wydawała się rozczulająco staroświecka. Patrzyła w obiektyw, mrużąc oczy przed ostrym słońcem, i uśmiechała się tak, jak potrafią się uśmiechać tylko nastolatki, które wierzą, że mają przed sobą całe długie, szczęśliwe życie, ale ksiądz nie patrzył na jej twarz. Patrzył na materiał sukienki, na tę charakterystyczną zielono-czerwoną kratę, wyraźną nawet na zdjęciu z czasów, kiedy barwne fotografie były rzadkością i mało komu udawało się dobrze uchwycić kolory.

Odłożył zdjęcie na półkę i wyszedł, zamykając za sobą drzwi tak cicho i ostrożnie, jakby w pokoju dogorywał śmiertelnie chory człowiek.

* * *

– Pomogę pani – Witczak westchnął. – Daty urodzenia obu dziewczyn. Czwarty i czternasty lipca. Naprawdę będzie mi pani wmawiać, że to przypadek?

– A pana zdaniem co to może być?

– Symbol – powiedział. – Wyzwolenia, może początku nowego życia. Niepodległość Stanów Zjednoczonych i zdobycie Bastylia. Pani jest z przedwojennego pokolenia, dlatego nie będę miał pretensji, że nie wybrała pani rewolucji październikowej. Zresztą nawet gdyby była pani młodsza, nie miałyby to znaczenia. Jak mówiłem, obchodzi mnie tylko znalezienie mordercy. I jeszcze jedno. Rozmawiałem jakiś czas temu z przyjaciółką Marty, która powiedziała mi coś, czego wtedy nie zrozumiałem: że Marta potrafiła zabijać i że to nic dziwnego. Dzisiaj dopytałem ją, co właściwie miała na myśli, i wie pani, co odpowiedziała?

– Nie mam pojęcia.

– Że Marta urodziła się na wsi i dlatego zabicie świątecznego karpia nie sprawiało jej kłopotu. Tak, wiem, jedno nie musi mieć związku z drugim, ale nie o to chodzi. Ważne, że Marta z jakiegoś powodu opowiadała przyjaciółce, że urodziła się na wsi, a dlaczego miałyby to robić, gdyby przyszła na świat w Będzinie?

– Ludzie czasem fantazjują na temat swojego pochodzenia, zwłaszcza wychowankowie sierocińca. To normalne.

– Dlaczego w takim razie Marta nie wymyśliła sobie rodziny milionerów,

tylko jakąś zapyziałą wieść? Poza tym sama pani mówiła, że dziewczyna była rozsądna i twardo stąpała na ziemi. Dorota pewnie mogłaby tak fantazjować, ale Marta?

Sterczewska bawiła się pustą już filiżanką, nie patrząc Witczakowi w oczy. Kapitan uznał to za dobry znak.

– Wiosną coś się wydarzyło – kontynuował. – Najpierw ojciec w kłótni wykrzyczał coś o patologicznej rodzinie, a Dorota wzięła to do siebie i postanowiła odnaleźć swoich krewnych. Była pełnoletnia, więc mogła uzyskać dostęp do dokumentów sądowych. Zresztą jeśli pamiętała nazwisko, jakie nosiła w domu dziecka, nie musiała nawet czytać aktu adopcji, bo Marta wciąż nazywała się tak samo. Nie wiem, jak Dorota odnalazła siostrę. Może wpadła na to, że Marta mogła skończyć studia, sprawdziła w spisie absolwentów Uniwersytetu Śląskiego, a potem, kiedy się dowiedziała, że dziewczyna wyjechała do Olsztyna, dzwoniła do wszystkich aptek po kolei.

– Zajęłoby jej to mnóstwo czasu. – Sterczewska uśmiechnęła się smutno. – A Dorota nie była zbyt cierpliwa.

– Powiedzmy, że tym razem dopisało jej szczęście. Albo zatrudniła do poszukiwań któregoś ze swoich licznych przyjaciół. To nie ma znaczenia. Ważne, że Dorota Martę odnalazła i umówiła się z nią na spotkanie w Katowicach. Wie pani, co z tego spotkania wynikło?

– Nie mam pojęcia, ale pan z pewnością mi powie.

– W trakcie rozmowy dziewczyny zaczęły sobie przypominać coraz więcej szczegółów z dzieciństwa. Przede wszystkim upewniły się, że z Jaczykami nie łączyły ich żadne więzy krwi, wiedziały też, że urodziły się na wsi, gdzieś w okolicach Żywca. Problem w tym, że nie pamiętały nazwy tej miejscowości. Doroty to chyba za bardzo nie obchodziło, ale Marta chciała wiedzieć. Dlatego wzięła urlop i przez dwa tygodnie krążyła po wsiach wokół Żywca, szukając czegoś, co przywoła wspomnienia z dzieciństwa.

– Znalazła? – Głos Sterczewskiej brzmiał głucho, bez śladu wcześniejszej twardości.

– O tak, znalazła. I znalazła też mordercę, który zadźgał ją jak prosiaka, a ciało porzucił na torach.

Starsza pani wzdrygnęła się i pobladła, ale Witczak nie zamierzał okazywać jej litości.

– Podobny los spotkał Dorotę, tyle że ona zginęła powieszona na drzewie, z poderżniętym gardłem. Nadal się pani dziwi, że interesuje nas przeszłość tych dziewczyn?

Sterczewska odłożyła filiżankę i odetchnęła głęboko.

– Nie wiem, skąd te dziewczynki się wzięły. Latem sześćdziesiątego szóstego roku sokiści znaleźli je, kiedy szły wzdłuż torów kolejowych. Twierdziły,

że przyjechały pociągiem, ale nie potrafiły powiedzieć jakim. Wyglądały na oszołomione, dlatego przyprowadzili je do mnie.

– A pani nie zawiadomiła milicji.

– Nie zawiadomiłam. – Sterczewska hardo spojrzała Witczakowi w oczy. – Bałam się, że jeśli zajmie się tym milicja, dziewczynki będą musiały wrócić tam, skąd przyjechały.

– Były bite?

– Młodsza tak, starsza chyba nie. Myślę, że od początku Dorotka była tą niepokorną, a Marta posłuszną.

– Mogła pani wystąpić o ograniczenie praw rodzicielskich – przypomniała Hanka, a starsza pani skrzywiła się na taką naiwność.

– To nie takie proste. Rodzice zawsze mogliby powiedzieć, że dziecko spadło z drabiny albo coś w tym rodzaju. Mało podobnych przypadków w życiu widziałam? Poza tym te dziewczynki na pierwszy rzut oka nie wyglądały źle, nie były niedożywione ani zaniedbane. Bicie było tylko częścią problemu. Obie były dręczone w znacznie bardziej wyrafinowany sposób. Na przykład nie dostały imion. Żadnych. Podobno ksiądz powiedział im, że narodziły się z grzechu, są złe i dlatego powinny pokutować, żeby zasłużyć na chrzest. Godzinami musiały klęczeć w kościele, błagając o przebaczenie za jakieś wymaginowane winy. Wyobrażacie sobie państwo coś takiego?

– Wyobrażamy – powiedział Witczak, a Hanka w tym samym momencie pokręciła głową.

– Dziewczynki wymyśliły sobie własne imiona: Józia i Rózia. To chyba z jakiejś książki, którą czytała im matka. Myślałam nawet, żeby je im zostawić, ale takie rymujące się imiona za bardzo zwracałyby uwagę.

– W jakim wieku były wtedy?

– Marta miała jakieś siedem lat, a Dorotka sześć, ale oceniliśmy to dość orientacyjnie, bo małe podawały sprzeczne informacje. Niespecjalnie radziły sobie z matematyką, chociaż starsza powinna już chodzić do szkoły. Umiały tylko trochę czytać i się podpisać.

– Wymyślonymi imionami?

– Tak.

– Myśli pani, że dzieci były trzymane gdzieś w zamknięciu?

– Jak Kaspar Hauser w piwnicy? – Sterczewska uniosła brwi. – Nie sędzę. Jak mówiłam, były raczej zdrowe i nawet trochę opalone, musiały więc wychodzić na świeże powietrze. Ale nie wychowywano ich tak, jak trzeba, tego jestem pewna. No chyba że uważa pan za właściwe wmawianie kilkuletniemu dziecku, że z jego powodu spadnie na wios-kę jakieś straszne nieszczęście i dlatego musi godzinami klęczeć w kościele. Powtarzałam im, że teraz już mogą zapomnieć, skoro wszystko, co złe, zostało za nimi, ale one i tak każdej nocy budziły się z krzykiem. Nie wiem,

skąd pochodziły, ale to musiało być... złe miejsce. Naprawdę złe.

– Dziewczynki same uciekły z tego miejsca?

– Nie, pomógł im jakiś mężczyzna. Ktoś przecież musiał kupić im bilety i wsadzić je do tego pociągu.

– Wspominały o mężczyźnie?

– Nie wiem, chyba tak. To było dawno temu i sporo już zapomniałam, a dziewczynki też wtedy nie mówiły specjalnie jasno czy spójnie. Albo wymieniły jakieś imię, a ja założyłam, że ktoś dorosły musiał im pomagać? Jakie to ma teraz znaczenie? Powiedziałam wam wszystko, co wiem. Teraz możecie państwo... wyciągnąć konsekwencje, jeśli chcecie.

– Nie interesują nas machlojki sprzed dwudziestu lat, mówiłem pani. – Witczak wstał i skinął na Hanke, która pośpiesznie odłożyła filiżankę. – Chodź, musimy się spieszyć.

* * *

Proboszcz zadzwonił do drzwi Pawliczkowej i czekał, najpierw cierpliwie, potem z cierpliwością coraz mniejszą. Zadzwonił jeszcze raz, jednak zanim zdążył na dobre się zaniepokoić, sąsiadka zauważyła go, oderwała się od zrywania słodkiego groszku i podeszła do płotu.

– Nie ma jej – powiedziała, opierając o biodro wielką białą miche. – Wyszła jakieś pół godziny temu.

– Nie mówiła, dokąd idzie?

– Nie, tyle że elegancko się ubrała, to może do miasta pojechała. Musi ksiądz proboszcz wrócić później.

– Wrócę, dziękuję. Z Bogiem.

– Z Bogiem.

Odwrócił się, zostawiając sąsiadkę z miską oszałamiająco pachnącego groszku i wzrokiem, który wypalał dziurę w plecach księżowskiej sutanny.

* * *

– Myśli pan, że Marta i Dorota urodziły się w Rokitnicy? – zapytała Hanka, kiedy zjechali na drogę prowadzącą w stronę Żywca.

– Nie w Rokitnicy, tylko w Brzozówce. Dwadzieścia sześć lat temu w Rokitnicy nie było jeszcze parafii, pamiętasz? Kościół stał w Brzozówce i tam rezydował ksiądz.

– Ten, który się potem powiesił... Chociaż nie. – Hanka zreflektowała się. – To musiał być jeszcze wcześniejszy, ten, który utopił się po pijaku. I on wiedział o dziewczynkach.

– Wszyscy wiedzieli. – Witczak patrzył na przesuwany się za oknem senny, podeszczowy krajobraz. – Założę się, że cała cholerna wieś wiedziała.

– I nikt niczego nie powiedział?

– A dlaczego miałby mówić? Ćwierć wieku temu Brzozówka była odcięta od cywilizacji maleńką wioską, w której ksiądz był praktycznie bogiem. Nikt nie miał odwagi mu się sprzeciwić.

– Z wyjątkiem mężczyzny, który pomógł dziewczynkom.

– Taa... – mruknął Witczak. – Z wyjątkiem jednego mężczyzny.

– A Dorota szukała w księdze parafialnej informacji o urodzinach swoich i swojej siostry. Pewnie się zastanawiała, czy naprawdę były nieochrzczone, czy ksiądz tak tylko im mówił... – Hanka ścisnęła kierownicę, aż zbieleły jej kostki palców. – Ale przecież ktoś się o te dziewczynki troszczył, prawda? Miały zabawki i książkę z bajkami...

Witczak nie odpowiedział. Starsza szeregowca milczała przez chwilę, a potem zapytała już zupełnie innym, znacznie bardziej oficjalnym tonem:

– Uważa pan, że Marta Jaczyk w czasie swoich wędrówek spotkała w Rokitnicy kogoś z przeszłości, kto ją potem zabił?

Przytaknął.

– Myślę, że spotkała mordercę. I nawet się domyślam, gdzie razem poszli.

– Gdzie? – Minęli znak pokazujący, że do Żywca zostało dwadzieścia kilometrów. Witczak już nie poganiał, ale Hanka odruchowo przyspieszyła.

– Do krzyża, oczywiście.

– Czemu tam?

– Bo Ewa Chojniak zobaczyła ich przy okazji, a ona przecież nigdy nie ruszała się z domu. Założę się, że wpadli do niej nawet na herbatę, w końcu dziewczyna lubiła zapraszać ludzi, którzy mijali jej ogród.

– Czyli Ewa wiedziała, kto zabił Martę?

– Oczywiście, że wiedziała. Ta dziewczyna w ogóle wiedziała mnóstwo rzeczy. Pochodziła z Brzozówki, była mniej więcej w wieku Marty i Doroty i musiała je pamiętać z dzieciństwa. Wiedziała, że proboszcz Kubiak próbował spalić zabawki, a Chochołek z jakiegoś powodu część uratował i zabrał do siebie. Szkoda tylko, że z nikim nie chciała się tą wiedzą podzielić.

Hanka potrząsnęła głową.

– To nadal nie pasuje. Załóżmy, że Marta faktycznie spotkała w Rokitnicy mordercę. Kogoś, komu ufała, skoro poszła z nim na tory. Czemu w takim razie ten ktoś nie zabił jej od razu, tylko czekał z tym cały miesiąc?

– Ja bym zadał inne pytanie.

– Jakie? – Wyprzedziła załadowanego aż po dach malucha.

– Dlaczego właściwie Marta wróciła do Rokitnicy?

– Bo koniecznie chciała kogoś powstrzymać?

– Nawet jeśli, dlaczego o tej konieczności nie wiedziała wcześniej? Wyjechała na parę tygodni, a potem ni z tego, ni z owego uznała, że jednak musi

wrócić?

– Pan ma lepszą teorię?

– Mam – przyznał Witczak. – Jeśli chwilę pomyślisz, sama na nią wpadniesz. Pamiętasz te nocne dyżury Marty? Dziewczyna nagle zapalała miłością do przesiadywania po nocach w aptecę, a my zastanawialiśmy się czemu. Teraz już wiemy.

– Ja dalej nie mam pojęcia.

– Zastanów się. Czego brakowało w mieszkaniu Marty, a co było w aptece? Hanka uśmiechnęła się bez przekonania.

– To brzmi trochę jak z dziecięcej zagadki. Co ma zajaczek, a czego nie ma miś? Pamiętam, że rozwiązywałam takie... – Nagle ją olśniło. – Telefon! W mieszkaniu Marty nie było telefonu, ale w aptece jest.

– No widzisz, mówiłem, że się domyślisz.

– To znaczy, że morderca dzwonił do Marty nocami i rozmawiał z nią? Nie, bez sensu, zabójca przecież nie namawiałby jej, żeby kogoś powstrzymała. Czyli dzwonił ktoś inny, kto ostrzegał Martę przed kimś niebezpiecznym, a dziewczyna postanowiła przyjechać i stawić temu komuś czoła. W wykazie połączeń z apteki powinien być odpowiedni numer. Damy radę taki wykaz dostać?

– Owszem, ale to potrwa.

– Poza tym i tak nic nam nie da – dodała Hanka. – Z poczty w Rokitnicy mógł dzwonić ktokolwiek, nawet nocą. Ola ma klucze i wpuściłaby tam połowę wsi, bo większość to jej krewni albo przynajmniej znajomi.

– To jest problem z tą całą sprawą, co? – wymruczał Witczak. – Większość mieszkańców Rokitnicy to krewni albo znajomi. A teraz zwolnij.

– Myślałam, że chce pan...

– Zwolnij. Szukamy numeru siedemdziesiąt trzy w Jaworkach. To są Jaworki?

– Tak, ale...

– Nie gadaj tyle, tylko się rozglądaj.

Posłusznie zwolniła do prędkości spacerowej i pochyliła się, uważnie spoglądając na numery mijanych chałup.

– Marta nie chciała, żeby siostra przyjechała tu za nią – powiedziała, kiedy przejechali obok niewielkiego sklepiku. – Tak twierdziła Dorota. „Józia nie chciała, żebym tu przyjechała”. To znaczy, że Marta nie poinformowała jej o swoich planach, a jednak Dorota się zjawiła. Bo ktoś przysłał jej telegram.

Witczak skinął głową. Hanka zatrzymała się przed chałupą zbudowaną z ciemnobrązowych, prawie czarnych beli drewna, z pomalowanymi na zielono oknami i studnią na podwórku. Numer siedemdziesiąt trzy.

– Biedna dziewczyna – powiedziała starsza szeregowca, przypominając sobie treść telegramu. „Marta zmarła w Rokitnicy 6 lipca. Przyjedź, jeśli chcesz się

dowiedzieć dlaczego”. Ktokolwiek go napisał, był wystarczająco sprytny, by nie wspomnieć o morderstwie. Coś takiego na pewno zwróciłoby uwagę urzędniczki na poczcie. A jednocześnie wiadomość była na tyle precyzyjna, by z dużym prawdopodobieństwem skłonić siostrę do przyjazdu.

- Biedna dziewczyna – zgodził się Witczak. – Wy-siadaj.
- Nie powie mi pan, po co tu przyjechaliśmy?
- Porozmawiać z człowiekiem, który znalazł torebkę Marty.

Wysiedli, mrużąc oczy w ochronie przed słońcem, które wychynęło właśnie zza chmur. Skrzypnęła furka, gdy wchodzili do ogrodu, chwilę później zza węgła wybiegł kudłaty kundelek, który z ujadaniem wpadł Witczakowi pod nogi. Kapitan zachwiał się, zaklął i delikatnie odsunął psiaka stopą. Hanka rozejrzała się, rejestrując ładnie utrzymane rabatki i rzeźbioną pokrywę studni. Prowadząca do drzwi ścieżka była starannie zamieciona, bez śladu typowych dla wiejskiego obejścia kurzych czy kaczyczych odchodów. Ktoś tu się naprawdę starał.

Gdy zapukali, otworzyła im siwiejąca kobieta w kolorowym fartuchu.

- Ochwata szukamy – powiedział Witczak.
- Mojego chłopa nye ma, za kwile przydzie.
- Możemy poczekać?

Kobieta spojrzała na nich, marszcząc brwi.

- Wyście z milicji? Co? W sprawie tej torby, co jom Kazek w rowie znalazł?
- Z milicji, tak – przyznał Witczak. – W sprawie torby.
- Póďte do chałpy.

Wnętrze domu wyglądało tak samo schludnie jak podwórko. W kuchni na ścianach wisiały talerze malowane w ludowe wzory, na piecu bulgotał gar z bigosem, a za szybę kredensu ktoś powtykał zdjęcia uśmiechniętej czteroosobowej rodziny oraz obrazki z wizerunkiem Jana Pawła II. Hanka i Witczak usiedli przy nakrytym ceratą stole na dwóch wolnych krzesłach. Leżący na trzecim bury kot otworzył leniwie oczy i zaraz wrócił do popołudniowej drzemki.

– Kcecie mlyka? Świeze momy, prosto łod krowy – zaproponowała Ochwatowa.

Milicjantów częstowano wieloma rzeczami: herbatą, kawą czy wódką, ale mleko prosto od krowy to było coś nowego, Witczak skinął więc głową i po chwili dostał wypełniony po brzegi blaszany kubek. Powąchał, ostrożnie upił łyk. Mleko było letnie i pachniało jeszcze ciepłem zwierzęcego ciała.

Ochwatowa krzątała się po kuchni, nie zwracając uwagi na niespodziewanych gości. Zsunęła gar z bigosem na brzeg pieca, nalała wody do zlewu i pobrzękując talerzami, zabrała się do zmywania. Zapach kapusty i grzybów kontrastował z wonią świeżego mleka, a ta z kolei gryzła się z chemicznym zapachem płynu do mycia. Od pieca bił żar, słońce za oknem przypiekało. Hanka

poczuła, jak ogarnia ją senność. Kiwała się za stołem, zmęczona długą jazdą, narastającym napięciem, a przede wszystkim nieustannym wysiłkiem umysłowym. „Nie wiem, ty mi powiedz. Pomyśl, a sama do tego dojdiesz”. Przez cały dzień czuła się jak na wyjątkowo wyczerpującym egzaminie i teraz, kiedy Witczak, zajęty swoim mlekiem, umilkł na chwilę, miała ochotę po prostu zamknąć oczy. Zrobiła to, jednak cisza nie trwała długo. Starszą szeregową rozbudził dźwięk odkładanego na stół kubka.

– Wiesz coś na temat przepowiedni księdza? – zapytał Witczak.

– Jakiego księdza?

– Nie wiem, podobno stary proboszcz w Rokitnicy przepowiadał jakieś nieszczęścia. Zastanawiam się, czy to nie mógł być nasz ksiądz.

– Ksiondz Sawicki. – Ochwatowa wielką drewnianą łychę zamieszała bigos i odwróciła się w stronę Witczaka. – Ludzie godali, że był waryjotem, ale miewał też wizje. Godoł, że zagłada nadciongnie ze wschodu jako corno chmura, a potem bydzie jesce wienkse nyescenście. No chyba ze ludziska sie poprawiom i zło jako chwast wypleniom, wtedy bydzie nadzieja, ze przeżyjemy.

Kapitan gapił się na kobietę, jakby nagle wyrosły jej rogi.

– Skąd pani to wie?

Wzruszyła ramionami, a z drewnianej łychy spadła na podłogę nitka kapusty. Bury kot podszedł do niej, obwąchał nieufnie, po czym pełny pogardy wymaszerował z kuchni.

– Wszyscy więdzom. W Rokitnicy i po łokolicnych wsiach tez. No, może ci młodszy to nye, bo łoni to w przepowiednie nie więdzom.

– A pani wierzy? – zapytał z ciekawością kapitan.

Kobieta jeszcze raz wzruszyła ramionami.

– A bo jo wiem? Tak naprowde to może i nye, nale pomodlić sie łod casu do casu nye zawadzi.

Wróciła do mieszania bigosu, spróbowała, dosypała odrobinę soli, spróbowała jeszcze raz i kiedy kiwała z aprobatą głową, do kuchni wszedł mężczyzna w brudnych butach i roboczych spodniach na szelkach.

– Błoto wnośis. – Ochwatowa machnęła na niego łychą. – Paczaj sie, milicja po ciebie przysła.

– My w sprawie tej torebki – wyjaśniła Hanka, najwyraźniej psując kobiecie zabawę.

– I co z niem? – Ochwat w przeciwieństwie do żony był milkliwy i miał niebudzącą zaufania zbójceją gębę. A może on też dzisiaj się nie wyspał. W każdym razie starsza szeregową nie zamierzała go potępić.

– Pan nam pokaże, gdzie ją znalazł – wtrącił się kapitan.

– Juz? Teraz? – Ochwat obrzucił łakomym wzrokiem garnek z bigosem.

– Teraz.

* * *

– Byłem idiotą – powiedział Witczak, kiedy szli za Ochwatem. – Już pierwszego dnia w Rokitnicy natknąłem się na tę cholerną przepowiednię, ale nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać, o co dokładnie chodzi. Myślałem, że to taki lokalny folklor, coś jak zasada, że każdy zamek musi mieć swojego ducha. Tymczasem wystarczyło pogadać z kimkolwiek powyżej pięćdziesiątki, a dawno bym wszystko wiedział.

– Mógł pan przyjąć zaproszenie do mojej ciotki. – Hanka uśmiechnęła się lekko. – Ale przecież nie wiedział pan, że przepowiednia może mieć znaczenie. Myśli pan, że zło, które należy wyplenić jak chwast, to właśnie Marta i Dorota?

Nim zdążył odpowiedzieć, Ochwat zatrzymał się przy rosnących na poboczu krzewach i oznajmił, że torebkę znalazł właśnie tutaj – z drogi by jej nie zauważył, ale wlaź głębiej w kolczaste zarośla, żeby jeżyn narwać.

– Dokładnie tu? – upewnił się jeszcze kapitan, a mężczyzna potwierdził.

– Ano, dokładniuszko. To jo se juz pódem.

– Tak, dziękujemy.

Ochwat powędrował w stronę bigosu, a Witczak i Hanka stali jeszcze przez chwilę przy drodze, patrząc w wielkie, łagodne oczy łaciatej krowy, która leniwie przeżuwała trawę za kępą jeżyn.

– To jest szosa prowadząca z Rokitnicy do Żywca – powiedziała Hanka. – Jeśli torebka tu leżała, to znaczy chyba, że morderca wyrzucił ją z samochodu, kiedy wracał po zabójstwie do miasta. Czyli on nie mieszka na stałe w Rokitnicy...?

Witczak bez słowa odwrócił się i ruszył w stronę zaparkowanego pod domem Ochwatów poloneza, a Hance nie pozostało nic innego, jak tylko posłusznie potruchtać za nim.

Część IX: Dziewczyny, którym nikt nie powiedział

Kiedy dotarli do Rokitnicy, zaczynało się powoli ściemniać. Po centrum kręciła się jeszcze grupa turystów czekających na ostatni autobus do Żywca – próbowali wejść do kiosku z pamiątkami, ale sklep był zamknięty, stanęli więc przed wystawą i zaczęli głośno komentować ludowe figurki. Znad jeziora wracały dwie nastoletnie dziewczyny z mokrymi po kąpieli włosami, w ręcznikach zarzuconych na ramiona. Woda po deszczu musiała być lodowata, ale dziewczyny, choć mocno zziębnięte, wyglądały na szczęśliwe. Ciągnął się za nimi powiew młodzieńczej bez troski, jakby pochodziły z innego świata. Z miejsca, gdzie nie było trzech brutalnych morderstw, gdzie nastolatki mogły swobodnie poruszać się po zmroku, śmiać się i żartobliwie przepychać. Hanka spojrzała za nimi zaniepokojona, chciała nawet coś powiedzieć, ale Witczak złapał ją za ramię i wciągnął do wnętrza budynku.

Na posterunku przywitał ich czerwony ze złości Zalewski.

– Gdzie żeście się, kurwa, podziwiali? Waškowiak od rana małego rozumu dostaje, a wy znikacie na cały dzień! Nie mogliście przynajmniej dać znać, że wyjeżdżacie? Starszy sierżant już podejrzewał, że was też ten morderca dopadł...

– Musieliśmy załatwić parę spraw – odparł kapitan tak spokojnie, że Hanka mimowolnie spojrzała na niego z podziwem. – Coś nowego w sprawie Ewy Chojniak?

– Nie bardzo. Przesłuchaliśmy parę osób, w tym męża i tę starą, która się dziewczyną opiekowała, ale tradycyjnie nikt nic nie wie. Z Żywca przysłali wyniki badań: Chojniakowa była zdrowa, jeśli nie liczyć przerwanego rdzenia kręgowego. Wygląda na to, że ktoś wziął z ogrodu sznur do wieszania prania, zarzucił jej na szyję i wciągnął na ten hak. Biedna dziewczyna. Musiała widzieć, jak facet ściąga żyrandol w kuchni, wiedziała, po co to robi, i nic nie mogła poradzić... Aha, i szukaliśmy przy okazji tego zaginionego pierścionka, ale chyba zniknął na -dobre.

– Gdzie jest teraz Waškowiak? I Synowiec?

– Poszli zastawić pułapkę przy krzyżu. To był pomysł starszego sierżanta. Powiedział, że skoro ktoś wcześniej dwa razy wieszał kwiaty po śmierci ofiary, to może dziś też to zrobi.

– Świetnie, w takim razie my też pójdziemy pod krzyż. – Witczak złapał Hankę za ramię.

– Może najpierw napijemy się czegoś? – zaprotestowała. Na kolację nie miała co liczyć i wiedziała o tym, ale szklanka wody nie była chyba wygórowanym wymaganiem.

– Nie mamy czasu. – Witczak popchnął dziewczynę w stronę drzwi.

– A tak w ogóle nie wiecie może, co tu tak strasznie śmierdzi? – zapytał

Zalewski, kiedy już wychodzili.

* * *

– Nie rozumiem, czemu musimy się spieszyć – poskarżyła się Hanka, kiedy wysiedli z samochodu i w gęstniejącym coraz bardziej mroku ruszyli ścieżką przez las. Witczak szedł tak szybko, że dziewczyna, choć miała długie nogi, ledwo za nim nadążała.

– Pamiętasz Rafała Sałatę?

– Tego studenta, który podwiózł Martę do Rokitnicy? Jasne, że pamiętam. Co z nim?

– Uznaliśmy, że to kiepski świadek. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy Jaczyk miała torebkę, czy nie, a kiedy powtórzył nam, co dziewczyna podobno powiedziała, też mieliśmy wątpliwości, czy przypadkiem nie zmyśla.

– Co z tego? – Potknęła się w półmroku i byłaby upadła, gdyby Witczak nie złapał jej za łokieć i nie podtrzymał. Przez chwilę czuła na policzku cuchnący tytoniem oddech, potem mężczyzna odsunął się i ruszył dalej w głąb lasu.

– To, że się myliliśmy – powiedział, nie odwracając się. – Sałata jest bardzo dobrym świadkiem. Zapamiętał wszystko dokładnie, tylko jedno słowo przekreślił. Tak myślę.

– Jakie? – Dziewczyna wiedziała, że Witczak na to pytanie czeka.

– A co, jeśli Jaczyk powiedziała: „Musimy to powstrzymać”? Nie „go”, tylko „to”. Brzmi podobnie, chłopak mógł się przesłyszeć.

– To coś zmienia?

– Zmienia bardzo dużo. I jest jeszcze kwestia pojawiającej się i znikającej torebki. Sałata raz twierdził, że Jaczyk ją miała, a raz, że nie. Torebka była i jednocześnie jej nie było. Jak w bajce.

– Miała torebkę przez część podróży, a potem już nie, bo wyrzuciła ją przez okno – domyśliła się starsza szeregowa. – Mogła to zrobić tak, żeby chłopak nie zauważył?

– Czemu nie? Był upał, okna pewnie mieli otwarte, a do czegoś takiego wystarczy chwila. Powiedzmy, że chłopak zagapił się na coś po przeciwnej stronie drogi, a dziewczyna skorzystała z okazji.

– Ale dlaczego miałyby wyrzucać własną torebkę, w dodatku z dokumentami i pieniędzmi?

– Bo już nigdy nie zamierzała wrócić, rozumiesz? Na dworcu przebrała się w eleganckie ubranie i zostawiła stare rzeczy, ale torebkę odruchowo zabrała ze sobą, tak jak robiła przez całe dorosłe życie. Dopiero w samochodzie musiała się zorientować, że tam, dokąd zmierza, żadne dokumenty czy pieniądze nie będą jej potrzebne. Miałem rację od początku: Marta przyjechała tu, żeby umrzeć.

* * *

Gdy stanęli na torach kolejowych w miejscu, w którym zginęła Marta Jaczyk, po słońcu pozostała już tylko czerwona łuna na zachodzie, rozlana nisko nad horyzontem. Hanka rozejrzała się, rejestrując znajomy widok: po lewej stronie las, łąka i dom Chojniaków, w którym paliło się światło, po prawej przecięty wąską ścieżką ugór z majaczącym w półmroku, na wpół skrytym w chaszczach krzyżem. I kanciasta bryła elektrowni, ciemna na tle szybko fioletowiejącego nieba, prawie czarna, jakby zasysała resztki dziennego światła. Jak mroczne, potężne bóstwo, dominujące nad całym krajobrazem.

– Widzisz to, prawda? – zapytał Witczak.

Starsza szeregową powoli skinęła głową.

– Od początku mieliśmy odpowiedź pod samym nosem, ale nie potrafiliśmy jej zobaczyć. A to wyjaśnia wszystko. Dlaczego Marta zostawiła swoje rzeczy i przyjechała tutaj w najlepszym niedzielnym ubraniu. Dlaczego się nie broniła. Dlaczego została zabita właśnie tutaj.

– Złożył ją w ofierze – powiedziała Hanka. – Przed elektrownią. Żeby powstrzymać budowę. A ona się na to zgodziła.

Witczak skinął głową, dziewczyna parsknęła gorzkim śmiechem.

– I to wszystko z powodu przepowiedni jakiegoś szalonego księdza? Bo powiedział, że najpierw ze wschodu nadejdzie czarna chmura, a później wszyscy zginą? Naprawdę myśli pan, że ludzie w to uwierzyli?

– Ludzie wierzą w znacznie bardziej bezsensowne rzeczy. A tu wszystko pasowało: najpierw wybuch Czarnobyli za wschodnią granicą, potem wznowienie prac nad tutejszą elektrownią. Morderca nie tylko w to wszystko wierzy, ale w dodatku jest przekonany, że tylko ofiara może ludzi ocalić.

– Ofiara z dzieci grzechu.

– Tak.

Chciała coś powiedzieć, kiedy Witczak chwycił ją za ramię i ścisnął tak mocno, że syknęła z bólu.

– Cicho – szepnął. – Posłuchaj.

Hanka zamarła, dopiero teraz przypominając sobie, że przecież nie są tu sami, że gdzieś niedaleko powinni być także Waškowiak i Synowiec. Nadstawiła uszu, wychwytyjąc dobiegające z głębi chaszczy ciche dźwięki. Z miejsca, gdzie – jak sobie uświadomiła – mogłoby się ukryć dwóch obserwujących, gdyby chcieli mieć na oku krzyż. Najpierw odgłosy prowadzonej szeptem rozmowy, potem pytanie, głośniejsze, bardziej natarczywe. I odpowiedź, której nie usłyszała, a jeszcze później coś, co w uszach starszej szeregowej zabrzmiało jak wyplute z wściekłością przekleństwo.

– Chodź – powiedział Witczak.

Zeszli z nasypu na ścieżkę, minęli krzyż, na którym nie było żadnych

świeżych kwiatów, i skręcili pomiędzy chaszcze, skąd dobiegały odgłosy, teraz przypominające dźwięki, jakie mogłaby wydawać migdałca się krzakach para. Stęknienia, szelest ciała ocierającego się o ziemię, cichy krzyk. Witeczak przyśpieszył, a Hanka, która wiedziała już, że to, co słyszy, nie ma nic wspólnego z miłością, biegła tuż za nim, następując kapitanowi na pięty. Usłyszała jeszcze jedno wyplute z wściekłością przekleństwo i tym razem rozpoznała zasapany głos Waškowiaka.

– Zostaw go! – krzyknął Witeczak, a potem dodał już spokojniej: – Puść chłopaka, bo go zabijesz.

A Hanka, która wychyliła się zza pleców kapitana, zobaczyła podnoszącego się z ziemi starszego sierżanta Waškowiaka z twarzą wciąż wykrzywioną nienawiścią i rękoma splamionymi krwią, która w półmroku letniego zmierzchu nie była czerwona, tylko prawie czarna.

* * *

Telewizor w pokoju gadał z dźwiękiem podkreślonym na pełny regulator. Najpierw *Dziennik*, w którym mignęła elektrownia w Rokitnicy, potem wieczorny film, coś z Chuckiem Norrisem i mnóstwem strzelania. Franciszek Chojniak nie zwrócił uwagi na tytuł. Gapił się w migające na ekranie sceny z głową wypełnioną hukami wystrzałów i twardymi męskimi dialogami, które zagłuszały myśli. A przynajmniej miały zagłuszać. Na stole przed nim stały kieliszek i butelka wódki, którą dziś po południu przyniósł kuzyn Ewy. Kieliszek był pusty, z butelki ubyla odrobina – tyle, co wypili „za złapanie tego bydlaka”. Rodzina Ewy przyszła, opłakała dziewczynę, powygrażała Bogu i skłęła mordercę, pocieszyła Franciszka i ponarzekła na przetrzymującą ciało milicję. Potem poszła. A on został. Sam w dużym, cichym domu, który miał być domem jego i jej aż do końca ich życia. W domu, w którym wciąż unosił się zapach Ewy, w którym w łazience na starej pralce leżały dziewczęce majtki, a Franciszek w każdym szeleście słyszał dźwięk kół toczącego się wózka.

Ewa nie żyje. Obracał te słowa w ustach po raz tysięczny, ale nadal nie chciały nabrać sensu. Nie żyje, została zamordowana, powieszona w kuchni, do której bał się teraz wchodzić. Po południu poprosił jednego z odwiedzających, żeby przyniósł mu stamtąd pół bochenka chleba, i to był jego jedyny posiłek w ciągu całego dnia. Nie był jednak głodny. Potrzebował zapomnienia, nie jedzenia, a to mogła mu dać tylko wódka.

Napełnił kieliszek i patrzył na niego. Wiedział, że jeśli teraz wypije, rano za to zapłaci. I nie chodziło o kaca, tylko o moment otrzeźwienia, kiedy przypomni sobie, że Ewa naprawdę umarła. A wtedy będzie tak, jakby drugi raz przeżył jej śmierć. Tylko myśl o tej krótkiej, strasznej chwili powstrzymywała go przed sięgnięciem po alkohol. Wolał pamiętać. Mimo wszystko wolał pamiętać.

Odsunął kieliszek. Chuck Norris na ekranie właśnie zastrzelił bandytę i przyglądał się ciału beznamiętnie.

Wtedy przez dźwięk włączonego telewizora przebił się wreszcie odgłos walenia w drzwi. Wcześniej musiało to być zwyczajne pukanie, ale pukania Franciszek oczywiście nie usłyszał. A może niespodziewany gość był tak niecierpliwy, że od razu zaczął od łomotania? W odgłosie było coś naglącego. Jakby to była sprawa życia i śmierci. Tak właśnie pomyślał Chojniak, idąc w stronę drzwi. Sprawa życia i śmierci.

– Otwieraj! – Rozpoznał głos kapitana Witczaka, gniewny, nieznoszący sprzeciwu. I cichy, proszący głos Hanki:

– Otwórz, to ważne.

Otworzył. Hanka od razu weszła do domu, a za nią do ciasnego przedpokoju wcisnęło się trzech mężczyzn: Witczak i Waškowiak podtrzymujący zakrwawionego Synowca. Chłopak zwiślał na wpół przytomny, powłócząc nogami, w półmroku spod powiek połyskiwały białka oczu.

– Posadźmy go w kuchni – powiedział Witczak, a Chojniak natychmiast zaprotestował:

– Nie, w kuchni nie.

Jednak było za późno: Waškowiak i Witczak już ciągnęli chłopaka w stronę kuchni, już sadzali go za stołem. Kapitan złapał wiszącą przy piecu ścierkę, zamoczył ją pod kranem i przycisnął do twarzy kaprała. Franciszek nie miał pojęcia, co się dzieje, ale gdyby dał sobie chwilę na zastanowienie, doszedłby chyba do wniosku, że jest z tego całego zamieszania zadowolony – o cokolwiek tu chodziło, oddalało go to od myśli o wódce i od szelestów, które nie były odgłosem kół wózka.

Przyniósł napoczętą butelkę i cztery kieliszki, postawił to wszystko na stole i czekał. W towarzystwie milicjantów mógł znieść pobyt w kuchni, jakby ich głosy przeganiały kołyszący się pod sufitem cień Ewy. Franciszek wiedział, że gdy tylko zostanie sam, cień wróci, na razie jednak go nie było, mógł więc usiąść i obserwować rozwój wydarzeń. I czekać.

Kaprał chwiał się nad stołem, podczas gdy Witczak ocierał mu twarz, Waškowiak siedział obok w ponurym milczeniu, patrząc w ścianę, a Hanka stała bezradnie za plecami kapitana.

– Może trzeba pogotowie wezwać? – wybąkała wreszcie, ale Witczak pokręcił głową.

– Nic mu nie będzie, to twardy chłopak. – Poklepał Synowca po policzku. – Wódki mu lepiej nalej.

Twardy chłopak miał podbite oko, rozkwaszony nos i rozbitą wargę, a sądząc po tym, jak macał językiem zęby, któryś z nich także był naruszony. Mimo to Chojniak w duchu przyznał Witczakowi rację – kapralowi nic poważnego

nie dolegało. Na wiejskich weselach widywało się znacznie bardziej poobijane gęby.

– Napij się. – Podsunął Synowcowi kieliszek wódki. Chłopak wypił i skrzywił się, ale wyglądał już nieco przytomniej.

– N...napadł na mnie – wyjąkał, patrząc na Witczaka, a potem na Hankę. – B...byliście świadkami.

– Stefan? – zapytał Witczak.

Waškowiak powoli odwrócił się od ściany. Oczy miał dziwnie puste, na dłoniach zostały mu ślady krwi.

– Przyznał się, że to on zabijał – powiedział cicho. – Zapytałem go, a on się przyznał.

– Nieprawda! Hanka, p...powiedz mu! P...przecież mnie znasz!

Starsza szeregowca spojrzała na Witczaka.

– To nie Jasiek, prawda? On nie mógłby...

Kapitan wyciągnął pistolet i położył go na stole, tak że w każdej chwili mógł sięgnąć do niego ręką, po czym rozlał wódkę do kieliszków. Uśmiechnął się.

– Napijmy się wszyscy – zaproponował. – Najwyższa pora wyjaśnić sobie parę rzeczy.

* * *

Tym razem Pawliczkowa otworzyła, ledwo zdążył przyłożyć palec do dzwonka.

– Ksiądz proboszcz – powiedziała bez zdziwienia. – Proszę, niech ksiądz wejdzie.

W mieszkaniu pachniało mydłem, płynem do czyszczenia drewna i krochmalem, ale wszystkie te zapachy nie zdołały zabić wyzieraającej z kątów woni samotności. Zapach samotnych wieczorów spędzanych przed starym telewizorem i poranków, kiedy człowiek budzi się, wiedząc, że nikt na niego nie czeka.

– Napije się ksiądz herbaty?

– Tak, poproszę. – Nie miał ochoty na kolejną herbatę, ale wiedział, że ludzie czują się pewniej, jeśli mogą gościa czymś poczęstować. Gdyby odmówił, ta wizyta mogłaby zacząć wyglądać... nieprzyjemnie oficjalnie.

Pawliczkowa zniknęła w kuchni, a ksiądz rozejrzał się po wąskim pokoju. W rogu stał – a jakże – stary radziecki telewizor, naprzeciw niego tapczan w odcieniu spłowiałego brązu, nieco dalej niewielka meblościanka. Było tam trochę książek, wydanie Sienkiewicza w twardej oprawie, parę popularnych romansów. Nie było Biblii ani zdjęcia papieża, choć te ostatnie widywał w prawie każdym wiejskim domu.

Usiadł za niskim stolikiem, przykrytym zrobioną na szydełku serwetką.

Dotknął jej – była zimna, jakby wchłonęła cały chłód deszczowego dnia. Ksiądz Jerzy zdecydowanie wolałby siedzieć w kuchni przy piecu, ale nie on o tym decydował.

Pawliczkowa zjawiała się chwilę później z dwiema szklankami herbaty i ciastem na talerzyku.

– Od Róży – powiedziała. – Wczoraj przyniosła. Ja na pieczenie czasu ostatnio nie mam.

– Dziękuję.

– Przyszedł ksiądz porozmawiać?

Skinął głową, czekając na pytanie: „O czym?”, ale gospodyni milczała. Spróbował strucli z powidłami, choć na ciasto też nie miał ochoty – musiał jednak zająć czymś ręce.

– Byłem u starej Ciołkowej – powiedział wreszcie.

Pawliczkowa spojrzała na niego, a proboszcz po raz pierwszy zauważył, jak chłodny jest błękit jej oczu.

– Mam nadzieję, że staruszka dobrze się miewa.

Czuł się coraz bardziej niepewnie. Przyszedł tu, sądząc, że to on będzie wprawiał gospodynię w dyskomfort, a tymczasem było odwrotnie.

– Opowiedziała mi historię sprzed prawie trzydziestu lat. O dziewczynkach wychowywanych na parafii przez proboszcza Sawickiego. Nieochrzczonych dziewczynkach, bo ksiądz uważał, że nie zasługują na chrzest ani na imiona. Dzieci grzechu, tak je nazywał. Wierzył, że te dzieci kiedyś sprowadzą nieszczęście na całą wieś, dlatego codziennie wyganiał z nich diabła. Wyganianie diabła polegało na tym, że dziewczynki godzinami klęczały w kościele, bez ruchu, na zimnej posadzce, a ksiądz modlił się razem z nimi. A potem...

– Potem co? – zapytała łagodnym tonem.

* * *

– To był pan, prawda? – Hanka ścisnęła w palcach wciąż pełny kieliszek wódki i patrzyła na Waškowiaka. – To pan pomógł uciec Marcie i Dorocie. Kupił im pan bilety i wsadził do pociągu.

– Nie wiem, o czym mówisz. – Starszy sierżant szybko opróżnił swój kieliszek i nalał sobie następny. Oczy miał przekrwione, oszołomione.

– Mam rację? – Hanka spojrzała na Witczaka, który uśmiechnął się lekko.

– Zapominasz, że w Brzozówce nie było wtedy stacji kolejowej. Gdyby Waškowiak chciał wysłać dziewczynki pociągiem, musiałby pojechać z nimi do Jaworków.

– Co z tego? Mógł to zrobić.

– Nie wiem, czy zdążyłby, zanim mieszkańcy Brzozówki by się zorientowali. Poza tym Waškowiak nie był nawet jednym z nich, bo mieszkał

w Rokitnicy. Za to Janek Synowiec pochodzi z Brzozówki i mógł bez problemu wpakować obie dziewczynki do pociągu.

Hanka już chciała powiedzieć, że nie rozumie, ale przecież nareszcie zrozumiała.

– Marta i Dorota nie przyjechały do Będzina pociągiem osobowym, tylko towarowym.

Witczak skinął głową.

– Linia, która teraz jest osobowa, była kiedyś towarowa. I założę się, że tam, gdzie stoi krzyż, dawniej był semafor. Miejsce, w którym zatrzymywały się pociągi. Wystarczyło, że Synowiec zabrał dziewczynki z wioski, przeszedł z nimi półtora kilometra i wsadził je do pustego wagonu. Ratunek, na jaki stać byłoby nawet dziewięcioletniego chłopca. A ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć, i kiedy siostry wspomniały o Janku, Sterczewska wyobraziła sobie kogoś starszego. To samo dotyczyło pociągu: gdy dziewczynki powiedziały, że przyjechały koleją, kobieta oczywiście pomyślała o zwyczajnej osobowej linii. Myślę zresztą, że to był drugi powód, dla którego Marta musiała zginąć akurat na torach – w symbolicznym miejscu, z którego kiedyś uciekła do normalnego życia.

Chojniakowi rozbłyły oczy. Nie ruszył się, nawet nie drgnął, tylko jego źrenice rozpały się, jakby ktoś podświetlił je od wewnątrz świeczką.

– To on zabił Ewę? – zapytał.

* * *

– Potem przyszło lato sześćdziesiątego szóstego roku, bardzo suche i gorące – ciągnął proboszcz. – Pszenica wymierała na polach, wszystko więdło i usychało. A ludzie wierzyli, że to wina dziewczynek, dlatego ksiądz jeszcze gorliwiej wyganiał z nich diabła i coraz częściej mówił o ofierze. Że siostry w ogóle nie powinny żyć, że tylko krew może zmasać winę, z jaką się urodziły. Nie wiem, czy rzeczywiście byłby w stanie je zabić. Może nie, może nie był aż tak szalony. Chciałbym w to wierzyć. Ale pewien chłopiec, ministrant niewiele starszy od dziewczynek, wystraszył się i postanowił je ocalić.

* * *

– On – potwierdził Witczak.

– Ale przecież uratował te dziewczynki! – zaprotestowała Hanka z rozpaczą. – Sam pan powiedział! Jasiu, wytłumacz im!

– N...nikogo n...nie...

– Uratował je, owszem. A dwadzieścia lat później zabił. Być może to jest w tym wszystkim najsmutniejsze.

Wciąż ścisnęła kieliszek pełny wódki. Pistolet wciąż leżał na przykrytym ceratą stole. To była należąca do Waškowiaka tetetka, a dziewczyna nawet nie

zauważyła, kiedy Witczak odebrał ją starszemu sierżantowi.

– Dlaczego zamordował Ewę? – zapytał Franciszek.

* * *

– Gdy zapadł zmrok, chłopiec zaprowadził dziewczynki do torów kolejowych i wsadził je do pustego wagonu. Proboszcz zorientował się i pobiegł za nimi, ale nie zdążył, bo zanim dotarł na nasyp, pociąg odjechał. A Sawicki poza tym, że był obłąkany, również za dużo pił. To dość częsty grzech księży na samotnych parafiach, możliwe zresztą, że jego szaleństwo brało się właśnie z wódki. Albo wódka wzięła się z szaleństwa – może pił, bo próbował je w sobie stłumić. Wszystko jedno. Tak czy inaczej, tamtego dnia, kiedy dotarł do torów i zobaczył odjeżdżający pociąg, miał już nieźle w czubie. Ludzie mówią, że pijaków chroni opatrność, ale to nieprawda. A w każdym razie nie zawsze jest to prawda, bo tamtego wieczoru, w ciemności, ksiądz Sawicki potknął się i spadł z nasypu tak nieszczęśliwie, że rozbił sobie czaszkę. I zmarł.

* * *

– Ksiądz Marczewski na przesłuchaniu zeznał, że dziewczyna chciała zdradzić mu jakąś wielką tajemnicę, tylko nie zdążyła tego zrobić – odparł Witczak. – A Synowiec bał się, że kiedy proboszcz wyjdzie z aresztu, dziewczyna wreszcie powie mu to, co wie. Moim zdaniem mylił się, Ewa lubiła swoje sekrety i nie zdradzała ich tak łatwo. Ale to nie ma znaczenia.

– Kiedy ksiądz przyszedł, Jasiek już tu był – zaprotestowała Hanka. – A Ewa nie żyła wtedy od dwóch godzin. Dlaczego Jasiek miałby wracać na miejsce zbrodni?

– Bo wpadł na pomysł, żeby podrzucić jej pierścionek. Wydawało mu się, że to nas zmyli, że zamiast skupiać się na tym, co dziewczyna wiedziała, będziemy się zastanawiać, dlaczego wszystkie ofiary nosiły identyczną biżuterię.

– Trzeci pierścionek – mruknęła dziewczyna.

Witczak potrząsnął głową.

– Nie trzeci, tylko drugi. Ten, który należał do Doroty, a który podobno zgubił się w zamieszaniu. To nie był taki sam pierścionek, tylko ten sam. Na początku też dałem się nabrać, ale potem coś mnie tknęło: Synowiec był w poniedziałek u Ewy, żeby wypytać o jej tajemnicę, ale dziewczyna odesłała go z kwitkiem. Mimo to wczoraj znowu do niej poszedł. Po co, skoro wcześniej mu nie wyszło? Tak, wiem, twierdził, że chciał spróbować jeszcze raz, ale jakoś mnie to nie przekonało. Synowiec nie sprawia wrażenia szczególnie gorliwego gliniarza.

– Nie ma p...pan żadnych d...dowodów.

Hanka spojrzała na Waškowiaka, ale ten uparcie milczał, podobnie jak Franciszek Chojniak. Witczak za to, zdumiewająco swobodny jak na kogoś, kto

siedzi przy jednym stole z mordercą, rozgadał się na całego.

* * *

– Co było dalej? – Pawliczkowa nie patrzyła na proboszcza, tylko w okno, za którym rozciągała się pachnąca rozkwitłymi kwiatami lipcowa ciemność.

– Wystraszony chłopiec pobiegł do wsi i powiedział, co się stało. Nie wiem, jak zareagowali mieszkańcy Brzozówki, pewnie zaczęli od tego, że solidnie przetrzepali małemu skórę. Musieli być wtedy wściekli i przerażeni jednocześnie. Ale to oczywiście niczego nie rozwiązało: dziewczynki odjechały nie wiadomo dokąd, a martwy proboszcz leżał pod nasypem. Na pierwszy problem nie mogli nic poradzić, spróbowali więc zająć się drugim. Wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby przenieść ciało kawałek dalej i wrzucić do wody. Z początku część mieszkańców Brzozówki się oburzyła, bo jakże tak bez szacunku traktować zwłoki, ale cóż, żywy proboszcz a martwy to nie to samo, poza tym chłopci już wtedy zaczęli się bać, że na jaw wyjdzie ich mały sekret, i chcieli odciągnąć uwagę władz od torów kolejowych. Dlatego ostatecznie cała wieś doszła do wniosku, że księdza najlepiej będzie zanieść do jeziora. I milicja rzeczywiście uznała śmierć Sawickiego za wypadek: ot, pijak chodził po nocy, potknął się, rozbił sobie głowę i utonął. Gdyby ktoś przyjrzał się tej śmierci bliżej, dostrzegłby sporo niepasujących szczegółów, ale nikt nie miał powodów, żeby jej się przyglądać. Albo, co bardziej prawdopodobne, nie chciał tego robić. Mieszkańcy Brzozówki byli bezpieczni, jednocześnie jednak musiały dręczyć ich wyrzuty sumienia, bo pod nasypem postawili krzyż. Chcieli w ten sposób upamiętnić proboszcza Sawickiego, a nie wychowujące się na plebanii dziewczynki, jak z początku myślałem.

– Proboszcz Kubiak też się pomylił – powiedziała Pawliczkowa cicho. – Nie z własnej winy. Znalazł na strychu zabawki, zaczął o nie wypytywać i ktoś mu chyba powiedział, że dawniej na plebanii mieszkały dwie siostry, a teraz ich już nie ma. A ponieważ nigdzie nie było grobów, przy torach stał krzyż, a ludzie w większości unikali odpowiedzi... Cóż, ksiądz musiał zinterpretować to sobie na własny sposób.

– Od czasu do czasu wieszał na krzyżu kartkę z imionami, które dziewczynki sobie wymyśliły – dodał proboszcz. – A potem zaczął słyszeć głosy. Był wrażliwym człowiekiem, ze skłonnością do depresji, a do towarzystwa na plebanii miał tylko duchy dwóch martwych dziewczynek. To nie mogło się dobrze skończyć.

Pawliczkowa powoli skinęła głową.

* * *

– Masz rację, nie mamy dowodów, ale w każdej chwili możemy je mieć. Wiesz, kiedy zacząłem cię podejrzewać? Kiedy Krzysztofiak nagle zmienił

zeznania i uparł się, że podejrzany, który rozmawiał z Dorotą, był tak naprawdę piętnaście centymetrów wyższy. Nie pasowało mi to, świadkowie czasem się mylą, ale rzadko aż tak bardzo. Poza tym Krzysztofiak wyglądał na wystraszonego i kiedy zacząłem się zastanawiać, wszystko nabrało sensu. Nic dziwnego, że facet mało nie narobił w gacie, skoro nagle uświadomił sobie, że mężczyzną, którego widział z ofiarą, był gliniarz. Krzysztofiak to prosty robotnik, prawdopodobnie ma na sumieniu różne drobne grzeszki i narażanie się milicji to ostatnia rzecz, jakiej by chciał. Dlatego podczas wizji nad jeziorem tak pośpiesznie zmienił zeznania.

– Krzysztofiak twierdził, że widział mężczyznę w chustce – przypomniała Hanka. – A Jasiak niczego takiego nie nosi.

– Nie, ale czapka z daszkiem z pewnej odległości może wyglądać trochę jak chustka ze sterującym z przodu węzłem, zwłaszcza gdy właściciel czapki stoi w cieniu. Zresztą mniejsza o to. Jestem pewny, że jeśli Krzysztofiaka porządnie przyciśniemy, to przyzna, że w lesie widział właśnie Synowca. A gdyby okazało się, że facet woli jednak milczeć, kaprała rozpozna ordynator Wojtas.

Ten, który nie ma pamięci do twarzy? – chciała zapytać Hanka, ale przytomnie ugryzła się w język.

– Ale to był ksiądz – powiedziała tylko, coraz bardziej bezradna. – Wojtas twierdził, że Romana Kozła w szpitalu odwiedził ksiądz.

– Nie ksiądz, tylko mężczyzna w koszuli z koloratką – sprostował Witczak. – A taką koszulę można sobie samemu kupić, to żaden problem. Synowiec przez długie lata był ministrantem i świetnie wie, jak powinien zachowywać się kapłan. I wie też, że do zakładu zamkniętego nikt nie wpuści obcej osoby, a przynajmniej nie bez dokładnego wypymania, kim taki gość jest i po co przychodzi. Ale ksiądz to coś innego, nawet kompletny wariat ma prawo do pociechy duchowej. I w pewnym sensie rzeczywiście chodziło o pociechę: Synowiec pojechał do Romana Kozła, żeby mu powiedzieć, że znalazł obie dziewczyny i że zamierza je zabić, kończąc tym samym to, co Kozioł zaczął przed laty. Poza tym – Witczak sięgnął do kieszeni i wyciągnął telegram – to jest dowód. Nie wiem, czy rozmawiał z Martą Jaczyk z poczty zamiast z posterunku, możliwe, że tak, w końcu jedna z urzędniczek to jego krewna...

– Ola? Ona nie...

– Nie mówię o Oli, tylko o tej starszej, Róży. Jest ciotką Synowca, czy może jego dalszą kuzynką. Wszystko jedno. W każdym razie nawet jeśli nie udowodnimy, że rozmawiał z dziewczyną przez telefon, telegram powinien wystarczyć. Synowiec podał fałszywe nazwisko nadawcy, ale na pieczęcie, jeśli się dobrze przyjrzeć, można zobaczyć, że telegram został nadany w Olsztynie we wtorek piętnastego lipca, dokładnie w tych godzinach, kiedy kaprał powinien być zajęty przeszukiwaniem mieszkania Marty Jaczyk.

– Skąd Jasiak mógłby mieć adres Doroty? – spróbowała jeszcze Hanka.

– Z jej notesu. Pamiętasz? Tego, z którego wyrwał kartkę.

– Przecież sam zwrócił uwagę, że tej kartki brakuje!

– Owszem, bo wkurzył się, że ty zauważyłaś ważną poszlakę, a ja go traktuję jak idiotę, i też chciał się wykazać. Niczym nie ryzykował, bo skąd mielibyśmy wiedzieć, co na tej kartce było? Myśleliśmy zresztą przez dłuższy czas, że dziewczyna sama ją wyrwała. Inna rzecz, że Synowiec znalazł się w cholernie ciężkiej sytuacji. Z jednej strony próbował kierować śledztwo na fałszywy trop, z drugiej nie mógł tego robić zbyt ostentacyjnie, bo przecież byśmy się domyślili. Stąd ta opowieść, że ktoś tam zapamiętał Martę, jak jadła w schronisku kolację z jakimś facetem...

– Skłamał też w sprawie jubilera – wtrącił się Waškowiak. – Nam powiedział, że właściciel sklepu niczego nie pamięta, a tak naprawdę facet opisał osobę, która w maju kupiła dwa pierścionki, i ten opis pasował do Jaczyk. Lewandowski mi powiedział. Wtedy już miałem pewność, że chłopak coś kombinuje. Dlatego zabrałem go w te krzaki. Nie chodziło o żadną pułapkę, tylko żebym mógł z nim spokojnie na osobności pogadać. Jasiak ostatnio mnie unikał, ale wiedziałem, że jak wcisnę mu tę bujdzę o pułapce, to nie będzie mógł odmówić.

– Już wcześniej go podejrzewałeś – powiedział Witczak – i domyślałeś się, że śmierć tych dziewczyn ma związek z masakrą w domu Kozłów, dlatego zacząłeś bez sensu kręcić. A ja się, cholera, zastanawiałem, dlaczego raz pamiętasz, w jakim psychiatryku siedzi Kozioł, a raz nie. I powiedziałaś, że Agnieszka wyjechała z Rokitnicy, ale kiedy zapytałem o nią tę miłą panienkę z baru, okazało się, że kobieta wciąż tu mieszka, tylko ma inne nazwisko, bo zdążyła wyjść za mąż i się rozwieść.

– Tak – przyznał Waškowiak. – Lubilem go i chciałem... Żeby mnie przekonał, że to jednak nie on? Żeby okazał skruchę i błagał, żebym siedział cicho? Naprawdę nie wiem. Ale Jasiak... Jasiak nawet tych dziewczyn nie żałował. Powiedział, że tak musiało być, że zginęły, bo on kiedyś popełnił błąd, a teraz musiał go naprawić. I że same chciały umrzeć. Wtedy puściły mi nerwy. – Spojrzał na swoje duże, silne dłonie ze zdziwieniem, jakby widział je pierwszy raz w życiu. – Widzicie, ja tego chłopaka znam od lat i wiedziałem, po prostu wiedziałem, że coś jest nie tak. Najpierw myślałem, że jest zdenerwowany, bo to jego pierwsze poważne śledztwo, ale potem... Jezu, przecież normalnie on się aż tak bardzo nie jęka.

– Nie jęka się, sam słyszałem. Przy piwie, kiedy się odprężył, mówił prawie normalnie. Ale w czasie śledztwa przez cały czas miał napięte nerwy. Możliwe zresztą, że celowo jękał się bardziej niż zwyczajnie, bo to mu dawało niezłe alibi, żeby siedzieć cicho i nie palnąć jakiegoś głupstwa. Tak było, Jasiak?

Synowiec nie odpowiedział. Nalał sobie jeszcze wódki, a kiedy przechylał butelkę nad kieliszkiem, Hanka zauważyła, jak bardzo drżą mu ręce. Wypił, otarł

załawione oczy.

– Po raz pierwszy porządnie mnie tknęło, kiedy oglądał tę skórzaną torbę Lewandowskiej – kontynuował Waškowiak. – Tę, co ją ksiądz u siebie pod łóżkiem trzymał. Jasiiek zajązwał tylko do środka i powiedział, że dokumentów nie ma. Ale tam było przecież mnóstwo kieszeni, których nawet nie otworzył, to skąd mógł wiedzieć? Wtedy sobie pomyślałem, że może wiedział, bo sam te dokumenty wyrzucił.

– Lewandowska miała jeszcze małą torebkę – powiedział Witeczak. – Tak twierdził Krzysztofiak i świadkowie, którzy widywali dziewczynę we wsi. Założę się, że ta torebka płynie już Sołą do morza.

– Jasiiek, powiedz coś – zdenerwowała się Hanka. – Słyszysz, o co oni cię oskarżają?

* * *

– Dlaczego pani mu nie powiedziała, jak było naprawdę?

– Przyszedł ksiądz, żeby mi zadawać pytania?

Zaczerwienił się.

– Nie, oczywiście, że nie, chciałem tylko...

– Przyjść z pociechą duchową? – W głosie Pawliczkowej zabrzmiała wyraźna ironia, ale proboszcz i tak skinął głową. – Myślę, że ksiądz powinien już pójść.

– Nie wypilem jeszcze herbaty – zaprotestował słabo.

– Jest gorzka, niech ksiądz jej nie pije. Ciasto też się nie udało.

– Chciałem... Chciałem tylko powiedzieć, że wiem, że pani o nie dbała. Czytała im pani książki, uszyła lalce ubranie z własnej starej sukienki. To coś znaczy. Mimo wszystko... to jednak coś znaczy.

– Niech ksiądz już idzie. I mam nadzieję, że nie ma ksiądz nic przeciwko temu, żebym jutro też nie przyszła do pracy.

* * *

Kapral odwrócił się w jej stronę i patrzył przez chwilę, nie mrugając. Dziewczyna widziała w jego oczach ból, ale może zobaczyła tylko to, co chciała zobaczyć. Potem Synowiec spojrzwał na Witeczaka.

– T...to było w czerwcu – powiedział. – Zobaczyłem Martę, jak wychodziła z kiosku z p...pamiątkami. Poznała mnie. Po tych wszystkich latach mnie poznała. I zaczęliśmy rozmawiać, a p...później zaprowadziłem ją do krzyża.

– A kiedy wracaliście, zobaczyła was Ewa?

Skinął głową.

– Była sama, dlatego wpadliśmy do niej na chwilę. T...tylko na chwilę. Potem Marta dała mi numer do apteki, gdzie p...pracowała, i pojechała. A ja do

niej zadzwoniłem i rozmawialiśmy. Długo, dlatego powiedziała, żebym następnym razem zadzwonił w nocy, to nikt się nie będzie czepiał. Miał pan rację, dzwoniłem z poczty, Róża dała mi klucz. Ale to wszystko to nie był mój p...pomysł. Marta sama powiedziała, że p...popelniliśmy błąd i trzeba go naprawić. Na p...początku nie chciałem się zgodzić, ale ona nalegała. To nie była moja wina. Ona chciała umrzeć.

– A Ewa? – W głosie Chojniaka brzmiał ledwo tłumiona wściekłość. – Moja żona też chciała umrzeć?

– Nie, Ewa...

Franciszek pochylił się nad stołem tak nagle, że Hanka nie zdążyła nic zrobić. Nikt nie zdążył. Chojniak chwycił pistolet i wycelował w głowę Synowca. Starsza szeregowca zacisnęła powieki, czekając na odgłos strzału, ale usłyszała tylko suche kliknięcie. Otworzyła oczy. Waškowiak wyjmował właśnie broń z rąk zaskoczonego Franciszka.

– Zostawiłem magazynek, kiedy wychodziłem z Jaśkiem. Nie chciałem brać ze sobą naładowanej broni, bo bałem się, że jak mnie poniesie, to zrobię chłopakowi krzywdę. Ale i tak zrobiłem. – Spojrzał na Synowca. – Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem cię uderzyć. Teraz to i tak nie ma znaczenia. Powinienem strzelić ci w łeb wcześniej, jeszcze przed Ewą. Przynajmniej ona by żyła.

piątek, 25 lipca

– Wiedział pan, że broń nie była nabita, prawda? Od początku pan to wszystko zaplanował? – Hanka patrzyła z nadzieją, prawie gotowa Witczaka podziwiać, niemal gotowa uznać go za swojego idola. – Boże, jak ja się wtedy wystraszyłam!

Kapitan zrozumiał, że jeśli chce ją rozczarować, powinien to zrobić teraz.

– Nie miałem pojęcia, że nie jest nabita. Zachowałem się jak idiota, każdemu się czasem zdarza. – Patrzył, jak mina starszej szeregowcej rzednie coraz bardziej, a blask w jej oczach gaśnie. – Idź już, narzeczony czeka.

Po drugiej stronie wiejskiej drogi, w ostrym słońcu, które wysuszało resztki wilgoci z wczorajszych kałuż, stał -oparty o rower jasnowłosy chłopak. Miał miłą twarz. Nie jakoś szczególnie urodziwą, po prostu miłą, ale w porównaniu z Hanką wydawał się wręcz przystojny. Witczak nie zamierzał się temu dziwić. Już nie.

Starsza szeregowca spojrzała na chłopaka i kiedy uniósł rękę, odmachala mu radośnie. Potem odwróciła się z powrotem w stronę kapitana.

– Wiem, zaraz pójde. Chciałam tylko... Wie pan, myślałam o tych dwóch dziewczynach. O Marcie i Dorocie.

– Tak?

– Nikt im nie powiedział, że ksiądz Sawicki był szalony. Jasiek zabrał je z plebanii i wsadził do tego pociągu, ale nie powiedział, że całe to gadanie o grzechu to bzdury. Pozwolił, żeby wyrosły w przekonaniu, że są złe i powinny umrzeć. Nawet dyrektorka domu dziecka powtarzała tylko, żeby zapomniały... Wydaje mi się, że ze wszystkich strasznych rzeczy, jakie zrobiono tym dziewczynkom, ta była najgorsza. Że nikt im nigdy nie powiedział.

– Hanka, idziesz? – krzyknął oparty o rower chłopak. – Spóźnimy się na pociąg!

– Idę! – odkrzyknęła, wycierając rękawem łzy z oczu.

Witczak patrzył, jak szli w stronę dworca: ona z niewielką torbą na ramieniu, on pchając przed sobą rower. Chłopak spytał o coś, a dziewczyna odpowiedziała, pochylając się w jego stronę. Kapitan zastanawiał się, czy go obgadują. Nie miałyby nic przeciwko temu. Hanka powinna teraz powiedzieć narzeczonemu, że jej szef to zdziwaczały pierdziel, a on powinien roześmiać się i oznajmić, że teraz już nie będzie musiała znosić jego humorów.

Tak właśnie powinno być.

* * *

Roman Koziół siedział dokładnie w takiej pozycji, w jakiej Witczak go zapamiętał: na starannie zasłanym łóżku, patrząc w ścianę. W tej samej zielonej szpitalnej piżamie, jakby przesiedział tak ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Kapitan zajął miejsce naprzeciwko i chrząknął. Mężczyzna nie odwrócił się, choć coś w nim sugerowało, że zdaje sobie sprawę z obecności niespodziewanego gościa.

– Przyszedłem powiedzieć, że wiem, dlaczego ich zabiłeś – oznajmił Witczak. – Tylko tyle. Wiem i obiecuję, że nikomu nie powiem, jeśli po tych wszystkich latach to wciąż dla ciebie coś znaczy.

Koziół odwrócił się i spojrzał – tylko na chwilę, zaraz znowu zapatrzył się w ścianę, ale przez ten ułamek sekundy kapitan zobaczył w jego oczach wdzięczność. Przynajmniej tak mu się zdawało, gdy wychodził. Potem, kiedy szedł w stronę samochodu, gdzie za kierownicą czekał Zalewski, nie był już pewny, czy widział cokolwiek.

* * *

Witczak zjawił się późnym popołudniem z flaszką wina w ręku.

– Mogę wejść? – zapytał, gdy proboszcz otworzył drzwi, i nie czekając na odpowiedź, wcisnął się do środka.

– Myślałem, że pan wyjechał – powiedział ksiądz.

– Wyjeżdżam dziś wieczorem. Mam pociąg o szóstej i tak sobie pomyślałem, że warto wykorzystać ten czas, żeby pogadać przy kieliszku czegoś dobrego. Może

ksiądz uznać to za przeprosiny za tamto zatrzymanie.

– Nie mam pretensji o zatrzymanie. Poza tym wydawało mi się, że pan nie pije.

– Czasem robię wyjątek. Zresztą to tylko wino, nie wódka. Księża pijają wino nawet podczas mszy.

Witczak rozsiadł się w jadalni, a Marczewski nie miał innego wyjścia, jak tylko przynieść dwa kieliszki i usiąść przy stole. Kapitan nalał wina i podsunął jeden z kieliszków proboszczowi.

– Na zdrowie – powiedział.

– Na zdrowie – odpowiedział odruchowo ksiądz Jerzy. Wino było słodkie, ciężkie i gęste, z lekkim posmakiem czegoś korzennego. A Marczewskiemu cały czas nie dawało spokoju pytanie, po co właściwie Witczak tu przyszedł. Naprawdę z towarzyską wizytą? Ksiądz Jerzy chciałby w to wierzyć, bo mimo wszystko trochę tego człowieka lubił. Chciałby, ale nie wierzył.

– Pani Pawliczkowa nie przyszła dzisiaj do pracy? – zapytał kapitan, chwytając promień słońca w przelewający się w kieliszku czerwony płyn.

– Nie. – Proboszcz momentalnie zrobił się czujny. A więc to zdecydowanie nie towarzyska wizyta.

Witczak uśmiechnął się uspokajająco, jakby odgadł jego myśli.

– Niech się ksiądz nie boi, mamy już naszego mordercę. Słyszał ksiądz najnowsze wieści?

Marczewski skinął głową.

– I oczywiście wie ksiądz, że Pawliczkowa to Agnieszka Koziół? Siostra, która przeżyła?

Przytaknął jeszcze raz, tym razem ostrożniej. Witczak posłał mu kolejny uspokajający uśmiech.

– Ja się dowiedziałem dopiero niedawno. I wie ksiądz, zacząłem się zastanawiać nad niektórymi kwestiami. Na przykład nasz morderca przyznał, że z pierwszą ofiarą, Martą Jaczyk, kontaktował się telefonicznie. Ona siedziała nocami na dyżurach w aptece, on na poczcie, bo kuzynka czy tam ciotka dała mu klucz. I rozmawiali. Problem trochę w tym, że jąkały zazwyczaj mają problem z pogaduszkami przez telefon. Oczywiście jest możliwe, że chłopak to wyjątek, który bardziej się stresuje, rozmawiając z kimś twarzą w twarz. Albo po prostu czuł się w czasie tych rozmów na tyle pewnie, że się nie jąkał. Ale jest trzecia możliwość...

– Że z Martą rozmawiał ktoś inny?

Witczak uśmiechnął się, tym razem aprobująco.

– No proszę, jaki ksiądz jest inteligentny. To oczywiście tylko taka luźna myśl: jeśli Synowiec podtrzyma swoje zeznanie, a pewnie tak będzie, niczego w tej kwestii nie zrobimy. Zresztą nawet gdyby zmienił, nic by to nam nie dało, w końcu

rozmowy przez telefon nie są zabronione. Chyba że zdołalibyśmy udowodnić, że pani Pawliczkowa namówiła dziewczynę na przyjazd do Rokitnicy i całe to „poświęcenie”. – Palcami zaznaczył cudzysłów. – W końcu kto jak nie matka zrobiłby to lepiej? Jak ksiądz sądzi, możliwe, że kobieta posłała na śmierć własne dziecko? Albo nawet dwoje dzieci?

– Nie wiem, ja....

– Bo widzi ksiądz, jest jeszcze kwestia Doroty Lewandowskiej. Synowiec twierdzi, że dziewczyna sama chciała umrzeć, podobnie jak Marta Jaczyk, i dopiero w ostatniej chwili, kiedy zobaczyła nóż, zmieniła zdanie i próbowała go odepchnąć. Możliwe, to zresztą nie ma w tej chwili większego znaczenia. Mnie intryguje pytanie, skąd dziewczyna w ogóle wiedziała, dokąd iść. Ktoś jej musiał powiedzieć, gdzie Synowiec czeka. Ktoś ją namówił, żeby do niego poszła.

– Tamtego dnia... – Ksiądz Jerzy umilkł i podjął wątek dopiero po chwili, z wysiłkiem. – Tamtego dnia Pawliczkowa przyszła do pracy bardzo wcześnie. Wiem, bo czułem zapach upieczonego ciasta. Dlatego myślę, że one mogły się spotkać.

Witczak skinął głową.

– I jeśli miały wystarczająco dużo czasu, Pawliczkowa zdołała przekonać córkę, że też powinna umrzeć. Nie sądzę, żeby to było jakoś szczególnie trudne, dziewczyna była niestabilna emocjonalnie, już wcześniej próbowała się zabić, a teraz jeszcze straciła siostrę... A Pawliczkowa wiedziała, jak z nią rozmawiać. Albo Synowiec kłamie i Dorota wcale nie chciała umrzeć, tylko w jakiś sposób stawić czoła mordercy. Pewnie nigdy się tego nie dowiemy. Tak czy inaczej, wygląda na to, że właśnie Pawliczkowa wysłała dziewczynę do lasu.

– Trudno uwierzyć, żeby matka mogła zrobić coś takiego własnemu dziecku...

– Cóż, Agnieszka była bardzo młoda, kiedy zginęła cała jej rodzina. Miała piętnaście lat i żadnego oparcia poza szalonym proboszczem. A Synowiec od wczesnego dzieciństwa pełnił funkcję ministranta, czyli jednej z najbliższych księdzu osób. Oboje byli pod jego wpływem i nigdy się tak naprawdę spod niego nie wyzwolili.

– Pawliczkowa zawsze wydawała mi się całkowicie normalna... – mruknął Marczewski. – Kapral Synowiec zresztą też.

– Och, żadne z nich z pewnością nie jest szalone. W zupełności wystarczyło, że oboje wierzyli w tę nieszczęsną przepowiednię. Zresztą – w oczach Witczaka pojawił się błysk – istnieje możliwość, że Synowiec przynajmniej częściowo mówi prawdę. Może to od początku był pomysł Marty, może chłopak zaczął wierzyć, bo wierzyła ona.

– A co jeśli Sawicki... – Proboszcz urwał niepewnie.

– Jeśli miał rację? – Witczak parsknął. – Niech ksiądz da spokój, przecież to

bdzury. Zło, które nadejdzie ze wschodu, naprawdę? Na tej zasadzie równie dobrze sprawdzają się horoskopy w gazetach. Ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, i zawsze potrafią zinterpretować fakty tak, żeby się zgadzały. Elektrownia zostanie uruchomiona i zaręczam, że nie będzie tu drugiego Czarnobyła. Może ksiądz spać spokojnie. Ksiądz gospodyni zresztą też. Nie będziemy jej szukać.

– Marta i Dorota były córkami Sawickiego?

– Nie, akurat tego grzechu ksiądz nie popełnił. Większość innych tak, ale tego nie. – Witeczak westchnął. Obiecał wprawdzie Romanowi, że będzie milczał, jednak nigdy nie był dobry w dotrzymywaniu obietnic. – Były dziećmi jej brata Grzegorza.

– Myślałem o tym, ale... To przecież niemożliwe? Marta mogła urodzić się po śmierci Grzegorza, ale co z Dorotą, która była parę lat młodsza?

– Rzecz w tym, że nie była. Pewny oczywiście nie jestem, musiałbym spytać Pawliczkową, jednak mam wrażenie, że dziewczynki były bliźniaczkami. Tak, wiem. – Machnął ręką. – Po bliźniakach człowiek odruchowo spodziewa się podobieństwa, a one mocno się różniły. Ale bliźnięta dwujajowe mogą się różnić od siebie tak, jak różnią się zwykłe siostry. Marta była wysoka, dobrze zbudowana i wyglądała na starszą, Dorota odwrotnie: była drobna i sprawiała wrażenie młodszej. A ludzie mają skłonności do bardzo powierzchownych ocen – inaczej traktuje się poważnie wyglądające dziecko, a inaczej to z wyglądu bardziej dziecinne. Nic dziwnego, że dziewczynki z czasem weszły w te role i Marta aż do końca była tą odpowiedzialną, a Dorota odwrotnie, tą lekkomyślną.

– Roman zabił, bo dowiedział się, że jego siostra zaszła w ciążę z bratem?

Witeczak wzruszył ramionami.

– Albo przyłapał ich razem w łóżku, kto to może wiedzieć? Chłopak został znaleziony na progu sypialni, a dziewczyna niedaleko, w sieni. Może wydawało jej się, że jeśli wejdzie na strych i wciągnie za sobą drabinę, to ocali życie?

– A matka? Czym ona zawiniła?

– Tym, że wiedziała i nic nie zrobiła? Tak tylko zgaduję. I nie sądzę, żeby jej... akceptacja miała cokolwiek wspólnego z miłością do dwójki młodszych dzieci. Moim zdaniem Kozłowa po śmierci męża zobojętniała tak bardzo, że nie zwracała uwagi na wyraźne sygnały, że w domu dzieje się coś złego. A kiedy Roman złapał za siekierę, siły starczyło jej tylko na tyle, żeby zaryglować drzwi od kuchni. Zresztą, wie ksiądz, w pewien sposób współczuję temu chłopakowi. Po śmierci ojca desperacko próbował udowodnić, że nadaje się na głowę rodziny, a tymczasem ta rodzina rozpadała się na jego oczach: matce było wszystko jedno, młodsze dzieciaki nie chciały pomagać w domu. W dodatku im bardziej na nie naciskał, tym bardziej, osamotnione, szukały pociechy u siebie nawzajem. A kiedy Roman dowiedział się prawdy, to musiał być dla niego ostateczny cios. Dowód, że jako głowa rodziny całkowicie zawiódł.

- To go nie usprawiedliwia.
 - Wiem. – Kapitan wstał, lekko się zataczając. – Nie próbuję go usprawiedliwiać, tylko zrozumieć. Pójdę już, muszę wracać.
 - Do żony i córki?
 - Do żony i córki, tak.
 - Mam nadzieję, że pana córka czuje się dobrze.
 - Och, radzi sobie doskonale. Dzieciaki są silne, wie ksiądz. Przetrwają znacznie więcej, niż dorośli mogliby podejrzewać. – Witczak szedł już w stronę drzwi. – Nie będę zajmował księdzu więcej czasu, ksiądz pewnie ma teraz sporo spraw na głowie. Słyszałem, że na wczorajszej mszy wygłosił ksiądz piękne kazanie... Ciotka Hanki aż się popłakała.
 - Hm, dziękuję. – Marczewski przywykł, że jest najwyżej przeciętnym kapłanem i takie komplementy wciąż trochę go peszyły.
- Kapitan uśmiechnął się lekko.
- Wie ksiądz, mam wrażenie, że miejscowi może i są zamknięci w sobie, ale mimo wszystko księdza lubią. Niech ksiądz o tym nie zapomina.
 - Nie zapomnę.
 - Z Bogiem.
 - Z Bogiem.

Proboszcz odprowadził wzrokiem idącego przez ogród Witczaka – tym razem kapitanowi udało się szczęśliwie ominąć zdradliwą gałąź – a potem starannie zamknął drzwi i wrócił do swojej pracy.

Epilog

Marcin Dudziak zgarbił się w łódce i potarł ręką czerwony kark. Była piąta, ale słońce wciąż przypiekało, jakby chciało nadrobić niedawny deszcz. Taki los, pomyślał Dudziak. Wczoraj przemókł do suchej nitki, dziś wyglądało na to, że będzie się smażył aż do zmroku. Chyba że wcześniej złapie coś, czym można by zaimponować kolegom, ale na razie się na to nie zanosilo. Dwie płocie wczoraj i leszcz dzisiaj to nędzny łup jak na wędkarski urlop, który miał przynieść Dudziakowi główną nagrodę magazynu wędkarskiego. Zeszłego lata na Mazurach udało mu się złowić prawie metrowego suma. Zajął wtedy trzecie miejsce, w tym roku liczył więc na wygraną, bo czemu nie? Należało mu się, w końcu nabral doświadczenia i zainwestował w porządną wędkę.

Lekkie podrygiwanie spławika wyrwało Dudziaka z rozmyślań nad tym, co mu się należy, a co nie. Zamarł, ale to był fałszywy alarm. Odetchnął, rozsiadł się wygodniej, coraz bardziej żalując, że nie zabrał kapelusza z rondem, który osłaniałby kark. Będzie cierpieć, kiedy wróci do domu, a żona będzie się z niego śmiać.

Trudno.

Woda traciła rozmigotany złocisty kolor, w miarę jak cień elektrowni wpelzał na jezioro. Dudziak nie chciał się odwracać i patrzeć na wznoszący się za jego plecami budynek. Może przyjazd tu na urlop naprawdę nie był dobrym pomysłem? Chcieli oszczędzić, bo na wakacje syna w tym roku sporo już wydali. Kto by pomyślał, że kolonie mogą tyle kosztować... Za jego czasów jechało się ciężarówką do lasu i po prostu rozbijało obóz, dzieciaki same kopały sobie latryny, a teraz...

Zamarł, tym razem nie dlatego, że wyczuł drgnienie spławika. Na wodzie coś się unosiło, dokładnie na granicy cienia i słońca. Coś, co przypominało długie rude włosy poruszające się hipnotyzująco w górę i w dół na lekkich falach. Zmarszczył brwi i pochylił się. A potem obok włosów zobaczył dwie blade dłonie i zrozumiał, na co właściwie patrzy.

* * *

Witczak stał na peronie, paląc papierosa i czekając na pociąg. Obok czekała rodzina: matka, ojciec i dwie dziewczynki, wszyscy opaleni, pełni wakacyjnych wrażeń.

– Teraz pójde już do szkoły? – zapytała starsza córeczka, a kobieta odpowiedziała jej cierpliwie:

– Nie, kochanie, jeszcze nie skończył się lipiec. Do szkoły pójdziesz we wrześniu.

- To ile zostało dni?
- Prawie czterdzieści.
- Czyli dużo?
- Dużo.
- W takim razie możemy zostać u babci?
- Nie, kochanie, nie możemy, bo tata i mama muszą iść do pracy. Jutro przyjdzie do was ciocia Asia, pamiętasz ją?
- Ale ja chcę zostać i pojeździć na koniku!

Witczak też nie chciał wracać do domu. Do żony i jej umęczonych oczu, do córki i jej twarzy zlewającej się barwą z białą pościeli. Karolinka ostatnio źle się czuje, powiedziała Renia, ale to nie była prawda. Nie ostatnio, tylko od dawna, od czasu tamtego wypadku. Karolinka nigdy już nie miała czuć się dobrze.

– Pociąg z Zakopanego do Katowic wjeżdża na tor czwarty przy peronie drugim. Pociąg z Zakopanego do Katowic wjeżdża na tor czwarty przy peronie drugim.

Kapitan cofnął się odrobinę. Pociąg zaczynał hamować, uszy Witczaka wypełnił zgrzyt metalu trącego o metal. Lokomotywa buchnęła jeszcze raz parą z komina, po czym stanęła. Rodzina z dziewczynką marudzącą wciąż o konika wsiadła do jednego z wagonów, kapitan podniósł walizkę, ale nie ruszył się z miejsca.

Konduktor, który zszedł na schodek, z gwizdkiem już przy ustach, spojrzał na niego pytająco.

Witczak zrobił krok i odwrócił się, by ujrzeć wybawienie – od strony dworca biegł do niego Waškowiak, machając rękoma.

Witczak uśmiechnął się, konduktor gwizdnął i pociąg powoli ruszył w stronę Katowic.

